STAN EKONOMICZNY POLSKI

w latach 1782 — 1792.

Za podstawę do niniejszego studyum posłużyły źródła następujące:

I. *Dziennik Handlowy*, „zawierający w sobie wszystkie okoliczności czyli ogniwa całego łańcucha handlu polskiego. Zaczęty w Warszawie r. 1786.“ Ponieważ jedyny, o ile wiém, kompletny (1) egzemplarz tego czasopisma, znajdujący się w Bibliotece Publicznéj Uniwersytetu Warszaw. miał nierozcięte karty w większéj części tomów, a więc nie był w całości dotychczas czytany, pozwalam sobie rozszerzyć się nieco nad charakterem i losami jego. Myśl wydawnictwa, a zapewne i nakład pierwotny powstał z łona Towarzystwa Handlowego, jak o tém świadczy napis na pierwszym tomie. Wszakże Towarzystwo to niedługo było czynném (2), a Dziennik jego przechodzi pod kierownictwo jednéj osoby, która się nazywa już w Lipcu „Autorem Dziennika Handlowego“, wydaje własnym nakładem, zastrzega się od „uszkodzenia na własnym majątku.“ (3) Ale majątek jego nie jest wielki: nie wystarcza bowiem na założenie drukarni, co sprowadza nieregularność

(1) Skompletowany staraniem byłego bibliotekarza, prof. J. Przyborowskiego.

(2) Już w Lutym r. 1786, znajdujemy w Pamiętniku Hist. Polit. wzmiankę: „Było do uformowania Kompanii Handlowéj dość ochoczych, dzisiaj już i ostygłych i od Kompanii cofnionych“ str. 301.

(3) Dz. H. 1786, str. 372.

w wydawaniu zeszytów, szczególnie od r. 1788, kiedy wszystkie drukarnie warszawskie są zarzucone robotą. Nie płaci honoraryów, a nawet nie zwraca kosztów przesyłki korespondencyj pocztą; wynagradza tylko „patryotyczne trudy“ wyrazem „wiekopomnéj wdzięczności przez to publiczne pismo, w którém najpóźniejsza potomność, wyczytując te ich beznagrodne prace, tych patryotyzm, zadziwiać się będzie (sic) nad tą ich gorliwością.... a że to pismo, przez tysiączne lata z rąk do rąk przechodząc, w tysiączne lata zachowane będzie, piękna więc wdzięczność ich patryotyzmu stanie się, gdy w tysiąc lat pamięć ich wyczytywana i wspominana będzie“. (!) Do takiéj nagrody wiekopomnéj podali się: Wilski Pocztmistrz z Tulczyna, Tarankiewicz burmistrz m. Mińska, Przemieniecki wójt m. Wilna, Lewandowski prokonsul m. Żytomierza, Walański radca m. Kamieńca, Kraszkowski intendent cełł, Ign. Dębicki uczeń szkoły paraf. w Kurowie, ponieważ podpisywali swoje nazwiska; podajemy téż je, żeby rachunek redaktorski po latach 90-u w obec potomności niniejszém uregulować; inni zrzekli się takiéj likwidacyi, ukrywając się pod nazwą „pewnego obywatela“, Chełmianina, Stężyczanina, Sandomierzanina. (Tego ostatniego radzibyśmy nawet dowiedzieć się imienia, ponieważ okazał niepospolite wiadomości historyczne, ekonomiczne i dużo rozumu; szkoda więc, że nie zdołaliśmy pochwycić żadnéj wskazówki co do jego osoby). Wszakże za opis traktów ofiarował Autor Dziennika „nadgrodę“ w stosunku 1 czer. zł. od arkusza. Fundusze Dziennika oparte są przeważnie, jak się zdaje, na prenumeracie po złp. 18 rocznie w Warszawie i 24 na prowincyi, zaliczając w to już porto pocztowe. Lista prenumeratorów wynosi w połowie r. 1786 egzemplarzy 186, nadto król płacił za 30 egzemplarzy dla miast (z tych 13 leżało w redakcyi nieodebranych). W następnym roku Komisya Edukacyjna zaprenumerowała 75 egzemplarzy dla szkół, a król przybrał jeszcze 6 egz. Tym sposobem liczba egzemplarzy doszła w r. 1788 do 365; było to maximum; w r. 1789 spada ona do 214, potém zaś listy prenumeratorów już nie znajdujemy. Dochód taki widocznie nie wystarcza na koszta wydawnictwa, ponieważ od nowego r. 1790, cena pisma zostaje podniesioną do 36 zł., niby z powodu zwiększenia objętości (w istocie zaś objętość zmniejszyła sie z 811 na 578 stronic). Sprzedają się téż zeszyty pojedyncze, a w ogłoszeniach czytamy słowa zachęty do nabywców skierowane. Szczególnie zwraca Dziennik uwagę na wiadomości o sumach i dobrach „do negocyowania,“ drukuje bezpłatnie obwieszczenia, układa rekapitulacye, peryodyczne i przy swéj Expedycyi utrzymuje rodzaj biura komisowo-informacyjnego. To biuro bodaj stało się z czasem instytu-

cyą główną, a Dziennik posiłkową. Od 1 Września r. 1791, ma on już własną drukarnię i zaczyna wychodzić 2 razy na miesiąc „w nagrodę dawnego nieregularnego wychodzenia", nareszcie w 1793 co tydzień w Sobotę po południu zeszytami coraz mniejszemi, które zeszły ostatecznie na jednę kartkę o 4 stronicach. W ostatnim numerze 22 Czerwca r. 1793 na okładce zapowiedziana była jeszcze prenumerata, ale już w nowém półroczu prasa dziennika stanęła bezczynnie. Expedycya Dziennika mieściła się na Krakowskiém Przedmieściu w kamienicy Duponta sekretarza Nr. 454, potém pod Nr. 366 wedle dzwonnicy Bernardynów, potém przy własnéj drukarni za Nowomiejską Bramą, na rogu ulic Freta i Ś.Jerskiéj, ostatnim zaś dla niéj przytułkiem było probostwo Ś. Jerzego Nr. 1765. Można téż było zapisywać się na prenumeratę w drukarniach Grölowskiéj w Marywilu i Dufourowskiéj, na kontraktach Mińskich i Nowogródzkich, oraz po wszystkich pocztach całego kraju, adresując się do któregokolwiek z sekretarzów Pocztamtu Warszawskiego.

Ale kto to był ów „Autor Dziennika Handlowego"? Historye literatury i P. Estrejcher w Bibliografii nazywają go Podleckim, opiérając się na katalogu Pijarskim, nie dając zresztą żadnych wskazówek biograficznych. Nam się téż nie udało natrafić na żadną wzmiankę, któraby jakichkolwiek faktów dostarczyć mogła, prócz jednego inseratu o sprzedaży dóbr „Imieniowi Podleckich" służących. Dobra te są liczne: Podleck i Gocławie w Ziemi Wyszogrodzkiéj, Pocztowo i Bobcin na Żmudzi, Gabryłowszczyzna w powiecie Upickim, Kułwa w Kowieńskim, Powiryncie w Wiłkomierskim, Pieniany, Pienianki etc. Lecz dziedzicem wszystkich tych dóbr jest Tadeusz Podlecki, rotmistrz powiatu Bracławskiego; o mieszkaniu jego można było zainformować się w Expedycyi Dz. H., (1) ale nasz „Autor" nie wygląda na dziedzica licznych włości; może być chyba spokrewniony z nim w dalszym lub bliższym stopniu. Wszakże wnioskując z dopisków i odezw, twierdzimy, że jest szlachcicem, nie zaś kupcem lub rzemieślnikiem, nie jest nawet obeznany ani z techniką handlową, ani ze źródłami informacyj co do stosunków ekonomicznych kraju. Przystępuje on do swego zadania tylko z poczuciem „potrzeby handlu," z gorliwością służenia społeczeństwu. Nakréślił sobie pierwotnie program obszerny o dziesięciu działach czyli „artykułach": I. o targach krajowych; II. o targach zagranicznych; III. o fabrykach krajo-

(1) Dz. H. 1787 str. 312.

wych; IV. o transporcie spławnym; V o transporcie lądowym; VI o jarmarkach i kontraktach krajowych; VII o opisaniu miast krajowych; VIII o sprzedaży dóbr; IX o udzielnych projektach handlowych; X o szczególnych i przypadkowych doniesieniach. Krząta się gorliwie około zgromadzenia materyałów, odwołując się do zwierzchności miast, do Konsulów Gdańskiego i Chersońskiego (ten ostatni nie przyséłał żadnych wiadomości), do urzędów, do „patryotów", nareszcie do bankierów i kupców; a chociaż nigdy nie był w stanie wszystkich działów wypełnić, to jednak zdołał wiele ważnych materyałów, dokumentów i rozprawek zgromadzić. W początkach szczególnie swojego zawodu ściągał dużo korespondencyj z rozmaitych stron kraju i niemały wpływ wywierać musiał. A działał z dążnością szczerze postępową i reformatorską. We właściwych miejscach wskażemy, z jakim zapałem szerzył idee reformy w ciągu lat 1786, 1787 i 1788. Po téj wszakże świetnéj epoce Dziennik chwieje się w swoim programacie, staje się coraz uboższym w korespondencye, maleje. Ulegając zapewne prądom epoki sejmu czterolotnięgo, przybrał nowy tytuł: „Dziennik Rządowo-Ekonomiczno-Handlowy" (od 1789), zajmując dużo miejsca na przedruki uchwał sejmu i komisyj porządkowych; potém znów wrócił do tytułu z r. 1788: „Dziennik Ekonomiczno-Handlowy," potém nazwał się raz jeszcze Rządowo-Ekonomiczno-Handlowym (w 1793), ale ekonomika zeszła teraz już do artykułów p. t. „Sposób, jak plamy z farbowanych materyj wyjmować (zresztą tłómaczony z Gaz. Handl. Hambur.). „Lekarstwo doświadczone z używania 3-ch części żołędzi a czwartéj kawy — dla zmenażowania kawy coraz droższéj z przyczyny teraźniejszéj wojny .... gdy, wyjąwszy tylo chłopów, wszyscy, zacząwszy od panów, mieszczanie, rzemieślnicy, żydzi i najubożsi żebracy bez kawy nie obejdą się, bardzo znaczny awantaż w ogóle kraju i w szczególności każdego mieszkańca uważać można; „o robieniu i używaniu octu Czterech Złodziejów list Autora Zasad Rolnictwa, Rękodzielnictwa i Handlu;" „Opisanie plastru balsamicznego Schiff-Hauseńskiego, czyli Moskiewskiego" i t. p. Wiadomości rządowe téż ustały; „nic nie ma w tym czasie do doniesienia, bo rządu krajowego w tym czasie prawie żadnego nie ma; pograniczne zaś urządzenia takoż jeszcze nie są stałe". W ostatnim więc numerze z dnia 29 Czerwca pozostały tylko wiadomości handlowe: „O miejscach, oprócz lichwiarzów, pożyczki pieniędzy w Warszawie". Wśród strasznego przesilenia, po bankructwach możnych firm warszawskich, zapewne było przysługą wskazać kilka miejsc, gdzie wypożyczano pieniądze na 7-my procent, a chociażby zarekomendować żyda Jakóba z Przedborza, facyendarza

na Nowolipiu! Na zakończenie dodajmy domysł, że w ostatnich latach, poczynając od 1791, ktoś inny, zapewne nie Podlecki, prowadził wydawnictwo Dziennika.

II. *Pamiętnik Historyczno-Polityczny* 1782—1792 o lat 4 starszy od Dziennika Handlowego, po gazetach najpiérwsze, a bez wątpienia ze wszystkich najznakomitsze i najbardziéj wpływowe czasopismo. Redaktorem i wydawcą jest Świtkowski, ex-jezuita; (1) sam bowiem powiada, że „Pamiętnik ... naszym jedynie wynalazkiem.. naszą prawdziwą własnością i jedynym, Boże się pożal! majątkiem, do którego się nikt ani jednym groszem nigdy nie przyłożył.“ Płaci jednakże honorarya autorom po wydrukowaniu artykułu (2). Sprzedaje zeszyty miesięczne po złp. 2, z pocztą po zł. 3, expedycya, a zapewne i mieszkanie redaktora mieści się przy ulicy Trębackiéj, w tak zwanym pałacu Rydzyna Nr. 364, na 2-ém piętrze.

Stosownie do tytułu Switkowski szczególną uwagę zwraca na wypadki polityczne w państwach obcych i w kraju. Szereg nieprzerwany przeglądów, pisanych wybornie i pouczających dziś jeszcze dla historyka zaczyna się „przeglądem historycznym od początku XVII wieku“. Dział ten uzupełnia się licznemi korespondencyami z Berlina, Drezna, Wiednia, Paryża i Londynu (ostatnie od jakiegoś pół-Anglika, t. j. Polaka oddawna w Anglii zamieszkałego). Tym sposobem oswaja Pamiętnik czytelników swoich z urządzeniami Anglii, nieznanemi prawie w Polsce. Ale niesame wypadki i anegdoty dworskie lub wojenne, niesama powierzchowna strona życia państwowego odbija się na kartach Pamiętnika; znajdujemy tu owszem, najczęściéj w oddzielnych artykułach, informacye co do źródeł dobrobytu i potęgi politycznéj w zestawieniu z Polską, a więc budżety państwowe, bilanse handlowe, obliczenia statystyczne co do ludności, rozległości, przemysłu, armij, opis banków, instytucyj kredytowych i t. p. Pamiętnik bacznym jest na politykę wewnętrzną monarchów, szczególnie sąsiedzkich: Józefa II, Katarzyny II, którą nazywa „wielką monarchinią“, Fryderyka II, którego roczne rachunki z funduszów, na podniesienie dobrobytu krajowego obróconych, za wzór podaje. Pomimo niewielkiéj jeszcze rozległości i ludności Pruss dostrzega czynniki potęgi tego państwa w porządku administracyi, oraz w duchu ożywiającym liczną armią i szlachtę pruską „niebogatą, ale patryotyczną.“

(1) Ex-jezuitą mieni go P. Roman Pilat w swojéj Literaturze Polit. z czasów Stan. Aug.

(2) Pam. Hist.—Polit. Rok 1785, zeszyt IV, str. 2044 i 2043.

Co do Polski, widzi jasno przyczyny ubóstwa, nędzy ekonomicznéj i upadku politycznego: gromi naród za uciemiężenie włościan, za sprowadzenie miast do upadku, za rozprzężenie rządu krajowego. To téż sprawami rolnictwa, przemysłu, handlu, zajmuje się Switkowski gorliwie, dodaje do tytułu swego pisma wyraz: „Ekonomiczny“, drukuje artykuły teoretyczne o rolnictwie, od Kwietnia zaś r. 1786 wydaje pismo specyalne p. t. „Wybór wiadomości Gospodarczych.“ Zna ekonomią polityczną, a do przekonania najbardziéj trafia mu szkoła fizyokratów. Wspomina o filozofach Locke'm, Helwecyuszu, Monteskijuszu, Alambercie, Diderocie, Wolfie, Lejbnicu. Zawiadamia publiczność o dziełach z różnych gałęzi literatury, świeżo ukazujących się w druku. Wyższe wykształcenie jego uwydatnia się téż w dobrym stylu i w poprawnéj pisowni. Tak świetnemi przymiotami rozporządzający publicysta musiał téż znaczny wpływ na społeczeństwo wywierać i poważne w niém stanowisko zająć. W istocie, wspomina parę razy o doznawanych od powszechności względach, nie skarży się na brak potrzebnych mu wiadomości, umié zjednać do spółpracownictwa nawet damy. (1) To ściągnęło nań notę Konfederacyi Targowickiéj i Cenzury przez nią ustanowionéj [a do któréj składu—powiédzmy mimojazdem—wszedł Stanisław Trembecki, szambelan J. K. Mci (2)]. Pamiętnik został zakazany i wychodzić przestał w końcu r. 1792. Powodem mogła być nietylko dążność roformatorska i popieranie prac sejmu czteroletniego, ale bezpośrednia zaczepka Szczęsnego Potockiego; w jednym z ostatnich bowiem przeglądów politycznych pod rubryką: Polska, redaktor zarzuca generałowi artyleryi, że występując z opozycyą przeciwko rządowi owoczesnemu utrzymuje się przy urzędach przez tenże rząd powierzonych mu; zarazem wyraża nadzieję, że „kilku panów samych choćby chcieli nic nie zrobią.“ Z tym wyrazem nadziei, jak wiemy, zawodnéj zamarł Pamiętnik Polityczno-Ekonomiczny i odszedł od stołu redaktorskiego najzasłużeńszy może z publicystów naszych, Switkowski.

---

(1) Dwie: jedna z nich napisała „Myśli względem prawa poskramiającego zbytek w strojach, usłużeniu i widowiskach“ r. 1784, str. 491. Drugiéj nie mogę sobie przypomniéć i nie znajduję w notatach.

(2) Instrukcya dla Drukarzy w Warszawie znajdujących się przez Juryzdykcyą Marszałkowską Koronną Najwyższéj Instancyi wraz z Asesorami Najw. Konf. Glney Ob. Nar. przydanemi na dniu 1 lutego r. 1793 dana—z podpisem Marsz. W. K. Mniszcha; dołączona do Dzien. Handl. z tegoż roku.

III. *Zbiór praw, dowodów i uwag*, z treści tychże wynikających *Stanowi Miejskiemu* ex Juribus Municipalibus *służących*, Prześwietnéj Deputacyi od Najaśn. Stanów Rzeczypospolitéj do roztrząśnienia praw i przywilejów miejskich podany. Zbiór ten, tradycyjnie pod nazwiskiem *Mędrzeckiego* znany, składa się z siedmiu memoryałów, czyli „części,“ bogatych w dokumenty i cytaty nietylko prawne, ale téż historyczne i ekonomiczne. Na końcu znajdują się zawsze żądania Stanu Miejskiego. Wszystkie były podpisywane przez sześciu deputowanych od miast, na czele J. Dekert, prezydent m. Warszawy, jako deputowany od miast prowincyi Wielkopolskiéj, następnie deputowani od miast prowincyi Małopolskiéj i od W. X. Litewskiego. W liczbie tych sześciu, znajduje się trzech prawników: Barss, Adam Mędrzecki (um. r. 1832) i Grabowski. Dwóm pierwszym podanie przypisuje główny udział w redakcyi memoryałów. (1) Ale nazwiska ich nie są wymienione na tytule dla tego w katalogach bibliotecznych szukać tego nader cennego pod każdym względem dzieła należy pod wyrazem Zbiór etc.

IV. Księgi 112—117. *Rachunków Generalnych Komissyi Skarbu* Koron. i Obojga Narodów, jako uzupełnienie do ogłoszonych przez P. Henryka Rossmana budżetów z lat 1764—66, 1766—1773, 1776, 1786—1788 w szacownéj rozprawie p. t. „Rys historyczny budżetu w Polsce“—Ekonomista r. 1865 I, str. 13 i 81, 1866, I, str. 1 1868, XI i XII str. 217. Nadto miałem sposobność korzystania z kilku rękopisów.

V. *Tabelle* przy głosie J.W. *Moszyńskiego*, Sekretarza W. W. X. Lit. posła Bracławskiego, mianym na sesyi sejmowéj w d. 19 Kwietnia r. 1790. Obejmują one obliczenie rozległości w mi-

---

(1) O Mędrzeckim zamieścił wzmiankę J. Lelewel w tych wyrazach: „w czasie sejmu 1789, 1790 czynny w sprawie miast; ogłosił: prawa miast do władz prawod.; wiadomość o pierwiastkowéj zasadzie; zbiór praw; w roku 1807 mecenas, um. 1832.“ Patrz Abecadłowy rozkład znamienitych ludzi w Polsce, dziejach i rzeczach jéj. Poznań. Żupański, 1858. t. I str. 467. P. Edm. Stawiski wspomina o *trzech* dziełach Mędrzeckiego: Wiadomość o pierwiastkowéj miast zasadzie; zbiór praw stanom miejskim służących; o prawach konfraterniom i cechom po miastach erygowanym służących—bez daty. Studya ekonomiczne w Bibl. Warsz. 1872, Kwiecień str. 9. Obie te informacye nie są oparte, jak się zdaje, na obejrzeniu naoczném dzieł rzeczonych. Mnie się nie udało dotychczas natrafić na coś innego prócz „Zbioru praw, dowodów i przywilejów“ i rozprawy J. Mędrzeckiego (syna) o prawie rzeczowém polskiém opartem na jawności ksiąg ziemskich lub grodzkich etc. Warszawa. Drukarnia Gałęzowskiego i Co 1823. Skłonny więc jestem do przypuszczenia, że wspominane przez Lelewela i Stawiskiego dzieła są częściami zbioru na którym znów nazwisko Mędrzeckiego figuruje tylko pomiędzy podpisami deputowanych.

lach kwadratowych, ilości miast i wsi, dymów, ludności w duszach, podatku 10°, 20° i 30° grosza, proporcyi na 1 milę kwadratową dymów, podatku i dusz, całą intratę dóbr królewskich, dziedzicznych i duchownych w złotych pol., wartość dóbr w kapitale województwami i ziemiami wszystkich trzech prowincyj (Wielkopolskiéj, Małopolskiéj i W. X. Litewskiego), nareszcie budżet na rok 1790. Moszyński był jednym z najbliższych stronników Szczęsnego Potockiego, w Konfederacyi Targowickiéj zajmował stanowisko marszałka Podolskiego. Tabele te, wydrukowane kosztem autora, dołączył Dziennik Handlowy w r. 1790 i tam się znajdują.

Materyały pomniejsze, mapy, ustępy z Vol. Leg. i prace uczonych do wyjaśnień użyte, czytelnik znajdzie w przypiskach zaznaczone.

Zadaniem naszém będzie: po krótkiém zaszkicowaniu genezy historycznéj zbadać rozległość i cyfrę ludności, stan rolnictwa, handlu, przemysłu i finansów Polski w przededniu ostatnich rozbiorów. Rozpatrując się w zasobach materyalnych, będziemy się starali obrachować, o ile się da, sumę trudności i usiłowań ku podźwignieniu upadającéj Rzeczypospolitéj, a tym sposobem skierować światło historyi na fundamenta obalonéj z końcem XVIII wieku budowy politycznéj.

I.

Długoby mówić—przechodzić okropnie
Wszystkie od chwały do niewoli stopnie.
(Giaur w tłómacz. A. Mickiewicza; wyd. Merzbacha, Warszawa 1858, V, str. 141)

Historycy nasi dosyć zgodnie zaznaczają początek epoki upadku Rzeczypospolitéj Polskiéj na połowie XVII wieku. Rok 1648 był jakąś fatalną godziną na zegarze dziejowym Europy. W Anglii król Karol I Stuart znajdował się w niewoli u independentów, którzy niedługo posłali go na rusztowanie, pod topór katowski; we Francyi wybuchła mniéj straszna, lekkomyślna, ale zawsze czteroletnia wojna domowa, znana pod żartobliwém mianem Frondy; w Holandyi stronnictwo republikańsko-mieszczańskie odsuwa od władzy statuderów z zasłużonego, ale ambitnego domu Orańskiego; we Włoszech lud Neapolu, pod przywództwem rybaka Mazaniella, zrywa się przeciwko ciemięzkim rządom Hiszpanów; w Moskwie car Alexy Michajłowicz, jeszcze młody, niedoświadczony monarcha widzi zaburzenie w swojéj stolicy; w Polsce stanął w polu na czele kozaków i włościan Chmielnicki, podżegnięty może po części

słówkiem królewskiém: „czyś ty nie żołnierz?“, a król Władysław IV, co wyrzekł to słowo, umiérał właśnie w najkrytyczniejszéj chwili. W Niemczech, wycieńczonych wojną trzydziestoletnią, kładziono podpisy na pokojowym traktacie Westfalskim, który miał nową erę dążeń politycznych i stosunków między-narodowych otworzyć.

Z tego kataklizmu wyszły pańtwa Europejskie w nowéj postaci: Anglia z 50-tysiączną niezwyciężoną armią Kromwella, która ku końcowi XVII wieku doszła do poważnéj cyfry 92000 ludzi, z flotą, która w strasznéj trzydniowéj bitwie morskiéj pokonała panujących na morzu admirałów holenderskich, z „aktem nawigacyjnym,“ który stał się pierwszym krokiem do panowania nad morzami i oceanami. Dla Francyi zaczyna się wiek Ludwika XIV, zakończony tragicznie klęskami wojennemi i ruiną finansową, ale bądź co bądź pełen ruchu, światła i sławy, wiek niewidzianéj dotychczas potęgi militarnéj o 400000 bagnetów, ujętych w karby organizacyi genialnego Louvois, wiek twórczości przemysłowéj i polityki handlowéj utalentowanego Colbert'a, wiek artystów, poetów, mówców, uczonych, którzy podbili Europę rylcem, pędzlem i piórem. Szwecya dzielnością oręża, ale tylko oręża, zdobyła sobie stanowisko pomiędzy mocarstwami pierwszorzędnemi. Car Alexy Michajłowicz rozszerza granice państwa swojego, a syn jego Piotr Wielki wyniesie niedługo Rossyą na stanowisko wielkiego mocarstwa. W Niemczech zacznie kiełkować nowa potęga brandenbursko-pruska, pod zręcznem kierownictwem Wielkiego Kurfirsta. Tylko Włochy pozostaną w niemocy politycznéj, tylko Hiszpania Filipa IV i Karola II, tudzież Polska pogrążą się w otchłanie rozkładu—pierwsza przez wypaczenie wszechwładnego rządu monarchicznego, druga przez zepsucie rządu republikańskiego, a nareszcie przez bezrząd czyli „nierząd,“ jeśli użyjemy wyrazu dobrze w XVIII wieku znanego i swoim i obcym.

Już za Jana Kazimierza zaczęła Polska rozdawać swe kraje i prawa polityczne sąsiadom: z terytoryum, obejmującego 18000 mil kwadratowych; utraciła Smoleńskie, Siewierskie, Czernihowskie, Kijów z obwodem, Ukrainę Zadnieprską, Inflanty i zwierzchnictwo nad Prusami, okupionemi niegdyś krwią Grunwaldu i bezprzykładną w dziejach ofiarnością miast zniemczonych. Traktaty: Andruszowski, Welawski, Oliwski, ustaliły nowy układ stosunków państwowych na Wschodzie Europy, ale Polska nie zajmowała w nim górującego stanowiska, jak dawniéj w XV, XVI i początkach XVII wieku. Król Szwedzki, Karol X, powziął nawet myśl rozbioru, zniesienia Rzeczypospolitéj, ale wojenna dzielność szlachty, skon-

federowanéj w Tyszowcach, i nadzwyczajna energia wodzów takich, jak Czarniecki, ocaliła Polskę i przedłużyła jéj byt państwowy na całe stulecie.

Wśród zamieszek, jakie wynikły po abdykacyi Jana Kazimierza, rzucili się na Polskę straszni jeszcze bardzo Turcy i Tatarzy, zabrali Kamieniec z Podolem i zagrozili znowu istnieniu Rzeczypospolitéj. Ale Jan Sobieski, z garstką szlacheckiego wojska, zdumiewającemi marszami i bitwami, odpędził burzę od kraju i nawet zdołał zadać cios śmiertelny Porcie Otomanskiéj pod Wiedniem.

Byłto czyn wiekopomny, całą Europę obchodzący, wszystkie umysły poruszający. Ale owoce jego, przez Polskę osiągnięte, nie odpowiadały rozmiarom wysileń i sławy. W ciągu dalszych 16 lat wojny urosły świéże laury wojenne wodzów cesarskich Karola Lotaryńskiego, Ludwika Badeńskiego, a szczególnie Eugeniusza Sabaudzkiego, gdy Jan III tyrał swą popularność w rozgwarze stronnictw i intryg domowych. Sprzymierzeńcy przestali się téż oglądać na Polskę i na kongresie Karłowickim pomijali jéj interesa. Trzeba było jeszcze jednego zwycięztwa pod Podhajcami, jakie już po śmierci Jana III Potocki hetman polny koronny wywalczył, aby Kamieniec do Polski wrócił. Traktat Karłowicki r. 1699 zabezpieczył Polskę i Europę od tureckich najazdów nazawsze, ale téż był ostatnim aktem międzynarodowym, w którym Polska brała udział jako mocarstwo samodzielne.

Zaczyna się wiek XVIII wśród powszechnéj pożogi wojennéj: na Zachodzie w sprawie o spadek po Habsburgach Hiszpańskich, na Wschodzie—wielką wojną Północną.

Na tronie polskim zasiadł Sas, który wyrzekł się wyznania protestanckiego dla tytułu królewskiego—tytułu bez władzy, który przesiąkł wszystkiemi grzechami dworu Ludwika XIV—bez jego zalet, którego nicość moralna da się jednym rysem dostatecznie określić: że się obnosił po razy kilka z projektami rozbioru własnego, tak upragnionego niedawno królestwa. Nie dziw, że Polska odmówiła udziału w awanturniczych planach wojennych swego nieudatnego wybrańca, ale to jest dziwniejsze, że neutralności swojéj zastrzedz nie umiała i głównym teatrem niszczącéj wojny się stała. Od téj przecięż chwili zależała cała przyszłość polityczna kraju. Co prawda, Historya przedłożyła pokoleniu owoczesnemu wcale niełatwą łamigłówkę: kto ma pokierować rozkołataną od burz peryodycznych nawą państwową? Czy król—zdrajca, czy zdemoralizowani przez dyplomatów i intrygantów z całego świata—panowie, czy gmin szlachecki, powołany niegdyś przez Jana Za-

moyskiego do wykonywania aktów najwyższéj władzy w obiorze królów i instrukcyach prawodawczych posłom sejmowym, ale bezładnie, viritim, unanimiter, a teraz w najliczniejszéj masie nieposesyonatów utrzymywany w służalstwie u panów? Otwiérały się się więc trzy drogi—ku monarchii, droga Cezara, ku rządom arystokratycznym ścieżkami sinijoryi Weneckiéj, albo ku demokracyi, szlakiem Washingtona i Hamiltona, nieutorowanym jeszcze podówczas.

Pokolenie owoczesne nie łamało sobie głowy nad rozwiązaniem tego zadania, boć to było najciemniejsze ze wszystkich pokoleń, jakie zna Historya, przynajmniéj od Kazimierza Wielkiego. Zrzekło się wszelkiéj decyzyi i otworzyło na oścież granice kraju wszystkim stronom wojującym. Armie Karola XII-go, Piotra W-go, wojska saskie, chodziły, furażowały, gospodarowały, jak same chciały. Zamiast reform rdzennych w konstytucyi państwowéj, sejm r. 1717 pozostawił dawną anarchią i uchwalił etat wojskowy na 24000 ludzi, a budżet wojskowy na 6 milionów złp. Tymczasem wśród anarchii szlachcic podeptał już plebejuszów i przywłaszczył sobie prawo życia i śmierci nad chłopem, jak świadczy odwołująca to nadużycie zbrodnicze konstytucya sejmowa 1768 (art. XIX praw kardynalnych). Polska stała się anomalią w szeregu państw europejskich i wysadzała się jakby na przekorę, żeby z duchem wieku XVIII być w nieustannéj sprzeczności. Chciała pozostać „narodem szlacheckim" (według trafnego wyrażenia P. J. Szujskiego), gdy wszystkie rządy działały już wielkiemi masami ludowemi na polach bitew, na polu przemysłowém, handlowém, finansowém. Rozpadła się na udzielne posiadłości możnowładcze jak za czasów feudalizmu średniowiecznego, z wojskami dworskiemi, z dyplomacyą i polityką na własną rękę, a za to rząd centralny nie miał ani armii, ani dyplomacyi, ani nawet poselstw przy dworach zagranicznych. A to działo się w takim wieku, kiedy wszyscy monarchowie nawskróś przejęci byli zasadą Ludwika XIV: l'état c'est moi, kiedy machiny rządowe doprowadzone były do wysokiego stopnia dokładności i potęgi; kiedy ministrowie i dyplomaci snuli nieustannie plany podbojów, aliansów, koalicyj. Tuż pod bokiem Polski hołdownik jéj de jure, przystroiwszy się w tytuł króla téj ziemi, którą Jagielonowie zaszczytnie zdobyli, pierwszy król pruski Fryderyk rozséłał agentów do Augusta, do Piotra W-go, do Karola XII, do saméj nawet Warszawy z propozycyami, lub z własnoręcznemi projektami podziałów Rzeczypospolitéj, a na-

ród szlachecki nic o tém wiedzieć nie mógł, skoro nie miał nigdzie poselstwa. (1)

Zresztą czémże jest teraz szlachta sama, przywłaszczająca sobie wyłącznie wszystkie zasoby i organa państwa? Nazywa się wciąż Prześwietnym Stanem Rycerskim, ale te wyrazy są już czczym dźwiękiem. Rycerzy tych nie widzimy na żadném większém pobojowisku XVIII wieku; bo téż nie mieliby tam nic do czynienia w obec armij stałych, wyćwiczonych i uzbrojonych podług zasad nowéj sztuki wojskowéj. Przeistaczają się więc na ziemian-rolników, a resztki animuszu szafują na burdy, zajazdy, pojedynki lub na pieniactwo po sądach, które staje się plagą powszechną, bo jedni trudnili się wytaczaniem procesów, a drudzy obroną od napaści (2). Gdybyśmy spytali o cel życia, o marzenia, o ideały takiego ziemianina—znajdziemy je bodaj w przedawnionych nieco słowach jednego z korespondentów Pamiętnika Historyczno-Politycznego: „oddać do skarbu przypadającą część intraty, żeby z resztą spokojnie *zasypiać*.“ W istocie, szlachta czasów saskich powiadała wyraźnie, że nie chce żadnych zmian, żadnych wojen, żadnego wdawania się w sprawy obce. Od 1726 do 1764 obywała się bez sejmów walnych, jedynego podówczas organu władzy prawodawczéj, rządowéj, a poniekąd nawet sądowéj. Pozostawała obojętną nawet podczas wojny europejskiéj 1733—5 r. o własną polską koronę. Do urzeczywistnienia atoli takich sielankowych ideałów potrzeba było muru nieprzebytego na granicach kraju. Niestety! o tém nie pomyślano. To téż drzémkę przerywali czasem natrętni sąsiedzi, np. Fryderyk II, podczas wojny siedmioletniéj, gdy upro-

---

(1) Oprócz układów r. 1704, Fryderyk I występuje z własnym projektem podziałowym, w 1705 posłanym przez komendanta zamkowego von Prinzen'a do Karola XII do Warszawy, potém projekt własnoręczny z natarczywą uwagą: „jetzt oder nie“ w r. 1709, nareszcie w r. 1710, nowy projekt podziału na trzy części. Patrz Droysen, Geschichte der preussischen Politik. Friedrich I. 2-te Auflage. Leipzig 1872, str. 185, 212, 218. Szereg projektów podziałowych od utworu niejakiego Christiana Müllera, „wolnego Sasa, statysty i publicysty,“ zredagowanego i przedstawionego Fryderykowi I w 1703 (Droysen tamże str. 177), a więc wcześniejszego niż projekt Patkula, przez Augusta II w r. 1704 przyjęty, a przez Szujskiego wyłożony—Dzieje Polski. Lwów, t. IV str. 199—200. O nowym projekcie podziałowym r. 1728 przez Augusta wnoszonym, a przez Cesarza Karola VI odrzuconym mówi Arneth: Prinz Eugen v. Savoyen. 1858 Wien. t. III, str. 266. Nareszcie o ostatnim przedśmiertnym 1732 Szujski, V, 286.

(2) Pamiętn. H. Pol. 1782str. 93: Myśli pewnego patryoty.

wadził 8000 gospodarzy „z wołmi, końmi, wozami i sprzętami“ w głąb’ Brandenburgii. Uszło to nawet bez protestacyj, ponieważ hetman W. koronny, Jan Klemens Branicki, zaszczycał króla Fryderyka II swoją przyjaźnią!

Nie zejdziemy do szczegółów, pominiemy nawet niezliczone rysy demoralizacyi obywatelskiéj, których obficie dostarczyli nam owocześni i nowsi pisarze (poczynając od Matuszewicza, Kitowicza, Rulhière’a, a kończąc na Kalince, Kraszewskim i Roeplu). Powiemy tylko, że półwieku takiego życia podało Polskę w pośmiewisko u wszystkich narodów, że Polak za granicą wstydził się swego narodowego miana, że po śmierci Augusta III nikt z obcych nie zgłosił się o sponiewieraną koronę. Rywalizacya toczyła się tylko pomiędzy dwoma „Piastami“, Ogińskim i Poniatowskim. Zwyciężył ostatni, chociaż obaj zarówno zbliżeni byli „z familią.“

„Familia“, t. j. dwaj Czartoryscy powzięli nareszcie myśl zreformowania Rzpltéj na monarchią—typu francuskiego. Ów typ właśnie w tym czasie mógł jak najmniéj budzić sympatyi w Polsce, gdy w saméj Francyi splugawili go Regent i Ludwik XV, podważyli w posadach Wolter, Russo, Monteskijusz i encyklopedyści. Czuli może instynktowo ten brak efektu w pomyśle zasadniczym sami reformatorowie. Wprawili oni w ruch całą maszyneryą wpływów możnowładczych, rozrzucili szeroko sieć dyplomacyi, na jaką stać było polskiego magnata, i urzeczywistnili swój plan w drodze prawodawczéj na sejmie roku 1764. Następstwem bezpośredniém było straszne zaburzenie wewnętrzne, sejm r. 1768 i katastrofa polityczna—tak zwany piérwszy rozbiór Polski r. 1772—1775, a za błędy swojéj rachuby politycznéj zapłacił główny poromotor reformy, książe Michał Czartoryski, kanclerz W. Lit., podpisami na wszystkich aktach rozbioru.

Dotąd jesteśmy mniéj więcéj w zgodzie ze wszystkimi prawie historykami politycznymi i nie spodziewamy się opozycyi od kogokolwiek, co się tą ponurą epoką zajmował. Ale przeprowadzone obecnie badania ekonomiczne doprowadziły nas do wniosku i ośmieliły do twierdzenia, że w procesie rozkładowym okres 1764—1775 r. jest najniższym szczeblem, nadirem upadku, że tak zwany piérwszy rozbiór jest rzeczywistą datą upadku szlachecko-pańsko królewskiéj Rzeczypospolitéj, albo republikańskiego Królestwa Polskiego.

Po téj dacie wystąpi pokolenie z ideałami i dążeniami odmiennemi, nowemi. Stanie ono do walki z niezmiernemi trudnościami i w téj walce upadnie, wszakże ze stanowiska nawet po-

wszechno-historycznego nie tracimy prawa do zajęcia się niém i do badań nad jego losami.

W działalności wewnętrznéj, jaka się przed oczyma naszemi roztoczy, występować będą organa wytwarzającego się stopniowo rządu: Rady przy Boku J. K. Mci Nieustającéj utworzonéj w r. 1775, z jéj Departamentami, Komisyj Skarbu Koronnego i Policyi Obojga Narodów, oraz Komisyj Porządkowych Cywilno-Wojskowych, ustanowionych przez Sejm czteroletni.

II.

Zacznijmy swoje studya ekonomiczne od pytania: jaka była rozległość Polski po ukończeniu piérwszego rozbioru?

Odpowiedź nie jest tak łatwą, jakby się na pozór zdawało. Ani delegacya w roku 1773 do traktowania z posłami trzech mocarstw wysadzona, ani komisarze „do uczynienia granic" z temiż mocarstwami wyznaczeni nie wiedzieli dokładnie, ile ziemi i głów oddają. Chociaż bowiem Instrukcya rozgraniczenia wzmiankuje o mapie, w któréj pilnie rozpatrzéć się mają, to jednak niedokładności wysłowienia w traktatach rozbiorowych świadczą o brakach należytéj wiedzy geograficznéj (1). W drukowanéj r. 1773 Geografii Wyrwicza, dla szkół przeznaczonéj, nie znajdujemy téż ani rozległości, ani ludności Polski. To téż Pamiętnik Historyczny miał poniekąd prawo powiedziéć, że o rozległości pozostałego kraju upewniano się dopiéro z austryackich i pruskich pomiarów (2).

„Mapografia" Rastawieckiego wylicza mapy Sarmacyi i Polski od początku XVI wieku. Plany dóbr szlacheckich, duchownych, królewskich istniały zapewne w znacznéj liczbie, gdy w sprawach granicznych występowali „geometrowie" przysięgli, ale te dawne mapy i plany dóbr nie stanowiły mapy kraju trygonometryczno-astronomicznéj, któraby mogła dać podstawę do

---

(1) Vol. Leg. Wyd. Ohryzki 1860 tom VIII - Instrukcya punkt 5 tudzież ostatni o płacach str. 79 i 80, traktat z Austryą art. 2 „aż do Sandomierza i zbiegu Sanu, a ztamtąd prowadząc prostą linią od Fronepola, do Zamościa" (Fronepol, Franopol, Frampol jest między Wisłą i Zamościem—niewskazany więc kierunek pomiędzy ujściem Sanu a Franopolem); „aż do okolicy Zbaraża, ztamtąd prostą linią *nad* Dniestrem wzdłuż *małéj rzeczki* przerzynającéj małą część Podola nazwane Podgorze aż do zbiegu swego w Dniestr" str. 16 trakt. z Prusami art. 2 str. 3. trakt. z Rosyą art. 2, str. 25.

(2) Pamiętnik Hist. Polit. 1782 str. 214.

obliczenia powierzchni. O sporządzeniu dokładnéj mapy najpiérw pomyślił uczony książę Józef Aleksander Jabłonowski; wojewoda Nowogrodzki, hojny mecenas nauk. Już około roku 1750; przebiegał on różne części kraju z orszakiem biegłych „geografów“, robił pomiary, zdejmował rysunki i dostarczył „cennych rękopisów“ Rizzi Zannoniemu, geografowi króla Neapolitańskiego, który pod kierownictwem księcia ułożył wielką mapę, czyli raczéj atlas Polski. Praca ta, niewątpliwie poważna i piękna, ukończoną i wydaną została w r. 1772, „na podstawie mnóstwa pomiarów geometrycznych, obserwacyj i miar zdjętych na miejscu.“ Do niéj to zapewne odsélała Instrukcya Komisarzy rozgraniczających; pokazało się jednak późniéj, że od dokładności jest jeszcze daleką. Komisya Skarbu Koronnego miała więc wyznaczoną sumę 8000 złp. rocznie na sporządzenie map poprawnych; wspominana Instrukcya obowiązywała komisarzy robić „dobrą mapę granic“ na miejscu i w tym celu przydała im geometrów z płacą 3000 złp.; usiłowania te jednak pozostały zdaje się bezowocnemi. Nie napotkaliśmy żadnego śladu mapy polskiéj z okresu pierwszych rozbiorów. Czytałem pochwały o mapach prymasa Poniatowskiego, ale te obejmowały, zdaje się, tylko dyecezyą Płocką. W r. 1790 Jan Śniadecki i Feliks Radwański, jako profesorowie Akademii Krakowskiéj, oświadczają za pośrednictwem Tadeusza Czackiego gotowość swoję do zrobienia „mapy krajowéj“ i w memoryale swoim podają warunki, na jakich mogliby się podjąć téj pracy na zasadach ściśle naukowych (1), ale do wykonania projektu nie przyszło.

W obec takiego stanu kwestyi technicznéj nie dziw, że owocześni publicyści i mężowie stanu, a nawet późniejsi uczeni tworzyli mniéj więcéj błędne pojęcia o rozległości Polski.

Podług map dawnych, rozległość kraju po pierwszym rozbiorze obliczaną była w cyfrach następujących:

Wszystkie Województwa i Ziemie	
Prowincyi Wielkopolskiéj . . .	1446 mil kwadr,
„ Małopolskiéj	3896
„ W. X. Litewskiego .	4288
Summa Generalna trzech prowincyj	9630.

(1) Memoryał wydrukowany w Mapografii Rastawieckiego na str. 69. W témże dziele są wymienione mapy cudzoziemców, jedna z nich (Nr. 158) wydaną została na skutek uchwały Parlamentu Angielskiego w 1784 zresztą zapewne nieszczegółowa, bo na jednym arkuszu.

Są to cyfry wyjęte ze szczegółowéj Tabelli Moszyńskiego, sporządzonéj w r. 1790. Sam autor jednakże w „Objaśnieniu i Explikacyi Tabell“ (w punkcie 6) zastrzega, że „dla niedoskonałości map Polskich, z których tenże rachunek robiony, zawsze téż same znajdują się niepewności tychże mil kwadratowych“. Pozycye szczegółowe co do każdego województwa, oraz sumy ogólne powtórzył Lelewel w swojéj „Geografii,“ uzupełniając je rozległością krajów odpadłych (3925 mil mianowicie: do Prus 629, do Austryi 1710, do Rosyi 1586); tym sposobem otrzymał sumę 14064 mil kwadratowych na przedrozbiorowe terytoryum całéj Rzeczypospolitéj w r. 1764 Cyfry prowincyj odciętych rozbiorem powtórzył téż bez zmiany p. J. Szujski w swoich „Dziejach Polski“.

Pamiętnik Historyczno-Polityczny po dwakroć kusił się o wyrachowanie rozległości kraju po r. 1775, ale zawsze nieudatnie: podaje dział austryacki w r. 1782 na 2700 (zamiast 1710), a pozostałe przy Polsce terytoryum na 15300 mil kw. (chyba nie geograficznych, ani nawet polskich); zaś w r. 1791 „podług najlepszych map“ oblicza części odcięte na 3350, a pozostałość na 10050 mil kw.

Czacki rachuje podług mapy Foliniego w granicach przedrozbiorowych

na Wielkopolskę	3290
„ Małopolskę	8054
„ W. X. Litewskie	9990
Razem . .	21334 mil kw.,

ale „rachując po 20 na gradus.“ Wyniesie to na mile geograficzne 16002,$_{63}$.

Nareszcie w „Przeglądzie Dziejów Polskich“ rozległość w r. 1792 wykazaną jest na 9200 mil kw. (1).

Wątpliwości te i sprzeczności możemy obecnie rozstrzygnąć z zupełną prawie dokładnością, posługując się wypadkami dokonanych już wszędzie ścisłych pomiarów, podanemi w statystykach urzędowych.

Rozległość Rzeczypospolitéj w r. 1779, to jest przed rozbiorem, ale po zajęciu Spiza przez Austryaków, może być złożona z cyfr:

---

(1) Lelewel, Polska, Dzieje i Rzeczy jéj T. I, str. 218—9. Pam. H.-P. 1782 str. 214 i 1791 str. 612. Czacki—Dzieła wyd. Raczyńskiego T. III, Statystyka, str. 2

1)	9-ciu gubernij Zachodnich Cesarstwa Rosyjskiego . .	8559,$_{08}$
2)	10-ciu gubernij Królestwa Polskiego	2312,$_{19}$
3)	Galicyi z Krakowem	1416,$_{60}$
4)	W. X. Poznańskiego (Provinz Posen)	532,$_{04}$
5)	Części prowincyi Pruss (Provinz Preussen), a mianowicie: *a)* Regencyi Gdańskiéj bez Elbląga (R.-B. Danzig). *b)* Powiatów: Braunsberg, Heilsberg, Rössel z Biskupcem (Bischofsburg) i Allenstein (Olsztynek), stanowiących Warmią i wchodzących w skład Regencyi Królewieckiéj (R.-B. Königsberg). *c)* Regencyi Kwidzyńskiéj (R.-B. Marienwerder) bez powiatu tegoż imienia	514,$_{77}$
	Łącznie mil kwadr. . . .	13335,$_{28}$
	Odciągnąwszy od téj sumy m. Kijów z obwodem .	35,$_{23}$
	Otrzymamy na rozległość Polski w r. 1772 . . .	13300,$_{05}$

Niedokładność mała może się znaleść tylko w odejmowanéj cyfrze obwodu Kijowskiego, ponieważ ta nie daje się wydzielić w nowych wykazach statystycznych z rozległości dzisiejszych powiatów, Kijowskiego i Wasilkowskiego, nie daje się téż wynaleść na nowych mapach specyalnych i obliczoną została na podstawie granicy oznaczonéj na mapie arkuszowéj p. Topolnickiego, wydanéj we Lwowie 1864 r. Chcąc otrzymać rozległość Polski w r. 1769 trzebaby doliczyć Starostwo czyli Hrabstwo Spiskie, podawane na 10 mil kw., ale i ta cyfra nie daje się sprawdzić przez wykazy statystyczne, w których figuruje cały komitat Spiski w cyfrze 66,$_{04}$ mil kwadr. (1).

Obliczenie powierzchni Polski w okresie 1776—1793 przedstawia większe trudności skutkiem kilkakrotnéj zmiany granic przed kongresem Wiedeńskim. Traktaty nie dostarczają żadnych cyfr,

(1) Nowe cyfry są czerpane z następnych publikacyj: Исчисление поверхности Россiйской Имперiи въ царствованiе Императора Александра II произвелъ Генер.. Штаба Полк. И. Стрѣльбицкiй. Спб. 1874. Załęski W. Statystyka Porównawcza Królestwa Polsk. Warsz. 1876. Statistisches Jahrbuch für das Jahr 1874 v. k.k. Central-Commission. Wien. Jahrbuch für die amtliche Statistik des preussischen Staats herausgegeben vom König. Statistischen Bureau IV Jahrg, 1-e Hälfte. Berlin 1876 (Engel).

ponieważ wskazują tylko główny kierunek linii granicznéj, a przytém wiadomo, że przy rozgraniczeniu Fryderyk II. i komisya austryacka zajęły więcéj niż traktaty 1775 zakréśliły.

Co do zaboru Fryderyka, który do powiatów obecnie nazywanych Flatau (Złotów) i Deutsch Krone (Wałcz) przybrał sobie na drugim brzegu Noteci całą prawie dzisiejszą Regencyą Bydgoską (prócz Gniezna i Wągrowca) — rzecz wyjaśnia się przez mapę urzędową prowincyi Pruskiéj i obwodu Noteci (Netz District) z 25 sekcyj złożoną a w latach 1796—1805 wykonaną. Zdaje się, że to jest piérwsza dokładna mapa tych prowincyj, bo i pocóżby ją robiono, gdyby Fryderyk II posiadał podobnie dokładną. Na téj mapie znajduje się Tablica statystyczno-topograficzna na r. 1800, która podaje rozległość obwodu Noteci na $220,_{216}$ mil kwadr. na wszystkie cztery okręgi landrackie (der Brombergsche, Inowraclawsche, Camminsche, Cronsche Creise). Porównywając je atoli z nowemi cyframi według dzisiejszych podziałów, wypadnie powiększyć rozległość powyższą do $232,_{62}$ mil kw. jeśli nie zachodziły jakieś drobne zmiany w granicach powiatów, nieznane mi. Z téj przestrzeni jednak dwa powiaty prawego brzegu Noteci $66,_{96}$ mil kw. przypadały Fryderykowi podług traktatu 1775 r.; zabór więc jego, ulegalizowany chyba tylko szyderczą odpowiedzią posła jego Benoit'a na reklamacye polskie: vana sine viribus ira — wynosił $165,_{66}$ m. kw., podług cyfr nowych.

Granica austryacka nie poszła też w liniach prostych, jak wskazywał traktat, lecz wysunęła się daleko na północ aż pod Dubienkę, zapewne przez kompensatę niewielkiéj anklawy Biłgorajskiéj, pozostawionéj przy Polsce. Tym sposobem Galicya owoczesna większą była od Galicyi dzisiejszéj o znaczną część gubernii Lubelskiéj (dzisiejsze powiaty: Tomaszowski i Hrubieszowski z częściami Biłgorajskiego, Zamojskiego i Krasnostawskiego). Cała ta część tworzyła okrąg Zamojski (Zamoscer Kreis). Znajduje się on na mapie bardzo starannie metodą astronomiczno-trygonometryczną wykonanéj na rozkaz Maryi Teressy i Józefa II, a więc zapewne zaraz po rozgraniczeniu, przed r. 1780, kiedy Marya Teressa umarła. Sprawdziwszy granicę południową z r. 1815 podług nowéj mapy rosyjskiéj Generalnego Sztabu, uprosiliśmy Inżyniera p. Józefa Limanowskiego o wymierzenie powierzchni tego okręgu Zamojskiego i otrzymaliśmy od niego cyfrę $96,_{68}$ mil kwadr. austryackich, czyli $101,_{19}$ mil kw. geograficznych, która bliską jest cyfr rozległości pomienionych powiatów dzisiejszéj gubernii Lubelskiéj. Może w niéj tkwić pewna niedokładność, ponieważ oblicze-

nie wykonaném zostało podług mapy wprawdzie urzędowéj i starannie robionéj, ale z XVIII wieku pochodzącéj (1).

Możemy więc już złożyć rozległość Polski z lat 1776—1792 w sposób następujący:

1)	7 gubernij Zachodnich Cesarstwa Rosyjskiego (bez Mohylewskiéj i Witebskiéj)	$6866_{,86}$
2)	10 gubernij Królestwa Polskiego	$2312_{,19}$
3)	Regencya Poznańska oraz dzisiejsze powiaty Gnieźnieński i Wągrowiecki z Regencyi Bydgoskiéj	$366_{,38}$
4)	M. Gdańsk z obwodem (Toruń zaś nie jest oznaczony)	$20_{,04}$
5)	M. Kraków z okolicą	$9_{,04}$
		$9574_{,51}$
	Z tego strącić należy:	
1)	Okrąg Zamojski do Austryi podówczas wcielony . .	$101_{,19}$
2)	M. Kijów z obwodem	$35_{,23}$
	Pozostaje . . .	$9438_{,09}$

mil kwadratowych geograficznych.

Cyfra ta różni się od wszystkich poprzednio przytoczonych po części skutkiem zamiany mil polskich i austryackich na geograficzne, a po części skutkiem osiągniętéj przez nowe pomiary większéj dokładności.

Wypadnie więc sprostować powtarzane przez historyków naszych cyfry zabranych w roku 1775 części w ten sposób:

Dział rosyjski . .	$1692_{,82}$	mil kw. geogr.	
„ austryacki .	$1508_{,75}$	„	oprócz Spiża.
„ pruski . . .	$660_{,39}$	„	
Razem . .	$3861_{,96}$		

W końcu do obu cyfr rozległości Polski tak przed, jako też po r. 1775 można doliczyć jeszcze księstwo lenne, Kurlandyą, któréj powierzchnia oznacza się teraz na $495_{,34}$ mil kw.

---

(1) Regna Galiciae et Lodomeriae Josephi II et Magnae Theresiae Augg. iussu methodo astronomico trigonometrica nec non Bukowina geometrice dimensa curante Josepho Liesganig Astronomo S. C. M. Consil. Gubern. et Supremo rerum architectonicarum per regna Galiciae Praefecto; skala 1 mila austryacka w calu. Znajduje się w bibliotece hr. Ord. Krasińskiego. Karte von Ostpreussen nebst dem Nedzdistricte aufgenommen unter der Leitung des K. Pr. Stratsminister Freyherrn von Schoetter in den Jahren 1796—1802 w Bibliotece Publ. Ces. Warszaw. Uniw.

Tak więc, po pierwszym rozbiorze, Polska posiadała terytoryum wyrównywające prawie powierzchni Francyi. Ale pod względem cech geograficznych wielka zachodziła różnica. Po utracie Galicyi, tylko województwa Podolskie, Kijowskie i część Wołyńskiego mogły przewyższyć urodzajność gleby francuskiéj; reszta zaś Małopolski, oraz cała Wielkopolska i Litwa nie dorównywały jéj. Nie miała Polska odnogi Lijońskiéj i oceanu przy brzegach; z trudnością ocaliła Gdańsk i spław na Wiśle, a i tu komora pruska Fordon zatrzymywała statki polskie, gnębiła towar cłem wysokiém i szykanami biurokratycznemi. Niemen wpadał do pruskiego hafu. Dźwina należała tylko do połowy, a wolna żegluga na niéj utrzymywała się tylko za zgodą Rossyi; rzeki południowe płynęły téż ku obcym krajom: pierwéj Tatarskim, a potém Rosyjskim. Utraciła nareszcie Polska Karpaty, Bochnią i Wieliczkę z ich niezbędnemi kopalniami soli.

III.

Ludność nie da się obliczyć z taką dokładnością, jak powierzchnia, która pozostaje ilością stałą. Cyfry ludności są przeciwnie bardzo ruchliwe i liczba głów, obecnie zamieszkujących przestrzeń przedrozbiorowéj Rzeczypospolitéj, obliczona podług powyższych źródeł i pozycyj na 26902000 głów nie może być przeniesioną na rok 1772, ani na r. 1764.

Nie przyszła żadnemu z królów polskich myśl policzenia narodu swojego dla dowiedzenia się np. liczebnéj siły sekt religijnych, jak Wilhelmowi III w Anglii w końcu XVII wieku. Upadek oświaty w Polsce za czasów bezrządu sprawił, żeśmy nie mieli uczonych pisarzy, którzyby korzystali z przykładu uczonych angielskich, francuskich i t. p., uprawiających już od końca XVII wieku „arytmetykę polityczną.“ Prac Łojki nie znamy, ale pośrednio niezbyt wysokie o ich rezultacie w zakresie statystyki powzięliśmy wyobrażenie, ponieważ mógł z nich korzystać Czacki, a jednak niewiele się dowiedział.

Sprawa informacyj statystycznych w Polsce, o ile z Voluminów Legum i z oglądania tabel, taryf, lustracyj wyrozumiéć mogliśmy, przedstawia się w takiéj postaci: do pobierania podatków stałych potrzebne były wykazy, które ostatecznie koncentrowały się w ustanowionych r. 1764 Komisyach Skarbu koronnego i litewskiego. Sposób tworzenia tych wykazów, czyli „ordynacye“ podatków podymnego, pogłównego żydowskiego etc., sposób lustrowania intrat skarbowych określony

był dokładniéj dopiéro na Sejmach r. 1764 i 1768, potém roku 1775 i 1776. We wsiach „posesor lub ekonom z dwoma kmieciami,“ a gdzie sama szlachta osiadła, dwaj z téj szlachty, w miastach i miasteczkach magistraty składały spis, regestry *dymów*, przed komisarzem skarbowym, lustratorem, lub komisyą ziemiańską. Rzetelność wyznania była zaprzysięganą przed temiż urzędami lub w Grodzie, zawsze jednak w obecności delegata od skarbu. Za niedopełnienie tego warunku, a nawet za spóźnienie „abjuraty“ prawo groziło karami dochodzącemi aż do 12 niedziel wieży i 3000 grzywien. Następnie regestra musiały być wpisane do akt grodzkich (oblatowane) i w kopiach przesłane komisyom skarbowym. Wszakże exaktor skarbowy obowiązany był sprawdzać regestra i podawać opuszczone dymy lub całe wioski. Tym sposobem tworzyły się tabele dymów z powiatów i ziem, grube foliały rękopiśmienne. Z takiego materyału władze skarbowe, mianowicie Exakcye (odpowiadające dzisiejszym Izbom skarbowym), układały taryfę na drukowanych (przynajmniéj od r. 1775) blankietach z rubrykami: „Numer kwitu, Nazwiska miast, miasteczek i wsiów, dymy miasteczek à flor. 4, dymy wiejskie 1-éj klasy à flor 7, 2-éj à flor. 5, suma podymnego na dwie Rathy w złotych, na jednę rathę (złote, grosze).“ Do innych opłat blankiety naturalnie modyfikowały się odpowiednio do przepisu prawa. Egzemplarze takich taryf były téż oblatowane w księgach grodzkich i przesyłane do Komisyi Skarbu koronnego lub W. Ks. Litewskiego.

Oto jest główny materyał statystyczny. Spis „głów“ był potrzebnym tylko dla pobierania podatku pogłównego od żydów i to dopiéro od r. 1764, dawniéj bowiem żydzi płacili sumę stałą (220000 podług konst. r. 1717). Popis nakazany był starostom i dziedzicom w przytomności jednego katolika szlachcica i trzech lub dwóch żydów. Znajdujemy téż „Lustratorów głów żydowskich,“ którym w rachunkach generalnych, przez komisye skarbowe sejmom składanych, znajdujemy wypłacone wynagrodzenia pieniężne czasem w skromnéj sumie 300 złp., ale spisy tego rodzaju właśnie jak najmniéj na wiarę zasługują, ponieważ żydzi posiadali szczególny talent do ukrywania głów swoich od podatku. Tak np. w r. 1784 z pobranego od nich pogłównego wypada, że podówczas w całém Królestwie mieszkało ich niespełna 200000 (1).

---

(1) Mowa Sułkowskiego, W-dy Poznańskiego, komisarza sejmowego do sprawdzenia rachunków komisyj skarbowych z okresu 1782—1784. „Że zaś takowy porachunek jest widocznie fałszywy, przypisać to należy i chytrości tego ludu i niedokładności, aby gorzéj nie myśléć, lustratorów“ Pam. Hist. 1784, str. 1032.

Co do ludności chrześciańskiéj skarb nie miał interesu w rachowaniu głów, ponieważ opłatom stałym podlegały tylko łany, włóki i kominy. Władze wojskowe téż nie troszczyły się o nią, ponieważ w maluczkiéj armii gemejni kompletowali się przez werbunek, ale jeszcze w r. 1775 „wolny bęben" pozwolony był tylko w miastach królewskich, duchownych i dziedzicznych, „excypując wsie dziedziczne, w których ani bęben, ani żaden werbunek nie pozwala się" (1). Po cóż więc miał pozwalać szlachcic, żeby mu chłopów rachowano? Ma się rozumiéć, że szlachta nie mogła być spisywaną, boć osobistych podatków nie płaciła, fundując się na średniowieczném pojęciu wolności, na przywileju Koszyckim, a do służby wojskowéj wystarczali ochotnicy. Duchowieństwo podzielało przywileje szlachty.

Dopiéro sejm czteroletni, nakazując reformę wojskową i przyjmując prawem z 7 Grudnia r. 1789 system rekrutowania, potrzebował spisów ludności. Spis wykonany został przez Komisye wojewódzkie Dziesiątego Grosza w r. 1789, ale tylko co do chłopów i mieszczan. W „Tabeli Ludności Chrześciańskiéj W-ództwa Podlaskiego Ziemi Drochickiéj z dóbr ziemskich, duchownych i królewskich po miastach i wsiach znajdującéj się, w czasie Komisyi Wojewódzkiéj podanéj, r. 1789 ułożonéj, znaleźliśmy takie rubryki: 1) parafia i wsie; 2) chłopi: a) mężczyzni, b) białogłowy, c) dzieci ich z poddziałami na synów do lat 15 i od lat 15, oraz na córki, d) oguł)sic) dusz męskich, e) oguł dusz białogłowskich, f) oguł dusz wszystkich."

Jednocześnie uformowane były nowe tabele i taryfy dymów, poprzednie bowiem, pochodzące z r. 1774 i 1776, zapewne gwałtownie potrzebowały przeróbki (chociaż poprawki robiły się nieustannie w komisyach skarbowych na skutek podawanych żądań i reklamacyj).

Przy takim stanie materyału statystycznego nie dziw, że niewiadomość co do cyfr była powszechną. A jednak publicyści już się tą sprawą bardzo interesowali. Żeby lada jakie powziąść wyobrażenie, Pamiętnik Hist. Polit. musiał układać „polityczne obrachowanie tyczące się kraju naszego" na podstawie popisu, dokonanego w Galicyi w r. 1774 i 1776. Przyjmując proporcyą ludności krajów pozostałych do galicyjskiéj, jak 4:1, autor mnoży cyfrę 2126000 przez 4 i otrzymuje przypuszczalną ludność Polski owoczesnéj: 8504000. W r. 1785 jakiś obywatel z Galicyi, „któremu

---

(1) Vol. Leg. VIII, 1775 f. 154, str. 100 tit. Karność Wojskowa.

z urzędu stan Galicyi jest dobrze wiadomy“, prostuje ten rachunek, powiększając cyfrę ludności do 3-ch a Polski do 11—12 milionów. W innêm znów miejscu znajdujemy na tenże rok ludność Galicyi w cyfrze 2180000, części pruskiéj 750000 i rosyjskiéj 2100000 dusz. Jeszcze w r. 1792 na równie wątłych podstawach Pamiętnik oświadcza się za cyfrą 9-cio-milionową dla Polski, chociaż przytacza i cyfrę 6-milionów jako najmniejszą z podawanych „na domysł.“ Na 6 milionów rachuje też Staszic. Najbystrzejszy z korespondentów Dziennika Handlowego „Sandomierzanin“ przyjmuje za podstawę swego rozumowania finansowego, że ludność Polski wynosi do 12 milionów, a Czacki, który przecię tak długo urzędował w komisyi skarbu koronnego, obliczył (już po r. 1809, zatém bez źródeł urzędowych) ludność całéj Rzeczypospolitéj przedrozbiorowéj na 16 milionów. Cyfra ta nie posiada zgoła żadnéj wartości naukowéj, składa się bowiem z nader różnorodnych danych: 1) z popisu Galicyi r. 1774 (bodaj mylnie nawet podanego: 2655893); 2) z cyfr Księstwa Warszawskiego r. 1807 i 1809; 3) z ludności prowincyj do Rossyi przyłączonych niewiadoméj daty i 4) z domniemanéj cyfry ludności do Pruss przydzielonéj (1).

Pierwsze, o ile mi wiadomo, zasadne obliczenie ludności w granicach porozbiorowych wykonał Adam Moszyński, poseł na sejm czteroletni, sekretarz W. Ks. Lit., członek deputacyi do porównania ofiary i podatków, czyli tak zwanéj komisyi koekwacyjnéj. Jako osoba, charakterem urzędowym obleczona, mógł Moszyński rozrządzać wszystkiemi potrzebnemi aktami komisyi skarbowéj, oraz wskazówkami „oficyalistów,“ czyli kancelaryi. Ułożył też rubrykę ludności w swojéj Tabeli podług taryf spisu r. 1789 dla całéj Korony prócz trzech powiatów Ciechanowskiego, Łuckiego i Bracławskiego, z któryeh taryfy nadesłane nie były. Ludność więc tych powiatów, oraz całéj prowincyi W. Ks. Litewskiego, która podobnież taryf nie nadesłała, jest obliczona podług cyfry dymów, mnożąc ją przez 6, jako średnią ilość dusz na dym. Tym sposobem Moszyński wynalazł kompletny szereg cyfr, województwami i ziemiami uporządkowanych, z którego wyciągnął sumy następujące:

Wszystkie Województwa i Ziemie:

Prowincyi Wielkopolskiéj	1538757
„ Małopolskiéj	3778010
„ W. Ks. Litewskiego . . .	2344020
Suma generalna 3-ch prowincyj . . .	7660787

(1) Pam. H.-Pol. 1782 str. 214, 1785 str. 2042 i 1056, 1792 str. 615. Staszic—

Nareszcie obliczenie ludności w pozycyach szczegółowych województwami i w dwóch sumach ogólnych: na r. 1791 i 1764 znajdujemy u Lelewela w jego Geografii (Polska etc. I, 218). Po bliższém atoli rozpatrzeniu przekonaliśmy się, że tu są powtórzone cyfry Moszyńskiego z doliczeniem miast Gdańska i Torunia w ilości 91799 głów. Jestto dodatek wątpliwéj wartości, ponieważ te miasta zostawały podówczas tylko w nominalnéj zależności i nawet małego podatku rocznego od r. 1768 nie chciały płacić. Zresztą ludność ich już nie z tabel polskich 1789 jest brana. Przez ten dodatek wszakże Lelewel powiększył cyfrę ludności r. 1789 do 7752586 dusz. Następnie Lelewel dolicza 860000 z dzielnicy pruskiéj, 2580796 z austryackiéj i 1206618 z dzielnicy rosyjskiéj, oraz 580000 w hołdownéj Kurlandyi; otrzymawszy tym sposobem 12980000, zapisuje tę cyfrę jako ludność Polski r. 1764. Wady téj cyfry są bardzo ważne: pomijając niepewność co do dat, z których brane są cyfry dodatkowe, widzimy że Lelewel spuścił z uwagi zasady rachuby statystycznéj, jeśli przeniósł cyfrę ludności o 25 lat wstecz bez uwzględnienia warunków przyrostu. Wypada więc odrzucić dodatek Lelewelowski i trzymać się tylko cyfr Moszyńskiego, jako podstawowych.

Niestety! i te cyfry dokładnemi nazwać się nie mogą. „Ludność z Komisyów 10-go grosza ukazana, jest tak niedokładna, że nikt jéj wierzyć nie może... i wstyd tylko narodowi przynosząca, że w tak obszernym kraju tak mała ludność“ woła redaktor Dziennika Handlowego. Na całą pracę popisową r. 1789 zaszły zażalenia, reklamacye—naturalnie nie o wykazy ludności, tylko o taryfy ze względu na niesłuszny rozkład podatków. Pod wpływem tych zażaleń, sejm wyznaczył wspomnianą już Deputacyą Koekwacyjną i nakazał nową Lustracyą na rok 1790. Szło tu głównie o dymy i intraty, wszakże Deputacya owa okólnikiem z d. 13 Marca r. 1790, zażądała od wszystkich Kancelaryj w Koronie i W. X. Litewskiém nadesłania w ciągu 8-u tygodni wszelkich akt, potrzebnych do oznaczenia ceny dóbr, oraz taryf dymów i ludności. Komisye skarbowe rozesłały nowe schematy z rubrykami: „Dymy podług wyznań r. 1789, Dymy z lustracyi 1790, więcéj nad wyznanie 1789, mniéj nad lustracyą 1790, plus dla skarbu za rat..., magazynowe z dymu à fl. 1, minus dla obywatela za rat..“

Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego. Wyd. Turowskiego str. 133. Dzien. Handl. 1787 str. 238, Czacki Dzieła III, str. 3 i 4.

Czynność ta powierzoną była świeżo ustanowionym (d. 15 Grudnia r. 1789). Komisyom Porządkowym Cywilno-Wojskowym, które zresztą z innych względów ustawą swoją organiczną obowiązane były utrzymywać porządne księgi ludności na podstawie składanych im metryk urodzenia, ślubów i śmierci podług drukowanych schematów, a następnie co roku przeséłać do Komisyi Skarbowo-Ekonomicznéj, która miała uformować wykaz ogólny ludności kraju dla złożenia sejmowi.

Teraz dopiéro można się było spodziewać, że Polska będzie posiadała rzetelne cyfry ludności. I nadzieja ta ziściłaby się zapewne, gdyby Komisye Porządkowe i urządzenia sejmu czteroletniego dłużéj przetrwały. Ale bieg wypadków stanął na przeszkodzie. O komisyach Litewskich dowiadujemy się z Pamiętnika Polit. Hist., że popisu nie ukończyły; co do Komisyj zaś Koronnych zdołaliśmy wynaléść między „Rezolucyami Komisyi Skarbu Kor. na noty Komisyów Porządkowych Cyw.-Wojsk. z r. 1790“ ślad co do niektórych tylko Komisyj, że przesłały tabele dymów dodatkowe, które „przed Komisyą Ziemiańską zaprzysiężone zostały, i w taryfie nie są umieszczone.“ (1) Nie możemy więc jasnego powziąść wyobrażenia o skutkach zarządzonéj na nowo i na nowych podstawach czynności popisowéj; częściowe jednak poprawki udało się nam osiągnąć za pomocą „Protokółu Adnotacyów z Lustracyi r. 1790.“ W protokóle tym znajdują się dwie serye poprawek: jedna przez „oficyalistów“, przygotowywana zapewne do referatu, druga ułożona już do taryf podatkowych zapewne na podstawie decyzyj. Pierwsza jest kompletniéjsza, ale nie wszystkie dane są podsumowane. Podjęliśmy się odrobić zaniedbaną przez kancelistę czynność i zrachowaliśmy zaznaczone w adnotacyach dymy; opuściliśmy jednak dużo miasteczek, w których liczba dymów wyrażoną nie była. Ułożywszy tedy przybywające i ubyłe od r. 1789 dymy z obu seryj, otrzymaliśmy taki wypadek: ubyło podług 1-széj seryi 872, podług 2-éj 1531; przybyło zaś podług 1-széj seryi 11472 dymów, podług 2-éj 1903.

Z tych cyfr do rachunku bierzemy trzecią 11472, jaką najbliższą do rzeczywiście istniejącéj liczby dymów; w seryi drugiéj bowiem figurują tylko dymy zakwalifikowane do podatku. Ubyłe zaś dla cyfry ludności nie mają znaczenia; wykreślano je z taryf dla tego, że domostwo zgorzało lub innéj jakiejś przygodzie uległo; ludzie przecięż nie ginęli razem z kominem.

---

(1) np. odpowiedź 66, na posiedzeniu 4 Maja r. 1790.

Dochodząc cyfry ludności z liczby dymów, Moszyński przyjął za stopę 6 dusz na dym. Jakkolwiek do jego tabel stopa ta nieźle przypada, trudno jednak oprzéć się podejrzeniu, że może być ona chyba minimalną. Boć dym nie znaczy komina, tylko osadę, dwór, plebanią „w jednym zabudowane okręgu.“ Tym sposobem klasztory po wsiach, kanonie, szpitale wiejskie rachowane były za jeden dym, tylko klasztory i kanonie po miastach, karczmy i gorzelnie dworskie rachowano „w ilości dymów, jaka jest.“ Nawet domy miejskie „jeśli kominy były połączone pod dachem“ rachowane były za jeden dym (ztąd zapewne pochodził zwyczaj wyprowadzania po nad dach bardzo szerokich kominów, jakie na starych domach widzimy). Na chałupę chłopską 6 dusz może stanowić cyfrę prawie stosowną, nieco zawielką może, ale czyż ta przewyżka może zrównoważyć różnicę stopy z ludnością dworów, klasztorów, kanonij? W braku jednak danych do wynalezienia innéj, utrzymujemy tę samę stopę. Mnożąc tedy wykryte i objaśnione powyżéj 11472 dymów przez 6, otrzymamy 68832 dusz przybyłych z lustracyi r. 1790 na prowincye Koronne: Wielkopolskę i Małopolskę. A i ta cyfra nie jest jeszcze kompletną, gdyż z liczby 33-ch exakcyj koronnych siedm nie nadesłały wcale poprawek (mianowicie; exakcye Kalisz, Drohiczyn, Radom, Łuck, Chęciny, Łuków, Ciechanów). Nie policzyliśmy nadto wielu „nowych“ miasteczek, w których dymy wykazane nie były, zapewne z powodu przysługującéj im wolności od podatków w ciągu prawem oznaczonych terminów. Z tych przeto względów nie wahamy się podnieść powyżéj obliczoną cyfrę do 100000 dusz na Koronę.

Fakt podobny niedokładności taryf niewątpliwie miał miejsce i w W. X. Litewskiém, zapewne na większą nawet skalę. Jeśli bowiem spisy z r. 1789 nie nadeszły, to rachuba Moszyńskiego musiała być opartą na taryfach r. 1776, jak to mieliśmy sposobność widzieć na taryfach województwa Bracławskiego. Żeby jednak nie zejść z podstawy naszych obliczeń, utrzymujemy się w granicach rachunku Moszyńskiego i do ludności Litewskiéj, która stanowi 0,44 koronnéj, doliczymy tylko 44000 dusz.

Dodając tym sposobem do podanéj przez Moszyńskiego ogólnéj summy ludności wszystkich trzech prowincyj 144000, otrzymamy cyfrę:

7804787 na rok 1791.

Zdaniem naszém jestto cyfra minimalna, a przytém prawie ludność plebejuszowską: chłopów, mieszczan i żydów obejmująca.

Pozostaje nam jeszcze wielka, ważna, najważniejsza, ale i najbardziéj zagadkowa pozycya—szlachta i duchowieństwo. Uprzedzamy z góry, że cyfry mniéj więcéj ulegalizowanéj, urzędowéj na rok 1791 nie mogliśmy wynaléść ani w swoich, ani w obcych zródłach i że o możności wynalezienia jéj zwątpiliśmy. W Polsce szlachta i duchowieństwo spisywanemi nie były dla celów skarbowych, ponieważ oba te stany podatków osobistych nie płaciły. O liczbie właścicieli ziemskich czyli posesyonatów można jeszcze wnioskować z ilości wsi podanych przez Moszyńskiego na 24919 w Koronie. Giżycki twierdzi, że „w r. 1788, było właścicielów ziemskich wpisanych do ksiąg w Koronie 38314"; szkoda tylko że nie wymienia źródła, skąd, zaczerpnął tę cyfrę. (1) Ale któż policzy nie posesyonatów, drobną szlachtę wielkopolską, podlaską, zaścianki litewskie, osady na Rusi i na krésach ukraińskich, o ile te głowy szlacheckie, nie weszły w rachubę dymów? Broszura Les paradoxes 1775, powoływana przez J. J. Kraszewskiego, (I, 150), liczy téj drobnéj szlachty aż 1300000. Co do duchowieństwa, Lelewel podaje kościołow parafialnych w Rzpltéj przedrozbiorowéj: obrządku łacińskiego arcybiskupstwa 2, katedr biskupich 14, parafij 4570, kolegiat 39, klasztorów 674, zgromadzeń zakonnych 211, opactw 64; grecko-unickiego: biskupów 9, parafij 9000, opactw 16, klasztorów Bazylijańskich 110; ormiańskich kościołów 16; nie wymienia zaś hierarchii obrządku grecko-wschodniego. Ile zaś osób pełnilo posługi duchowne w tych wszystkich instytucyach ku końcowi XVIII w.? nie wiemy. Wspomniana broszura: Les paradoxes podaje, podobno na podstawie raportu nuncyusza, liczbę duchowieństwa zapewne wszystkich wyznań na 600000, ale ta cyfra stosuje się do granic przedrozbiorowych, a i tak jeszcze jest niezrozumiałą.

W braku danych z owéj epoki musimy szukać jakichś cyfr przypuszczalnych przez kombinowanie danych późniejszych lub domysłów spółczesnych.

Zaznaczmy nasamprzód, że Pamiętnik Historyczno-Polityczny (2) rachuje na domysł szlachty, duchowieństwa i „wojska" w Koronie 300000. Biorąc z tego 0,44 na Litwę, według powyżéj usprawiedliwionego stosunku, czyli 142000 głów, otrzymamy na wszystkie trzy prowincye w granicach roku 1775 osób 442000, a że wojsko

---

(1) Wiadomość o stanie handlu i przemysłu w Polsce etc. przez autora pism: o przyozdobieniu siedlisk wiejskich etc. (Franciszka Xawerego Giżyckiego). Stanisławów 1846.

(2) Rok 1791 str. 244.

w owym czasie liczyło 50000 głów, podług p. J. Szujskiego (1), więc na szlachtę i duchowieństwo całego kraju pozostanie 392000 osób. Dodać winniśmy uwagę, że autor oznaczył tę cyfrę przy obliczaniu ludności ogólnéj kraju niby „podług Lustracyi Komisyj Wojewódzkich r. 1790“, ale w istocie podług tabell 1789, przesłanych mu z grubym fałszem co do trzech najludniejszych województw; skutkiem tego błędu suma ludności wypadła dużo mniejsza niż w tabelach Moszyńskiego, bo na 4211797. Ta przypadkowa niefortunna okoliczność mogła wpłynąć na autora i zniewolić go do zmniejszenia cyfr szlachty i duchowieństwa przy kombinacyi, opartéj zapewne na przypuszczalnych stosunkach.

Dziś, czyli raczéj podług wykazów statystycznych roku 1875 (2), szlachta tak zwana dziedziczna i osobista wraz z urzędnikami, oraz duchowieństwo wszelkich obrządków obojga płci figuruje w cyfrach następujących:

		Szlachty dziedzicznéj i osobistéj wraz z urzędnikami	Duchowieństwa obojga płci
1.	Gubernie: Wileńska, Grodzieńska, Mińska i Kowieńska	173620	15182
2.	„ Wołyńska, Podolska i Kijowska . . .	82889	57260
3.	„ Królestwo Polskie .	103244	6702
	Razem	359753	79144

Oba zaś stany liczą razem 438897.

Pozycye zaś 2 i 3 połączone i zajmujące obszar całéj prawie Korony w granicach r. 1775 dają cyfrę 250095. Żeby ją uregulować należycie trzebaby potrącić z niéj południowe powiaty gubernii Lubelskiéj na Okrąg Zamojski do Austryi podówczas należący, a dodać cyfry z Regencyi Poznańskiéj, oraz dwóch powiatów regencyi Bydgoskiéj. Ale poprawki téj zrobić niepodobna, ponieważ statystyka pruska, również jak i austryacka nie obejmują teraz rubryki na szlachtę.

Podług zasad rachuby statystycznéj, żeby z cyfr dzisiejszych wyciągnąć przypuszczalną cyfrę na rok 1791, a przynajmniéj na

(1) Dzieje Polski IV, 662.

(2) Статистическій Временникъ 1875 стр. 22, Załęski--Statyst. Porów. Kr Pol., str. 34, Nr. 8.

początkowe lata XIX wieku, należałoby zmniejszyć owe 438000 o całą różnicę, wykazaną w przyroście ludności ogólnéj, t. j. prawie o połowę. W obecnym jednak razie zasady téj zastosować niepodobna, gdyż w cyfrach ludności szlacheckiéj ujawnił się znaczny ubytek, nie zaś przyrost. Tak np. cyfry z r. 1866 (1) wykazują dla:

		Szlachty dziedzicznéj i osobistéj z urzędn.	Duchowieństwa obojga płci.
1.	Gubernij: Wileń. Kowień. Grodzień. i Mińskiéj . .	274904	17541
2,	„ Wołyń. Podol. i Kijowskiéj	132304	55316
	Razem	407208	72857

Oba zaś stany razem liczyły 480065.

Porównywając odpowiednie pozycye r. 1866 z 1875, przekonamy się, że liczba obu stanów zmniejszyła się w ciągu mniéj więcéj 10 lat o 41168, liczba zaś saméj szlachty o 47455.

Gdybyśmy mogli przypuścić, że wszystkie lata od początku XIX wieku były równie dla szlachty niepomyślnemi, wypadłoby cyfrę jéj dzisiejszą powiększyć aż do 715665 na rok 1800, a do 763120 na rok 1790, oprócz duchowieństwa. W guberniach Królestwa Polskiego ubytek był znacznie mniejszy względem cyfry r. 1859 wynoszącéj 196584; wypada bowiem rocznie 3590, zatém na rok 1800—629003, a na rok 1791 wypadłoby 664903.

Przypuszczenie takie zdaje się nam zbyt śmiałém.

Znaleźliśmy cyfrę urzędową z raportu złożonego namiestnikowi Galicyi marg. d'Este w r. 1835, świadczącą że w téj prowincyi liczono wówczas szlachty 31229 i urzędników 4707. (2) W całéj monarchii Austryackiéj rachowano w r. 1816 szlachty (Adliche) 239505 i urzędników 51996. (3) W statystycznych wykazach r. 1839 Przeglądu Dziejów Polskich znajdujemy cyfry bardzo interesujące, bo z roku 1796 pochodzące, mianowicie w gub. Mińskiéj szlachty 23504 dusz męzkich, duchowieństwa 3789, urzędników 3844 mężczyzn. Obrachunek na podstawie tych cyfr co do guberni Mińskiéj wykonany, a do innych rozciągnięty, wydałby 411917 na liczbę szlachty w roku 1796 na cały kraj prócz Regencyi Poznańskiéj. Niestety! nie znamy źródła téj cyfry zasadniczéj; przypada ona wszakże najbliżéj do cyfry Pamiętnika Hist. Polit. 392000 na szlachtę i duchowieństwo, zwiększając ją do możliwéj miary.

---

(1) Военно-Статистическій Сборникъ, подъ ред. Г.-М. Обручева 1871.

(2) Przegląd dziejów Polskich 1839 (str. 28).

(3) Hassel Dr. Georg.-Staats u. Address-Handbuch. Weimar 1816.

Niemamy nadziei, żeby się dała ściśléj określić liczba szlachty dla jakiegokolwiek roku nie tylko z końca XVIII-go, ale i z początków XIX wieku, nawet przez akta Heroldyi i Deputacyj Wywodowych. Tylko w archiwach austryackich mogą znajdować się potrzebne materyały, gdyż w kadastrze 1796 istniała rubryką: Honoratiores. Ale rząd pruski odrazu zdaje się poprzestawał na ogólnych cyfrach ludności z podziałem na mieszkańców miast i wsi (das platte Land). Kto inny zresztą może będzie szczęśliwszym. Co do mnie, poprzestać muszę na przypuszczeniu, że w r. 1791 liczba szlachty polskiéj w granicach owoczesnych wynosiła mniéj więcéj około pół miliona obojéj płci. A chociażbyśmy nawet wzięli cyfrę największą z otrzymanych wyżéj: 763000 (zatém 380000 mężczyzn), to zawsze jeszcze zawnioskować wypadnie, że za mała to była liczba głów, ażeby bez pomocy innych, liczniejszych stanów mogła tworzyć „naród" i dźwigać wszystkie ciężary, jakie narody, szczególnie w chwilach krytycznych, nieść muszą.

Wracając do cyfry ogólnéj ludności kraju, wnioskujemy, że przewyższała ona z pewnością 8000000, nie ma jednak zasady posuwać jéj po za 9000000, które uznać wypada jako maximum.

Co się tyczy ludności Rzeczypospolitéj przedrozbiorowéj, czyli jak chce Lelewel, w r. 1764, to obliczenie jéj jest niemożliwe dla braku jakichkolwiek danych. 13. 14, 16 milionów są to cyfry zarówno dowolne, których sprawdzić bodaj nigdy nie zdołamy.

Tadeusz Korzon.

(c. d. n.)

FILOKTET,

Tragedya Sofoklesa

tłómaczył z greckiego

Kazimierz Kaszewski.

Nie dziwilibyśmy się bynajmniéj, gdyby kto z dzisiejszych czytelników i lubowników literatury, nawykły do wrażeń dramatycznych według Szyllera, Hebbla, Hugona, a nawet Szekspira, po przeczytaniu pierwszy raz w życiu któréj z zachwalanych przez znawców tragedyi greckiéj, zżymnął ramionami i zapytał się w duchu: czyż to istotnie takie rzeczy mogą kogo zachwycać? Obojętność jego dla arcydzieł starożytnych jest nam nader zrozumiałą. Człowiek żyjący w pewnym okresie nasyca się przeważnie jego żywiołami, jest on przedewszystkiém synem swojego wieku, rzecz to bardzo naturalna, i trzeba rozległego wykształcenia, pracy wielce uciążliwéj, ażeby stać się synem wszystkich wieków, żywo odczuwać w duszy żywioły wszystkich epok i oceniać je nietylko według skali i wyobrażeń spółczesnych sobie, ale względnie do okresów, w których wyobrażenia te były panującemi.

Dzieło sztuki każdego okresu stanowi całość odrębną, skończoną i zamkniętą w sobie, o tyle doskonałém będąc, o ile doskonale przedstawia żywioły swojéj epoki, i posiadając te warunki nic a nic nie traci na porównaniu z dziełem doskonałém okresów późniejszych, choćby w cechy bezwzględnéj cywilizacyi bogatszych; nie tak jak naprzykład grubo wyrobiony pistolet z fabryki 16-go wieku w porównaniu z rewolwerem amerykańskim, który przeszedł przez rozmaite udoskonalenia: inaczéj, musielibyśmy energiczną, ale surową prostotę Szekspira daleko niżéj postawić od wytwornych

przedstawień Wiktora Hugo, zbrojnych całą wyższością wiedzy filozoficznéj i środków estetycznych.

W poezyi greckiéj widzimy ciągłe dążenie do antropomorfizmu, do ubóstwiania natury i człowieka. Homer i Hezyjod, Eschyl i Sofokles nie potrącają o zwykłych śmiertelników, a raczéj każdy zwykły śmiertelnik staje się w ich rękach półbogiem, tak jak każdy romantyczny zaułek, oświetlony słońcem, zroszony wodą, ocieniony drzewem, staje się przybytkiem bóstwa, obsługiwanego przez nimfy i geniusze. Sprawy powszednie nic ich nie obchodzą, te tylko są ich przedmiotem w których człowiek wybiega niejako po za zwykłe tryby, skłonnościami powszedniemi wydeptane, by walczyć, poić się z czary tryumfu lub cierpieć tytanicznie: ztąd téż osoby ich nie są ludźmi zwyczajnymi, ale *bohatérami*, mającymi w sobie materyał *boga*. Demokratyzuje się jednak to dążenie od chwili, gdy Arystofanes niemiłosierną rózgą śmieszności chłoszcze spółżyjących z nim bohatérów; już spółczesny mu tragik Euripides nie śmié wstępować w ślad Eschyla i realizować zaczyna swoje postacie; komedya bierze górę nad tragedyą. Muza tragiczna, zasłoniwszy oczy ustępuje z pola, a za nią odchodzą bogowie poezyi greckiéj. Przeznaczeniem jéj było jakoby z bogami tylko mieć do czynienia, w ich towarzystwie najwyższa jéj świetność, wyrazem jéj najwybitniéjszym—ideał.

Inną jeszcze cechą poezyi greckiéj wszystkich gatunków jest prostota, nigdy i nigdzie niezaparta, wspólna tak najniższym jak i najwyższym talentom. Spojrzyjmy na architekturę Greków: znajdziemyż w niéj jaką komplikacyą konturów, która nas tak zdumiewa i zachwyca w kompozycyach gotyckich? Bynajmniéj. Widzimy tam same tylko linije, a cały urok zależy na ich układzie i niezrównanéj harmonii. Czyż mniéj przeto za arcydzieło mamy świątynią na Akropolu że jest prostą?

Jak pomiędzy sztukami plastycznemi, tak i pomiędzy dramatem greckim a dzisiejszym zachodzi różnica zasadnicza, o któréj każden z dramaturgów nowoczesnych, dotykających świata starożytnego pamiętal, ażeby nie stworzyć jego karykatury, nakształt Laharpa. Dzisiejsi pisarze dramatyczni żądają przedewszystkiém efektu teatralnego: greckim głównie chodziło o prawdę wyrazu. Nie idzie zatém, ażeby ci bezwarunkowo pozbyli się prawdy, a tamci efektu; tylko że dwa te czynniki nie równą mają wagę w obu teatrach; Grecy są bliźsi natury, postacie ich mniéj pozują, mniéj narzucają się ze wszystkich stron wzrokowi widza; za to nowocześni dramaturgowie, mając zarówno na względzie widza jak bohatera, starają się przedstawić tego ostatniego w tak bar-

wném i gorącém świetle, że dają więcéj wrażenia: mniéj zręczni, lub spekulujący, wpadają przez to w krzykliwą przesadę.

Wrażenia te dzisiejszy dramaturg wywołuje przedewszystkiém z nagromadzenia niezwykłych faktów, sytuacyj skomplikowanych; przeciwnie tragig grecki intrygę swoję, zazwyczaj nader prostą, osnuwał na saméj grze pewnych charakterów, które zmuszał do wyspowiadania się z najgłębszych tajników duszy, usilnie starając się o to, ażeby one były najwierniejszém źwierciadłem prawdy. I ta téż prawda, stanowi najwyższą chlubę teatru greckiego, a wychodząc zeń owinięta w formy naiwnéj prostoty, wiecznie przypominać będzie ludziom *człowieka* niezepsutego żadną przesadą, żadną nienaturalnością, choćby ta miała się okupić nie wiedzieć jakim efektem.

W całéj téj prostocie objawów greckiéj muzy niemasz może utworu, któryby doskonaléj spełniał to zadanie przedstawienia ludziom człowieka prawdziwego, a zarazem przy najbogatszém rozwinięciu uczuć ludzkich, stanowił najwyższy wyraz prostoty, jak *Filoktet* Sofoklesa. Przytoczymy o tym utworze zdanie Patina, który dziejom teatru greckiego cztery potężne tomy poświęcił:— „Żadne dzieło," powiada on (1), „nie odpowiedziało doskonaléj téj ciekawości, która człowieka czyni najbardziéj zajmującém dla niego samego zjawiskiem i stanowiła dla Greków główny żywioł dramatycznych zadowoleń. Uczucia rozwijające się tam wzięte są z najgłębszéj, najtajniejszéj i najpowszechniejszéj natury człowieka; wzruszają one przedewszystkiém nas, jako istoty czujące. Gra tam nieprzezwyciężony instynkt przywiązujący nas do życia i do towarzystwa bliźnich, porywają nas nieprzeparte ruchy boleści i litości. Na te okrzyki prawdy wybiegające z tego utworu i odbrzmiewające w głębi duszy czytelnika, czuje się on jakby wyrzuconym po za siebie i siłą własnego wzruszenia przeniesionym na tę patetyczną ustroń kędy oddychała cierpiąca ludzkość. Takiém i jeszcze żywszém było wzruszenie szczęśliwych widzów, którym po raz pierwszy ukazało się to cudo sztuki tragicznéj."

Podzielamy w zupełności zdanie znakomitego krytyka francuskiego i dziwimy się nadto téj sile talentu attyckiego mistrza, który z nader prostego motywu i środkami do najwyższego stopnia prostemi, w porównaniu z późniejszym przyborem dramaty-

(1) Sophocle, str. 95. Wydanie czwarte.

czno scenicznym, tyle pięknych uczuć i tyle poetycznego zajęcia wywołać zdołał.

Rzecz dzieje się między trzema tylko osobami, pośród których nie ma nawet, gwoli urozmaicenia uczuć, ani jednéj kobiety. Treść wzięta z wiekopomnéj wyprawy Trojańskiéj, która z saméj przyczyny jaka ją wywołała nie przestawała nigdy wstrząsać sercem wszystkich pokoleń, a dziś daje niektórym spekulantom i handlarzom literackim i muzycznym pochop do parodii i karykatury. Był to, u wstępu dziejów, ruch braterski jednoczący wszystkich przywódców ludności greckich w obronie dotkniętéj czci jednego z nich, w obronie jego praw jako małżonka, w ujęciu się za zniewagę kobiety. Sofokles wybrał sobie jeden drobniuchny ustęp z Iliady; ale zadziwiającą bujnością wyobraźni, wspólną wreszcie całéj umysłowości greckiéj, z treści napozór jałowéj, nieodznaczającéj się ani rozmaitością wypadków, ani wielością osób, wykrzesał przedmiot o scenach urozmaiconych i przyciągających.

Wyrocznia nakazała Grekom udającym się na wyprawę Trojańską, ażeby zatrzymali się na wyspie zwanéj Chryza, dziś już nieistniejącéj i zatopionéj pod wodą; i tam ofiary złożyli Atenie na ołtarzu wzniesionym niegdyś przez Jazona, na którym składał także ofiary Herakles, udając się na podobnąż wyprawę; o czém wiedział Filoktet, syn władcy wyspy Skyros, towarzysz wypraw Heraklesa i jego przyjaciel. On to wyszukując tego zatraconego wśród dzikich zarośli ołtarza, ukąszony został przez żmiję mającą straż nad tym ółtarzem, i skutkiem tego popadł w straszliwe cierpienie, tak iż przez nieustanne jęki i odrażającą woń jaka wychodziła z rany stał się nieznośnym towarzyszom. Jeden z wodzów, Odyssej, ażeby go się pozbyć, odprowadził go za zezwoleniem głównych przywódców wyprawy Agamemnona i Menelaja (Atrydów), na bezludny brzeg wyspy Lemnos, i tam pozostawił. Tym sposobem nieszczęśliwy ten, chory, osamotniony, przebył na miejscu wygnania lat dziesięć. Zdobycie Troi szło uporczywie, aż Grecy przez usta trojańskiego wróżbity, Helena, dowiedzieli się, że nie zdobędą jéj inaczéj jak przy pomocy strzał Heraklesa, które były w posiadaniu Filokteta. Owóż tenże sam Odyssej, jako najsprytniejszy, wyznaczonym został przez wojsko, ażeby go napowrót pod Troję sprowadził.

W tym to ostatnim szczegółku upatrzył Sofokles materyą do dramatu.—Sprowadzić Filokteta pod Troję... co tu może być dramatycznego? zapyta ktoś. Otóż, zaraz zobaczymy, jak szczegół ten widzi i rozrabia imaginacya mistrza. Odyssej jest to pierwowzór polityka, tak zwanego męża stanu, który nie pyta o środki, byle dopiął celu:

nieludzkie wyrzucenie Filokteta, jak psa chorego z obozu, ażeby zmarł na pustkowiu, było jednym z tych środków. Przewiduje on więc, że sam osobiście nic nie wskóra na Filoktecie, który musi żywić dlań żal nienawistny. Do pomocy więc sobie przyzywa Neoptolema, syna nieżyjącego już Achillesa. Młodzian ten nie wyruszył razem z innymi na wyprawę, ale przybył późniéj; nic więc nie zawinił przeciw Filoktetowi, ani mu nawet nie był osobiście znanym; wygnaniec, owszem, mógł powziąść dla młodzieńca sympatyą, jako dla syna swego przyjaciela: wybór to zatém trafny i zgodny z rozwagą Odysseja. Płyną więc we dwóch do Lemnos, w towarzystwie gromady, znanéj w języku tragedyi Chórem, który złożony jest prawdopobnie z Mirmidonów, starych żołnierzy Achilla, bo ci w ciągu sztuki wciąż Neoptolema zwą swym synem, panem i królem, z ojcowską czułością doń przemawiając. Wylądowują na wybrżeżu, i zaczyna się akcya tragiczna.

Sam wstęp do tragedyi jest już prześlicznym pejzażem, który rozwija się przez usta przybyłych wprzód jeszcze nim się zjawi tajemniczy mieszkaniec téj miejscowości. Oprócz tego, pierwsza ta scena jest całą ekspozycyą dramatu, w któréj odrazu zarysowują się dwa charaktery stanowczo, a zarazem wydatnieje trudność zadania do jakiego powołany został Odyssej. Tu on krótko wyłożywszy młodzieńcowi położenie rzeczy pod Troją, daje mu instrukcye, jak się ma zachować względem Filokteta, ażeby go podstępem zwabić na statek. Ta namowa do podstępu byłaby podłą, gdyby nie tłómaczyła jéj chęć przysłużenia się ogólnéj sprawie, któréj wiernie poświęcił się Odyssej. Neoptolem, to zupełny kontrast Odysseja: młodzieniec duszy prawéj i czystéj wzdryga się na ten szereg kłamstw do jakich go zachęca towarzysz, przeraża go myśl uczynienia gwałtu na nieszczęśliwym; ale przekonany przez Odysseja, że nie ma innego sposobu dla wyprowadzenia Greków z nierozwiązalnego kłopotu, daje się nakłonić do wstrętnéj roli. Odyssej, oczywiście, chroni się w ukryciu podczas działania Neoptolema, ażeby widokiem swym nie obudzić podejrzeń wygnańca, nie spłoszyć go i, w dodatku, nie paść ofiarą jego zemsty ze śmiercionośnych strzał Heraklesa, które ma z sobą Filoktet.

Przy takim planie i po takiéj ekspozycyi, czytelnik widzi jasno czego się ma po dramacie spodziewać: jako forma, będzie tu tylko starcie się, walka, gra uczuć i nic więcéj; jako treść, rozwiązanie pytania: czy Neoptolem wytrwa w swojéj roli, czy podstępem, namową lub siłą sprowadzi Filokteta na okręt, czy ten może zda się dobrowolnie, czy téż wytrwałością udaremni plan Odysseja W każdym razie, już tu nieobecny Filoktet występuje

nie jako prosty śmiertelnik, ale jako półbożek, od którego zależą losy dwóch narodów, lubo w téj chwili największy nędzarz, opuszczony, wynędzniały, chory, bez domu, od zimna i gorąca chroniący się tylko w jaskini, na równi ze zwierzęty.

Nim się on jeszcze zjawi na scenie, już głos Chóru, jakiemiś tony przerażenia na jego daleki widok, zapowiada istotę niezwykłą i w niezwykłych żyjącą warunkach. Jakżeż wymowną i poetyczną jest chwila jego pierwszego spotkania się z ludźmi, chwila, w której po latach dziesięciu usłyszał mowę ojczystą. Mnóstwo następuje zapytań i wyjaśnień. Filoktet w przejmujący sposób opisuje przybyłemu swe dziesięcioletnie smutne dzieje i zionie na sprawców swéj niedoli takiemi piorunującemi przekleństwy, że widz od razu spostrzega, jak żywą i bolesną będzie walka dla osiągnięcia celu wskazanego przez wyrocznię, a że cel ten jest nieuchronny, przeto i węzeł dramatyczny zaciska się coraz ściśléj. Smutne jest położenie pośrednika, który po saméj nienawiści nieszczęśliwego widzi, jak ciężki mu cios zmuszony jest zadać, ale wierny danemu słowu Odyssejowi, zmierza potrochu do celu. Opowiada on o sobie całą prawdę, w czém upatrujemy estetyczną oględność autora, który uznał, że podstęp w działaniu tak pięknej duszy, jaką posiada Neoptolem, powinien przejść sprowadzony do minimum, do jak najwięcéj ograniczonéj konieczności i prawie niepostrzeżony, ażeby nie pozostawił plamy na szlachetnym materyale. Tyle więc tylko zmienia prawdę Neoptolem, że oświadcza się jako nieprzyjaciel związkowych, że udaje przed nim powrót do swego kraju i, ustępując proźbie Filokteta, zamierza go niby zabrać z sobą na wyspę Scyros, do stęsknionego ojca. Tymczasem zręcznie dostaje do ręki od wygnańca jego łuk i strzały, tyle pożądane.

Już mają udać się na okręt, za chwilę rzecz skończyłaby się daremną rozpaczą Filokteta, i nie byłoby dramatu. Ale autor znalazł sposób przedłużenia téj chwili, sposób bardzo prosty i naturalny. Filoktet, skutkiem rany w nodze, często popadał w boleści kończące się omdleniem i snem. Wypadek taki następuje w téj właśnie chwili.

Chwilę tę wypełnia obraz cierpień fizycznych, przeciw którym powstawała krytyka (jeszcze od Cycerona), i które, rzeczywiście, zarzucone zostały w sztuce późniejszéj, a dziś czasami tylko i nieśmiało ukazują się na scenie w ostatnich aktach dramatów, poprzedzając śmierć. W wyobrażeniu cierpień fizycznych, jako choroby, jest istotnie coś przeciwnego sztuce, która związek ma tylko z duchem, nie z ciałem. Lecz poeci greccy, przedstawiając czasami

na scenie boleści fizyczne (Prometej, Herakles, Filoktet), nigdy nie mieli zamiaru poprzestać przez to na jakimś pospolitym patetyzmie, niegodnym zarówno sztuki jak i moralności. Przeciwnie, boleść fizyczna jest u nich tylko dodatkiem do boleści szlachetniejszéj, a w jednéj jak w drugiéj widzą oni jedynie sposobność do wystawienia na próbę i na światło, dzielność duszy, która potrafi opór boleściom tym stawić. Jeżeli w *Trachinkach*, palący się żywcem Herakles krzyczy z boleści, cierpi on jeszcze bardziéj z powodu mniemanéj zdrady żony, sądząc, że to ona umyślnie, dla zgubienia go, przysłała mu palącą koszulę. Jeżeli Filoktet nie mogąc wytrzymać fizycznego bólu, po strasznych i powtarzających się okrzykach, pada bezwładny,—to tylko ma dowodzić stałości jego charakteru,—że woli pozostać nawet z takiém cierpieniem, niżeli spełnić żądania wrogów, chociaż ci (jak się późniéj okaże) przyrzekają mu wyleczenie przez biegłych lekarzy, znajdujących się pod Troją.

Sroższa téż boleść przejmuje Filokteta, kiedy za przyjściem do zmysłów dowiaduje się od Neoptolema prawdy. Prawy młodzieniec, wzruszony jego cierpieniami, wszedłszy w siebie przez czas snu Filokteta, nie mógł przenieść na sobie, ażeby w oczach tego człowieka popełnić podstęp i wolał wypowiedzieć mu po co właściwie przybył. Jakiż to straszny cios dla wygnańca: nietylko całe rusztowanie pięknych jego nadziei powrotu do domu zburzone, ale nadto przedstawił mu się straszny widok na przyszłość. On miałby służyć swym wrogom, przeciw którym dziesięć lat żywił nienawiść i zemstę? Nigdy! Oburza się i żąda nasamprzód swéj broni, którą zatrzymał pozornie Neoptolem, ażeby wszystkiego nie stracić. Domaga się jéj zwrotu z całą wymową rozpaczy, w słowach tak pełnych głębokiéj poezyi, że z obawą śmiemy odesłać czytelnika by je odczytał w tekście polskim, nie wiedząc, czy udało się nam choć w części odtworzyć urok pierwowzoru.

Zachwiał się na tyle rozpaczy Neoptolem i byłby może uległ, ale czujnego miał stróża swych działań w Odysseju. Ten przybywa w samę porę, by powstrzymać niewczesny wybuch szlachetności młodziana.

Złe miałby wyobrażenie czytelnik, gdyby o charakterze Odysseja sądził tylko z punktu widzenia Filokteta. Charakter ten przeprowadzony jest z wielką sztuką, tylko mu bacznie przypatrzéć się trzeba. Dla Filokteta, jest to oczywiście potwór moralny, zdrajca i podstępny tchórz; biédny wygnaniec, nie dziwimy się temu, miota nań ustawiczne obelgi. My jednak musimy je przyjmować z dobrodziejstwem inwentarza, musimy raczéj pójść za autorem, który nie tak miał zamiar przedstawić nam tę postać. Odysséj

nie ubiega się wprawdzie o tę sympatyą, jaką z jednéj strony wzbudziły w nas nieszczęścia, wytrwałość, duma, a zarazem energia i czułość Filokteta, — z drugiéj, szlachetność i niewinność Neoptolema. Ale téż w obec nich nie przedstawia się on niekorzystnie, a to dzięki niezmordowanemu poświęceniu i odwadze duchowéj, które w wielkiéj sprawie publicznéj wiodą go na drodze powodzenia do wielkiego celu; któremi silny, nie zważa on na trudności i niebezpieczeństwa, a co większa, na swe własne skrupuły, na opinią ludzi, na objawy ich gniewu i pogardy. Ma tu także swoję wielkość Odyssej, gdyż bądź co bądź, nie o jednostki mu chodzi, nie o interes własny, ale o ogół; pod tym względem zdaje się nawet mieć wyższość nad Filoktetem, który w swéj zaciętości i wytrwałym oporze przedstawia się jakoby egoistycznym.

Lecz znowu i Filokteta charakteru nie sądźmy podzisiejszemu. Według takiego sądu, byłby to poprostu człowiek butny a małoduszny, który mając sobie przedstawionem jak na dłoni, że on tylko jeden jest w stanie spełnić stanowczo dzieło takiego dla swéj społeczności znaczenia, odpycha jednak tę chlubę i zasługę dla dogodzenia uczuciu zemsty i urazę osobistą stawia wyżéj nad dobro ogólne, nic z siebie poświęcić nie chcąc. Dziś człowiek taki nie mógłby być bohatérem i nietylko dziś, ale już nawet w czasach Arystydesa w Grecyi. Ależ przed trzydziestu wiekami w epoce wojny Trojańskiéj, wszystko to byłoby anachronizmem, a przedstawienie takiego człowieka fantazyą, osnutą na żywiołach późniejszych. W owéj epoce wyobrażenia społeczności, ojczyzny i obowiązków względem tych abstrakcyjnych tworów jeszcze nie istniały; człowiek żył jak mógł, nie ulegał prawu tylko sile, nie kochał bogów tylko się ich bał, a po za tą bojaźnią mógł bezkarnie płużyć wszelakiéj namiętności, bez nadwerężenia kodeksu ówczesnéj etyki. Przy wielkiéj ułomności kodeksu uspołeczniającego, rządził się on w stosunkach z ludźmi miarą wzajemności, któréj sam był jedynym sędzią: piękne za nadobne, ząb za ząb, oko za oko. Ani wtedy, ani nawet daleko późniéj, nie było w tym świecie grzechu, ale tylko wina,—nie było dobrowolnéj pokuty, ale ekspiacya,—nie było kary, ale zemsta. Człowiek obrażony mścił się, i to było jego najświętszém prawem; mszcząc się, stawał niejako na równi z bogami mściwemi, których opieki nad wykonaniem zemsty swéj wzywał.

W takim stanie pojęć i umysłów Filoktet nic a nic nie wykracza przeciw obowiązkom społecznym, których nie zna jeszcze, ani przeciw dostojności charakteru, jeżeli dziesięcioletnie męczar-

nie pragnie pomścić na swych wrogach, wzywając na nich pomsty bożéj i nie chcąc przykładać ręki do dzieła przez nich pożądanego; przez to bynajmniéj nie stoi on niżéj od rzymskiego Koryolana. Dla zmiękczenia takich charakterów środkiem nie może być gwałt ani perswazya: w obec gwałtu są one nazbyt silne, do perswazyi za mało przygotowane. One dają się wziąść tylko na uczucie, na prośbę i przedstawienie istot, które nad ich sercem panują i boską niejako nad niemi wykonywają władzę. Koryolan ustąpił nie w obec obowiązku względem ojczyzny, do którego się jeszcze przy mało podówczas rozwiniętym cywizmie rzymskim nie poczuwał, ale uległ przed osobami, które kochał, przed matką i żoną; nie zasada przemogła w nim, ale jednostkowe uczucie. Tak samo postąpi Filoktet; i to się właśnie nazywa stawiać charaktery we właściwych ramach.

Sofokles, kreśląc Odysseja, potrafił utrzymać w nim tę znajomość namiętności ludzkich i sztukę jéj zażywania, którą mu przyznawały podania epiczne, i przez którą zyskał sławę wielkiego mówcy z czasów bohatérskich. Nie probuje on nawet używać perswazyi z Filoktetem, ale od razu poczyna z nim nakazem i groźbą. Nieszczęśliwy, ogołocony z broni, woli sobie raczéj głowę o skały roztrzaskać, niż udać się z nim; ale Odyssej każe go powstrzymać i jedynéj używa dźwigni, zdolnéj wszystkiemi czasy wstrząsnąć sercem bohatéra, to jest nęci go widokiem chwały, jaką otoczy go zwycięstwo przezeń odniesione nad Troją. A gdy i to nie pomaga, odchodzi z Neoptolemem, unoszącym strzały, któremi kto inny umié pod Troją władać.

Zdaje się, że sprawa już ukończona; ale znowu powstrzymuje ją szlachetna ludzkość Neoptolema. Młodzieniec, jakby chcąc zyskać na czasie i nie pozostawić na pastwę głodnéj śmierci Filokteta po zabraniu mu strzał z których jedynie żył, polując zwierzęta, pozostawia mu na chwilę swoich żołnierzy, bodajby przez to miał się narazić na naganę wojska i na posądzenie o słabość. Lecz daremnie pozostały na scenie Chór, w przepyszném recytatywie, certuje się z Filoktetem, by nie pogarszał swéj doli; nieszczęśliwy odpowiada na to przekleństwy tylko i rozpaczą, a stoi nieugięty jak przedtém; woli śmierć z głodu lub w szponach dzikich zwierząt, niż upokorzenie w obec nieprzyjaciół.

Wtedy następuje chwila w któréj autor do zupełności doprowadza rozwinięcie młodzieńczego charakteru Neoptolema, tak umiejętnie przez całą sztukę stopniowane. Młodzieniec powraca znowu, ale już z mocném postanowieniem oddania tego, co zawdzięcza niedość szlachetnemu wybiegowi. Wracający razem z nim Odyssej

ma teraz do walczenia z dwoma przeciwnikami. Grozi on samemu Neoptolemowi, ale widząc go gotowym do odparcia orężem groźby, cofa ją z pośpiechem, niezgodnym wprawdzie z dzisiejszemi pojęciami honoru, ale odpowiednim owéj homerycznéj roztropności. Filoktet, już władnący swą bronią, staje w obronie Neoptolema i zamierza się strzałą, lecz młodzian, i tu wierny swemu charakterowi, wstrzymuje jego rękę. W żywéj téj scenie i Odyssej chlubnie wychodzi, a niesłusznie Filoktet szyderczo zarzuca mu tchórzostwo, gdyż on widział już strzały w ręku wygnańca wówczas gdy biegł ratować zagrożoną sprawę. Odyssej, nie będąc bojaźliwym, nie naraża odwagi swéj na bezcelowe niebezpieczeństwa; w razie potrzeby nawet potrafii narazić się na niekorzystne pozory, na obraźliwe interpretacye. Może słyszéć wiele rzeczy na które widz uśmiecha się, lecz ani im się dziwi, ani mu to ma za złe.

Pod psychicznym więc względem, Sofokles stawił położenie bez wyjścia; charaktery osób działających tak się ułożyły, że po dotychczasowych perypetach wszystko musiałoby zostać jak przedtém: Filoktet ma pójść do swéj jaskini, chory i osamotniony; Odyssej powrócić z niczém do wojska.

Rozwiązanie przychodzi zkądinąd.

Czego nie mogła rozwiązać wytrwałość Filokteta, przebiegłość Odysseja i prawość Neoptolema, to rozwiązuje pośrednictwo cudowne, tak zwany *deus ex machina*. Pośrednictwo to jednakże jest tu raczéj niespodziewaném, niż przypadkowém, i wiąże się z żywiołami saméj tragedyi. Taki mistrz jak Sofokles do rozwiązania nie użyłby prostego i bezwarunkowego trafu, całkiem obcego biegowi treści. Przypomnijmy sobie, że tu wielką grają rolę owe nieomylne strzały Heraklesa, i że dawny ich posiadacz był przyjacielem Filokteta. Nie może zatém być omyłki w zapowiedzeniu wyroczni: strzały półboga greckiego nie mogą zwrócić się przeciw piersiom greckim, przyjaciel nie może zostawić przyjaciela w przeciwieństwie z wyrokami bogów, które go do wielkich rzeczy przeznaczyły. Kiedy więc stało się zadość honorowi Filokteta, kiedy on wytrwałością swą obezwładnił Odysseja, a zacnością charakteru i cierpieniem niewinném zjednał sobie współczucie Neoptolema, kiedy, słowem, zwycięzki wychodzi z téj walki uczuć osobistych, wtedy w niebiańskim nimbie zstępuje Herakles, by wśród rozterek ludzkich zapewnić zwycięstwo sprawie. On to, w imię wyroków bożych skłania Filokteta do wyjścia z bezczynności, zapewniając mu najprzód wyleczenie pod Troją przez synów Eskulapowych, a następnie sławę nieśmiertelną bohatéra, jakiéj już sam na łonie

wieczności używa. Oto, co spełniła matka względem zdobywcy Korioli, pod bramami Rzymu. Rozwiązanie to, nie wychodząc, jak powiedzieliśmy, z po za akcyi, zgodne jest z treścią przedmiotu, z obyczajem tragedyi greckiéj, odznacza się wielkością, majestatem i religijną pogodą. Stary to świat, istnie legendowy, tak daleki od zasad i obyczajów dzisiejszych, że, powtarzam raz jeszcze, nie dziwimy się bynajmniéj jeśli czytelnik dzisiejszy, nie rozumiejąc go wcale, obojętnie utwory jego artystycznego geniuszu przyjmuje. Każdy jednak, choćby po tym treściwym naszym wykładzie, przyznać musi, że po za temi odmianami wywołanemi zmianą religii, cywilizacyi i obyczaju, jest tu coś, co się nie zmieniło i nie zmieni nigdy,—to grunt ludzki, jeden i tenże sam, trwały i niezmienny. O ile mistrzowi jakiegokolwiek wieku uda się prawdziwym być tłómaczem takiego gruntu, o tyle dzieło jego zachowa trwałość prawdy i nieśmiertelném stanie się jéj zwierciadłem, tém barwniejszém i ciekawszém im w odmienniejszéj formie jednę i tęż samę rzecz przedstawia.

OSOBY.

ODYSSEJ.
NEOPTOLEM.
FILOKTET.
SZPIEG, przebrany za kupca.
HERAKLES.
CHÓR.

Rzecz dzieje się pod koniec wojny Trojańskiéj, na skalistém wybrzeżu wyspy Lemnos.

Odyssej. Najdzielniejszego z Greków, o! Neoptolemie,
Synu Achilla, otóż stąpiłeś na ziemię
Lemnos: wyspa to dzika i niezamieszkana (1).
Na niéj z rozkazu wodzów jam syna Peana
Z Melii zostawił niegdyś, bo miał ranę w nodze (2),
Z któréj broczyła ciągiem krew zepsuta srodze.
Za czém nikt przy nim blisko wytrzymać nie może,
Ustały więc libacye i objaty boże,
A po całym obozie słychać tylko dziki
Głos jego przekleństw, straszne jęczenia i krzyki.
Ale poćóż wspominać co się nie odstanie?
Czas krótki, by go dłużéj poświęcać rozmowie.
Bo gdy o mém przybyciu Filoktet się dowie,
To mi się jego może nie udać porwanie.
Więc ty mi dopomagaj i rzuć téż oczyma,
Czy tam z dwóch stron otwartéj jaskini gdzie niéma.

---

(1) *Lemnos*, jedna z wysp zwanych Sporady na Archipelagu greckim, na któréj miały być kuźnie Hefajsta; oczywiście wulkaniczna. Wyraz *niezamieszkana* użyty przez poetę, odnosić się zapewne ma do téj tylko części wyspy, w któréj przebywał Filoktetes, gdyż podania homeryczne wspominają o jéj zaludnieniu; a wreszcie tegoż samego tytułu tragedye Eschyla i Eurypida wprowadzają chór złożony z mieszkańców téjże wyspy.

(2) Melia v. Malia, miasteczko w Tessalii, w pobliżu góry Ety, która tu jest często wspominaną. Sąsiadowało ono także z Trachiną, kędy śmierć znalazł Herakles; do czego także aluzye spotykają się w téj tragedyi.

Wnikając do niéj przez dwa przeciwne otwory,
Słońce grzeje jéj ściany śród zimowéj pory;
Latem do snu zachęca przez dwa te przewiewy
Ciąg wiatru, a wniż nieco tam od strony lewéj
Płynął czysty potoczek, może płynie jeszcze.
Pójdź pocichu i zobacz, czy to, co ci wieszczę,
Znajdziesz w tych miejscach. Zamiar mój późniéj ci zjawię,
Byśmy coś wspólną pracą poczęli w téj sprawie.
Neoptolem. To czego szukać każesz, niedaleko wcale;
Bo podobną jaskinię widzę na téj skale.
Odys. U dołu, czy u góry?... próżno okiem wodzę.
Neop. Na wzgórzu. Kroków ludzkich ni śladu po drodze.
Odys. Uważ czy nie śpi.
Neop. W lochu nie ma żywéj duszy.
Odys. A żywność?
Neop. Nic; tylko się kupa liści suszy
Na pościel.
Odys. I nic więcéj?
Neop. Nic krom prostéj czary
Drewnianéj,—i kamienie do trzonu na żary.
Odys. To całe jego mienie!
Neop. Bogi! cóż to? leżą
Jakieś szmaty krwią jeszcze popryskane świeżą.
Odys. Więc to jego mieszkanie,—jego bez wątpienia,
I on blisko być musi, bo dla rannéj nogi
Nie mógłby gdzieś w dalekie zapuszczać się drogi;
Poszedł zapewne szukać sobie pożywienia,
Albo jakiego ziela przeciwko bólowi.
Poślij tego człowieka, niech zbada te strony:
Nie chciałbym być znienacka przezeń zaskoczony,
Bo ująć mnie jednego więcéj dlań stanowi
Niż wszystkich Argow razem.
Neop. Już stróża wysłałem,
Ty więc, co ci potrzeba, powiédz słowem śmiałem.
Odys. Synu Achilla! w dziele, które zamierzamy,
Potrzeba nam obudwu nie odwagi saméj.
Więc czy nowém, czy dziwném, zda ci się me słowo,
Musisz mi dopomagać.
Neop. Cóż czynić wypada?
Odys. Potrzeba zręczną ująć Filokteta mową.—
Nie rozmijaj się z prawdą jeśli cię zagada,
Kto jesteś,—zkąd przychodzisz? Powiédz mu otwarcie,

Żeś jest synem Achilla; tylko na poparcie
Udaj, jakobyś wracał już do swoich krajów,
Że opuszczasz wyprawę przez złość na Achajów,
Którzy,—wiedząc, że Troi nie zdobędą sami,
Kornemi wyciągnęli cię z domu prośbami,
A broń Achilla, zamiast jak prawo stanowi,
Oddać jego dziecięciu,—dali Odyssowi.
Tu jakie chcesz, najgorsze z najgorszych potwarze
Możesz precz miotać na mnie,—ja się nie obrażę:
Inaczéj, spadnie na nas klęska niesłychana,
Bo gdy nie zdołasz posiąść jego łuk i strzały,
To Achaje nie zburzą dzielnicy Dardana (1).
Chcesz-li wiedzieć dla czego ty możesz być śmiały
Mówiąc doń, gdy mnie losy usta skrępowały?
Oto,—tyś do obozu przyszedł z własnéj woli,
Żadne przysięgi twojéj nie związały doli (2),
I tyś w pierwszéj wyprawie nie nakładał zdrowiem;
Tyś wolny;—a o sobie ja tego nie powiem.
On ma łuk;—jak się dowie, żem przybył w te strony,
To zguba moja pewna, i tyś téż zgubiony.
Trzeba więc byśmy sztuką mu jaką odjęli
Ten oręż nieomylny. Wiém ja doskonale,
Że umysł twój do podejść nie pochopny wcale,
Lecz zwycięztwo—rzecz miła.—Śmieléj tylko, śmieléj!
Do ścisłych praw zacności wrócim po kłopocie:
Daj mi ten dzień, a potém płuż wrodzonéj cnocie.
Neop. Synu Laerta, słów twych ja słuchać nie mogę
Bez odrazy; ty wstrętną wskazujesz mi drogę.
Ja, idąc torem tego, który mi dał życie,
Nic według podłéj zdrady nie uczynię skrycie.
Gotówem z nim się sprawić siłą a nie zdradą.
Toć on z nogą zranioną nad całą gromadą
Nie weźmie góry. Jam tu przysłany jest po to
Aby tobie nieść pomoc. Uczynię z ochotą,
Lecz nie chcę, by mnie zdrajcy nazwisko skalało.
Zamiast zwyciężyć z hańbą, wolę upaść z chwałą.

---

(1) Dardanos, syn Zeusa i Elektry, uchodzi za założyciela dynastyi królów Trojańskich.

(2) Wszyscy władcy dzielnic greckich zaprzysięgli byli bronić praw tego z pomiędzy nich, który zostanie mężem Heleny.

Odys. Synu cnego rodzica, i ja w młodém lecie
Miałem język leniwy, dłoń do czynu sprawną;
Jednak mnie doświadczenie przekonało dawno,
Że nie dłoń, ale język rej wiedzie na świecie.
Neop. A więc radzisz mi kłamstwo?
Odys. Jabym ci poradził,
Byś Filokteta sztuką pod Troję sprowadził.
Neop. Czemuż sztuką, namowa niech za środek stanie.
Odys. I namowa i siła na nic się nie zdały.
Neop. Zkądże mu w sile własnéj tak wielkie dufanie?
Odys. On ma z sobą niechybne, śmiercionośne strzały.
Neop. To tedy niebezpiecznie zbliżać się do niego?
Odys. Od niebezpieczeństw zręczne słowa cię ustrzegą.
Neop. Ależ fałsz wypowiadać, nie jestże szkaradnie?
Odys. Wcale nie, jeśli z fałszu zbawienie wypadnie.
Neop. Ale jakżeż to można kłamstwem plamić usta?
Odys. Kiedy zyski widoczne, to obawa pusta.
Neop. Gdy go ściągnę pod Troję, jakież dla mnie zyski?
Odys. Zburzyć ją, jego tylko zdołają pociski.
Neop. Nie jaż ją, jak mówiłeś, w popiołach zagrzebię?
Odys. Bez tych strzał nie zwyciężysz, ni one bez ciebie.
Neop. Skoro tak, trzeba starać się zdobyć te strzały.
Odys. Wtedy będziesz miał prawo do podwójnéj chwały.
Neop. Do jakiéj? niech się dowiém, sprawa pójdzie prościéj.
Odys. Zyskasz podwójną wziętość—męstwa i mądrości.
Neop. A więc rzucam wstyd wszelki i co rzekłeś zrobię.
Odys. A będzieszże pamiętał com zalecił tobie?
Neop. Będę, skoro masz na to przyrzeczenie moje.
Odys. Czekaj go więc w tém miejscu; ja zaś pod okręty
Powrócę wraz z tym szpiegiem, bo się bardzo boję
Ażebym tu znienacka nie był napadnięty.
Jak cię nie będzie widać, on odwrotną drogą
Przyjdzie jeszcze do ciebie, za majtka przebrany
Dla niepoznaki. W jego mowie zawikłanéj
Pojmiesz wskazówki, które przydać ci się mogą.
Idę na okręt, reszcie głowa twa zaradzi.
Niechże Hermes, bóg podejść, daléj nas prowadzi,
Niech nas wiedzie zwycięzka Atene grodowa,
Która w złych razach zawsze pomódz mi gotowa,

Chór. Na obcéj ziemi, ja obcy sam,
Pytam cię, panie, co mówić mam
Przed podejrzliwym człekiem,—co kryć?

Myślą się można wysoko wzbić;
Lecz ten najwyższą mądrość posiada,
Kto boskiém berłem Zeusowém włada.
A tobie, synu, już zdawien dawna,
Po przodkach przyszła ta moc przesławna.
Ty więc mnie zdaniem objaśnij swém:
Jak ci pomocny mam być i w czém?
Neop. Gdy chcesz obejrzéć pieczarę całą
W któréj on siedzi, spojrzyj w nią śmiało.
Lecz jak się zjawi straszny przechodzień,
Który w tych miejscach przebywa codzień,
Wtedy pod ręką bądź mi ku straży
I czyń, co w chwili czynić się zdarzy.
Chór. Oj, mojeż to dawne największe staranie,
Bym czuwał oczyma nad dobrém twém, panie!
Więc wskaż mi miejsce, gdzie on przesiada;
Wiedziéć mi o tém wypada,
By mnie nie zszedł niespodzianie.
Gdzie mieszka, jakie ścieżki przebywa,
Czy wyszedł z groty, czy w niéj się ukrywa?
Neop. Wszak widzisz ten skalisty łom?
Tam jego jest dwudrzwiowy dom.
Chór. Gdzież on się teraz, nieszczęsny, kryje?
Neop. Puścił się pewnie w pobliskie szlaki,
Aby uzbierać żywności jakiéj:
Lotnemi strzały zwierzęta bije,
A życie jego, jak niosą wieści,
Pełne smutku i boleści;
Cierpienia jego, nikogo
Coby im radził, znaléść nie mogą.
Chór. Żal mi go bardzo! Nikt tedy
Mu pomocy nie udziela,
Ani oko przyjaciela
Czuwa nad nim pośród biedy!
Wciąż sam jeden, i w chorobie
Dzikim bolem udręczony,
Błąka się na wszystkie strony,
By w potrzebach radzić sobie.
Jak on tę nędzę wytrzyma?
Ileż to się człowiek trudzi!
Oj, biedneż to życie ludzi;
Jak źle, tak w złém miary niéma.

W starożytnéj chwale domu
Nie ustąpi on nikomu;
A dziś nie dość dóbr utraty;
Sam, samotny wśród swych leż,
Towarzyszem jego zwierz
Centkowany lub kudłaty.
Godzien on litości wszelkiéj;
Bo i głód go nęka srodze
I ból mu doskwiera w nodze
I niepokój dręczy wielki.
Echem głośném jego żal
Brzmi i idzie z dali w dal.

Neop. Dla mnie to wszystko, nie żadne dziwa.
Bo gdy mnie wiedza moja nie myli.
Bogowie to mu złe wyrządzili,
Jego zraniła Chryza złośliwa (1).
I w tém jest także zrządzenie boże,
Iż on wyzdrowieć dotąd nie może:
Bogowie nie chcą, aby on wprzód
Celnemi strzały w trojański gród
Miotał, aż pora nadejdzie, w któréj
Upadek grodu przeznaczon z góry.
Chór. Wstrzymaj głos, synu!
Neop. A co?
Chór. Zdaleka
Słychać szmer zwykły chorego człeka.
Neop. W któréj stronie, tu czy tam?...
Słyszę istnie, słyszę sam
Chód człowieka, co śród drogi
Z wysileniem wlecze nogi.
Przeraźliwa skarga, głucha,
Do mojego wpada ucha.
Jęk jego srogi!
Chór. Baczność, synu!
Neop. Co znów tam?

---

(1) W poetycznych bajkach Grecyi imię *Chryzy* odnosi się już to do nimfy, już do wyspy, która jéj była poświęconą, na morzu Egejskiém nieopodal od Lemnos. Jest też podanie inne, według którego Chryza (złocista) było przydomkiem Ateny.

Chór. Nowa troska: tego człeka
Zbliska słychać, nie zdaleka.
Nie odzywa się on nam
Tym piosennym fletni dźwiękiem,
Którym pasterz gra na polu,
Lecz boleści głośnym jękiem.
Czy nabawił się on bolu,
Zawadziwszy o coś nogą?
Czyli go przeraża trwogą
Okręt, co znienacka wśród
Niegościnnych stanął wód,
Że klnie tak srogo?

Filoktet. Kto jesteście, podróżni? Jakeście zdołali
Na ten ląd bezprzystanny, bezludny,—po fali
Dostać się morskiéj? Mówcież, zkąd wasz ród się bierze,
Gdzie kraj wasz? Widzę na was helleńskie odzieże,
Miłe mi wielce, ale nie słyszę języka.
Dzika ma postać grozą niech was nie przenika;
Lecz litością nad człekiem, który cierpi wiele,
Samotny, opuszczony, od przyjaciół zdala.
Mówcież, czy przybywacie jako przyjaciele?
Odpowiedzcie. Wszak słuszność wam na to pozwala,
Jak i mnie, gdybyście mi zadali pytanie.
Neop. Twojéj chęci, człowiecze, wraz się zadość stanie:
Wiedz najprzód, że jesteśmy wszyscy Hellenowie.
Fil. O! słodkież słowa twoje! Miło to choć mowie
Przysłuchać się rodaczéj po długim rozdziale!
Synu! jakież cię szczęsne przygnały tu fale,
W jakim zamiarze, jakiéj folgując potrzebie
Przybyłeś? Powiédz wszystko, abym poznał ciebie!
Neop. Płynę do domu; zrodzon jestem na ostrowie
Skyros (1); ojcem mym Achill, a ja sam się zowię
Neoptolemem. Wszystko teraz wiesz już przecię.
Fil. O, drogiego mi ojca, drogiéj ziemi dziecię!

(1) Wyspa na Archipelagu, na wschód od Eubei.

Starego Lykomeda (1) karmicielu! Z jakiéj
Wyprawy przypłynąłeś tu morskiemi szlaki?
Neop. Ja tędy wprost z Ilionu płynę ku domowi.
Fil. Jak mówisz? Wszak tyś z nami razem nie żeglował,
Gdyśmy ruszyli z kraju przeciw Ilionowi.
Neop. A ty w tym wielkim trudzie czyś udział przyjmował?
Fil. Nie wiesz snać, kogo widzisz przed sobą, o dziecię!
Neop. Zkąd mam wiedziéć? Nigdym cię nie widział na świecie.
Fil. Nie wiesz mego imienia, ani tych boleści,
Które mnie pognębiły, nie doszły cię wieści?
Neop. Uważ, że ja nic o tém nie wiem, jakom żywy.
Fil. O nienawistny bogom! o ja nieszczęśliwy!
Zatém wieść moich nieszczęść nie doszła do domu,
W całéj Helladzie one nieznane nikomu!
A ci, co porzucili mnie tutaj nikczemnie,
Śmieją się gdzieś w milczeniu; gdy choroba we mnie
Wre i z każdym dniem sroższéj wciąż nabiera siły.
O dziecię! o ty, synu Achillesa miły!
Jam jest ten, który, jeśli rzecz ta ci jest znana,
Przyszedł do posiadania Heraklesa broni;
Zowią mnie Filoktetem, jestem syn Peana,
Którego dwaj wodzowie (2) i król Kefalonii
Najbezwstydniéj znęcili w te bezludne strony,
Bym tu skonał z boleści, jako ukąszony
Żądłem zabójczéj żmii.—W takim stanie oni,
Samego porzuciwszy, odpłynęli w chwili,
Gdy z morskiéj Chryzy tutaj na statkach przybyli.
Ja, ciągłém kołysaniem statku umęczony,
Zasnąłem na wybrzeżu w skale wydrążonéj;
Co widząc ci, z radością odemnie odlecą,
Nędznemu wygnańcowi zostawiwszy nieco
Drobiazgów, łachman jakiś i posiłek mały.
Oby im kiedyś losy wszystko to oddały!

---

(1) Achilles, ukrywając się na wyspie Scyros, miał stosunek miłosny z Deidamią, córką Likomeda. Temu to stosunkowi zawdzięczał życie Neoptolem i dopomagał dziadowi na jego stare lata.

(2) Synami Atreusza byli Agamemnon i Menelaj, dwaj władcy dzielnic w Peloponezie. Odyssej był właściwie królem wyspy Itaki; lecz Kefalonami zwano mieszkańców wszystkich wysp leżących naprzeciw Akarnanii i Elidy, a więc nazwa Kefalonii była niejako ogólną téż nazwą wszystkich tych wysp, do których należała i Itaka.

Domyśl się, synu, jako było dla mnie miłém
Przebudzenie się ze snu, gdy ci byli w drodze!
Ilem gorzkich łez wylał, jakem jęczał srodze,
Widząc, że wszystkie statki, na których przybyłem,
Znikły, a na tém miejscu nie było nikogo,
Coby mi radził, pomógł na chorobę srogą.
Gdzie spojrzę, nic nie mogę znaleść prócz boleści,
I téj było już tyle co się w człeku zmieści.
Dzień schodził za dniem; wreszcie musiał przemysł własny
Zaradzać mym potrzebom w téj pieczarze ciasnéj.
Tak oto, synu, ten łuk przynosił mi jadło,
Bijąc lotne gołębie, któremi się żywię;
I kiedy pomknie strzała, biegnąc po cięciwie,
Wlokę, nieszczęsny, nogę, by podjąć co padło.
A jeżeli spragniony potrzebuję wody,
Lub jak w porze zimowéj, gdy zalegną lody,
Potrzeba drew urąbać; ja sam, nieszczęśliwy,
Czołgam się, by zaradzić. Ognia tu nie było;
Nuż tłuc kamień o kamień, by wydostać siłą
Ukryty płom, któremu zawdzięczam, żem żywy:
Boć z ogniem i poddaszem ta moja jaskinia
Daje mi wszystko, tylko zdrowia nie przyczynia.
Teraz dowiédz się więcéj o całym ostrowie:
Do niego żaden żeglarz z chęcią nie zawinie,
Bo ni portu nie znajdzie, ni siądzie w gościnie,—
Ni żadnego tu zysku nie mają majtkowie.
Roztropni ludzie tędy nie żeglują wcale;
Chyba wbrew woli kogoś zapędzą tu fale,
Boć i taki wypadek zdarzy się czasami.
Więc jeżeli z przymusu kto tutaj zagości,—
Darzy mię dobrém słowem, litując się da mi
Trochę odzieży, albo kruszynę żywności;
Ale mnie ani słuchać nie chcą, jeśli komu
Wspomnę, by mnie ztąd zabrał i zawiózł do domu.
Taki zabójczy żywot dziesięć lat już pędzę,
Karmiąc złe co mnie trawi, cierpiąc głód i nędzę!
To mnie Atrydzi, to mnie sprawił Odyss srogi;
Niechże im to oddadzą Olimpijskie bogi!
Chór. Wierzaj, synu Peana, ja ciebie w téj chwili
Żałuję równo z temi, którzy tutaj byli.
Neop. I jam pewien, że prawdę wyraża twe słowo,
Bo znam srogość Atrydów i złość Odyssową.

Fil. Więc ci podli i w ciebie wpili się zażarcie?
Neop. Oby ta dłoń raz mogła spełnić pomstę wielką;
Oby się dowiedziano w Mykenach i Sparcie,
Że i Skyros jest dzielnych mężów rodzicielką!
Fil. Dobrze, o synu! Ale powiedzże mi, o co
Gniew twój przeciw tym ludziem bucha z taką mocą?
Neop. Powiem, synu Peana; choć z przykrością,—powiem,
Ilem przez nich ucierpiał od czasu przybycia.
Bo gdy losy Achilla pozbawiły życia.....
Fil. Przebóg! Nie mów nic więcéj, póki się nie dowiem,
Czy prawda, że Achilla na świecie nie stało.
Neop. Tak. Jednak mu nieludzkie ręce śmierć zadały,
Ale boskie. On upadł Od Febowéj strzały.
Fil. Zabójca i zabity równi sobie chwałą.
Teraz nie wiem, co czynić: mamże ciebie prosić
O krzywd wypowiedzenie, czy jego żałować?
Neop. Nieszczęsny! ty swych własnych cierpień masz tak [dosyć,
Że już żalom nad bliźnim mógłbyś pofolgować.
Fil. Słusznie mówisz. Więc zacznij powieść swą na nowo.
Neop. Raz Odyss i mistrz ojca mojego przybyli (1)
Do mnie na bardzo pięknym statku i mówili,
Nie wiem już czy prawdziwą, czy kłamaną mową,
Jako po śmierci ojca zapadł wyrok z góry,
Że tylko ja Pergamu zdobyć mogę mury.
Gdy mi to powiedzieli, ja czémprędzéj chciałem
Odpłynąć w drogę, widząc, że pospieszać muszę,
Ażeby żal uczynić nad rodzica ciałem
Nim je pogrzebią, zwłaszcza żem go w życiu całém
Nie widział. Przytém mile zaprzątała duszę
Wieść, że ja za przybyciem twierdzę Troi skruszę.
Jakoż w dwa dni, tak dzielnie sprawiały się wiosła,
Że pod smutny Sygejon fala mnie przyniosła (2).
Zaledwiem wylądował wnet się obóz zrywa
Cały, toż w powitanie wedle mnie zatoczy
Wielkie koło, a czyje padną na mnie oczy,
Przysięga, że to postać Achillesa żywa.

---

(1) Nazwisko wychowawcy Achillesa było Fenix.
(2) Jest to nazwa przylądka na wybrzeżu Trojańskiém, gdzie Achilles rozbił namioty i gdzie był pochowany.

On zaś leżał na marach. Ja najnieszczęśliwszy,
Gdym gorąco śmierć jego opłakał, po chwili
Do miłych się Atrydów, jak słuszna, zbliżywszy,
Chciałem, by mnie broń ojca i spadek zwrócili.
A oni odpowiedzą mi mową zuchwałą:
„Synu Achilla! wszystko cokolwiek zostało
„Po ojcu, możesz zabrać sobie, oprócz broni;
„Kto inny dziś, Laerta syn, ma prawo do niéj.“
Mnie łzy trysnęły z oczu; gniewnym zdjęty szałem,
Z boleścią w te się słowa do nich odezwałem:
„Nikczemni! jakżeście wy śmieli, z krzywdą moją,
„Bez méj wiedzy, rozrządzać ojca mego zbroją?“
Na to Odysséj stojąc opodal powiada:
„Chłopcze! mnie się to słusznie dziedzictwem dostało,
Bom ja i broń Achilla ocalił i ciało.“
A ja mu na to w złości, która mną owłada,
Rzuciłem mnóstwo obelg i przekleństw, jeżeli
Tę broń, która jest moją, zabrać się ośmieli.
On zasię do żywego dotknięty, lecz w mowie
Oględny zwykle, na to co słyszał odpowie:
„Tyś nie był z nami, ale gdzieć nie należało,
„I jeszcze rozpościerasz się mową zuchwałą;
„Więc, widzi się, do Scyros odpłyniesz bez zbroi.“
Ten usłyszawszy wyrok ciężkiéj krzywdy mojéj,
Odpłynąłem do domu, odarty za młodu
Z własności przez Odyssa, co jest niecnym z rodu.
Lecz ja go nie oskarżam, ale wodzów; jako
I gród i cały obóz ulega jednako
Tym, którzy rządzą. Często ludzie, przykładami
Sterników zachęceni, źli stają się sami.
Skończyłem już.—Ten, komu Atrydzi niemili,
Niech się ku mnie, ku bogom, życzliwie przechyli.

Chór. O ziemio! gór miłośnico (1),
Ty, żywicielko istności wszelkiéj,
Samego Zeusa rodzico,
Co mieszkasz gdzie Paktol wielki

---

(1) Ziemia, jako bóstwo, zwie się w języku mitologicznym *Kybele*. Bóstwo to czczone było na wyspie Lemnos, oraz w Lidii, gdzie płynęła rzeka Paktol, złotodajna, o któréj mowa w następnych wierszach.

Złotodajny sączy plon!
O szanowna matko, ty!
Myśmy tam cię już błagali (1),
Kiedy Atrydzi zuchwali
Z krzywdą dłań, zbroję rodzica
Odyssowi wręcz oddali,
Dar, co go chlubnie zaszczyca.

Fil. A toż widzę,—że płynąc tu do mnie przez wody,
Jużeście mieli żywe do żalu powody;
Wy zgadzacie się ze mną: widzę w waszéj mowie
Atrydów i Odyssa postępki,—mężowie!
Wiem ja, że w uściech jego kłam jedno i zdrada,
Co mówi to ku złemu zawsze się układa,
Nie dziwię mu się wcale, lecz temu niemało,
Że to w oczach starszego Ajaxa się stało (2).

Neop. Ten już nie żyje,—gdybyż żył w téj chwili,
Oniby zbroi na mnie nie złupili.

Fil. Co rzekłeś? Jakto, Ajax już nieżywy?

Neop. Tak, on nie ujrzy już świetlanéj strony.

Fil. Lecz syn Tydeja żyje,—o ja nieszczęśliwy!... (3)
I od Syzyfa żyje odkupiony (4)
Syn Laertesa!... Ci bogdaj nie żyli!

Neop. Bynajmniéj. Oni,—wiedz o tém,—że ninie
Najbujniéj kwitną w Argiwskiéj drużynie.

Fil. A tenże starzec, zacny Nestor z Pyli,
Druh mój? Przeciwnym był pewnie złych radzie,
I mądre zdanie przedstawiał gromadzie?

Neop. Oj, i na niego przyszła zła godzina:
Śmierć mu zabrała Antilocha, syna.

Fil. Dwie równie straszne wieści ty głosisz mi społem:
Usłyszéć o ich śmierci ja najmniéj pragnąłem.

---

(1) *Tam*, oznacza pod Troją.

(2) Dwóch było Ajaxów: starszy był synem Telamona, młodszy Ojleja.

(3) Synem Tydeja był Diomedes, który wraz z Odyssejem śmiałe przedsiębrał wyprawy, dla tego też jako przyjacielowi Odysseja, poeta kładzie w usta Filokteta przekleństwo przeciw temu bohaterowi, chociaż tenże, zdaje się, żadnego udziału nie miał w jego wyrzuceniu na odludną wyspę.

(4) Wyrażenie dosłownie przetłómaczone. Oznacza ono, według podania, że kiedy Laërtes żenił się z Antikleą, ta była już wówczas brzemienną Odyssejem, jako poprzednio kochanka Syzyfa. I w dalszym ciągu też Filoktet gniewny nazywa Odysseja Syzyfowym synem, czyniąc przez to aluzyą do jego nieprawego urodzenia.

Na co tu patrzéć, tacy gdy giną mężowie,
A Odyssowi sprzyja najdzielniejsze zdrowie;
Jego to było raczéj wyprawić na mary.
Neop. Mądry to gracz. Lecz często i mądre zamiary
O! Filoktecie, łamią się w pół drogi.
Fil. A jak tam z tobą, Patrokl,—powiédz mi na bogi!...
Który ojcu twojemu najmilszym był zawdy?
Neop. Nie żyje. Krótkie słowo, a dowiész się prawdy.
Złych ludzi wojna nie bardzo jest chciwa,
Ona najlepszych zazwyczaj wyrywa.
Fil. Zgoda.—Właśnież dla tego pytam cię czy żywy
Jest jeden człowiek wielce niegodziwy,
A znan z dowcipu i zręcznéj wymowy.
Neop. Toż pytasz chyba o Odyssa życie?
Fil. Nie o nim mówię, ale o Tersycie,
Który wielekroć powtarząć gotowy,
Czegoby uszy nie chciały niczyje.
Neop. Jam go nie widział, ale wiem, że żyje.
Fil. Tak być musiało;—gdy dotąd nic złego
Wzdy nie zginęło, gdy je bóstwa strzegą;
Gdy złe, przewrotne, z radością ich siła
Dobywa z Piekieł a cne tam posyła.
Co o tém trzymać? Chwalić je?... Toż chwalę;
Lecz bóstwa złemi zdają mi się wcale.
Neop. Ja zaś, o! mężu, zrodzon na Etejskiéj ziemi,
Postaram się, by zdala tylko oczy moje
Patrzały na Atrydów odtąd i na Troję.
Bo gdzie zły górę ma nad uczciwemi,
Gdzie zbrodnia rządzi, a dobro przepada,
Tam życie z ludźmi dla mnie się nie nada.
Dobra mi Skyros skalista. Mnie na niéj
Wystarczy szczęście w domowéj przystani.—
Teraz idę do statku.—Ty, synu Peana,
Bywaj mi szczęśliw, i niech się twa rana
Szczęsnie przy boskiéj pomocy zasklepi.
A my ruszajmy, iżbyśmy w téj chwili,
Gdy bóg wiatr ześle, od lądu odbili.
Fil. Odchodzisz, synu?
Neop. Odchodzę; boć lepiéj
Zbliska naglądać przy powrotnéj drodze.
Fil. O! synu, synu! ja do cię przychodzę,
Na ojca, matkę, na wszystko co tobie

Miłe w ojczyznie, zaklinam i proszę,
Byś mnie nie rzucał w téj strasznéj chorobie,
W złem, które widzisz, które ja ci głoszę;
Lecz weź na statek i pomieść w dodatku.
Przykry zaprawdę to ciężar na statku,
Podejm go jednak. Wszak człowiek wspaniały
Brzydzi się brzydkiém, kocha godne chwały.
Gdy mi odmówisz, to wyrzutu brzemię
Spadnie na ciebie; za to wielka chwała
Gdy ja żyw stąpię na Etejską ziemię.
Patrz! dzień zaledwie ta rzecz będzie trwała.
Ośmiel się! Wziąwszy, złóż mnie na pokładzie,
Na przodzie statku, w tyle, czy gdzie chcecie,
Bylem jak najmniéj dokuczał gromadzie.
Na imię Zeusa daj się skłonić, dziecię!
Nie zostaw mnie tu samego,—zdaleka
Od dróg, po których widny szlak człowieka.
Do nóg twych padam, chromy i zbolały,
Ratuj mnie, zawieź do swego siedliska,
Lub pod Eubei Chalkodona skały (1),
Zkąd mi już droga i do Ety bliska,
I do Trachiny i do tych wybrzeży
Śród których Sperchios miłym prądem bieży (2).
Pokaż mnie ojcu, ja tak dawno przecie
Ani wiem, jest-li on jeszcze na świecie.
Nieraz jam przez tych co na tém ostrowie
Gościli, błagał go modły kornemi.
By przybył wziąść mnie do rodzinnéj ziemi.
Lecz albo umarł, albo też posłowie
Mało snać ważąc rzecz mą,—nie dziwota!
Spiesznie wrócili za domowe wrota.
Dziś ja do ciebie zwracam się: ty wodzą,
Ratunkiem, bądź mi! Zlituj się! Patrz, wiele
Jest niebezpieczeństw co w człowieka godzą,

---

(1) Chalkodon był jednym z towarzyszów Heraklesa wypraw.

(2) Góry Eta, stanowiące dalszy ciąg łańcucha Pindu, dzieliły Focydę od południowéj Tessalii. Pomiędzy wzgórzami Ety i morzem ciągnie się bardzo wązki wąwóz, trzymający ledwie sześćdziesiąt kroków: tam to, w miejscu zwaném Termopyle, Leonidas stawił ów nieśmiertelnéj chwały bohaterski opór zastępom perskim. Trachina zwieszała się na pochyłości Ety. Tam też znajdowały się źródła rzeczki Sperchios, któréj nazwa dzisiejsza nam niewiadoma.

Czy mu się dobra, czy zła dola ściele.
Patrz w oczy złemu, choć życie upływa
Zdala od troski: gdy dola szczęśliwa -
Człowiek najpilniéj winien baczyć na nię,
By go nie zeszła zguba niespodzianie. —

Chór. O, panie!
Miéj nad nim politowanie!
W jego smutnéj powieści
Siła trudów bolesnych się mieści,
Co bodaj nie udręczyły
Nikogo, który nam miły.
Jeśli płoniesz nienawiścią
Dla dzikich Atrydów, panie,—
Spraw, niechaj ich złe korzyścią
Gwoli jego się stanie.
Na statku zbrojnym go wprowadź
Rychło do ojczystych progów.
Gdzie on pragnie się uchować
Od pomsty bogów.

Neop. Ty bacz, co teraz przemawiasz łaskawie
W miękkości serca;—gdy na jednéj nawie
Z nim zamieszkawszy, przejmiesz się chorobą,
Byś wówczas nie był sprzeczny z samym sobą.

Chór. Nie. Z wolą moją nigdy się nie stanie,
Byś ten wstyd słusznie wyrzucał mi, panie.

Neop. Wstydem byłoby, gdybym ja od ciebie
Mniéj był pochopnym wygodzić potrzebie
Tego człowieka. Więc gdy pragniesz szczerze,
Płyńmy niech spieszy; statek go zabierze.
Oby nas tylko bóg z tego wybrzeża
Zawiódł szczęśliwie, gdzie chęć nasza zmierza.

Fil. O! dniu radosny, o! zacny młodzianie!
Czém ja zawdzięczę wam, majtkowie mili,
Tę łaskę jaką mnieście wyświadczyli!
A teraz, synu, pójdź na pożegnanie
Do smutnéj groty. Tam dowiesz się, miły,
Jak żyłem, jakie posiadałem siły.
Bo ja nie wierzę, by, prócz mnie, na ziemi
Mógł kto znieść, choćby oczyma samemi,
Taką męczarnię. Ale jam powoli,
Potrzebą znaglon poddał się niedoli.

Chór. Stójcie! Co to jest? Idą dwaj mężowie:
Jeden ze statku, nieznany mi drugi.
Więc tam nie wchodźcie, aż który co powie.

Kupiec (1). Synu Achilla! Pytałem się sługi,
Co tam samotrzéć stróżował nad statkiem,
By mi powiedział, gdzie cię znaléść mogę;
Bo niespodzianie zabiegam ci drogę,
Na tę się ziemię dostawszy przypadkiem.
Do Peparety, co płodna jest w wino (2),
Ojczyzny mojéj, z niewielką drużyną
Wracam mym statkiem z Ilionu. Wtém słyszę,
Że wszyscy, którzy tym okrętem płyną
Są to majtkowie, twoi towarzysze.
Więc pomyślałem, że do rzeczy zrobię,
Jeśli w milczeniu z tych stron nie odjadę,
Lecz przed wyjazdem udzielę ci radę,
Słuszną nagrodę tém sposobiąc sobie.
Snadź nie wiem co się wedle ciebie święci,
Jakie Argowie nowe mają chęci,
I nie już chęci, ale przedsiębiorą
Czyny, z któremi uwiną się skoro.

Neop. Jeśli przyroda złym mnie nie stworzyła,
Przezorność twoja jest mi wielce miła.
Lecz mi wyjaśnij coś mówił w téj chwili,
Jakie są Argów względem mnie zamiary?

Kup. Tezeja syny, z niemi Fenix stary (3)
W pogoń na statkach za tobą ruszyli.

Neop. Chcą-li mnie zwrócić siłą czy namową?

Kup. Nie wiem. Com słyszał, mówięć słowo w słowo,

Neop. Czy to miłością dla Atrydów zdjęty
Fenix z drugimi wpadli na okręty?

Kup. Wiedz, że niebawem pocznie się wyprawa.

Neop. Czemuż to Odyss przeciw mnie nie stawa,
Boiż się podjąć własnego wyzwania?

Kup. Z synem Tydeja Odyss się wybiera,

---

(1) Mniemanym tym kupcem jest szpieg Odysseja, wspomniany w pierwszéj scenie.

(2) Jedna z wysp Cyklad na morzu Egejskiém, pomiędzy Lemnos i Eubeją.

(3) Synami Tezeusza byli podobno Akamas i Demofon (według Scholiasty), ale w Homerze nie wspomniani.

Lecz by innego ująć bohatera.
Przy mnie wyruszał.
Neop. Za kimż się ugania?
Kup. Jest ktoś.— Lecz wprzódy ty mi powiédz zasię
Kto jest ten:— zcicha możesz to wygłosić.
Neop. To, gościu, sławny Filoktetes.
Kup. Dosyć!
Nie mów nic więcéj, lecz w najprędszym czasie
Siadaj na statek i wynijdź z téj ziemi.
Fil. Co żeglarz szepcze słowy tajemnemi?
Może to-jaka przeciwko mnie zdrada?
Neop. Nie wiem. Lecz musi jawnie, co powiada,
Zeznać przed tobą, przedemną, przed niemi.
Kup. Nie wadź mnie z wojskiem, żądając odemnie
Bym rzekł co oni uknuli tajemnie.
Jam człek ubogi, a korzyść mi płynie
Z tych usług, które wyświadczam drużynie
Greckiéj.
Neop. Wrogami dla mnie są Atrydzi;
Ten zasię miłym, bo ich nie nawidzi.
Jeśliś więc do mnie przybył w dobréj wierze,
Winieneś, co wiesz, wypowiedziéć szczerze.
Kup. Zważ synu....
Neop. Z góry zważyłem dokładnie.
Kup. Odpowiedzialność niech na ciebie spadnie.
Neop. Zgoda. Lecz pocznij.
Kup. Więc, jak powiedziałem,—
Tego to męża z szalonym zapałem
Ściga Odyssej i syn Tydejowy.
Obaj przysięgli w obec całéj rzeszy
Wziąść go w moc gwałtu, albo w moc namowy;
Lecz większą Odyss pewnością się cieszy:
Jasnemi Grekom to wyjawił słowy.
Neop. Z jakiéjż przyczyny, po tak długiéj dobie
Atrydzi wreszcie przypomnieli sobie
O tym, którego zdawna odrzucili?
Zkąd im pragnienie to przyszło w téj chwili?
Jestli to rozkaz, jestli to gniew boży,
Który się przeciw złym postępkom sroży?
Kup. Gdy nie wiesz, ja ci opowiem tę sprawę.
Był w Troi Helen, co miał wieszcza sławę,
Syn Pryjamowy.— Ów, na kogo zbliska

Najobelżywsze padają przezwiska,
Podstępny Odyss, sam z obozu nocą
Wyszedłszy, chwyta młodziana pzemocą,
Kuje w kajdany, i między Achaje
Spiesząc, tę piękną zdobycz im oddaje.
On zasię wróżył wszystko co ich czeka:
— Że baszty Troi nie legną w ruinie,
Aż tam namową sprowadzą człowieka
Z téj wyspy, którą zamieszkuje ninie.
Aż syn Laerta zaraz im przyrzeka,
Ledwie wróżbity to usłyszał słowo,
Że go sprowadzi,— dufając,— namową;
Albo i siłą, jeśli stawi opór:
Chybi, to głowę oddaje pod topór.
Teraz wiesz wszystko. Więc radzęć: w téj chwili
Ruszaj ztąd i tych zabierz co ci mili.
Fil. Zbrodniarz ten przysiągł, o! ja nieszczęśliwy,
Namową ściągnąć mnie między Achiwy!
Prędzéj po śmierci by mnie namówili,
Bym na wzór jego rodzica, z ukrycia
Piekieł powrócił do światłego życia (1)
Kup. Ja tego nie wiem, i wracam na morze:
Wam tu wyroki niech sprzyjają boże. (odchodzi)
Fil. do *Neop.* O synu powiédz, czyż to nie okropnie
By on się chełpił jako tego dopnie,
By mniemał, że mnie słodkiemi słówkami
Ztąd do Achajskich obozowisk zmami?
Nie! Jabym raczéj usłuchał téj żmije
Srogiéj, przez którą dziś kulawy żyję.
Lecz on i działa tak śmiele, jak prawi.
Więc się zapewne niebawem tu zjawi.
Toż pora, synu! byśmy popłynęli;
Pójdź! niech nas morze szerokie oddzieli
Od jego statku.— Po skończonym trudzie,
Mile w śnie cichym spoczywają ludzie.

---

(1) Syzyf, którego tu Filoktet wciąż podaje za naturalnego ojca Odysseja, wymógł po śmierci na Hadesie, że go wypuścił chwilowo z Piekieł na ziemię dla ukarania niewdzięcznéj małżonki. Raz jednak wypuszczony, niebardzo śpieszył się z powrotem.

Neop. Wiatr jest przeciwny. Jak zejdzie od brzega,
Wraz popłyniemy.
Fil. Ej, nie ma złéj drogi,
Jeżeli człowiek od złego odbiega.
Neop. Lecz i Achajom ten wiatr nie jest błogi.
Fil. Oj! z każdym wiatrem zbójca się zabierze,
Gdy ma na myśli gwałty i grabieże.
Neop. Idźmy, gdy pragniesz. A zabierz z jaskini
Co ci pożytek lub przyjemność czyni.
Fil. Muszę coś wybrać, chociaż mam niewiele.
Neop. Cóż jest, co na mym statku się nie mieści?
Fil. Mam gwoli rany łagodzące ziele,
Którém najsnadniéj koję me boleści.
Neop. Zabierz. Cóż jeszcze chciałbyś zabrać ninie?
Fil. Wejrzę. czy jaka nie leży gdzie strzała:
Nie chciałbym aby komu się dostała.
Neop. Czy ten łuk dzierżysz, który wzdy tak słynie?
Fil. Ten sam, nie inny, z którym w ręku stoję.
Neop. A mnie czy wolno zbliżyć się ku niemu,
Obejrzéć, dotknąć, uczcić pobożemu?
Fil. I to, i wszystko wolnoć tknąć co moje.
Neop. Chciałbym, lecz według słuszności żądania:
Nie słuchaj żądań, których słuszność wzbrania.
Fil. Wszystko ci wolno za to święte słowo,
Gdy światłem słońca darzysz mnie na nowo,
Gdy mnie powracasz do Etejskiéj ziemi,
Łączysz z rodzicem i z druhy mojemi,
Gdy mnie podniosłeś upadłego nisko
Wyżéj nad wrogów moich stanowisko,
Ośmiel się. Łuk ten na twoje rozkazy,
Baw się nim, zwracaj, bierz, ile chcesz razy.
Możesz przed ludźmi pochlubić się śmiało
Że ci pierwszemu dotknąć się dostało
Do tego łuku, bez mojéj obrazy,
Gwoli twéj cnoty; bo wraz od spotkania
Coś przyjaznego mię ku tobie skłania.
Ten łuk, to również nagroda przysługi:
Kto umié płacić wdzięcznością za długi,
Ten się z łatwością przyjacielem stanie
Lepszym, niż wszelkie inne posiadanie.
Neop. Wejdź że do grotty.

Fil. Wejdę tam przy tobie:
Dobrze podporę mieć w mojéj chorobie.

Chór.

I.

Z wieści mi tylko wiadomo,
Bo nie widziałem na oczy
Iksjona, co gdy kryjomo
Do Zeusa łożnicy kroczy,
Syn go wszechmocny Kronowy
Żywcem zakuwszy w okowy,
Zawiesza na kole, które
Wiruje to w dół to w górę.
Lecz Filoktet!... ja nie znam nikogo
Czyja dola byłaby tak srogą!
On nic złego nie czynił nikomu,
Nie pozbawił ni życia ni domu,
On z prawymi był prawym, a przecie
Marnie ginął na świecie.
Dziw to dla mnie nie mały,
Jak on żyć mógł samotny, znędzniały,
Nic nie widząc, nie słysząc nic wcale,
Jedno jak się tam fale
Wkoło brzegów łamały.

II.

Sam sobie sąsiad, stąpać nie może
Dla choréj nogi; nie miał nikogo
Przed kimby boleść wypłakał srogą,
Łkającą echem, która go porze.
Nikt mu nie urwał z żywiącéj ziemi
Ziół łagodzących, ażeby niemi
Wstrzymać krew wrzącą, kiedy mu z ciała
Bolesną strugą wytryskiwała.
Tędy owędy, z tą nogą chorą
Pełzał jak dziecię, gdy mu zabiorą
Piastunkę lubą: szedł długi czas
Gdzieby z łatwością dostał się wraz,
Gdyby ustała plaga straszliwa,
Która mu bolem duszę rozrywa.

III.

Równo z ludźmi przemyślnymi,
On tu płodów świętéj ziemi
Nie skosztował; lecz zgłodniały
Chwytał co skrzydlate strzały
Na łuk bystry nałożone
Porzuciły w jego stronę.
Przez lat dziesięć pustelnik ów biédny
Nie znał wina kropelki ni jednéj,
A jeżeli zapragnął ochłody,
Do stojącéj, gdzie była, szedł wody.

IV.

Ale spotkawszy tu przecię
Poczciwych rodziców dziecię,
Szczęśliwy, wielki, zwycięski,
Wyjdzie nareszcie z téj klęski.
Po tak wielu miesiącach,—w okręcie
Szybującym po morskim odmęcie
Przez dziecię to sprowadzony,
Ojczyste ujrzy znów strony,
Na brzegu Sperchijskim stanie
Gdzie nimf Melijad mieszkanie
Gdzie mąż o tarczy miedzianéj
Na Ety stąpiwszy czoło,
Niebiańskim ogniem oblany,
Szedł w bogów wmięszać się koło (1).

Neop Pójdź! Czemu usta twoje zaniemiały
Bez racyi? Czemu stoisz skamieniały?
Fil. Ach! ach!
Neop. Co ci jest?
Fil. Nic. Idźmy, młodzianie.
Neop. Czy ból z choroby trzyma cię w tym stanie?
Fil. Nie; już się pono uśmierza... O! bogi.
Neop. Czemu je wzywasz jęczeniem?

---

(1) Herakles, który umarł w Trachinie, w skutek palącéj koszuli, jaką mu przysłała żona Dejanira. Filoktet sprawił mu pogrzeb na jedném ze wzgórzów Ety, gdzie spalił ciało jego na stosie i został spadkobiercą jego strzał.

Fil. By błogi
Ratunek dały nam... Ah! ah! ah!
Neop. Co to?
Nic że nie powiesz? Co ci z tą niemotą?
Widać że ból cię ima jakiś srogi!
Fil. O! dziecię, ginę! Przed wami nie mogę
Dłużéj skryć bolu co mi trapi nogę.
Ah! ah! przenika straszny, dokuczliwy.
O! biedny człowiek! o! ja nieszczęśliwy.
Synu! ja ginę, pali mnie! O bogi!
Ah! ah! jeżeli masz gdzie miecz pod ręką,
Uderz w kończynę téj przeklętéj nogi,
Nie szczędź mi życia, bylem skończył z męką.
Neop. Cóż tam tak nagle zrobiło się, że cię
Do takich żalów dowodzi?
Fil. Wiesz, dziecię.
Neop. Nie wiém; co ci jest?
Fil. Wiesz, synu.
Neop. Cóż przecie?
Nie wiém.
Fil. Jak nie wiesz?... Bogi! gwałtu! bogi!
Neop. Ciężar choroby snadź okrutnie srogi?
Fil. Oh! niewymownie srogi. Nim przeminie
Ty się nademną zlituj.
Neop. Cóż uczynię?
Fil. Oto przez bojaźń nie zdradzaj mnie, proszę.
Ból mój chwilowe ma tylko porywy,
I nasycony odchodzi potroszę.
Neop.. O! nieszczęśliwy!
Fil. Iście nieszczęśliwy!
Wszem klęskom we mnie zadosyć się stało.
Neop. Mamże cię dotknąć, podtrzymać twe ciało?
Fil. Nie. Jak pragnąłeś, weź ten łuk do ręki,
I niech on będzie w pilnéj straży twojéj
Póki się we mnie złe nie uspokoi;
Gdyż mnie sen ima pod koniec téj męki.
Przed snem się ona nie utuli, ale
We śnie nie trzeba przebudzać mnie wcale.
Podczas snu mego gdyby przyszli oni,
Wiesz kto... pamiętaj, nie daj im téj broni,
Ja cię zaklinam w imię bogów w niebie,
Ni dobra wola, ni podstęp, ni siła,

Niech jéj nie wydrze; ta brońby zabiła
Ciebie i tego, który błaga ciebie.
Neop. Spuść się na moję przezorność w potrzebie:
Nikt jéj nie dotknie, oprócz mnie i ciebie.
Na szczęście nasze, daj ją Filoktecie.
Fil. Masz; ale Zawiść zaklnij ty, o! dziecię,
By ta broń mniejsze zrządziła ci trudy,
Niż mnie i temu co ją dzierżył wprzódy.
Neop. Niechże nam bogi ziszczą to żądanie!
Niech nas żegluga zawiedzie szczęśliwa
Tam, dokąd dążym i gdzie nas bóg wzywa!
Fil. Boję się, synu, czyli tak się stanie;
Bo znowu czarna krew sączy się z głębi,
I znowu czekam czy mnie co nie zgnębi,
Gwałtu! oh, jeszcze!... Ach, przeklęta nogo!
Kiedyż przestaniesz dręczyć mnie tak srogo?
Już ból się zbliża... Nieszczęśliweż życie!
Nie uciekajcie: widzicie, widzicie!
Królu Itaki! oby w twojém łonie
Zawrzał ból, który ja cierpię w téj chwili.
Wodzowie wojska, o! Agamemnonie,
O! Menelaju, obyście żywili
Ten żar tak długo, jak on we mnie płonie!
O! śmierci, śmierci, codzień upragniona
Przecz nie przybywasz na moje wołanie?
O! zacny synu, ujmij mnie w ramiona,
I spal mnie, spal mnie, szlachetny młodzianie,
Lemnejskim ogniem; tak jak moje ręce
Potomka Zeusa spaliły na dobie,
Za com od niego otrzymał w podzięce
Ten łuk i strzały, którem zwierzył tobie,
Milczysz? Gdzież jesteś? Ozwij się młodzianie!
Neop. Nieszczęścia twoje serce mi druzgocą.
Fil. Bądź dobréj myśli: ból ten z wielką mocą
Przychodzi na mnie, ale nie zostanie
Zbyt długo. Tylko niech was bogi strzegą
Byście opuścić mieli mnie nędznego.
Neop. Bądź że spokojny; zostaniem.
Fil. O! dziecię,
I ty zostaniesz przy mnie?
Neop. Nieodstępnie.
Fil. Przysięgą wiązać nie chcę cię.

Neop. Toż przecie
Porzucać ciebie byłoby występnie (1).
Fil. Teraz, ażeby wiary mi dochować
Daj rękę w rękę.
Neop. Masz.
Fil. A teraz prowadź... (2).
Neop. Gdzie?
Fil. W górę.
Neop. Nowyż szał ogarnia ciebie?
Dla czegoż oczy tak utkwiłeś w niebie?
Fil. Puszczaj mnie, puszczaj!
Neop. W którąż wieśdź cię drogę,
By na niéj puścić?
Fil. Puszczaj mnie.
Neop. Nie mogę.
Fil. Jeśli mnie dotkniesz, zginę z ręki twojéj.
Neop. Puszczę cię, gdy się umysł twój ukoi.
Fil. O! ziemio, przyjmij człowieka co kona:
Ustać nie dają mi już te męczarnie.
Neop. Już go podobno wkrótce sen ogarnie,
Bo głowa jego chyli się do łona.
Po całém ciele pot go zlewa srodze,
I czarna żyła pękła mu na nodze,
Krew z niéj wytryska. Przyjaciele moi,
Bądźmyż spokojni, niech go sen ukoi.
Chór. O! śnie, który nie znasz bólu
Ani trudu, wielki królu,
Który szczęściem darzysz nas;
W lekkim oddechu daj mu błogi wczas.
Utrzymaj na jego twarzy
Blask, co teraz na niéj żarzy:
Znijdź, znijdź najlepszy z lekarzy.
Teraz ty, o! dziecię, zważ
Gdzie masz pójśdź, gdzie stanąć masz.

---

(1) Tu i w kilku innych miejscach podwójnie należy rozumiéć wyrażenia Neoptolema: Filoktet bierze je za głos współczucia; wódz dorozumiewa się, iż to zarówno dobrze stosuje się do wykonania planu Odysseja.

(2) Te urywane wyrażenia najprawdopodobniéj trzeba rozumiéć tak, że Filoktet chce by go zaprowadzono do groty, która istotnie mieściła się na wyniosłości; ale ból nie dozwala mu należycie się wysłowić, aż wysilony pada i zasypia.

Nasz niepokój widzisz sam:
Poco tu zostawać nam?
Okoliczność wszystkiém włada;
Kto ją schwyci, temu rada (1)

Neop. On już nie słyszy: przeto powiedziéć wam mogę,
Że bez niego daremnie wyruszać nam w drogę,
Pomimo na tym łuku spełnionéj grabieży.
Jego kazał bóg przywieśdź, jemu się należy
Zwycięztwa wieniec. Smutna byłaby to chwała
Z rzeczy, co się pomimo kłamstwa nie udała.

Chór. To pod boską stoi pieczą:
Twoją zaś, o! dziecię rzeczą,
Cichy przesłać szelest słów
Gdy się do nas ozwiesz znów.
Bo sen chorego to nie sen prawie,
Wszystko on widzi jakby na jawie.
Zważ w tajni, jak możesz zdaleka,
Jaka praca na cię czeka,
Jeżeli tak myślisz o tém
Jak ten co go nie wymienię (2),
Wielkim obarczysz kłopotem
Roztropnych ludzi sumienie.
Pomyślny wiatr tobie:
Ten człowiek w chorobie
Tu leży bez wzroku,
Bez żadnéj obrony;
Sen ciepły mu z mroku
Dodaje osłony;
Ni ręką nie władnie, ni nogą, ni niczém,
Jak gdyby już leżał przed śmierci obliczem.
Więc kiedy czas sprzyja,
Bacz, dziecię, czy słowo twe trafnie rozkaże;

---

(1) W przekładzie tych ostatnich dwóch wierszy chóru użyliśmy pewnéj dowolności, gdyż język tekstu jest tak zagmatwany, żeśmy zaledwie ogólnego sensu dorozumiéć się mogli. Dosłowne wyrażenie byłoby następujące: „Toż sposobność mająca roztropność we wszystkiém, otrzymuje wielką potęgę przed nogą."

(2) Z całego toku widać, że chór mówi do Neoptolema, tak, ażeby Filoktet nie słyszał, lub nie rozumiał o co chodzi, gdyby nawet wyszedłszy z omdlenia, ułyszał. Dla tego też Chór nie chce wymienić jego nazwiska.

Bo trud ten najlepszy, o ile ja ważę,
Co troskę wymija.

Neop. Milcz; niech za rozum słowo nie wykroczy:
On wznosi głowę i otwiera oczy.
Fil. Światło, co po śnie wschodzisz, i wierności
Nadspodziewanie strzegłeś u mych gości!
Nie przypuszczałem, o! synu, na chwilę
Znaleźć u ciebie cierpliwości tyle,
Tyle litości, iżbyś moje męki
Przeczekał,—wytrwał, nie usuwał ręki.
Atrydzi, dzielni wojacy; a przecię
Tegoby chętnie nie znieśli. O! dziecię,
Zła woń cię dręczy, krzyk uszy kaleczy,
Ty jednak lekko puściłeś te rzeczy,
Boś zacny w sobie jak rodzice twoi.
Teraz, gdy we mnie złe, zdaje się, koi,
Ty sam mnie podnieś i postaw na nogi,
Abyśmy byli gotowi do drogi:
Bo gdy choroba nareszcie się zmoże,
Chciałbym na okręt i zaraz na morze.
Neop. Radem, że mimo oznaki złowieszcze
Przestałeś boleć i oddychasz jeszcze:
Cokolwiek cierpisz teraz,—w porównaniu,
Tyś wprzód wyglądał jak człek na skonaniu.
Owoż się podnieś; a jeśli ci miléj,
To cię tam moi zaniosą téj chwili:
Ja tym rozkazem wstrętu im nie zrobię,
Gdy to się zdało dobrém mnie i tobie.
Fil. Dzięki ci; ale sam tu spraw się ze mną,
A im daj pokój: nie chciałbym daremno
Złym ich wyziewem zatruwać; dość będzie
Gdy na okręcie taki gość zasiędzie.
Neop. Dobrze. Wstań teraz i trzymaj się sam.
Fil. O! wstanę, wstanę, jako zwyczaj mam.
Neop. Przebóg! nieszczęsny, cóż potém uczynię?
Fil. Cóż to! Gdzież mową zawróciłeś ninie?
Neop. Nie wiém gdzie zwrócić mowę kłopotliwą.
Fil. Cóż się kłopoczesz?... Nie mów tak o! dziecię.
Neop. A w to nieszczęście popadłem ja przecię.
Fil. Czyć ma choroba dokucza tak żywo,
Że mnie mieć z sobą nie chcesz na okręcie?

Neop. Wszystko człekowi dokucza zawzięcie,
Gdy on nie bacząc na to, co mu dała
Natura z rodu, niewłaściwie działa.
Fil. Dobrego człeka wspierając w niedoli,
Czynem tym stwierdzasz pochodzenie swoje.
Neop. Złym ci się wydam: to mnie dawno boli.
Fil. Nie z czynów: tylko o słowa się boję.
Neop. Co czynić! Mamże w złe popaść raz drugi,
Kłamać bezczelnie, kryć co nie wypada?
Fil. Jeżeli sąd mój nie chybia,—to zdrada!
Tak; on bezemnie chce się jąć żeglugi.
Neop. Ja, odpływając, ciebie nie porzucę;
Ale oddawna tém się raczéj smucę,
Że ty przykrością okupisz tę drogę.
Fil. Dziecię! ja ciebie zrozumieć nie mogę.
Neop. Więc nic nie kryję: popłyniesz do Troi,
Gdzie z Atrydami grecka flota stoi.
Fil.. Przebóg! co mówisz?

Neop.—Nie jęcz że darémno,
Lecz wprzód wysłuchaj.

Fil. Co chcesz zrobić ze mną?
Neop. Chcę najprzód z twojéj wygoić cię rany,
A potém z tobą burzyć Troi ściany.
Fil. Takież istotnie są twoje żądania?
Neop. Ciężka konieczność do tego mnie skłania,
Lecz ty się przeto nie gniewaj daremnie.
Fil. Zgubiony jestem, nieszczęśliwy, zdrada!
Gościu, ty, gościu! czemu godzisz we mnie?
Oddaj mi łuk mój jak najprędzéj.

Neop. Biada,
Nie mogę! Dobrém, powinnością moją
Jest, tym ulegać co na czele stoją.
Fil. Wszechzgrozo! ogniu, gotujący zbrodnię!
Coś ze mną zrobił? Oszukał niegodnie,
I nie wstyd tobie, że błagam, zbolały,
Na klęczkach ciebie? Z tym łukiem i strzały
Życieś mi wydarł. Błagam, synu drogi!
Zwróć mi broń moję. Przez ojczyste bogi,
Nie bierz mi życia... Biada! Ja daremnie
Wołam: on oczy odwraca odemnie,
Milczy, jak gdyby nie chciał oddać broni.

Zatoki! góry! goście téj ustroni,
Zwierzęta górskie! o, urwiste skały!
Coście tu zwykłych żalów mych słuchały,
Wam i obecną skargę moję zwierzę,
Bo nie ma duszy, któréjbym mógł szczerze
Zjawić co sprawił mi syn Achillowy.
Przyrzekł mnie zawieśdź na moje ostrowy,
A teraz chciałby prowadzić do Troi.
Na wiarę dotknął ręką ręki mojéj,
A wziął Herakla łuk święty i chce go
Wydać Argiwom. Jak męża silnego
Ima mnie siłą; nie widzi żem trupem
Że widmo, dymu cień, będzie mu łupem.
Nie wziąłby on mnie gdybym ja był zdrowy!
I teraz nawet, podstępnemi słowy
Ujął mnie tylko. Oj! tak; jam w chorobie
Uwiedzion przezeń. Cóż, nieszczęsny, zrobię?
Zwróć mi łuk; bądź że samym sobą przecie.
Co mówisz?... Milczysz?... Więc już ja na świecie
Niczém nie jestem. Znowu do méj skały
Dwudrzwiowéj wrócę, bezbronny, zgłodniały;
A gdy mi łuk mój posługi nie czyni,
To ja samotny uschnę w téj jaskini;
Ni skrzydlatego ptaka nie ubiję,
Ani zwierzęcia co na górach żyje;
Tych, z których żyłem, żywnością się stanę;
Polować będą na mnie polowane;
Za śmierć ja śmiercią zapłacę. To zasię
Dziełem człowieka co niewinnym zda się.
Nie klnę cię jeszcze... może zmienisz zdanie...
Jeśli nie zmienisz, przepadnij, młodzianie.
Chór. Cóż czynić? Płynąć, czy jego głosowi
Uledz? Twój rozkaz, wodzu, niech stanowi.
Neop. Oh! litość nad nim, to wyznać wam muszę,
Jak wprzód, tak teraz napełnia mi duszę.
Fil. Przez bogi! zmiłuj się nademną, dziecko!
Nie dawaj ludziom do zgrozy przyczyny
Przeciwko sobie, żeś mnie zwiódł zdradziecko.
Neop. Pocóżem z mojéj wychodził krainy
Skyros! To wszystko okrutnie mię boli.
Fil. Ty złym nie jesteś, lecz złym radom gwoli
Przybyłeś: rzuć je tym co cię przysłali,

A mnie łuk oddaj i płyń sobie daléj,
Jak słuszna.
Neop. Ludzie, co robić?
Odyssej wpadając nagle.
Zuchwały!
Ty musisz oddać mi twój łuk i strzały.
Fil. Przebóg! Co słyszę, przyjaciele moi?
To Odyss!
Odys. On sam w oczach twoich stoi.
Fil. Zdradzonym!... Oh!... już nic mię nie uchroni.
To on mnie podszedł, on pozbawił broni.
Odys. Tak, jam to zrobił, nikt inny: nie przeczę.
Fil. Zwróć mi łuk, synu.
Odys. Choćby chciał, nie zdoła.
A ty się zabierz, lub do swego koła
Wezmą cię siłą.
Fil. Siłą? niecny człecze!
Odys. Jeśli nie pójdziesz dobrowolnie z niemi.
Fil. Lemnejski ogniu! wszechniszczący boże,
Tworze Hefajsta! ażaż to być może
By on przemocą imał mnie z twéj ziemi?
Odys. Zeus,—to masz wiedziéć,—panem w téj krainie,
Z jego to woli dzieje się jedynie,
Za moją sprawą.
Fil. O! człowiecze srogi,
Jak śmiesz na sprawę swą pozywać bogi,
Kłamcami czyniąc?
Odys. Rzecz mówię prawdziwą;
Ty musisz pójść w tę podróż.
Fil. Jako żywo,
Nie pójdę.
Odys. Pójdziesz. Słuchaj mnie!
Fil. Azali
Mnie sługą na świat rodzice wydali,
Nie mężem wolnym?
Odys. Równym z najpierwszemi,
Z któremi pójdziesz do Trojańskiéj ziemi,
Aby ją zdobyć i zburzyć.
Fil. Daremnie;
Wszelkie złe tego nie wymusi ze mnie,
Dopóki stoję na téj stroméj skale.
Odys. Cóż zrobisz?

Fil. Głowę swą o nią rozwalę,
Rzucę się w przepaść.
Odys. Bierzcie go, a w prędce,
By swojéj zadość nie uczynił chętce (1).
Fil. O jakaż dla was męka, ręce moje,
Że wzięty przezeń, bez łuku tu stoję!
O! ty człowiecze, przez którego głowę
Nie przeszło nigdy co zacne i zdrowe,
Jakże podszedłeś mnie za tarczą chłopca
Którego postać była dla mnie obca!
On spełnił rozkaz, lecz z tobą nie trzyma,
Mnie on jest godnym. Widać jak się zżyma
Na to co zrobił i co mnie doskwiera.
Zła twoja dusza, co w kąty zaziera,
Tych go złych dzielnie wyuczyła rzeczy
Którym i zdolność i chęć jego przeczy.
Teraz, związawszy, chcesz mnie wziąść z téj ziemi,
Na którąś przedtém rzucił mnie, złowrogi!
Bez przyjaciela, bez ojczyzny, -bogi!
Tak, umarłego między żyjącemi,
Bodajeś zginął!... Takie modły moje.
Ale ty żyjesz i dobre masz zdrowie,
Gdy mnie miłego nic nie ślą bogowie:
Tęsknię i ciągłe ze złem staczam boje.
Ty mnie wyszydzasz i ci dwaj wodzowie
Których wspomagasz, syny Atreusza.
Ciebie to podstęp i konieczność zmusza
Do wypraw z niemi; (2) ja z siedmiu okręty
Po dobréj woli ruszyłem w odmęty;
Oni mnie za to rzucili niegodnie,
Jak ty powiadasz, gdy oni tę zbrodnię
Tobie przyznają.— Teraz zaś ciekawym
Gdzie i dla czego ztąd mnie wywieśdź chcecie,
Mnie, którym dla was dawno umarł przecie.

---

(1) Tu zapewne na scenie Chór otacza Filokteta.

(2) Trudno zrozumieć dla czego Filoktet zarzuca Odyssejowi, jakoby go podstępem tylko i przymusem ściągnięto na wyprawę Trojańską, skoro wiadomo, że tak nie było i że Odyssej był jednym z najskwapliwszych i najczynniejszych wodzów. Policzyć to chyba trzeba na karb szału gniewnego, w jakim Filoktet wypowiada całą tę piorunującą tyradę, i przypuścić należy, iż na scenie Odyssej musi choć giestem przeczyć temu zarzutowi.

Czym ja dla ciebie nie jest już kulawym,
O! bezbożniku, rana nie woniejeż?
Jak przy mnie bogom ofiary rozlejesz?
Godziż się?... Wszak to pozór był jedyny
Żeś mnie ze wspólnéj wyłączył drużyny?
Bodajeś zginął! O, i zginiesz marnie,
Że mnie na takie skazałeś męczarnie,
Jeżeli słuszność w mirze mają bogi.
I mają, widzę, bo ty byś téj drogi
Nie podejmował do nędznego człeka,
Gdyby cię ku mnie nie pędził zdaleka
Bodziec, co w bożém objawił się słowie.
Ojczysta ziemio! wszechwiedni bogowie!
Skarzcie ich wszystkich raz, skarzcie! jeżeli
Litość nademną macie. Mnieby zdrowie
Zda się wróciło, gdyby wyginęli!

Chór. Ostry to człowiek, Odyssie, i mowa
Ostra jest jego,— przed złém się nie chowa.

Odys. Ja odpowiedziéć miałbym téż nie mało
Na jego mowę, gdyby czasu stało;
Lecz się krótkiemi muszę sprawić słowy:
Trzeba podstępu,— ja jestem gotowy;
Trzeba osądzić uczciwych,— daremnie
Pobożniejszego szukałbyś odemnie.
Mnie zwycięztw chętkę wszczepiła natura,
Lecz ciebie nie chcę nękać:— twoja góra.
Zwolnić go, nie tknąć; zostawić na skale.
Dla nas on wreszcie nie potrzebny wcale,
Skoro broń mamy: tam Teukros nią włada,
I moja ręka od niéj nie odpada;
Przecz więc?.. Pozostań i włócz sobie nogę
Po Lemnie. Bądź zdrów! A my daléj w drógę!
Może z twéj broni przypadnie mi chwała,
Któraby tobie była się dostała.

Filoktet. Przebóg! I cóż ja zrobię, nieszczęśliwy!
Mą bronią zdobnym ujrzą cię Argiwy?

Odyś. Nie mów nic do mnie; pożegnać cię wolę.

Fil. I ty odchodzisz, synu Achillowy!
Czyż mnie żadnemi nie pocieszysz słowy?

Odys. Ty pójdź i nie patrz na niego, pacholę!
Litość twa zepsuć może naszę dolę.
Fil. I wy mnie także rzucicie mężowie,
Bez miłosierdzia, samego w pustyni?
Chór. Ten młodzian wodzem naszym; co on powie
To my ci w zgodném odpowiemy słowie.
Neop. Znowu mnie Odyss o litość obwini:
Lecz wy zostańcie, jeśli taka wola
Tego człowieka, aż majtkowie z pola
Zniosą na okręt rozebrane rzeczy,
I my się boskiéj poruczymy pieczy.
A może on téż po niejakiéj chwili
Na naszę stronę chętniéj się przychyli!
My dwaj z Odyssem pójdziem ku brzegowi;
Gdy zawołamy, wy bądźcie gotowi

(odchodzi z Odyssejem)

Fil. O! ty, głęboka groto wśród skały
Grzejąca w zimie, chłodna w upały,
Muszęż przy tobie pozostać daléj,
Aż nieszczęsnego śmierć mnie powali.
Przebóg! pieczaro ty nieszczęśliwa,
Którą jęk bolów moich rozrywa,
Jakaż nadzieja, co ja dziś zrobię,
Codziennéj strawy by dostać sobie?
Bujający w górnéj stronie,
Wichrowemi świszcząc pióry,
Gdy ptak spadnie na mnie z góry,
Już ja mu się nie obronię.

Ch. Twoja wola, twoja wina,
Utrapiony człeku srodze!
Ni cię obce złe ugina,
Ni możniejszy stoić w drodze.
Mogłeś przecię w ciężkiéj dobie
Roztropnością wieśdź swą wolę:
A wzgardziwszy lepszą dolę,
Nędzę sam wybrałeś sobie.

Fil. O! nieszczęśliwy! Biadaż mi biada!
Cierpienie ze mnie igraszkę czyni;
Ja w téj bezludnéj zginę pustyni.

Przebóg! Ah! Żywność moja przepada.
Wszelki posiłek stracony:
Nie będą go posyłały
Pchnięte silnemi ramiony
Skrzydlate strzały.
Niepostrzeżone to słowa,
Które myśl podstępna chowa,
Tak mnie podeszły zdradliwie.
Obym ja mógł, póki żywię,
Widzieć jak sprawca téj doli
W moje wstąpiwszy koleje,
Tak długą męką przeboli
Jak ja boleję.

Chór. Bogowie, bogowie zrządzili to sami;
Nie podstęp mojemi zgotowan rękami.
Okropną swą klątwę rzuć innym nie nam;
O twoją życzliwość serdecznie ja dbam.

Fil. O! biadaż mi, biada!
Na białém wybrzeżu nad morzem on siada,
I śmiejąc się ze mnie łuk wznosi do góry,
Podporę żywota mojego, łuk, który
W obcém ręku nie postał na ziemi.
Drogi łuku! rękami wrogiemi
Z rąk przyjaznych wydarty,— gdy zważysz,
Mając czucie, to zmartwisz się szczerze
Iż Herakla nieszczęsny towarzysz
Już do posług cię swoich nie bierze,
Ale tobą dziś inny ktoś włada,
Człek fałszywy, podstępny: ta zdrada,
Którą podle knuł na mnie, oh! siła
Złego dotąd zrodziła.

Ch. Niech człowiek rzecz swoję, jak słuszna obwieści,
Lecz strzeże téż język od jadu boleści.
Z trojańskiéj krainy
Ten młodzian wyprawion z rozkazem z śród wielu,
Słuchając Odyssa utrafił do celu
Dla dobra wspólnego drużyny.

Fil. O! zdobyczy strojna pióry,
Zwierzęta okiem iskrzące,
Co się pasiecie na łące

Po bokach góry!
Przede mną wolno już wam
Wychodzić z jam:
Już ja w ręku nie mam siły,
Którą strzały mnie darzyły.
Bieżcie bez lęku w tę stronę,
Pole dla was opuszczone.
Sytną strawę tu znajdziecie:
Okrwawione moje ciało;
Bo mnie krótko już na świecie,
Gdy żywności mi nie stało
I ubyła zdobycz wszelka.
Na powietrzu któż wyżyje,
Jeśli ziemia rodzicielka
Płody swoje przed nim skryje?
Ch. Przez bogów boga!
Jeśli ci gościnność droga,
Nie unikaj gości, którzy
Z przychylnością szli ku tobie:
Wiedz, o! wiedz, że to ci wróży
Koniec ciężkiéj téj chorobie.
Żywić ból w sobie rzecz to straszliwa,
Gdy do zniesienia na siłach zbywa.
Fil. O! ty, coś najlepszy z ludzi
Którzy przedtém tu bawili,
Czemuż słowo twe w téj chwili
Dawną boleść we mnie budzi?
Jakto? Dla czego mnie zabijacie?
Ch. Co mówisz?
Fil. Celem że mowy twojéj,
Do nienawistnéj wrócić mnie Troi?
Ch: Co najlepszego byłoby dla cię.
Fil. Mnie tu pozostaw, idź sobie sam.
Ch. Miłyż twój rozkaz, miły jest nam!
Idźmy na okręt, gdzie miejsce komu.
Fil. Nie chodź, zaklinam na boga gromu!
Ch. Miarkuj się!
Fil. Zostań! zostań, dla boga!
Ch. Czemu tak krzyczysz?
Fil. Noga! ah, noga!
Dolo okropna! pali, oh, pali!
Co ja z tym bolem uczynię dalej,

Nieszczęsny! Gościu nie odchódź ztąd!
Ch. Cóż poradzimy? Zmieniłżeś zdanie?
Fil. Strasznéj boleści wybacz ten błąd.
Ch. Jako więc prosim, tak niech się stanie:
Pójdź z nami.
Fil. Nigdy; choćby bóg, który
Piorunne ognie wypuszcza z góry
Chciał płomiennemi przeszyć mnie strzały.
Niech zginie Ilion i zastęp cały
Co pod nim stoi; ci co dla rany
Mnie odrzucili.— Gościu kochany,
Choć w jedném dla mnie uprzejmym bądź.
Ch. Rzeknij to słowo.
Fil. Czy nie masz w dłoni
Miecza, siekiery, jakiéjbądź broni?
Ch. Co chcesz nią ściąć?
Fil. Głowę i członki potnę na ćwierci,
Umysł mój śmierci chce tylko, śmierci!
Ch. Czemu?
Fil. By z ojcem zejść się.
Ch. A gdzie?
Fil. W Piekłach: pewnie się rozstał ze światem.
Grodzie ojczysty! już ja cię zatem
Nie ujrzę więcéj. Ja źródła twe
Święte rzuciwszy, by wspierać tam
Niecne Danaje, zginąłem sam!

(odchodzi do swéj pieczary)

Ch. Dawno byśmy od ciebie odeszli do łodzi,
Lecz oto syn Achilla z Odyssem nadchodzi.

Odyssej (do Neoptolema)
Powiédz mi, czemu krok twój tak z powrotem śpieszy?
Neop. Chcę rozwiązać rzecz którąm zawiązał niegodnie.
Odys. Dziwna mowa! Jakąż tu popełniłeś zbrodnię?
Neop. Tę żem uległ namowom i twoim i rzeszy.
Od. Zrobiłżeś coś takiego coby było podłem?
Neop. Sztuką, niecnym podstępem, tego męża zwiodłem.
Od. Dziwnym jakimś zamiarem twoja myśl wezbrana.

Neop. Nic dziwnego: ja idę do syna Peana....
Od. Co ty robisz? Twój zamiar przejmuje mnie trwogą!
Neop. Od niego broń tę wziąłem, on ma prawo do niéj....
Od. O, Zeusie! przecięż nie chcesz oddać mu téj broni?
Neop. Tak; bom ją zdradą zyskał, nie uczciwą drogą.
Od. Na bogi! czy ty żartem wymawiasz te słowa?
Neop. Jeśli żartem u ciebie sprawiedliwa mowa.
Od. Co twe, synu Achilla, słowa znaczyć mogą?
Neop. Dwakroć, trzykroć, powtarzać mam to samo słowo?
Od. Ja ni raz nie chcę słyszeć go, bezwarunkowo.
Neop. Więc usłyszałeś wszystko już, królu Itaki.
Od. Jest ktoś co cię od tego powstrzyma.
Neop. Kto taki?
Od. Cała rzesza Achajów, i ja
Neop. Dziwne rzeczy!
Mądrym jesteś, a mowa twa mądrości przeczy.
Od. A twych i słów i chęci mądrość nie tłómaczy.
Neop. Niźli mądre, niech będą sprawiedliwe raczéj.
Od. Słusznież oddawać, co ci moja dała rada?
Neop. Krzywdę-m wyrządził, krzywdę nagrodzić wypada.
Od. Wojskoż Achajów w tobie bojaźni nie budzi?
Neop. Gdy czynię sprawiedliwość, nie boję się ludzi.
Od. .... (1)
Neop. Nie za twoją ja ręką co mam zrobić, zrobię.
Od. Więc się nie przeciw Troi zwrócim;— przeciw tobie.
Neop. Niech co chce będzie!
Od. Widzisz rękę mą na broni?
Neop. Zobaczysz że i moja wraz za nią pogoni.
Od. Odchodzę; ale pójdę by całéj drużynie
Donieść o twym postępku; kara cię nie minie.
Neop. Roztropnym jesteś; dobrze: sprawuj się tak daléj,
To cię zawsze roztropność od złego ocali.
Lecz ty, synu Peana, wołam, Filoktecie!
Wynijdź że raz ze swojéj kamiennéj jaskini.

Fil. Któż znowu taką wrzawę przed pieczarą czyni?
Dla czego mnie wołacie, co ode mnie chcecie,

(1) Tego wiersza brakuje w tekscie.

Goście? Oj! zła godzina! Czy przyszliście nowe
Jakie wielkie nieszczęście zwalić mi na głowę?
Neop. Uspokój się, i słuchaj co rzeknę na dobie.
Fil. Boję się. Jużem słuchał raz twéj mowy miłéj,
Zawierzyłem twym słowom; one mnie zgubiły.
Neop. Czyż to nie można innych zbudzić uczuć w sobie?
Fil. Taki ty byłeś w mowie, gdyś mi łuk mój drogi
Odbierał: niby szczery, a w gruncie złowrogi.
Neop. Teraz inaczéj. Chciałbym tylko się dowiedzieć
Od ciebie, czy zamierzasz daléj tutaj siedzieć,
Czy płynąć zechcesz z nami?
Fil. Przestań. Ani słowa!
Cokolwiekbyś powiedział, daremna twa mowa.
Neop. Więc stanęło?
Fil. Daléj, wiedz, niż powiedzieć mogę.
Neop. Do twego przekonania chciałem znaleść drogę
Słowy mojemi, lecz by nie rzec coś nie k'rzeczy,
Milczę.
Fil. Dobrze, bo próżno mowa twa kaleczy:
Nigdy się serce moje do ciebie nie skłoni,
Coś mnie sztuką pozbawił życiodawczéj broni.
Niegodny synu cnego rodzica! ty zdradną
Mową daremnie znów mnie kusisz. Niech przepadną
Atrydzi, syn Laerta, i ty.
Neop. Porzuć szały
Przekleństwa, i z méj ręki przyjmij swoje strzały.
Fil. Co słyszę! Jakiś podstęp wymyślasz na nowo!
Neop. Nie! Przysięgam na czystą wszechświatłość Zeusową.
Fil. Nader przyjemnie mówisz, lecz czy w dobréj wierze?
Neop. Czyn pokaże: daj rękę, niech twą broń zabierze.

Od. do *Neop.* W imię Atrydów i całéj drużyny,
W obec bóstw ja ci wzbraniam tego czynu.
Fil. Czyj głos! Odyssaż ja poznaję, synu?
Od. Zgadłeś. Ja ciebie na Troi równiny
Biorę przemocą: czy syn Achillowy
Chce, albo nie chce.

Fil. Nie chełp się tak słowy,
Póki ta strzała nie chybia swéj drogi.
Neop. Ah! nie wypuszczaj téj strzały, na bogi!
Fil. Puść moję rękę, o! kochane dziecię!
Neop. Nie puszczę.
Fil. Toż mi nie przeszkodzisz przecię
Zabić człowieka co mi tak jest wrogi?
Neop. Wstydem to dla mnie, dla ciebie, się zdaje.
Fil. Poznaj przynajmniéj jakich to Achaje
Mają przywódców: fałszywe rzeczniki,
Odważni w słowach, tchórzą w obec piki.
Neop. Zgoda. Lecz teraz, gdy władasz swą bronią,
Gniewu ni żalu nie masz do mnie o nią?
Fil. Prawda: stwierdziłeś czém ród i krew twoja,
Żeś nie Syzyfa synem, ale woja
Co jak za życia tak i w cieniów ciszy
Pochwały tylko o dziełach swych słyszy.
Neop. Rad jestem słyszéć tak uprzejme zdania
O mym rodzicu i o mnie: atoli
Posłuchaj teraz mojego żądania.
Słuszna by człowiek poddał się téj doli
Jaką mu bogi przeznaczyły; ale
Kto na się ściągnął w dobrowolnym szale
Złe, jak ty, drugich on wcale nie skłania
Ni to do żalu ni do pobłażania.
Tyś jest zgorzkniały, rozdrażnia cię rada,
Masz w podejrzeniu i bierzesz za wroga
Tego co do cię życzliwie zagada.
Lecz ja, wzywając Zeusa, przysiąg boga,
Będę do ciebie mówił: moje słowa
Niechaj twa dusza w głębi swéj zachowa.
Bogi sprawcami są choroby twojéj;
Oni cię karzą, żeś podszedł pod węża,
Który z ukrycia czujność swą wytęża
Nad chramem Chryzy co otworem stoi.
Wiedz, że dopóki w téj stronie wschodzące
Zachodzić będzie w tamtéj stronie słońce,
Ty się choroby nie pozbędziesz swojéj,
Aż chętnie pójdziesz na równiny Troi.
W obozie naszym są Eskulapowi
Synowie, to cię który z nich uzdrowi,
Więc z mą pomocą i ze swemi strzały

Uderzysz w Pergam i rozburzysz cały (1).
Powiem ci zkąd wiem jak te rzeczy staną:
Jeniec trojański jest pośród nas, miano
Mu Helen; sławny ten tedy wróżbita,
Głosi że Troja powtórnie zdobyta (2)
Ma być w tém lecie; tak chce wyrok boży,—
Zaprawdę słów swych on głowę położy.
Skoro wiesz, pójdź więc tam gdzie idą twoi,
Jakaż to ciebie świetna przyszłość czeka!
Najdzielniejszego mając sławę Greka,
Zyskać wznioślejszą przez zdobycie Troi
Na którą tyle łez bolesnych ścieka.
Fil. Czemu mnie trzymasz na tym górnym świecie,
Życie przeklęte! czemuś w państwo Cieni
Mnie nie zepchnęło? Jakąż wybrać drogę?
Dobrych rad jego odepchnąć nie mogę.
Ustąpić?... Słabość ta wstręt we mnie budzi;
Jak się na oczy pokazać śród ludzi!
Oh! moje oczy, któreście widziały
Co ze mną działo się wedle téj skały,
Jakoż zniesiecie bym ja szedł po chwili
Z syny Atreja, którzy mnie zdradzili
I z niecnym synem Laerta? Mnie nęka
Nie to co przeszło, tylko czém ich ręka,
Widzę w przyszłości grozi mi. Ten czyja
Myśl była matką złego, nie omija
Żadnéj zręczności do spełnienia zbrodni.
Ja téż dziwię się tobie: ci niegodni
Zelżyli ciebie, pozbawili zbroi
Po sławnym ojcu, a ty tą sromotą
Nie zrażon, zamiast sam odejść z pod Troi,
Niesiesz im pomoc i mnie ciągniesz po to.
Ej! nie czyń tego, synu, lecz zmuszony
Przysięgą, w moje zaprowadź mnie strony,
Sam wróć na Skyros; nikczemni nikczemnie
Niech zginą, a ty w rodzicu i we mnie
Mieć będziesz wdzięcznych: nie rzekną oszczerce

---

(1) Pergam, była to nazwa cytadeli Ilionu.

(2) Już raz Troja, według podania, zdobytą była przez Heraklesa, za panowania w niej Laomedona.

Że złych wspierając i sam złe masz serce.
Neop. Słuszne twe słowa; jednak radbym szczerze
Abyś opuścił ze mną to wybrzeże,
Ufając bogom i przyjaźni mojéj.
Fil. Ażeby ruszyć na równiny Troi
Z niecnym Atrydą i zbolałą nogą?
Neop. Z tymi co z bólu uleczyć cię mogą,
Przez których noga twoja się wygoi.
Fil. Co mówisz, przebóg! Straszna twoja rada!
Neop. Z której pożytek nam obu wypada.
Fil. I przed bogami nie wstydzisz się, synu?
Neop. Któż się ma wstydzić korzystnego czynu?
Fil. Jaż, czy Atrydzi, téj korzyści celem?
Neop. Ty, mówię, skorom twoim przyjacielem.
Fil. Ty, który rzucić chcesz mnie między wrogi?
Neop. Nie bądź zaciętym w nieszczęściu, mój drogi!
Fil. Widzę, że zgubisz mnie takiemi słowy.
Neop. Nie; lecz ty mojéj nie rozumiesz mowy.
Fil. Toż mnie Atrydzi odrzucili przecie.
Neop. Teraz cię będą ratować w odwecie.
Fil. Za taką cenę nie pójdę pod Troję.
Neop. Skoro cię słowo nie porusza moje,
Przestaję mówić; jak żyłeś, żyj sobie:
Lecz tu nie znajdziesz ratunku w chorobie.
Fil. Niechaj wycierpię przeznaczoną mękę,
Lecz ty, coś przysiągł podawszy mi rękę,
Że mnie zawieziesz do zagrody mojéj,—
Dotrzymaj;—nie zwłócz, nie wspominaj Troi,
Którą już moją opłakałem mową.
Neop. Skoro chcesz, jedźmy.
Fil. O, szlachetne słowo!
Neop. Przyspiesz że kroku.
Fil. Ile mi sił staje.
Neop. A gdy przeciw mnie powstaną Achaje?
Fil. Nie bój się.
Neop. Jeśli kraj mój zechcą burzyć?
Fil. Przy mnie?...
Neop. Do czegoż ty mógłbyś mi służyć?
Fil. Strzały Herakla...
Neop. Co?
Fil. Wstrzymam napady,

Neop. Żegnaj tę ziemię i chodź memi ślady.
Herakles. Wstrzymaj się synu Peana!
Oto Herakla postać ci znana,
Głos jego słyszysz. Z mieszkań na niebie
Umyślniem zstąpił dla ciebie,
By ci, nim w podróż puścisz się nową,
Wolę oznajmić Zeusową.
A najprzód wspomnij sobie, Filoktecie,
Ilem ja trudów pokonał na świecie,
Ilem przebolał, nim mi się dostało
Uwiecznić życie nieśmiertelną chwałą.
I ty z wyroków musisz nieodbicie
Podobnym trudem swe uświetnić życie.
Z tym więc młodzieńcem ruszaj wraz do Troi:
Tam się bolesna rana twa wygoi;
Męztwo wśród wojska tam pierwszeństwo da ci,
Dzięki mym strzałom tam życie utraci
Z ręki twéj Parys, wszystkich klęsk przyczyna,
I w miejscu Troi zalegnie ruina.
W nagrodę męztwa zdobycz będzieć dana,
Poślesz ją na dwór do ojca Peana,
Co u stóp Ety twéj rodzinnéj stoi.
Ale tę zdobycz wydzieloną sobie
Przez wojsko, pomnij złożyć na mym grobie,
Jako pamiątkę moich strzał z pod Troi.
Tobie téż wieszczę, Achillowe dziecię,
Że razem tylko Troję zdobędziecie,
Nie ty bez niego, albo on bez ciebie.
Idźcie więc razem, jak dwa lwy chowane,
Jeden drugiemu bądźcie ku potrzebie.
Ja Eskulapa poślę iżby ranę
Jego wyleczył; bo wyroki z góry
Chcą, aby Ilion był wzięty raz wtóry
Mojemi strzały. Gdy gród zburzon będzie,
Cześć bożą miejcież nasamprzód na pieczy,
Gdyż Zeus, mój ojciec, wszystkie inne rzeczy
Za pobożnością ma na drugim względzie.
Ona śmiertelnym towarzyszy wszędzie,
W życiu i śmierci: człek żyje i kona,
A pobożności trwałość nieskończona.
Fil. O! głosie tego którego tyle
Lat nie widziałem; jakżeż mnie mile

Zabrzmiałeś znów!
Nie mogę się oprzeć potędze twych słów.
Neop. I ja do tego garnę się zdania.
Herakles. Więc nie zwlekajcie, gdy pora skłania,
I pośród morskiego odmętu
Wiatr wam pomyślnie dmie w tył okrętu.
Fil. Odchodząc, niechże pożegnam te strony:
Pieczaro! coś mi użyczała schrony,
Mokre łąk nimfy! fale których piana
Świszczącym wiatrem z południa miotana
Wilżyły głowę mą, gdym spał znużony
Wewnątrz pieczary, Hermejowa skało!
Od której echo jęk mój odbijało,
Żegnam was! Żegnam, o! Lykijskie zdroje
Których opuścić nigdy nie myślałem.
Bądź zdrowa Lemnos otoczona wałem
Morskich odmętów! Spraw abym pod Troję
Szczęśliwie przybył, dokąd prze mnie siła
Wielkich wyroków i przyjaciół rada,
I bóstwo co nam te przygody zsyła
A wszemi rzeczy nieodzownie włada.

Chór.

Ruszajmy więc wszyscy, zaniósłszy wprzód modły
By Nimfy nas morskie szczęśliwie powiodły.

SŁOWIAŃSZCZYZNA POŁUDNIOWA,

POGLĄD SPOŁECZNY,

skreślił

Teod. Tom. Jeż.

(Ciąg dalszy).

III.

Wracając do kwestyi wschodniéj w stosunku do Słowiańszczyzny południowéj, dla spojrzenia na kwestyą tę z punktu politycznego, nie możemy milczeniem pominąć innych Bałkańskiego półwyspu spółmieszkańców, mających także prawa, widoki, dążności i wartość pewną każdemu z nich właściwą. Nie będziemy mówili o mieszkańcach, przebywających w charakterze gości, biorąc wyraz „goście" w tém znaczeniu, jakie mu nadawano w dawnych czasach w Wielkiém księstwie Moskiewskiém; nie będziemy mówili o przebywających dla handlu, lub też dla bezpieczeństwa osobistego Ormianach, Żydach, Tatarach, Czerkiesach, rosyjskich starowiercach i sekciarzach, o Cyganach, Cyncarach, ani o licznych niewiadomego pochodzenia włóczęgach, pełniących śród społeczeństwa tamecznego funkcyą epidemii chronicznéj, raz słabnącéj, to znów wzmagającéj się. Nie wolno jednak nie wspomniéć o Grekach, Rumunach i Albańczykach, a szczególniéj o Turkach, powstających w łączności z gruntem, stanowiącym spólne dziedzictwo.

Rzeczą, która się sama do zanotowania nastręcza, jest to, że każda z narodowości, zajmujących część jakąś Bałkańskiego półwyspu, rości prawo do całości i prawo to opiera na historyi. Historya służy jako spólny praw rezerwoar, z którego każdy czerpie pretensye dowolnie, odnosząc takowe do momentu dziejowego, najlepiéj narodowéj miłości własnéj odpowiadającego. Grecy prawa

swoje odnoszą do cesarstwa Wschodniego, nie chcąc ani słyszéć o pretensyach Bulgarów, wspominających Szymona Wielkiego, ani o roszczeniach Serbów, wywodzących się z carstwa Duszana. Wynika ztąd spór, wywołujący niemożliwość zgodności w działaniach, mających na celu wyzwolenie się z pod panowania Ottomańskiego. Spór atoli nie ogranicza się na Grekach i Słowianach. Dla tém większego zawikłania sprawy, występują z pretensyami Rumuni, którzy, rozpatrując przeszłość własną, wygrzebali w takowéj wspomnienia o monarchii dako-bulgarskiéj i na téj podstawie poczuwają się do prawa pomknięcia granic Rumunii jaknajdaléj za Dunaj, wgłąb półwyspu Bałkańskiego. Co mają żałować sobie? Jak Grecy, jak Bulgarowie, jak Serbowie, tak i Rumuni mają widoki na Konstantynopól, jako na przyszłą stolicę państwa. Nie zawadziłoby im to, a powiém, że nie odzywają się z tém tak wyraźnie i tak głośno, jak spółzawodnicy ich, niemniéj przeto okiem zawiści spoglądają na usiłowania Greków i Słowian, uważając z góry tryumf tych lub owych jako klęskę dla siebie. Pozostają jeszcze Albańczycy. Ci mając w tradycyach dziejowych jeden tylko moment świetności meteorycznéj, epokę walki obronnéj za czasów Skanderbega, formułują pretensye swoje w sposób negatywny. Wiedzą czego nie chcieć. Nie chcą tryumfu Słowian, nie chcą tryumfu Greków, nie wiedzą o głuchych widokach Rumunów, nie chcą Turków na panów. Widoki polityczne walecznego tego a w wysokim stopniu niesfornego i drapieżnego plemienia pozostają w stanie zadrzémania, z którego rozbudzić je może lada potrącenie. Niechby jeno urodził się śród nich nowy Skanderbeg, co rzeczą niemożliwą nie jest, a wnet staliby się powodem wielkiego tak dla Turcyi, jak dla Europy ambarasu. W posłuszeństwie względem wysokiéj porty utrzymują ich jeno rozdwojenia wewnętrzne. Toskowie—Albańczycy północni—i Gegowie—Albańczycy południowi—nie nawidzą serdecznie jedni drugich, nie nawidzą się tak dalece, że Turcy powołując ich do pełnienia służby wojskowéj muszą do różnych korpusów przeznaczać kontyngiensy toskie i gegskie, z obawy, ażeby się nie biły pomiędzy sobą, gdy zaś buntują się Toskowie, to do usmierzenia buntu używa rząd Tosków i odwrotnie. Owóż nienawiść ta ustaćby mogła pod wpływem osobistości wojowniczéj, którąby potrafiła Albańczyków zachwycić i porwać. A z jakiemiby widokami osobistość owa wystąpiła, takieby Albania przyjęła i za polityczne uznała. Tymczasowie zaś mieszkańcy jéj znani są z tego, że skłonność do zaburzeń łączą z ochotą do wojaczki, ochotą mającą za podnietę, zapłatę i rabunek. Dzięki przymiotom tym, Albańczycy w ruchach wszelkich,

jakie manifestują się na półwyspie, odegrywają bez względu na charakter takowych, rolę zawady, obracającéj się na korzyść władzy tureckiéj.

Władza turecka stanowi kit, spajający w całość jednę różnorodne narodowości.

Jest że kit ów do tyla mocnym, ażeby spójnią trwałą czynił?

Bynajmniéj.

Oderwanie Półwyspu Peleponeskiego i wytworzenie z onego królestwa osobnego, nieuległość Czarnogóry, wyzwolenie się Serbii, zajęcie przez Rumunią i przez Egipt stanowisk faktycznéj niepodległości, przywileje jakie posiadają wyspy Samos i Kreta, trudności jakie ma wysoka porta w utrzymaniu w zawisłości ludy zamieszkujące Kurdystan, Mezopotamią, Irak-Arabią i Syryą, wszystko to wykazuje dowodnie słabość onego kitu, który stanowi spójnią państwa Ottomańskiego.

Słabym jest kit ów, a słabości téj powód zawiera się całkowicie w sztuczności preparatu. Turcya stanęła jako potęga wyłącznie militarna. To jéj podstawa, to fundament na którym wzniosła się budowla państwowa. Budowla ta, odpowiednia wymogom chwili, w któréj stawianą była, nie mogła wytrzymać próby czasu. Wyłączność musiała ją osłabić. Połamała wszystko, co jéj opór stawiało i to wszystko w stanie połamania pozostawiła, bez względu na to, że był to materyał budulcowy, z którego właściwy należało zrobić użytek. Państwo Ottomańskie zużytkowało go na posługę obozową. Narody podbijane, gdy islamizmu nie przyjmowały—a nacisku osobliwego we względzie tym Turcy nie wywierali—podciągały się pod ogólne miano „psów niewiernych,“ zaliczanych do kategoryi jednéj z bydłem. Jako bydło téż były traktowane. Narody podbite służalcze względem Islamu zajmowały stanowisko, na którém posiadały jedno tylko prawo podtrzymywania egzystencyi o tyle, o ile takowa przydatna być może armii mającéj na widoku podbój świata.

Tu nastręcza się pytanie: czy armia ta tak była silną, że pokonanie jéj do absolutnych należało niepodobieństw? Nie zdaje się. Prawda, panował w niéj ład, przejmował ją fanatyzm, łączył interes spólny; lecz ład nie był bezwzględny, fanatyzm zaś nie przeszkadzał bynajmniéj niesnaskom wewnętrznym, dzielącym islam na obozy nieprzyjazne. Niesnaski po razy kilka stawiały potęgę ottomańską na krawędzi przepaści. Runęłaby, gdyby ją kto był popchnął; wychodziła jednak z opałów cało dla tego jedynie, że śród przeciwników jéj nie znalazł się nikt, obdarzony przymiotem prostéj przezorności, będącéj w polityce zaletą największą.

Najważniejszym potęgi téj warunkiem była przeciwników jéj nieudolność, boć nawet i militarna onéj wartość zawierała się nie tyle w niéj samej, co w słabościach przeciwników. Na Kosowém polu losy się ważyły, pod Nikopolis zwycięstwo sprowadził nieład w chrześcijańskich szeregach; pod Warną klęska, jaką ściągnęła na siebie wojsko Władysława III, nastąpiła w skutek nieoględności z jaką cała wyprawa prowadzoną była. Ze strony mocarstw chrześciańskich występowała stale niejedność w widokach, która w następstwie swojém sprowadzała niejedność w działaniu, podczas kiedy zastępy muzułmańskie jednéj podlegały woli. Z rozpatrywania się w historyi wojen, jakie toczyła Turcya od chwili postawienia stopy swojéj na gruncie europejskim, ten wynika wniosek, że wyrzucenie Turków z Europy byłoby nastąpiło z łatwością, gdyby mocarstwa europejskie miały się do tego wziąść jak należy. Rozpatrywanie się w historyi uczy nas czegoś więcéj nawet, tego mianowicie, że bodaj czy nie łatwiejszém było pozbycie się Turków z łona społeczeństw europejskich dawniéj, aniżeli dziś. Dawniéj wszelkie przeciwko nim wojny nosiły na sobie charakter religijny obronny; ze strony Turcyi zagrażała Europie ustawicznie napaść w imię proroka: charakter ten przeto nadawał wojnom uprawnienie dostateczne, tak że rzecz cała redukowała się do odpowiedniego wyszykowania operacyj wojennych. Państwo Ottomańskie było osądzone i skazane: chodziło jeno o egzekucyą wyroku, do któréj powołanemi były mocarstwa chrześciańskie, wszystkie razem i każde z osobna, znajdując podnietę potężną w tém, że półwysep Bałkański przedstawiał się jako rzecz nienależąca do nikogo. Stan ten zmodyfikował się z chwilą, jak pierwsze mocarstwo chrześcijańskie zawarło z wysoką portą najpierwszą kapitulacyą. Przykład dała Francya. Monarchia, władcę któréj przyozdabiał tytuł „bardzo chrześciańskiego“ (*très chrètien*) otworzyła mocarstwu napastniczemu, uznawanemu za niewierne i skazanemu na zagładę, furtkę do uprawnienia. Za przykładem Francyi szły dwory jeden za drugim—traktaty się mnożyły—państwo Ottomańskie coraz to bardziéj przyrastało do gruntu europejskiego i, w chwili obecnéj, przemawiają już za niém, tak przedawnienie, jako też szereg przymierzy stawiających je na równi z państwami z któremi się sprzymierzało. Traktat paryski (1856) uzupełnił dzieło. Turcya jest obecnie państwem europejskiém z tego samego tytułu, co Francya, Anglia, Austrya, etc. Obecnie przeto, o wyrzuceniu jéj z Europy i mowy być nie może; co się zaś akcyi wojennéj tyczy, to w latach 1853—56 widzieliśmy jakie otaczają ją trudności. Położenie państwowe tureckie uregulowało

się i połączyło z interesami natury politycznéj i handlowéj, które nadały onemu podstawę racyonalną. Wysoka porta liczy pomiędzy gabinetami europejskiemi sprzymierzeńca niejednego, będącego w pogotowiu spieszyć na ratunek jéj, jeżeli nie w takim sposobie, jak w roku 1854, to w takim jak w 1829, lub w 1834. Dziś więc trudniéj z tą sprawą, aniżeli było wówczas, kiedy ludzkość czuła się w obowiązku kruszenia kopij o wiarę. Dziś weszła w nią kwestya prawa z jednéj, właściwości z drugiéj strony, tak że nie dosyć już jest orężnego zwycięstwa. Zachodzą okoliczności, przedstawiające się pod postacią wielkiéj komplikacyi, do rozwikłania niepodobnéj.

Mamy właśnie przed sobą broszurę, napisaną przez jednego ze znakomitych prawników belgijskich, p. *G. Rollin-Jaeckemyns*, p. t. „*Le droit international et la Question d'Orient.*" Autor wyznaje, że, odnośnie do kwestyi prawnéj, znajduje się w wielkim kłopocie, nie mając do oparcia takowéj podstawy żadnéj. Ucieka się przeto do antecedensów faktycznych, pokazujących drogę zbiorowéj interwencyi europejskiéj. „Zdaje się nam, powiada, że punkt wychodni polityki wielkich mocarstw w obec Turcyi powinienby być taki: Turcya znajduje się, w stosunku do Europy, w stanie bankructwa moralnego i finansowego, w którém, nie posiadając sama sposobów do dźwignięcia się, nie może, jeśliby ją pozostawiono saméj sobie, jak tylko upadać głębiéj ku wielkiéj krzywdzie nietylko jéj saméj, ale oraz i świata całego." I daléj: „stan zwyczajny stosunków pomiędzy rządem tureckim a rządzonemi przezeń narodowościami stał się stanem wojny, to jest, ruiny, destrukcyi wzajemnéj. Do wyjścia ze stanu tego, dwa są tylko sposoby: albo uczynić zadość żądaniom powstańców, udzielając im gwarancyi we względzie dotrzymania reform obiecywanych, albo téż przywrócić porządek siłą. Pod względem jednym i drugim rząd turecki nic zrobić nie może." „Cóż ztąd wynika?— zapytuje p. Rollin-Jaeckemyns. Oto Europa powinnaby wziąść na siebie to, co stało się niemożliwém dla rządu tureckiego i, ponieważ rząd turecki jest zarazem bankrutem i nieudolnym, poddać go kurateli i likwidacyi."

To łatwo powiedzieć. Konkluzye na papierze układają się same przez się, i jak się zdaje na fundamencie tym (fundamencie papierowym) zgromadziła się, przy końcu zeszłego roku, w Konstantynopolu konferencya, mająca na celu kuratelę i likwidacyą. Gdy przyszło atoli do praktyki, wystąpiły trudności, niweczące gabinetów najlepsze chęci i najpiękniejsze zamiary. Wiadomości ze wschodu jednozgodnie powiadają: „Turcya, konająca Turcya

pokazuje zęby — ma zęby!“ Wiadomości te wielkie sprawiają zdziwienie. Jakżeby ona, konająca, do zębów przyjść mogła!...

Zdziwienie, z jakiém w Europie wiadomości te przyjmują, nie na swojém wydaje się nam miejscu. Konanie Turcyi odbywa się od zębów jéj niezależnie. Te ostatnie odnoszą się do pierwocin jej państwowych, do tych źródeł, z których sypały się owe armie krociowe, co to sięgały niegdyś do Lwowa i do Wiednia. Źródła te nie powysychały,— owszem, nietylko istnieją, równie obfite jak przed laty, ale w podniesieniu co do wartości przeciętnéj. Od czasów Machmuda II, a raczéj od chwili wytępienia Janczarów (1826), reformy, jakie Turcya przyswajała sobie, miały przeważnie, wyłącznie, rzec można, siłę zbrojną na celu. Reformy te nie padały na grunt jałowy;— opornie zrazu, przyjmowały się jednak, zwłaszcza gdy doświadczenia kilkakrotne wykazały dowodnie pożytek, jakiego się państwo spodziewać po nich może. Turecka ludność posiada żołnierskie przymioty nieocenione: Turek, jako żołnierz, karny, cierpliwy, wytrwały i waleczny, a przytém inteligentny, z łatwością wielką przejmuje ćwiczenia tyczące się rzemiosła wojennego. Umié z nich sobie sprawę zdać; umié w razach trudnych sam radzić sobie. Spoistość w szeregach jest mu wrodzoną niemal, a to dzięki spólności interesu, jaki, w razie wojny, łączy całą muzułmańską ludność,— interesu, który był niegdyś zaczepnym i cechował się fanatyzmem religijnym, który obecnie stał się odpornym, obronnnym i cechuje się instynktem samozachowawczym. Pytanie: co jest dźwignią potężniejszą — czy fanatyzm, czy instynkt samozachowawczy? Ten ostatni — odpowiadamy bez wahania. W tém, według nas, tkwi tajemnica zagadki zębów tureckich. Turcya, nieudolna i zbankrutowana, odnaleść jeszcze może w źródłach pierwotnych potęgi swojéj siłę dostateczną do obrony zagrożonego bytu. Nie myślimy utrzymywać, ażeby siła ta być miała nie do przełamania, pomimo, że wyprowadzić może w pole pół miliona wojowników, pomimo, że na czele jej stanąć mogą generałowie wcale dobrzy, a wiązanie onéj stanowią oficerowie niżsi, nieustępujący w niczém, pod względem znajomości swego rzemiosła, oficerom europejskim. Ani broń udoskonalona, ani artylerya wyćwiczona nie dają dostatecznéj przeciwko niepowodzeniom na polu rozpraw orężnych rękojmi. Zamiarem naszym jest wykazanie trudności, jakie zachodzą we względzie rozstrzygnięcia kwestyi wschodniéj i znajdujemy, że, obok trudności prawnych, zachodzą jeszcze faktyczne, występujące pod postacią zębów, których widok zdziwił Europę, które jednak są prostém natury rzeczy następstwem. Turcya, nieudolna co się tyczy dotrzymywania

zobowiązań jakichkolwiek, zdolną jest atoli utrzymać się jeszcze długo na stanowisku państwowém, jakie zajęła wbrew woli chrześciańskiéj Europy.

Jestto stanowisko anormalne. Ha! cóż z tego... Fakt stał się i cokolwiekby się przeciwko onemu powiedziéć dało, zaprzeczyć nie sposób, że ma za sobą powagę i doniosłość czynu dokonanego, czynu niesłychanie dla dyplomacyi do przerobienia trudnego.

Czyż ma tak pozostać na wieków wieki?..

W celu znalezienia odpowiedzi na pytanie to, rozpatrywaliśmy się powyżéj w położeniu i w stanie pobratymców naszych, Bulgarów i Serbów. Czyniliśmy to w tém przeświadczeniu, że co się zrobić nie da na drodze dyplomatycznéj, to osięgnąć się może na innéj.

Droga dyplomatyczna przedstawia dwie niedogodności, prowadząc bądź do remonstracyj jałowych, bądź téż do wojny ryzykownéj, podczas kiedy inna, dłuższa i żmudniejsza, prowadzi do celu wprost. Zachodzi jeno ambaras, co do nazwania téj drogi innéj. Nazwijmy ją dyplomatyczno-rewolucyjną, biorąc asumpt z tego, że narodom zaludniającym półwysep Bałkański potrzebne są poważne mocarstw europejskich rady i zachęty, z drugiéj zaś strony widzimy mężów stanu, takich jak lord Russel i inni, niewahających się w doradzaniu sposobów rozstrzygnięcia kwestyi wschodniéj, pokrewnych tym, jakieby wyjść mogły z ust Garibaldiego i jemu podobnych. *Habeant sua fata opiniones.* Idee, które lat temu niewiele takiego lorda Russel'a zgrozą przejmowały, wydają się dziś temuż samemu lordowi o ile godziwe, o tyle umiarkowane, a nawet dostępne i praktyczne. Owóż co do tego ostatniego punktu, pozwolimy sobie być odmiennego aniżeli dostojny lord zdania, polegającego na tém, ażeby, za sprawą Europy, półwysep Bałkański, wyzwolony od panowania tureckiego, przyjął organizacyą na wzór i podobieństwo téj, jaka czasu onego istniała w rzeszy niemieckiéj. Półwysep stałby się w ten sposób zbiornikiem rozlicznych secundogenitur europejskich. Łatwo wystawić sobie, jakich, zanimby do tego przyszło, sporów zawziętych i nieukontentowań powodem stałoby się wprowadzenie planu podobnego w życie. Poczubiłaby się najprzód Europa; gdyby zaś, mimo to, pomysł ów do skutku przyszedł, czubienie się przeniosłoby się na grunt bałkański, utrzymując w ustawicznéj dyplomacyą emocyi. Dla tych powodów, pomysł rzeczony przez jednego z najpoważniejszch mężów stanu Anglii, jako brzemienny załebkami, z których, miasto uspokojenia, wynikłby jeno zamęt wiekuisty, nie wydaje się ani dostępnym, ani praktycznym. Pra-

ktyczniejszym jest plan wzręcz iście rewolucyjny, urządzenia półwyspu Bałkańskiego na wzór federacyi Szwajcarskiéj, na podobieństwo Stanów zjednoczonych Ameryki północnéj, przetwarzając ejalety tureckie na części składowe zbiorowéj organicznéj całości, związanéj spólnością interesów ogólnych, a rozdzielonéj w tém, co inny mąż stanu angielski, lord Derby, nazywa „samorządem lokalnym.“ Tego rodzaju atoli rozstrzygnięcie kwestyi wschodniéj odbyćby się musiało bez spółudziału dyplomacyi europejskiéj, co, na razie przynajmniéj, jest rzeczą niemożliwą. Dla dyplomacyi kwestya ta zanadto jest drogą, ażeby ją z pasków opieki swojéj spuszczać miała. Niechżeby przynajmniéj opiekowała się nią nie nazbyt po macoszemu.

Czas by, zaprawdę, przekonać się o tém, czego wiekowe naucza doświadczenie, że na gruncie ruchomym kwestyi wschodniéj tyle tak sprzecznych zbiega się interesów, iż każde na gruncie tym postawienie stopy zagraża zabrnięciem. Świadectwem tego dowodném jest cesarstwo Wschodnie; świadectwem jest państwo Ottomańskie. Teorya we względzie tym, zasnuwana około najważniejszego na kuli ziemskiéj punktu polityczno-ekonomiczno-strategicznego, jakim jest Bosfór, nie zgadza się z praktyką. Nie lepiéj-że Bosfór z przyległościami zostawić przyrodzonym onego właścicielom, starając się natchnąć ich duchem ładu i zapewnić przez to spokój im i światu!

Weźmy jeno ku rozpatrzeniu Bosfór, a właściwie metropolią onego, Konstantynopól.

Turcy, zdobywcy, napastnicy, gwałtownicy, nie są przyrodzonemi punktu tego właścicielami. Sąż nimi, może, Grecy? — nie. Grecy zakolonizowali się nad brzegami Bosforu, tak samo, jak się kolonizowali w Pantikapei, w Messynie, w Marsylii, w Saguncie— byli tam przybyszami, na równi z Genueńczykami, którzy obok Byzancium założyli Gałatę; kiedy zaś Konstantyn Wielki podniósł Byzancium do znaczenia stolicy cesarstwa, to, jak cesarstwo miało charakter uniwersalny, tak stolica onego była grodem kosmopolitycznym, przybrała cechę, któréj nie starł z niéj podbój turecki. Turcy także założyli cesarstwo uniwersalne. Uniwersalność przywiązaną jest do punktu, ściągającego ludzi ze wszystkich świata krańców. Jak niegyś u wylotu Bosforu Trackiego, nad wybrzeżami Złotego Rogu, kolonizowali się Grecy i Włosi, tak, w ciągu wieków, kolonizowali się w tém miejscu przedstawiciele narodów wszelakich, tak że dziś—kogo tam nie znaleść?.. Na kuli ziemskiéj nie masz drugiego miasta bardziéj bez ojczyzny odnośnéj, bardziéj kosmo-politycznego, kosmopolitycznego tak dalece, że

Konstantynopól tę przedstawia osobliwość, iż nie posiada języka właściwego. Przybysz każdy nowy znajduje się tam u siebie, populacya zaś do gruntu przywiązana posługuje się w użytku codziennym kilku językami, jednym domowym i dwoma, trzema ulicznemi. Tak przeto w historycznym rozwoju swoim, jak faktycznie, Konstantynopól należy do wszystkich i do nikogo. Grecy roszczą do niego pretensye niesłusznie, Bulgarowie, Serbowie, Rumuni niesłuszniéj jeszcze.

Chodzi o to, ażeby Grekom, Bulgarom, Serbom i Rumunom pretensyą tę z głów wybić, wyperswadować. Stanowi to punkt bardzo ważny dla przyszłości spółmieszkańców półwyspu. Osiągnięcie bowiem punktu tego usunęłoby raz nazawsze jabłko niezgody, utrzymujące narody te w stanie ciągłéj wojny domowéj i ustawicznego rozdrażnienia, przeszkadzającego im nietylko widzieć jasno, ale oraz przysposabiać materyały odrodzenia narodowego. Osiągnąćby się to dało na drodze dyplomatyczno-rewolucyjnéj, którąśmy zaznaczyli powyżéj, a która dyplomatyczną jest dla tego, że wyperswadowanie zależy w części ogromnéj od gabinetów, rewolucyjną dla tego, że wytwarza stan rzeczy niebywały. Gdybyż namiętności nie rozdmuchiwały przynajmniéj zarzewia niezgody, podsuwając to Grekom, to Serbom, to znów Rumunom wielkie, wzniosłe, świetne cele, które nie są ani wielkie, ani wzniosłe, ani świetne, a przedewszystkiém szkodliwe— sprawiając dystrakcyą, odwodząc od celów racyonalnych i godziwych i od pracy dla takowych.

Grecya, gdyby nie ścigała mary wielkości, nie pozostawałaby w stanie tak opłakanym pod każdym względem, zaprowadziłaby ład w administracyi, w finansach, w sądownictwie, wyzyskaćby zdołała położenie swoje geograficzne na korzyść handlu i przemysłu, potrafiłaby podnieść poziom oświaty.

Serbia, gdyby nie podobne przeszkody, kroczyłaby rezolutniéj aniżeli dotychczas drogą postępu.

Wymieniliśmy dwa te państewka dla tego, że zajmują one względnie do Turcyi pozycye flankowe na Turcyi zdobyte, pozycye zarówno groźne tak dla armii na polu bitwy, jako też dla państwa w zatargach z podanymi swoimi. Tylko że walka z państwem pod odmienną aniżeli z armią występuje postacią.

Grecya i Serbia atakować powinny Turcyą oświatą.

Turcya, która oprzeć się może fortelom dyplomatycznym i najściom zbrojną ręką, nie jest w stanie obronić się rozkładającemu takie jak jéj organizmy działaniu światła. Światło na nią, uorganizowaną na podstawie militarnéj i zaklękłą w koranie, wy-

wiera wpływ zabójczy. Jest to rzecz do dowiedzenia łatwa. Potrzeba jeno, wcelu wyprowadzenia dowodu, poddać analizie fakt dziwny w sobie, ten mianowicie, że ludność panująca jak obcą była ludności opanowéj w pierwszéj podboju chwili, tak obcą jéj pozostała przez ciąg wieków czterech. Proces asymilacyjny pomiędzy jedną a drugą nie odbywał się wcale pod żadnym względem. Masa turecka, która się wlała, wlała się, ale nie zlała z ludnością miejscową, ta zaś ostatnia nic sobie nie przyswoiła z tego, co państwo obchodzi. Czémże się to stało? Różni różnie fakt ten objaśniają, nam jednak wydaje się, że przyczyna onego tkwi w tém głównie, jeżeli nie jedynie, że strona jedna nad drugą nie posiadała wyższości moralnéj. Przewaga pięści nie zapewniała wyższości téj Turkom; przewaga liczby nie nadawała do wyższości prawa chrześcianom. Równi pod względem moralnym jedni drugim, jak raz stanęli sobie oko w oko, tak wieki upływały, oni wciąż stali, nie mając co jedni drugim udzielać. Dla Turka nie było dobréj racyi w pozbywaniu się odznaczających go cech dla pięknych Greka lub Słowianina oczów, i na odwrót, Grecy i Słowianie żadnego nie mieli słusznego powodu przejmować co od Turków. Nie mówimy tu o rzeczach drobnych, takich jak szczegóły odzieży, wyrazy do oznaczenia przedmiotów niektórych, giesty etc; mówimy o téj akcyi chemicznéj, co z dwóch ciał różnych, na mocy powinowactwa pomiędzy niemi, wytwarza trzecie, odmienne we względzie własności. Owóż powinowactwa chemicznego pomiędzy zdobywcami a podbitemi nie było i ciało nowe nie wytworzyło się. Nastąpiło połączenie mechaniczne, które trwało przez wieki i trwa po dziś dzień, a to dla téj przyczyny, twierdzimy, że żaden z żywiołów do połączenia tego wchodzących nie posiadał i nie posiada pierwiastków wyższości moralnéj, udzielenie któréj staćby się mogło powodem wytworzenia ciała nowego. Turcy pozostali Turkami, Grecy Grekami, Słowianie Słowianami; w ustroju państwowo-społecznym jedni byli panami, drudzy rajasami; jedni posiadali więcéj praw aniżeli obowiązków, drudzy więcéj obowiązków aniżeli praw; i tak to się zakonserwowało po dzień dzisiejszy. Stan społeczny przedstawia się pod postacią dwóch nieprzyjaznych obozów, z których jeden pozostaje pod dozorem drugiego. Zdarzają się dezercye z pod sztandarów obozu dozorowanego; chrześcianie bądź pojedynczo, bądź też zbiorowo przyjmują islamizm; w Bośnii cała ryczałtem klasa społeczna uderzyła prorokowi czołem: nie wpływało to jednak na zmianę stanu rzeczy—dezercye pozostawały dezercyami, przynosiły one korzyści właściwe dezerterom, nie wnosiły jednak w łono społeczno-naro-

dowe zaczynu zdolnego asymilacyą sprowadzić. Zaczyn ów mógł jeno, zdaniem naszém, znaleść się pod postacią pierwiastku cywilizacyjnego, znamionującego wyższość moralną, którą gdyby byli posiadali Turcy, asymilacya byłaby nastąpiła pod godłem tureckim, gdyby byli posiadali chrześcianie, byłaby nastąpiła pod godłem chrześciańskiém, greckiém lub słowiańskiém. W tym ostatnim wypadku, żywioł pokonany stałby się zwycięzcą, zaponowałby moralnie, — stałoby się na półwyspie Bałkańskim to, czego dzieje liczne podają przykłady.

Zdaje się tedy, żeśmy myśl naszą przedstawili dosyć jasno, wykazując jak na dłoni słabiznę państwa Ottomańskiego. Wypada ztąd, że, chcąc państwo to pokonać, należy w słabiznę je uderzać. Do czynności téj sposobnym wielce jest wchodzący w skład onego żywioł chrześciański, czerpiąc sposobność w tém mianowicie, że w chrystyanizmie posiada doskonałego przewodnika do przyjmowania z Europy pierwiastków cywilizacyjnych. Bronią mu tego Turcy — prawda. Opieka Turecka jest nakształt dzwonu pneumatycznego. Pozostające pod nią narody znajdują się w stanie bezpowietrznym, niedopuszczającym przypływu pojęć z zewnątrz. W stanie takim atoli nie wszystkie znajdują się narody. Jest on udziałem Bulgarów; jest udziałem tych Greków, co zaludniają Tracyą, Tessalią, Epir, wybrzeża i wyspy; jest udziałem Albańczyków, Serbów ze starej Serbii, Bośniaków i Hercogowińców; ale nie Greków z Morei, nie Serbów z księstwa.

Grecya, pomimo że się na osobne i niepodległe wykierowała królestwo, Serbia, pomimo że się z pod władzy wysokiéj porty wyłamała, nie przestały przeto stanowić integralnéj półwyspu Bałkańskiego części. Ani linia demarkacyjna, wytyczona przez grzbiet Pindu a przechodząca nieopodal od pól farsalskich, ani płot, którym się Serbowie odgrodzili, nie stanowią granicy nieprzekraczalnéj, nie oddzielają narodów po téj stronie od narodów po tamtéj stronie. Na obudwóch flankach państwa Ottomańskiego, po przekroczeniu granic oficyalnych, jest się zawsze w granicach świata, który pomimo obecności funkcyonaryuszy tureckich, z południa nie przestaje być greckim, z północy słowiańskim i jest wciąż tu greckim, tu słowiańskim aż do zetknięcia się i zmięszania dwóch tych żywiołów, przedstawiających ten sam fenomen, jaki przedstawia zmięszanie żywiołu tureckiego z greckim i tureckiego ze słowiańskim. Stykają się, łokciami się potrącają, mięszają, ale nie łączą, nie zlewają, nie wytwarzają ciała nowego, nie urabiają nowéj grekosłowiańskiéj narodowości. Jednakowa przyczyna do jednakowego doprowadza rezultatu. Ani po stronie gre-

ckiéj w stosunku do Słowian, ani po stronie słowiańskiéj odnośnie do Greków nie masz przewagi wyższości moralnéj. Od Turków religia ich różni i téj to różnicy przypisują niektórzy z postrzegaczy trudność w procesie asymilacyjnym. Pomiędzy Grekami a Słowianami różnica ta nie istnieje — wyznają religią jednę i téż samę, mimo to nie zlewają się, nie łączą, pozostają obcymi jedni drugim, obcymi i wrogimi — wrogimi z racyi dążności państwowych kierowanych ku jednemu i temuż samemu punktowi.

Zapewne, rzecz to nader trudna wybić ludziom z głowy punkt. Przypuściwszy, iż trudność ta jest niepodobieństwem, należałoby zaniechać raz na zawsze usiłowań wszelkich, mających na celu rozwiązanie zadania wschodniego. Przyszłoby się zrozpaczyć o przyszłości narodów bałkańskich. Nie przypuszczamy jednak myśli tak czarnych. Owszem, żywimy tę nadzieję, że niedaleką jest ta chwila, w której Grecy i Słowianie, sami, bez namowy ni interwencyi niczyjéj, wyrzucą z pomiędzy siebie punkt ów nieszczęsny i zaprzestaną dybać jedni na drugich. Doprowadzi ich do tego doświadczenie. Po ostatnich wypadkach, Serbom z pewnością odpadnie ochota realizowania wielkich cara Duszana zamysłów. Jeżeli coś podobnego spotka jeszcze i Greków, to i ci pozbędą się wzniosłéj idei restaurowania cesarstwa Wschodniego. Z upadku wielkich zamysłów i wzniosłéj idei wyniknie upadek dystrakcyj szkodliwych, dozwalający Grecyi i Serbii stanąć nareszcie na gruncie rzeczywistości i pełnić tę funkcyą rozkładniczek państwa Ottomańskiego, jaka im przypada z natury rzeczy.

Wykazaliśmy powyżéj na czém, zdaniem naszém, czynności rozkładowéj istota polega. Mimo wstrętu do powtarzania się, dla dobitności jednak powtórzyć musimy, że polega ona całkowicie na świetle i na niczem innem tylko na świetle. Przejęcie się tém ułatwiłoby ogromnie ludom bałkańskim rozwiązanie zadania. Nastąpićby to musiało na drodze pokojowéj, wstrętnéj rycerskiemu pobratymców naszych temperamentowi. Trzebaby się uczyć i dużo uczyć, w żołnierskość się nie bawić a uczyć, obracając na naukę wszystkie te fundusze, które idą na uzbrojenie, i nadając oświacie publicznéj charakter obywatelski. Odwołujemy się do tego, cośmy w téj materyi poprzednio mówili, gdyśmy stan wewnętrzny Serbii rozpatrywali. Nauka, która tak dzielnie wspiera rolnictwo, przemysł i handel, stan ten w czasie krótkim podniosłaby do potęgi możliwie wysokiéj; rozwinęłoby się rolnictwo, stworzył przemysł, zakwitnął handel. Serbia dość uboga i bez najmniejszego w świecie kredytu, wzrastając stopniowo w bogactwo, zale-

żące nie od czego innego, jedno od odpowiedniego zasobów jéj przyrodzonych spożytkowania, uzyskałaby kredyt, który ściągałby do niéj kapitały zagraniczne na komunikacye wewnętrzne, na fabryki, na zakłady finansowe. Wychodziłaby na tém dobrze sama, co zaś ważniejsza, oddziaływałaby silnie do koła na prowincye tureckie zamieszkałe przez ludy pobratymcze, na wschód i południe przez Bulgarów, na zachód i południe przez Bośniaków, Hercogowińców i Staroserbów. Serbia klinem tępym w Turcyą europejską się wciska, jest wykąsem w żywém onéj ciele, zajmuje przeto pozycyą pod względem oddziaływania, o którém mówimy, ogromnie dogodną. Pod względem militarnym nie jest pozycya ta osobliwą, ale pod cywilizacyjnym żadna w świecie, śmiało to powiadamy, porównać się z nią nie da: pod ręką się znajduje i Bośniakom i Bulgarom, przychodzić mogą i czerpać garściami pełnemi, byle było co.

Pytanie: czy jest co?

Niestety, na pytanie to odpowiedzieć nie można w sposób zupełnie zadowalniający. Nawiasem zauważymy, że to, co mówimy o Serbii, stosuje się, w wyższym jeszcze stopniu i do Grecyi. Zapatrzona we własną wielkość, przyświecającą jéj w przyszłościowéj przezroczy, znajduje się w stanie roztargnienia ustawicznego, niedopuszczającego jéj zastanawiać się nad istotném powołaniem własném. Z racyi roztargnienia tego szwankuje na wszystkich stopniach wychowania publicznego: nie rozwija dostatecznie szkółek elementarnych, nie podnosi szkół średnich, nie funduje szkół specyalnych potrzebom rzeczywistym odpowiednich, nie kompletuje szkoły wyższéj. Grecya posiada uniwersytet: czemuż się Serbia dotychczas na takowy nie zdobyła?—czemu nie urządziła sobie szkoły politechnicznéj, szkoły handlowéj?—czemu tak późno pomyślała o szkole rolniczéj? Roztargnienie na inny punkt uwagę jéj zwracało; wysforowała się naprzód z akademią wojskową, z którą można było poczekać do czasów pomyślniejszych. Wypadki ostatnie dowodnie świadczą, że akademia wojskowa nie odpowiedziała zadaniu swemu, nie dostarczywszy w chwili potrzeby oficerów ani w ilości, ani w jakości odpowiedniéj. Na miejscu jéj, dobry zakład techniczny byłby bez porównania korzystniejszym, niosąc pożytek nietylko Serbii saméj, którąby nie potrzebowała, mając ludzi własnych, sprowadzać narażających ją na koszta, straty i zawody cudzoziemców, ale oraz i wszystkim słowiańskim prowincyom tureckim, które mając w pobliżu zakład tego rodzaju, przystępny ze względu na język wykładowy i na koszta utrzymania, zyskałyby sposobność wychowywania młodzieży swojéj i szerzenia przez

to światła w krajach berłu padyszacha podległych. Dodajmyż tu jeszcze w przypuszczeniu—uniwersytet w Belgradzie z fakultetem medycznym: jakby się na fakultet ten cisnęli Słowianie południowi!... Akademia wojskowa, mało pożyteczna Serbom, na nic jest dla Bulgarów, Staroserbów, Hercogowińców i Bośniaków, nieposiadających armij, dla którychby oficerów kształcić należało; na nic jest ona dla Czarnogórców nawet, dla których prawidłowa, wedle teoryj szkolnych prowadzona wojna zgubnąby była; akademia nie oddziaływa zgoła na kraje sąsiednie, przejęte takiemiż samemi jak Serbia dążnościami. Dążności te nie znajdują w Serbii poparcia rzetelnego, karmi odpowiedniéj. Młodzież bulgarska, przypuśćmy, poszukująca nauki, poszukuje takowéj w widokach przedewszystkiém utylitarnych. Przyszedłszy do Belgradu, cóż ona znajduje? Znajduje w szkole wyższéj wydział filozoficzny, podzielony na oddziały filozoficzno-historyczny, na którym głównemi przedmiotami, obok historyi filozofii, logiki, psychologii, estetyki, etyki, są literatura serbska i historya serbska, wykładane tendencyjnie, w sposób obrażający uczucia patryotyczne Bulgara, i fizyko matematyczny, na którym otrzymuje nocye ogólne, niedające się zaaplikować w życiu praktyczném w Bulgaryi; znajduje następnie wydział prawny, mający znaczenie i przeznaczenie specyalne dla Serbów wyłącznie i to dla Serbów mających zamiar poświęcić się karyerze urzędowéj, ponętnéj dla nich, lecz dla młodego Bulgara najmniejszego nieprzedstawiającéj interesu; znajduje w końcu wydział techniczny, tak niedostateczny i tak w powietrzu postawiony, że do onego nie garną się Serbowie sami. W Belgradzie przeto dla pozakrajowéj południowo-słowiańskiéj młodzieży pozostaje jedna tylko teologia, czyniąca zadość ochocie uczenia się w widokach utylitarnych. Ta atoli, z racyi saméj natury swojéj, nie sprawia w masach szerzenia światła w stopniu takim, jak nauki znajdujące zastosowanie w życiu praktyczném, w handlu, przemyśle, rolnictwie i potrzebach sanitarnych. W kraju jak Turcya europejska tak mało wyeksploatowanym, każdy sposób nowy spożytkowywania zasobów przyrodzonych znajduje zastosowanie i wywołuje naśladownictwo. Przytomnym w pamięci naszéj jest ruch, jaki sprawiło pomiędzy Bulgarami pojawienie się w Szumli pierwszéj gorzelni parowéj. Z jaką też to ciekawością i z jakiém zajęciem dowiadywano się o niéj! jak pilnie studyowano tajemnice kadzi, kotłów, zacierów, wężów, etc! Studyowania podobne, gdyby miały za podnietę, tu gospodarstwo rolne, winnicę, zakład jedwabniczy, ogrodnictwo, pszczolnictwo i t. p. urządzone na podstawie racyonalnéj, tam fa-

brykę przerabiającą na miejscu produkta krajowe, ówdzie przedsiębierstwo handlowe na szeroką, ze znajomością rzeczy rozwinięte skalę: jakżeby dzielnie umysły rozjaśniało!... jakżeby Turków zarażało!..

Wykrzyknik ostatni potrąca w sedno rzeczy. To, coby Turków zarażało, to właśnieby ich przeistaczało, bez gwałtu, bez krzywdy dla nich, z wielkim za to pożytkiem dla rajasów ze względu na to, że przeistaczanie się tureckie, przez chrześcian wywołane, na ich, rzecz prosta, obrócićby się musiało korzyść. Wszcząłby się proces asymilacyjny, zabarwiony tym żywiołem, po stronie którego okazałaby się wyższość moralna. Kropla turecka rozpłynęłaby się w słowiańskiém morzu.

Następstwa te w odległéj ukazują się przyszłości, ku nim jednak prowadzi siła rzeczy, składająca się z żywiołów, które pokrótce ukażemy.

Co począć z Turkami? Stanowią oni część czwartą ludności zamieszkującéj półwysep Bałkański. Wyrzucić? Wyrzucono ich z Grecyi i Serbii; ale dla tego właśnie, że ich ztamtąd wyrzucono, wyrzucenie z innych prowincyj trudném się stało niezmiernie, trudném z tego bodaj względu, że się nie daje wyrzucać ludność osiedlona kilkumilionowa. Żydofobi doradzają chwycenia się sposobu podobnego we względzie żydów, zaludniających Polskę. Sposób to atoli niemożliwy. Jak żydzi w Polsce, tak Turcy na półwyspie Bałkańskim, społecznie, politycznie i ekonomicznie do gruntu przyrośli i ani na tych, ani na owych nie masz, gdy chodzi o zneutralizowanie szkodliwości przez nich sprawianéj, środka innego, jedno tylko oświata, wzięta w znaczeniu przewodnika, mającego sprowadzić zlanie się ich ze społeczeństwem miejscowém.

Zlanie się podobne miało już raz, w odległéj przeszłości miejsce na półwyspie Bałkańskim. Narodowość bulgarska na téj wytworzyła się drodze. Wyższość słowiańska oddziałała na przybyszów i ci w niéj utonęli, pozostawiając po sobie, na pamiątkę zdarzenia dziejowego, nazwę tylko. Ci, co niegdyś mianowali się Mezami, mianują się dziś Bulgarami; Bulgarowie zaś dzisiejsi, pracowici, oszczędni, potulni, inteligentni, rządni, przedstawiają się, jako narzędzie doskonale nadające się do przyjęcia oświaty i podania takowéj Turkom. O ile ich znamy, niczego oni nie pragną innego; miłują pokój; osobliwie zaś trwogą ich przejmują wszelkie zmiany gwałtowne. Idea niepodległości narodowéj nie jest im obcą i niemiłą, lecz wielkiego dokazałby dzieła ten, ktoby ich na ofiary dla takowéj wyciągnąć potrafił: we wszystkich wojnach, jakie na grunt

bulgarski ściągały armie nieprzyjaciół Wysokiéj Porty, Bulgarowie zachowywali się biernie, wyczekująco, życząc powodzenia tym, którym „Bóg pomaga.“ Na pomoc ich czynną, na ich spółdziałanie w wojnie przeciwko Turcyi nikt na seryo liczyć nie może. Nie świadczy to przeciwko nim; świadczy to tylko, że matka przyroda nie obdarzyła ich temperamentem wojowniczym, w zamian za który udzieliła im przymiotów bardzo cennych, usposabiających ich do *wypracowania* niepodległości. Przydałaby się im jednak w pracy pomoc, którąby ją przyspieszyła i akcentowała.

Do udzielania pomocy Bulgarom potrzebnéj powołaną jest Serbia. Ta powołaniu swemu dotychczas zadość nie czyniła; spodziewać się jednak należy, iż wypadki ostatnie wprowadzą ją na drogę właściwą. Wolno jest próbować—to prawda; próby uczą doświadczenia, które Serbia opłaciła drogo,—nie tak drogo atoli, ażeby się jéj koszta z czasem zwrócić nie miały. Przypuszczać można, iż wojna zeszłoroczna, jeżeli w niéj zapałów wojowniczych nie wystudzi doszczętnie, to przynajmniéj każe odłożyć takowe do czasu dalszego, doradzając jéj uprzednio racyonalne przysposobienie sił i środków tak wewnątrz, jak zewnątrz. Wojna ta wszakże, acz tak dla Serbów niepomyślna, przyniosła jednak wielką jednę korzyść. Pod naciskiem jéj, a za sprawą mocarstw interweniujących na drodze dyplomatycznéj, Turcya zniewoloną została nadać ludom państwa Ottomańskiego konstytucyą. Jestto wyłom wielki i ważny w państwowéj warowni tureckiéj. Przez wyłom ten wejdzie rozkład, oddziaływający jak rdza na żelazo. Na konstytucyach państwa w ogóle wychodzą nie najlepiéj, dla tego téż w niektórych, poważniejszych, istnieją one na papiérze jeno, czego i w Turcyi spodziewać się należy: niemniéj atoli przeto wyłom wyłomem pozostanie, dzięki nieporadności rządu tureckiego, który koniec końcem, jeżeli wyjść zdoła cało z opałów obecnych, nie będzie mógł nic zrobić czegoś, bodaj drobnego jakiegoś ustępstwa na rzecz chrześciańskich poddanych swoich. W takim rzeczy składzie, jaki w Turcyi istnieje, ustępstwo najdrobniejsze staje się początkiem, prowadzącym z następstw do następstw. Turcya, w celu postawienia się na stopie wojennéj, zrobiła wysiłek ogromny. Gdyby wojna w rzeczy saméj nastąpiła i pomyślnie się dla niéj rozstrzygnęła, wysiłek ten zwróciłby się jéj, bądź w całości, bądź w części, niosąc w dodatku korzyść, jaką sprowadza zazwyczaj powodzenie wszelkie. Przybyłoby jéj powagi, tonu i kredytu. Mogłaby konstytucyą pod zielone sukno schować i tam ją zostawić. W przeciwnym jednak razie, to jest, gdyby z wojny zwyciężoną wyszła, lub téż, gdyby się zachody całe na przygotowaniach skończyć miały, sy-

tuacya rządu pogorszyłaby się ogromnie w kraju własnym, w obec poddanych, tak chrześcian, jak muzułmanów, i chcąc polepszyć takową, na to by rady innéj nie było, jak tylko naśladować Austryą, która po klęskach 1859 i 1866 na konstytucyjnéj desce z toni wypłynęła. Konstytucya turecka jest dziełem rozpaczy. W dziele tém jednak osobliwość jednę zaznaczyć należy, a to, że wystąpiło ono w postaci rękawicy, ciśniętéj Europie pod nogi przez Turków samych. Wyłom więc w warowni państwowéj jest czynem dokonanym. Za wyłomem stoją rajowie greccy i słowiańscy, na wyłomie Grecya i Serbia, mające przed sobą drogę wytkniętą.

Reasumując, cośmy wyżéj powiedzieli, przypominamy, żeśmy nie mieli ani zamiaru, ani pretensyi rozwiązywania kwestyi wschodniéj. Zamiarem naszym było wykazać warunki, w jakich, w obec niéj, znajdują się pobratymcy nasi. Takieśmy sobie wytknęli zadanie i, zdaje się nam, wywiązaliśmy się z onego. Opisaliśmy stan wewnętrzny Bulgarów i Serbów, jako téż sytuacyą ich polityczną względnie do narodowości innych, zamieszkujących półwysep Bałkański. Z naciskiem wielkim mówiliśmy o dążnościach mających na celu spólny punkt, będący jabłkiem niezgody, obecność którego uniemożliwia pobratymcom naszym jasne pojmowanie położenia własnego i wypływających z onego obowiązków patryotycznych. Wyraziliśmy nadzieję, że jabłko to nieszczęsne usuniętém zostanie i, biorąc nadzieję ową za punkt wychodni, skreśliliśmy sytuacyą, tak jak ona się zarysowuje w chwili, gdy, po niepomyślném dla Serbów zakończeniu kampanii nad Morawą i nad Timokiem, na lewym brzegu Prutu armia rosyjska, nad prawym brzegiem Dunaju armia turecka stoją z bronią na ramieniu, w pogotowiu z wystąpieniem z *ultima ratio*, po spełznięciu na niczém konferencyj w Konstantynopolu i po ogłoszeniu konstytucyi tureckiéj. Nie powiémy jednak, ażebyśmy do wyrażonéj przez nas nadziei sami wielką przywiązywali ufność. *Ce qui est bon à prendre n'est bon à rejetter*—powiada przysłowie francuskie. Konstantynopól jest cackiem zanadto ponętném, a wielkość państwowa, mianowicie zaś rojona, posiada własność zadymiania głów do stopnia zawrotu, nabawiającego choroby nie do uleczenia. Tyczy się to Greków, zwłaszcza zaś Serbów, którzy nas bliżéj i żywiéj obchodzą, aniżeli potomkowie Milciadesów i Temistoklesów. Bo téż, wyznać należy, Serbowie w drażliwszém aniżeli Grecy znajdują się położeniu. Otaczają ich do koła pokusy, przedstawiające się pod postacią szczeblów, prowadzących do świątyni sławy. Przed dojściem do Konstantynopola, jest do zabrania Bośnia, Stara Serbia, Hercegowina, Czarnogóra. Porządkiem tym rozwijała się wielkość Serbii, pod

Niemaniczami. Porządek ten wydaje się o ile naturalnym, o tyle koniecznym; takim jednak wydaje się Serbom, ale nie Bośniakom, pamiętnym na to, że stanowili niegdyś królestwo oddzielne, nie Hercogowińcom chełpiącym się tradycyą o św. Sawie i o należeniu do rzeszy niemieckiéj, nie Czarnogórcom, którzy jota w jotę snują takież same jak Serbowie o wielkości państwowéj rojenia. Serbom przeto wypada dla miłéj zgody, zrzec się nietylko wielkości duszanowéj, ale i tych nawet przyrostów, które uważać można poniekąd, jako przyległości naturalne. To trudno trochę. Trudność ta stanowi mitręgę olbrzymią, wszczepiającą waśń w łono świata serbskiego, rozpadającego się na obozy nieprzyjazne. Weźmyż jeszcze na uwagę i to, że Bośnia, ze swojéj strony, rozpada się na wrogie jedno drugiemu stronnictwa społeczne i na stronnictwa religijne, a zrozumimy jasno i dokładnie, dla czego oświatę przedstawiamy jako jedyny środek wyjścia z trudności, jako deskę zbawienia dla Słowiańszczyzny południowéj; zrozumimy dla czego tak usilnie nastajemy na to, ażeby Serbia na szkołę, na wychowanie publiczne główną zwróciła uwagę. Oświata jest orężem przeciwko Turcyi: nada ona narodom podbitym tę wyższość moralną, za pomocą któréj dojdą do celu pragnień swoich, nie uronią niczego z cech narodowościowych, jakiemi je natura odznaczyła, i zdobędą zabezpieczoną przeciwko nadużyciom niepodległość. W jakiéj zaś postaci, w jakich kształtach niepodległość owa wyrazić się może?—nie wiemy.

RZUT OKA

NA PIERWSZY OKRES HISTORYI FILOZOFII

W POLSCE.

Historya jest *samopoznaniem* narodów. Jeżeli tedy samopoznanie, według powszechnie przyjętéj zasady, jest koniecznym warunkiem filozoficznego rozwoju jednostek, a jednostka znowu samą siebie należycie poznać może tylko w związku z ogółem, do którego należy, któremu swój byt fizyczny i umysłowy zawdzięcza, natenczas zaprzeczyć nie można, że w badaniach historycznych wszelkiego rodzaju zawartym jest nader ważny pierwiastek filozoficzny.

Na rozległém polu badań historycznych, najważniejsze pod względem filozoficznym znaczenie posiadają z natury rzeczy badania, dotyczące umysłowego rozwoju tak całéj ludzkości, jak pojedynczych narodów. Umysłowy ten rozwój, rozwój świadoméj siebie myśli ludzkiéj, znajduje swój wyraz w historyi filozofii. Ona jednoczy w sobie wszystkie myśli człowieka o samym sobie, o świecie i Bogu, wszystkie poglądy na związek człowieka z całém pozostałém istnieniem, na jego stanowisko i zadanie wśród tego istnienia.

Badania historyczne nad myślą filozoficzną polską dotąd jeszcze spoczywają w kolébce. Posiadamy wprawdzie w dziełach Trentowskiego, Libelta i Cieszkowskiego zaczątki historyozofii, uwzględniającéj myśl filozoficzną ogólnie słowiańską, a w szczególności polską; posiadamy nawet pewne zaczątki źródłowych studyów nad historyą filozofii w Polsce. Ale to wszystko niczém nie jest w porównaniu z zadaniem wszechstronnego zbadania naszéj

filozoficznéj przeszłości, jasnego przedstawienia głównych myśli o człowieku, świecie i Bogu, które wpłynęły na ukształtowanie się przeszłości naszego ogółu i wypowiedziane zostały przez głównych przedstawicieli jego umysłowości. Dla urzeczywistnienia tego celu potrzeba będzie sumiennéj zródłowéj pracy nietylko jednego autora, lecz całego pokolenia, potrzeba będzie szeregu prac monograficznych, mogących służyć za naukowy materyał dla przyszłego historyka filozofii w Polsce. Wspomniałem o tém już we wstępnéj części swéj Logiki, obejmującéj jéj historyą u obcych i w Polsce na str. VIII i nast. (1).

Zabierając się obecnie do krótkiego zarysu pierwszego okresu historyi filozofii w Polsce, nie myślę bynajmniéj o wyczerpaniu tego przedmiotu, lecz mam wyłącznie na celu wskazać *zadania* historyka w tym względzie, przedstawić, że tak powiém, *program* dla każdego pracownika, któryby badanie tego okresu monograficznemi studyami zasilać zamierzał.

Pierwszy okres filozofii w Polsce można nazwać okresem *akademickim*, gdyż się ściśle łączy z założeniem i rozkwitem akademii Krakowskiéj. Obejmuje on dążności filozoficzne XV i XVI wieku (2). Nasi historycy literatury zbywają zazwyczaj te dążności filozoficzne pogardliwém mianem *scholastycyzmu*. Jest to jednak niesprawiedliwość, wynikająca z zupełnego braku samodzielnych źródłowych studyów nad temi dążnościami. Przeciwnie, wyznać należy, że, pomimo różnorodnych objawów scholastycznych, główne znaczenie tego okresu polega na dążnościach *antyscholastycznych*. Wszystkie objawy nowszego ruchu myśli, które na Zachodzie przywiodły do upadku poglądy średniowiecznego dogmatyzmu, znalazły w Polsce jak najżywszy odgłos. Jeżeli zaś o tém wszystkiém mało wiémy, lub téż nawet, co gorsza, niewiele wiedzieć chcemy, to przyczyny tego wcale niepocieszającego objawu szukać należy w dwóch głównie momentach, które

---

(1) W przywiedzionêm miejscu wspomniałem o braku przygotowawczych materyałów *bibliograficznych*. Obecnie brak ten zapełnionym zostaje przez ogłoszenie prac niestrudzonego bibliografa naszego K. Estreichera. Szacowne dzieło jego: *Bibliografia polska XV i XVI stólecia*. Kraków 1875, zawiera w sobie drogocenne materyały dla badacza pierwszych zawiązków Filozofii w Polsce. Nadto dowiadujemy się z *Rozpraw i Sprawozdań* wydziału hist.-filoz. *Akademii umiejętności w Krakowie T. III.* 1875 *str. XXXVI*, że prof. dr. Siedlecki posiada w rękopiśmie znacznie już posuniętą *Bibliografią Filozofii w Polsce*.

(2) Podział historyi filozofii w Polsce na pięć głównych okresów i charakterystykę takowych zob. w mym Wstępie historycznym do Logiki, str. 139 i nast.

w imię prawdy i naukowego postępu z całą otwartością wykazać należy.

Pierwszą przyczyną jest niedostateczne zbadanie postępowych dążności tego okresu filozofii w Polsce i pewna niechęć do tych dążności, drugą zaś przyczyną jest kilkowiekowe panowanie ciemnoty scholastycznéj w drugim okresie filozofii w Polsce, to jest w okresie jezuickim. W skutek tego panowania, wszelkie dążności postępowe ze świadomości narodu systematycznie wykorzeniano (1). Czas, aby nauka i poczucie osobistéj godności wyswobodziły nasz myślący ogół od skutków ostatniéj z przywiedzionych tu przyczyn. A wtedy zapewne nie będziemy potrzebowali długo czekać na usunięcie pierwszéj.

Dążności postępowe XIV, XV i XVI wieku, które spowodowały zupełny upadek średniowiecznego scholastycyzmu i miały za skutek nowszy rozwój filozofii od czasów Bakona, Kartezyusza i Böhmego (t. j. od początku XVII wieku), mogą być sprowadzone do trzech głównie objawów, jakiemi są: *nominalizm*, *humanizm*, i dążności na polu *reformy religijnéj i społecznéj*.

Nominalizm już od czasów *Duns Skota* († 1308) i *Wilhelma, Okkama* († 1347) wskazuje na konieczną potrzebę wyswobodzenia umysłu ludzkiego z pod władzy abstrakcyjnego dogmatyzmu i oparcia nauk i filozofii na rozbiorze *szczegółowych* objawów tak zewnętrznego, jak i wewnętrznego życia człowieka. Z tych nominalistycznych dążności wyradza się z czasem *naturalizm* i *empiryzm* Mikołaja Kuzy, Telezyusza, Giordana Bruno, Campanelli i innych poprzedników Bakona. Odrodzenie się nauk przyrodzonych i kierunek indukcyjny w filozofii — oto następstwa tych dążności.

Punktem wyjścia *humanizmu* były, jak wiadomo, studya nad językami i literaturą Greków i Rzymian. Głównemi zaś przedstawicielami jego w XV i XVI stuleciu byli tacy mężowie, jak: Valla, Agrikola, Vives, Piotr Ramus i inni. W skutek ich starań rozszerzała się coraz bardziéj znajomość oryginalnych dzieł starożytnych myślicieli. Przerwany gwałtownie związek między nowym i starym światem zostaje przywróconym. W miejsce skrzywionych i skażonych Platonów i Arystotelesów, jak Feniks

(1) Jan Śniadecki w żywocie Kołłątaja (Dzieła T. II, str. 61) mówi: „Ktokolwiek zna gruntownie dzieje polskie, nie może zaprzeczyć tego osobliwego fenomenu, że nauki tak kwitnące w Polsce za Jagiełłów zaczęły się psuć i upadać, w kilkadziesiąt lat po wprowadzeniu jezuitów i znowu, po zniesieniu tego zakonu, dźwigać się i podnosić.“

z popiołu występują prawdziwi geniusze starożytności i spoglądają odrodzeni na swoich spadkobierców. Prawdziwa, zdrowa spekulacya filozoficzna odgrzebała znowu zasypane przez barbarzyńców źródła.

Co się w końcu tyczy dążności w zakresie *reformy religijnéj i społecznej*, to te, jak wiadomo, sięgają odległych czasów Waldensów (końca wieku XII), rozwijają się w sercach takich mistyków, jak Eckhard, Tauler, Jan Gerson, znajdują swój wyraz w wiekopomnéj zasadzie wyższości soboru powszechnego nad papieża, dojrzewają na stosach, które spaliły Hussa, Hieronima z Pragi, Sawonarolę i innych, aż wreszcie w XVI wieku wyradzają nową formę społeczności religijnéj. Zasada osobistéj niezależności w rzeczach przekonania, zasada swobody sumienia, tolerancyi, tak ważna w swoich następstwach dla rozwoju filozofii, była głównym dodatnim wynikiem tych dążności.

W ścisłym związku z przytoczonemi objawami życia umysłowego pozostaje na polu ówczesnéj filozofii *eklektyzm*, który początkowo starał się pogodzić pewne średniowieczne zasady z krytyczniejszym duchem nowszych czasów, a późniéj po odrodzeniu się nauk łączył ze sobą różnorodne poglądy starożytnych myślicieli. W ogólnym rozwoju filozofii eklektyzm ten nie posiada żadnéj wydatnéj doniosłości, ale jako objaw przejściowy między scholastyką i nowszą filozofią przedstawia postęp prawdziwy.

Wszystkie powyższe dążności, charakteryzujące rozwój umysłowy XIV, XV i XVI stuleci, miały swoich zdolnych a energicznych przedstawicieli w piérwszym okresie filozofii, w Polsce. Należyte zbadanie i krytyczne przedstawienie tych dążności jest tedy najgłówniejszém zadaniem historyka tego okresu. Uprzytomnijmy sobie to zadanie nieco dokładniéj.

Z natury rzeczy wynika, że uwaga badacza przedewszystkiém zwróconą być musi na fakt zasadniczéj doniosłości, wokoło którego wszystkie dążności tego okresu się gromadzą. Mówimy o założeniu akademii Krakowskiéj. Główne źródła do historyi tego faktu znajdują się w dziełach Putanowicza, Kołłątaja, Sołtykowicza, Muczkowskiego, Łukaszewicza, Małeckiego, Mecherzyńskiego, szczególniéj zaś w rękopismach historyografa akademii Marcina Radymińskiego. Akt erekcyi akademii pochodzi z r. 1364, lecz według świadectwa Radymińskiego Kazimiérz W. jeszcze w r. 1347 sprowadził z zagranicy profesorów i założył szkołę wyższą, która była zawiązkiem późniejszéj akademii. Co więcéj, są pisarze, którzy utrzymują, że jeszcze przed tym ostatnim rokiem istniała w Krakowie szkoła miejska w okręgu P. Ma-

ryi, która na *szkołę filozofii* przeznaczoną była (1). W każdym razie tak wczesne staranie około założenia wyższych zakładów naukowych jest dowodem nader ważnych postępowych dążności; dowodem, że życie umysłowe owych czasów w Polsce dorównywało w zupełności ogólnemu rozwojowi umysłowemu w pozostałéj Europie. Nie zapominajmy bowiem, że prócz kilku uniwersytetów włoskich, oraz Kembrydżskiego, założonych jeszcze w XII wieku, tylko uniwersytet Oxfordzki, założony r. 1249 i Sorbona Paryska, założona 1253, wyprzedziły akademią Krakowską; reszta zaś najstarszych uniwersytetów powstała bądź jednocześnie ze szkołą krakowską, bądź téż później. I tak: uniwersytet Pragski założonym został r. 1348, Wiedeński 1365, Heidelbergski 1386 i t. d.

Z założeniem akademii Krakowskiéj życie umysłowe narodu ześrodkowaném zostało w jedném głównem ognisku. To téż nie ulega wątpliwości, że akademia w pierwszych czasach swego istnienia wspiérała wszystkie dążności postępowe, o których mówiliśmy powyżéj. Tylko w drugiéj połowie naszego okresu zaczyna się zasklepiać w ciasnych ramach jednostronnego dogmatyzmu, ulega ślepo wymaganiom wszechwładnego duchowieństwa, stroniąc od wszelkich reform, zgodnych z odradzającym się duchem czasu. W skutek tego rozwój umysłowy rozpryskuje się znowu na kierunki czysto indywidualne, jednostkowe, pozbawione wszelkich środków do stawienia skutecznego oporu rozszerzającéj się po całym kraju jezuickiéj scholastyce.

Rzućmy teraz okiem na głównych przedstawicieli przywiedzionych powyżéj dążności postępowych w Polsce.

Co się najprzód tyczy *nominalizmu*, oraz dążności empirycznych do zbadania szczegółów, to nie podlega wątpliwości, że znakomity rozwój nauk fizycznych i matematycznych w naszym okresie pozostawał w ścisłym związku z rozszerzeniem się nauk Duns Skota i Okkama. Związek ten wprawdzie dotąd nie został jeszcze należycie zbadany, ale o wskazówki w tym względzie nie trudno. Główni przedstawiciele filozofii w akademii Krakowskiéj należeli do szkoły nominalistów, lub téż do niéj w sposób eklektyczny się zbliżali. Ale oni téż zarazem pielęgnowali skrzętnie nauki fizyczne i matematyczne i stworzyli owę duchową atmosferę, w któréj się wyrodził geniusz Kopernika. I tak, pomijając dawniejszych nominalistów, jak np. Mateusza z Krakowa († 1410),

1) Zob. np. Sołtykowicz, *O stanie Ak. Krak.* 1810 str. 11.

o których zresztą niewiele wiemy (1),— zauważyć należy, że zarówno *Jan z Głogowa*, jak *Michał z Wrocławia*, profesorowie filozofii, gorliwie się zajmowali naukami fizycznemi i matematycznemi. Pierwszy z nich, prócz dzieł dotyczących Logiki (2), napisał dzieło o *Astrologii* i zajmował się badaniami fizyologicznemi, na zasadzie których stał się ojcem *frenologii* i *fizyognomiki* (3). *Michał z Wrocławia* zaś pozostawił po sobie nietylko astrologią, lecz i kilka kalendarzy, należących do pierwszych, jakie u nas wyszły z druku (r. 1494, 1495). Uczniem obydwóch był znany matematyk *Wojciech z Brudzewa*, nauczyciel *Kopernika* (4).

Wiémy dobrze, że przeciwko takiemu poglądowi na duchowy związek między nominalizmem i dążnościami ku zbadaniu szczegółowych objawów świata można nadmienić, iż kierunek empiryczny istniał u nas, jak się zdaje, jeszcze przed rozszerzeniem się teoryj nominalistycznych. Posiadaliśmy uczonych europejskiéj nawet sławy na polu nauk fizycznych, lekarskich i matematycznych jeszcze przed rozszerzeniem się teoryj nominalistycznych. Wspomnę tu tylko o *Vitellionie* (Ciołku), znanym powszechnie twórcy nowszéj optyki, który, według podania, jeszcze w XIII wieku robił doświadczenia na górze Lasota przy mogile Krakusa (5); o *Janie z Radlic*, znakomitym lekarzu XIV w; o *Marcinie*

---

(1) Zob. zresztą, Sołtykowicz, O stanie Ak. Krak. str. 117. Stöckl, Geschichte der Philos. des Mittelalters T. II. 1865 str. 1032; oraz objaśnienia podane przez Estreichera w przytoczoném powyżéj dziele str. X.

(2) O pracach dotyczących Logiki, a podjętych przez głównych przedstawicieli filozofii w Polsce, można znaleść właściwą wiadomość w mym Wstępie historycznym do Logiki. Uzupełnienia zob. w Bibliografii Estreichera.

(3) Następcą Głogowczyka w studyach nad fizyognomiką był, jak się zdaje, Szymon z Łowicza, którego praca „Enchiridion physiognom.“ wyszła w Krakowie roku 1532.

(4) W nowszych czasach powstała wątpliwość co do tego czy Wojciech z Brudzewa w istocie był nauczycielem Kopernika. Wątpliwość tę oparto głównie na téj okoliczności, że w latach pobytu Kopernika w Krakowie, aż do 1492 do 94 lub 95, Brudzewski matematyki nie wykładał. Zob. Zakłady uniwersyteckie w Krakowie 1864. Artykuł F. Karlińskiego: „Rys dziejów obserwatoryum astronomicznego“ w Krakowie. str. 127 i nast. Ponieważ jednak z wyjątków z *Liber diligentiarum* etc, przytoczonych tutaj przez Karlińskiego, okazuje się, że Brudzewski do roku 1494 *był* w Krakowie i miewał wykłady z filozofii natury, a zatém *mógł* kierować studyami młodego Kopernika; ponieważ nadto ów spis lekcyj wykazuje pewne niedokładności (tak np. nie zapisano zupełnie wykładów za rok 1495|6), przeto sądzę, że świadectwa Starowolskiego, nazywającego wyraźnie Brudzewskiego nauczycielem Kopernika, bez bardziéj przekonywających dowodów bezwzględnie odrzucić nie można.

(5) Zob. Whewel, Historyą nauk iuduktywnych, przekład niemiecki Littrowa T.

z *Olkusza*, przyjmującym czynny udział w reformie Kalendarza za Leona X i t. d. (1). Pomimo to jednak o wykształceniu i pracach powyższych mężów dotąd jeszcze tak mało wiemy, że nie mamy żadnego powodu powątpiewać, iż ów duchowy związek, jaki w całéj pozostałéj Europie łączył nominalizm ze stopniowém odrodzeniem się nauk empirycznych nie istniał i u nas. Specyalne badania nad tą kwestyą, a mianowicie nad filozoficzném wykształceniem i filozoficznemi poglądami przywiedzionych mężów, potwierdzą to przypuszczenie i objaśnią nas bliżéj co do duchowéj genezy owych prac na polu nauk przyrodzonych. W każdym razie widzimy, że już pod koniec XV stulecia poglądy Skota i Okkama stają się panującemi w akademii Krakowskiéj, dzięki usilnéj pracy *Szymona z Lieszniewa*, *Michała z Bystrzykowa* (Parisiensis), *Jana ze Stobnicy*, *Mikołaja z Gielczewa*, *Mateusza z Holnstein*, *Grzegorza ze Stawiszyna*, *Jędrzeja Glaber z Kobylina* i innych, o których w swym zarysie Logiki w Polsce wspomniałem, a których dzieła dotyczące filozofii naturalnéj i moralnéj przytacza Estreicher w swéj Bibliografii.

Równolegle z nominalizmem i pracami na polu badań szczegółowych, rozwijają się u nas dążności *humanistyczne*. Uczeni polscy już bardzo wcześnie podróżują do Włoch, znajdują zamiłowanie w literaturze klasycznéj i zaszczepiają takowe w swoich rodakach. Szereg kronikarzy i mówców, piszących dobrą łaciną i wykazujących znajomość literatury starożytnéj, oraz istnienie już na początku XV wieku takiego komentatora Arystotelesa, jakim był *Sędziwoj Czechel Korabita*, o którym wspomina Długosz w księdze XIII pod latami 1454 i 1456 (2) — jest tego najlepszym dowodem. Pomimo to jednak materyały historyczne, dotyczące tego przedmiotu, dotąd nie zostały jeszcze należycie spożytkowane dla wykazania stopniowego wzrostu studyów klasycznych u nas. Historyk filozofii w Polsce, nad tą kwestyą koniecznie bliżéj zastanowić się musi, gdyż wiadomą jest rzeczą, że rozwój poglądów filozoficznych owego czasu pozostawał w ścisłym związku ze wzrastającą znajomością tak świata starożytnego w ogólności, jak w szczególności dzieł oryginalnych jego głównych myślicieli. Musiały istnieć w tym względzie bardzo poważne prace przygotowawcze,

---

II, str. 366 i nast., oraz Sołtykowicz l. c. str. 10 i 100, Wituski, O życiu i dziele optyczném Vitelliona. Poznań 1870.

(1) Zob. Sołtykowicz l. c. str. 202, 250 i nast.

(2) Długosz, *Historia Polonica*, wyd. Frankf. z r. 1711. T. II. str. 161, 193.

kiedy wszechnica Krakowska zdolną była wydać takiego męża jak *Grzegorza z Sanoka* († 1477), którego, pomimo dzieł zatraconych, na zasadzie samych szczegółów podanych przez jego biografa *Kallimacha* śmiało postawić można obok najznakomitszych humanistów piętnastego wieku. Na równi z nimi, Grzegorz, jak wiadomo, potępiał scholastycznych gramatyków, którzy umysły młodych mnóstwem reguł zaciemniali, a natomiast przedsięwziął powrócić do natury i oddać językom starożytnym ich pierwotną piękność. Na równi z nimi nazywał średniowiecznych dyalektyków bezmyślnymi marzycielami, wyszydzał barbarzyńskich komentatorów Arystotelesa, którzy, nie znając dzieł jego w oryginale, pisali o nim całe folianty, i domagał się natomiast samodzielnego badania prawdy. Kallimach donosi, że poglądy Grzegorza przyjęte zostały w Krakowie z wielkim zapałem, z czego wynika, że grunt dla podobnych dążności musiał być należycie przygotowany. Przekonywają nas o tém zresztą i dalsze losy tych dążności w Krakowie. I te losy dotąd jeszcze nie zostały zbadane. Ale pomimo to skromne wiadomości, jakie o nich posiadamy, potwierdzają powyższe zdanie. W roku 1489 przybył do Krakowa Konrad *Celtes*, uczeń Agrikoli, znakomity poeta i znawca świata starożytnego, szczególniéj Homera i Platona. Pomimo że już w r. 1487 uwieńczonym został przez cesarza Fryderyka III, zapisał on się jednak w poczet uczniów *Wojciecha* z *Brudzewa*, którego późniéj opiewa pod imieniem *Albertus Brutus* albo téż *Albertus de Brudlewo*, nazywając go ojcem i szczycąc się z tego, że mistrz ten nazywał go swoim *synem pierworodnym* (filius primogenitus). W Krakowie Celtes zapoznał się téż osobiście z Kallimachem, Janem Ursynem i innymi uczonymi. U przyjaciela swego rusina *Bernharda Viliscus* uczył się języka polskiego, sam zaś nauczał w akademi retoryki i poetyki. Wpływ jego, według wiarogodnych źródeł, rozszerzał w młodzieży zamiłowanie do filozofii platońskiéj i w ogóle do literatury klasycznéj, która jednak już za czasów Grzegorza z Sanoka w Krakowie kwitnąć musiała. Do uczniów Celtesa w Krakowie należał między innymi *Jan Rhagius*, który później (r. 1505) w Kolonii krzewił studya klasyczne i stał się nauczycielem i przyjacielem *Ulryka Huttena* znakomitego pogromcy scholastycyzmu. Takim sposobem odkrywa się przed naszém okiem duchowy związek, istniejący między ówczesnym stanem akademii Krakowskiéj a ogólnym postępowym prądem wieku. Głębsze zbadanie tego związku na zasadzie właściwych źródeł tak swojskich, jak i obcych, odsłoniłoby jednę z najciekawszych kart historyi naszego umysłowego rozwoju w owym czasie,

a dla historyka fiilozofii w Polsce byłoby to pracą równie zajmującą jak wdzięczną (1). Z pomiędzy innych krzewicieli literatury klasycznéj, którzy bądź równocześnie z Celtesem, bądź po nim w Krakowie działalność swą rozwinęli, wymienię tu: *Jana z Oświecima* (Sacranus), który objaśniał w Akademii Cycerona; *Jana Ursinus* czyli Niedźwiedzkiego starszego, który, wykształciwszy się w Padwie, po powrocie do kraju wydał dzieło p. n. *Modus epistolandi; Benedykta Herbesta* biografia Cycerona; *Adama Romera*, autora retoryki; *Andrzeja Krzyckiego*, przyjaciela Erazma Roterdamskiego; *Wojciecha Nowopolskiego*, doktora medycyny, który, prócz różnych prac z dziedziny nauk fizycznych, wydał mowę na *pochwałę fizyki*, jako wstęp do wykładu fizyki Arystotelesa w języku Greckim; *Stanisława Grzelskiego*, gruntownego znawcy języków łacińskiego, greckiego i hebrajskiego (2).

W ścisłym związku z temi studyami klasycznemi zostawały prace filozoficzne takich autorów, jak *Jakób Górski*, *Adam Burski*, *Jan Niedźwiecki* młodszy, *Mikołaj Mościcki*, *Adam Tobolski* i inni, o których czytelnik znaleść może szczegółowe wzmianki w méj Logice (str. 150 i nast.). Tutaj wspomnieć należy o pierwszych staraniach rozszerzenia znajomości filozofii starożytnéj, za pomocą mowy ojczystéj. Wyrazem tych starań są: *Problemata czyli gadki z pism Arystotelesa*, przełożone przez *Jędrzeja Glabera z Kobylina*, następnie znane *Żywoty filozofów Marcina Bielskiego*, wreszcie przekłady: *Cycerona*, O powinnościach przez St. *Koszutskiego, Seneki*, O dobrodziejstwach przez Łukasza *Górnickiego*, oraz Arystotelesowéj *ekonomii*, *polityki* i *etyki* przez Sebastyana *Petrycego*. Prace te stanowią naturalne dopełnienie powyższych dążności humanistycznych.

Przejdźmy obecnie do przeglądu głównych objawów na polu *reformy religijnéj i społecznéj*.

---

(1) O Celtesie piszą między innymi: Jocher, „Obraz literatury i nauk w Polsee. T. I, 1840. str. 456; Schröder, „Das Wiederaufblühen der Klassischen Studien in Deutschland.“ 1864, str. 154 i nast.; Aschbach, „Die früheren Wanderjahre des Konrad Celtes“ 1869. Najnowszą zaś i zarazem najbardziéj pouczającą dla nas w tym względzie jest praca K. Mecherzyńskiego: O pobycie w Polsce Konrada Celtesa i jego wpływie na rozbudzenie humanizmu, w IV tomie Rozpraw i Sprawozdań Wydziału fiilologicznego Akademii Umiejątności w Krakowie, 1876. str. 263 do 313.

(2) Zob. Sołtykowicz l. c. str. 129, 157, 185, 245, 327, 393. Przy téj sposobności należy zwrócić uwagę na dość liczne wydania u nas zarówno klasyków łacińskich i greckich, jak i dzieł Leonarda Aretina, Rudolfa Agrikoli (było ich dwóch), Erazma Roterdamskiego, Ulrycka Huttena, Melanchtona i innych krzewicieli klasycyzmu.

Materyały do historyi reformacyjnych dążności w Polsce znajdują się głównie w dziełach *Łukaszewicza* o dysydentach, *Krasińskiego* i *Zakrzewskiego* o reformacyi w Polsce. Dążności te powstają w Polsce już bardzo wcześnie. Wiadomo np. że już biskup wrocławski *Prawdzic* napisał rozprawę: *de clericorum et laicorum matrimoniis* (1), w której broni małżeństwa duchownych; a znany kronikarz *Janko z Czarnkowa* już w XIV wieku występuje energicznie przeciwko nadużyciom świeckiéj i duchownéj władzy. Samo założenie akademii Krakowskiéj było aktem emancypacyi Kazimierza W. z pod bezpośredniéj władzy duchowieństwa. Według Radymińskiego jedną z przyczyn założenia wszechnicy w kraju było to, że król *nie mógł znieść zniewagi na naród spływającéj* z powodu ustaw różnych zakonów, które nie uznawały żadnych innych naukowych stopni prócz szkoły paryskiéj, (2) oddanéj naówczas zupełnie naukom Tomistów. Późniéj dążności tego rodzaju znalazły nader ważne poparcie w królowéj Jadwidze i królu Władysławie Jagielle. Mówi o tém Józef *Łukaszewicz* w sposób następujący (3): „Na końcu XIV wieku Jadwiga, królowa polska, wyznaczyła znaczny fundusz na utrzymanie pewnéj liczby młodzieży polskiéj i litewskiéj na uniwersytecie w Pradze. Było to właśnie w czasie, w którym Huss i przyjaciel jego a późniéj towarzysz niedoli, Hieronim z Pragi, uczyli na wspomnionym uniwersytecie. Młodzież polska nie zaniechała korzystać z dobrodziejstwa cnotliwéj królowéj Jadwigi; nadto, wielu młodych Polaków udawało się własnym nakładem na uniwersytet Pragski. Hieronim z Pragi wezwany został od króla Władysława Jagiełły do Krakowa (r. 1410), aby nowo-założony uniwersytet w tém mieście urządził. Hieronim przyjął wezwanie, przybył z kilku innymi uczonymi Czechami do Krakowa, urządził uniwersytet i uczył w nim sam czas niejaki. Tym sposobem nauka Hussa rozeszła się przez młodzież, czerpającą ją na dwóch uniwersytetach, w oka mgnieniu po całéj Polsce. Nie dość na tém, nauka Hussa znalazła przystęp na samym dworze królewskim. Podobała się zwłaszcza królowéj, liturgia w ojczystym języku; na jéj rozkaz przełożoną została biblia na język polski; dla niéj sprowadzeni w r. 1394 do Krakowa duchowni z Czech, odprawiali obyczajem wyznawców Hussa wszelkie obrządki reli-

---

(1) Wiszniewski, *Historya lit. Pol.* T. II str. 280.
(2) Sołtykowicz, l. c. str. 97 i nast.
(3) Łukaszewicz, *O kościołach Braci Czeskich w dawnéj Wielkiéj Polsce.* Poznań. 1835 str. 9 i nast.

gijne w języku polskim, w kościele ś. Krzyża na Kleparzu. (1) Sam Władysław Jagiełło sprowadził z Czech duchownego wyznania Hussa i z nim potajemnie rozmawiał o rzeczach wiary. Nadto rozsiéwali po Polsce naukę Hussa ludzie rozmaitych stanów, jako to: kupcy, rzemieślnicy i t. p. z Czech do Polski przybywający. Jan Żiżka walczył w szeregach polskich pod Grunwaldem (r. 1410) przeciwko wiarołomnemu zakonowi Krzyżaków!" Dopiero r. 1424 duchowieństwo wymogło na Władysławie Jagielle surową ustawę przeciw Hussytom i ich sprzymierzeńcom. Ale interdyktów tych nie wykonywano. Długosz przynajmniéj donosi, że w r. 1431 odbyły się w Krakowie publiczne rozprawy między delegowanymi hussyckimi i profesorami Akademii, w obecności króla i senatu. Król bronił otwarcie i stanowczo swobód sumienia Hussytów przeciwko surowym groźbom biskupa Zbigniewa Oleśnickiego (2).

Dążności powyższe, pozostające w ścisłym związku z ogólnym umysłowym rozwojem narodu, znalazły z natury rzeczy téż odgłos w profesorach akademii Krakowskiéj; chociaż w tym względzie dotąd niestety, tylko bardzo mało mamy autentycznych wiadomości. Wiémy jednak, że w połowie XV stulecia pojawiają się w akademii tacy mężowie jak Jędrzej Gałka z Dobczyna, wyznawca zasad Wiklefa, Jan z Elgot Wieniawita dwa razy na rektora akademii wybrany, obrońca sławnéj zasady wyższości soboru nad papieża, (3) Paweł syn Włodzimierza, herbu Dołęga, słynny kanonista, domagający się dla pomyślności kościoła takich reform, jak: *zniesienia anuat* pobiéranych przez kuryą rzymską, *wolnego wyboru* biskupów i innych prałactw przez kapituły, oględniejszego postępowania przy nadawaniu kardynalskiéj godności i t. p. (4) Naj-

---

(1) Łukaszewicz powołuje się w tém miejscu na Szymona Turnowskiego, lecz zdaje się, że Turnowski, odnosząc przytoczony fakt do roku 1394, omylić się musiał, gdyż szerzenie się *hussytyzmu* w Polsce nie mogło mieć miejsca przed rokiem 1398 w którym Huss począł wygłaszać swą naukę w Pradze. Prawda, że już przed Hussem, bo począwszy już od roku 1381, Maciéj z Janowa, zupełnie niezależnie od nauki Wiklefa głosił w Pradze zasady reformacyjne (zob. *Neander*: *Matthias von Janow als Vorlaufer der deutschen Reformation;* w Philolog u. histor. Abhandl. d. Akad. d. Wiss in Berlin z roku 1847 str. 263 i nast.), ale tych dążności nie można nazwać *hussytyzmem*, a o ich wpływie na Polskę nic nie wiemy.

(2) Długosz, l. c. T. I. księg. XI str. 577.

(3) Sołtykowicz l. c. str. 122 i nast.

(4) Zob. nader ciekawą i pouczającą rozprawę prof. A. Małeckiego p. t. *Karta z dziejów Uniwersytetu Krakowskiego,* w 2-gim tomie Rozpraw i Sprawozdań wydziału histor. filoz. Akademii Umiejętności. Kraków 1874 str. 77 i nast.

nowsze zaś badania źródłowe prof. A. Małeckiego, dotyczące téj epoki Krakowskiego uniwersytetu, wykazują, że obrona zasady wyższości soboru nad papieża, nie była objawem jednostkowym, sporadycznym, lecz objawem solidarnego połączenia prawie wszystkich członków akademii (1). „Jest to właśnie idea," mówi Małecki, „dla którój i za którą uniwersytet Krakowski w r. 1448 gotów był znosić nawet prześladowanie." Akademia, pomimo nader krytycznego położenia, kilkakrotnie odmówiła królowi i legatowi papieskiemu złożenia hołdu Mikołajowi V-mu i uczyniła to dopiéro wtedy, gdy zgodnie z jéj zasadą sobór bazylejski Mikołaja V-go za głowę Kościoła uznał. Fakt ten, ze wszystkiemi szczegółami, dowodzi jak najdobitniéj, że poczucie indywidualnéj godności, niezależności *sumienia* i przekonania od wszelkich z góry narzuconych wymagań, głęboko tkwiło w ówczesnych przedstawicielach życia umysłowego w Polsce.

Dążność do osobistéj niezależności i swobody, tak pod względem religijnym jak społecznym, miała dla filozofii u nas ten ważny skutek, że rozwinęła do wysokiego stopnia teorye moralne i społeczne. Obok logiki dochodzi w naszym okresie do rozkwitu i *etyka*. Zaczątków pierwszych teoryj etycznych i społecznych szukać należy w licznych naszych kronikarzach i mówcach, którzy, rozwodząc się nad sprawami kościoła i rzeczypospolitéj, nieraz mieli sposobność szérszego rozwinięcia swych poglądów zarówno na zadania moralne jednostki, jak i na zasady prawdziwéj organizacyi społeczeństwa. O filozoficznéj doniosłości *systematu moralnego i politycznego* np. *Długosza* mówił już *Mickiewicz* (2). Toż samo należy powiedzieć o poglądach innych kronikarzy i mówców, dotąd pod tym względem mniéj znanych. Najgłówniejszemi źródłami dla zbadania téj rzeczy są *Monumenta Bielowskiego* i szacowne dzieło *K. Mecherzyńskiego*, *Historya wymowy w Polsce* (Kraków 3 tomy 1856—60).

Piérwszym wielkim politykiem i moralistą w Polsce był *Jan Ostroróg* († 1501), który w znanym memoryale o *Urządzeniu Rzeczypospolitéj*, przedstawionym sejmowi r. 1459 rozwinął szczegółowo światłe swe poglądy na *władzę* królewską, jéj stosunek do władzy

---

(1) Mówimy tu o przytoczonéj powyżéj pracy prof. Małeckiego.

(2) *Mickiewicz*, w 27-éj Lekcyi *o literaturze Słowiańskiéj*, gdzie spotykamy porównanie *systematu* moralno-politycznego *Długosza* z systematami *Filipa de Commines* i *Machiawell'a*.

duchownéj i narodu, na zadanie dobrego zarządu kraju, sądownictwa, gospodarstwa krajowego i t. d. Memoryał ten, ogłoszony przez *Bandtkiego* (1831) i *L. Wegnera* (1859) zawiéra w sobie główne zarysy niezbędnéj naówczas w całéj Europie reformy społecznéj i jest chlubnym dowodem wysokiéj dojrzałości ówczesnego społeczeństwa, które nad temi reformami nietylko z całą swobodą dyskutowało, lecz i pod niejednym względem do nich się zastosowało. Ciekawém dopełnieniem tych poglądów Ostroroga, trącącém jednak Machiawelizmem, są rady *Kallimacha* dane królowi Olbrychtowi a ogłoszone w 3-im tomie *Historyi literatury Wiszniewskiego*. Kallimach i Ostroróg dążą do tych samych celów, mają na oku wzmocnienie władzy królewskiéj, wyswobodzenie jéj z pod ucisku duchownego i szlacheckiego możnowładztwa; ale gdy Ostroróg celu tego chce dopiąć *poprawą moralną*, szeregiem *reform* społecznych, Kallimach radzi królowi użyć podstępu, chytrości, skorzystać z wad i namiętności ludzkich. Tutaj wspomniéć należy o nader ważnym zabytku XV wieku, t. j. o radach dobrego *wychowania królewicza*, przypisywanych królowéj Elżbiecie, małżonce Kazimiérza Jagiellończyka. Zawiérają one bardzo ciekawe wskazówki, jak patrzono naówczas na zadania przyszłego króla i na środki doprowadzające do rozwiązania tych zadań.

Musielibyśmy zbytecznie rozszerzyć szczupłe ramy niniejszego szkicu, gdybyśmy chcieli scharakteryzować choćby najwybitniejsze objawy na polu teoryj moralnych i społecznych naszego okresu. Wymienimy tu zatém tylko tych pisarzy tego działu, których poglądy powinny być przedmiotem specyalnych rozbiorów historyka filozofii w Polsce. Na piérwszém miejscu stoi tutaj Mikołaj *Rej* z Nagłowic, który jako ojciec filozofii *polskiéj*, w ścisłém tego słowa znaczeniu, t. j. filozofii w mowie polskiéj wyłożonéj, góruje po nad wszystkimi współczesnymi pisarzami filozoficznymi. Obok jasnego wykładu zasad moralnych, Rej w swych pismach rozwija konsekwentnie pewne poglądy na świat i życie, które posiadają niezaprzeczone znaczenie filozoficzne i zasługują na specyalny rozbiór, przy wykładzie piérwszego okresu filozofii w Polsce (1). Wraz z nim tacy pisarze, jak Andrzéj Frycz *Modrzewski*, Stanisław *Orzechowski*, Łukasz *Górnicki*, Józef *Wereszczyński*, Krzysztof *Warszewicki*, Jan *Zamojski*, Wawrzyniec *Goślicki*, Jędrzéj *Wolan*, Jędrzéj i Piotr *Zbylitowscy* i inni zastanawiają się to nad organizacyą państwa, to

---

(1) O *Reju*, jako filozofie i moraliście spodziewam się, że będę mógł wkrótce ogłosić osobne studyum.

nad zadaniami króla, rządu i różnych stanów społecznych, to wreszcie nad moralnemi warunkami dobrobytu i szczęścia tak ogółu, jak jednostki. Pisma ich zawiérają w sobie nader bogaty zasób zdrowéj myśli i doświadczenia politycznego, niezużytkowanego dotąd dla przedstawienia *praktycznéj filozofii* w ówczesnéj Polsce. Wykazać zasady *etyczne* wszystkich powyższych pisarzy, porównać ich między sobą i należycie ocenić—oto jedno z nader trudnych, lecz koniecznych zadań przyszłego historyka filozofii w Polsce. Przytém nie należy zapomniéć, że i poeci ówcześni, mający głównie na oku cele dydaktyczne, domagają się uwzględnienia swych poglądów, jako charakteryzujących myśl filozoficzną owego czasu. Tak obok Reja wymienić tu należy *Klonowicza*, który z taką jasnością broni godności człowieka jako człowieka, i dla tego nie znalazł uznania u spółczesnych, którzy zwykli byli widziéć człowieka tylko w szlachcicu. *Jan Kochanowski* nie rozwijał wprawdzie szczegółowo podobnéj tendencyi dydaktycznéj, ale pomimo to w pismach jego znajduje się dość wiele poglądów moralnych, posiadających wartość filozoficzną. W każdym razie zdania jego w sprawach dotyczących filozofii i filozofów, którzy, jak mówi, *prawdy tak jako kłębka po nici* szukają (1), zasługują na bliższą uwagę i dopełniają pod niejednym względem poglądy innych ówczesnych myślicieli.

* * *

Z powyższego pobieżnego przeglądu najgłówniejszych objawów piérwszego okresu historyi filozofii w Polsce, widzimy, że okres ten nietylko w niczém nie ustępuje ówczesnemu rozwojowi umysłowemu innych narodów, ale nadto pod niejednym względem wyprzedza ten rozwój, a w każdym razie pełen jest samodzielnych postępowych dążności, zasługujących na gruntowne zbadanie. Wszystkie nauki i kwestye filozoficzne znalazły w tym okresie znakomitych przedstawicieli. *Nominalizm* rozwijał głównie w duchu postępowym *logikę*, *metafizykę* i *filozofią natury*. *Humanizm* obok Logiki pracował nad wyrobieniem *retoryki* i *poetyki*, a tém samém dał początek piérwszym zawiązkom teoryj *estetycznych*. Jemu téż zawdzięczamy piérwsze studya nad *historyą starożytnéj filozofii*. Wreszcie *dążności reformacyjne* na polu religijném i społeczném przyczyniły się do znakomitego rozwoju teoryj *moralnych* i *społecznych* w naszym okresie. Z teoryami temi łączą

---

(1) *Wróżki*. Dzieła J. Kochanowskiego wyd. Turowskiego, T. II, str. 257.

się piérwsze zawiązki *historyozofii*, jako krytycznego poglądu na warunki i cele ludzkiego rozwoju. Jednem słowem, wszystkie zasadnicze kwestye filozofii dotknięte zostały w tym okresie. Prawda, że jeszcze nie ma mowy ani o wyczerpującym krytycznym rozbiorze tych kwestyj, ani o systematyczném przedstawieniu rezultatów podobnego rozbioru. Ale tego téż nie napotykamy również jeszcze i u innych narodów owego czasu. Mamy do czynienia z okresem, który nie rozwiązywał kwestyj filozoficznych, lecz je stawiał jasno i śmiało; który z głębi ducha wytwarzał materyał dla pracy rozbiorowéj przyszłych pokoleń i tém samém utorował im drogę do prawdziwego postępu myśli. Zachód skorzystał z téj wielkiéj pracy przygotowawczéj XIV, XV i XVI stuleci; filozofia angielska, francuska i niemiecka były owocem téj pracy. My zaś niestety z końcem XVI wieku nie postąpiliśmy naprzód, lecz cofnęliśmy się nazad o kilka wieków. Dążności szlachetne Vitellionów, Grzegorzów z Sanoka, Janów z Głogowa, Rejów, Ostrorogów, Modrzewskich, Klonowiczów i wielu, wielu innych nie przyniosły owocu. Niewdzięczne pokolenie XVII wieku zapomniało o nich zupełnie. Dopiéro z końcem XVIII i w ciągu XIX ocknęliśmy się na nowo, porzuciliśmy szermierki scholastyczne i zaczęliśmy znowu żyć życiem zdrowéj, jasnéj myśli. Ale w porównaniu z Europą jesteśmy dziś jeszcze dziećmi, uczniami. Chcąc dojść do męskiéj dojrzałości, oprzéć nasze życie umysłowe na swojskich, samodzielnych podstawach, musimy wskrzesić owe myśli i dążności filozoficzne, które tutaj, na téj ziemi, w XIV, XV i XVI wieku się wyrodziły i krzewiły; przejąć się ich duchem i połączyć z nowszemi objawami myśli filozoficznéj u nas. Przez to myśl dzisiejsza zapuści znowu korzenie w grunt naturalny, swojski, i wyda kwiat sobie właściwy, z barwą własną, niezapożyczoną u innych. Na urzeczywistnieniu tego celu polega bezpośrednia, praktyczna doniosłość wszelkich studyów nad historyą filozofii w Polsce, a szczególniéj nad piérwszym jéj okresem, tak bogatym w myśli i dążności prawdziwie filozoficzne.

Henryk Struve.

POSTRZELONA

POWIEŚĆ

Williama Black'a,

przekład

Maryi Faleńskiéj.

ROZDZIAŁ VI.

Krzyżujące się prądy.

Najprzebieglejszy umysł działając w celu sprowadzenia nieszczęścia nie wynalazłby nic gorszego, jak złe, które sprawiała obecnie dobra i tkliwego serca kobieta, w całéj prostocie ducha i w jak najlepszych chęciach. Prosta była tego przyczyna. To, co mówiła o stosunku Violetty względem jéj brata, lub też Millera, nosiło cechę rozsądnego poglądu i przekonania ugruntowanego na silnych podstawach; a skoro przez to samo zdanie jéj wywierało pewien wpływ koło niéj, ona ze swéj strony coraz się bardziéj umacniała w wierze, że sposób jéj widzenia zupełnie jest z prawdą zgodny, i coraz lepiéj odegrywała rolę, którą bezwiednie wzięła na siebie w tym rozwijającym się dramacie. Nie potrzebujemy dodawać, że żadnych ukrytych planów nie miała w tym razie, ani też, że nie kierowały nią żadne osobiste widoki; zawsze gotowa zapomnieć o sobie, w tym razie także pragnęła jedynie szczęścia dwóch istot, które całém sercem kochała.

Należy też mieć na uwadze, że nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, pani Warrener znajdowała się w położeniu niezmiernie ułatwiającém szkodliwą działalność, jaka bezwiednie była w téj sprawie jéj udziałem. Każda inna osoba, przedstawiając w ten sposób położenie rzeczy Drummondowi, byłaby napotkała u niego niewiarę i zbyłby ją żartem z pewnością; ale tu odzywała się do niego najbliższa przyjaciółka Violetty i powierniczka jéj zaufana od lat wielu. Przytém była kobietą, zatém znała tajemnice serca

kobiécego i w zupełnéj szczerości zapewniała go, że jemu są one całkiem obce. Skoro się do niego odwoływała, pragnąc wyjednać dla Violetty sposobność wycofania się z błędnéj drogi, na jaką zapuściła się nierozważnie, cóż mógł jéj na to odpowiedziéć? Jeśli w rzeczy saméj, ta młoda dziewczyna zaczyna rozumiéć w jak okropne położenie zaplątała się z własnéj winy, jeśli serce jéj już zatęskniło za tym młodzieńcem, który ją opuścił w przystępie urazy, to z pewnością najlepiéj będzie, jeśli ona wyzna jak najprędzéj prawdę i wyswobodzi się z tych opłakanych powikłań. Z tém wszystkiém Drummond zachowywał w tym razie tak szlachetną względność dla Violetty że, nawet kosztem własnego spokoju, gotów był raczéj przedłużyć ów udręczający stan rzeczy, niźli ją zmuszać do upokarzających wyznań, jakby to był uczynił na jego miejscu człowiek mniéj delikatnych uczuć; przedewszystkiem miał na celu zostawienie jéj zupełnéj swobody wyboru, w żaden sposób nie próbując na nią wpłynąć.

Co do Violetty, dodajmy tu, że z nią łatwiejszą miała daleko sprawę niż z Drummondem pani Warrener, w swéj nieszczęsnéj robocie. Brata namówić tylko zdołała na to, aby się trzymał na uboczu i, czasowi wszystko zostawiając, z własnych spostrzeżeń zdanie sobie wytworzył; a jedynym widocznym wynikiem jéj rad było to, że w oczach jego znalazł się znowu dawniejszy wyraz posępny. Ale tu rzecz się miała całkiem inaczéj. Młoda ta i dumna dziewczyna popędliwego była usposobienia; przytém wiadomo, że miłość zarówno skorą jest do upatrywania niebezpieczeństw, jak do zwiększania sobie ich znaczenia!

Gdy Violetta powróciła na statek, po wysłaniu swego telegramu, zastała panią Warrener, czekającą na nią na pokładzie. Ta ostatnia, odprowadziwszy ją na bok, aby nikt nie podsłuchał ich rozmowy, rzekła do niéj z serdecznym wyrazem:

— Coś cię wyraźnie zasmuca, moja kochanko. Czy nie mogę być ci w czémkolwiek pomocną? Jeśli mi nie zechcesz powiedziéć powodu twego strapienia, nie wezmę ci tego za złe; ale mogłabym może przydać ci się na co, jeśli do tego wystarcza gorąca chęć serca; wiesz ile wszyscy tu pragniemy widziéć cię swobodną i szczęśliwą.

Młoda dziewczyna w ziemię patrzała, a twarz jéj pałała żywym rumieńcem. W niczém teraz nie przypominała zuchwałéj Violetty z dawnych czasów.

— Nie mam prawa być swobodną, ani téż szczęśliwą, odpowiedziała z cicha. Źle postąpiłam—i tém sprawiłam drugim ciężkie zmartwienia.

— Ależ wszystko to da się naprawić, rzekła z żywością pani Warrener, albowiem każde słowo młodéj dziewczyny zdawało się potwierdzać jéj przypuszczenia. Naprawdę, jak dotąd, nie stało się jeszcze nic tak bardzo złego, moje dziecię, i wszystko może być znowu na dobrą drogę skierowane. Czy wolno mi domyślać się, że ów telegram wyprawiłaś do pana Millera? Wszak prawda, że tak jest? A zatém pogodzicie się teraz i dawny wasz stosunek znowu powróci.

— O nie, odpowiedziała Violetta, to w żaden sposób być nie może! Nigdy—nigdy! Ale tak mi ciężko na sercu.....

Pani Warrener uśmiechnęła się z zadowoleniem osoby, widzącéj jasno przed sobą sposób uszczęśliwienia wszystkich od razu, wyprowadzając ich z najdrażliwszego położenia.

— Mam pewną tajemnicę do wyjawienia ci Violetto, rzekła. Brat mój zawiadomił mię wczoraj o tém co zaszło pomiędzy wami;—czemuż tak wyglądasz tém strworzona, moja kochanko? Gdybym cię tylko mogła mieć za siostrę, to czyżbym cię z otwartemi rękami jako taką nie powitała? Wszakże już do rodziny naszéj należysz, Violetto, gdyby był tu możliwym bliższy jeszcze stosunek, szczęśliwszą bym się uczuła niż to potrafię wyrazić.

— Wierzę pani sercu... rzekła młoda dziewczyna, zmięszana słowami, których znaczenia nie umiała zrozumiéć dokładnie.

— Ale dzisiaj tak mi śpieszno ujrzeć cię oswodzoną od smutku, ciągnęła daléj pani Warrener, z całą serdecznością wynurzając się coraz bardziéj, że muszę otwarcie z tobą się rozmówić. Nie uważaj się bynajmniéj za związaną słowem z moim bratem; pewna jestem, że nie wspomniałby ci nigdy więcéj o tém co zaszło pomiędzy wami, jeśliby to tylko mogło szczęście twoje zapewnić; nie myśl także, iż wyrządziłabyś mu w takim razie wielką krzywdę, bo przecięż to przywiązanie jakie on ma dzisiaj do ciebie miał zawsze, nawet wtedy, kiedy się cieszył nadzieją twego połączenia z Millerem; i gdybyś znowu wróciła do tego zamiaru, byłby z pewnością rad, żeście oboje uniknęli skutków chwilowéj pomyłki. Pojmujesz Violetto, jakiego rodzaju uczucie może mieć człowiek jego wieku dla młodéj jak ty dziewczyny. Wiész przytém ile on umié o sobie zapomniéć. Gdyby wiedział, że potrzebujesz kogoś, coby ci był poradą i kierunkiem, gotów by był ożenić się z tobą, skoro mu raz ta myśl została nasuniętą, e gdyby znowu uważał za lepsze dla ciebie, abyś poszła za kogoś co ma dawniéjsze prawa do twojéj ręki, wyrzekłby się jéj bez urazy, zachowując tę samę co dawniéj przyjaźń dla ciebie. Czy rozumiész to wszystko Violetto?

Byłyż prawdą te słowa okropne? Byłoż prawdą, że on miał dla niéj tylko owo przyjazne uczucie o jakiém mówiła jego siostra? Przypominała sobie teraz z wielką trwogą i zawstydzeniem, jakim sposobem przyszło do téj zmiany ich stosunku. Czyż nie został Drummond prawie zniewolony do wypłacenia się wzajemnością za jéj miłość? Wyznanie jéj zostało mu powtórzoném, ten kochający przyjaciel odpowiedział na nie wdzięczném sercem; a teraz oto siostra jego zapewnia, że ta odpowiedź była pomyłką, od skutków któréj należy ich oboje ochronić.

Violetta North nie posiadała cierpliwéj powściągliwości i mocy duszy Drummonda; żywa była i pełna dumy szlachetnéj, oraz skora do działania według pierwszego popędu. Uczucie godności dziewiczéj zostało w niéj zadraśnięte, za nicby w świecie nie dozwoliła, aby powiedziano, że któśkolwiek, litością nad jéj osamotnieniem powodowany, zdobył się na pojęcie jéj za żonę czując przyjaźń tylko dla niéj. Zkądinąd, głęboka miłość jaką go kochała godziła się w niéj tą razą z poczuciem własnéj godności; czyżby chciała wciągnąć tego człowieka tyle jéj drogiego w związek, którego mógłby żałować przez cały ciąg życia?

Myśli te wszystkie, obawy i zamiary bezładnie w niéj powstawały, podczas gdy stała przez czas jakiś w milczeniu.

— Czy z jego upoważnienia powiedziałaś mi pani to wszystko? spytała wreszcie, zdobywając na sobie wysiłkiem woli pozory spokoju.

— O nie; bynajmniéj, odpowiedziała jéj z żywością pani Warrener, ani jednego słowa nie było w tém od niego. Znasz ile dobrym jest mój brat, jak chętnie o sobie umié zapominać. Dopóki tylko wyobraża sobie, że możesz upatrywać swoje szczęście w połączeniu się z nim, zażadnąby cenę nie oświadczył się ani jedném słowem przeciw temu. Gdybyś się teraz odwołała do niego w tym przedmiocie, zapewniłby cię, że radością go przyjmuje nadzieja owego związku.

— Byłożby to z jego strony, szlachetném? byłożby nawet uczciwém? rzekła z oburzeniem młoda dziewczyna, nie bez zwrócenia się myślą ku pewnym słowom przez niego wyrzeczonym, którym może zbyt pochopnie dała wiarę na razie.

— Bardzo to łatwo wpaść w niejaką przesadę, wyrażając własne uczucia, zwłaszcza wtedy, gdy nam się zdaje, że ich objawy mogą kogoś uszczęśliwić, dodała z uśmiechem pani Warrener.

— Więc jeślibym teraz chciała z nim się o tém rozmówić, to sądzisz pani, że mię daléj będzie łudził? spytała z wyniosłą goryczą Violetta.

— Nie godzi ci się posądzać go o łudzenie cię rozmyślne Raczéj on sam siebie w błąd wprowadza, powodowany serdeczną dla ciebie przychylnością.

— Cóż mi więc wypada teraz zrobić? rzekła młoda dziewczyna dumnie podnosząc głowę, którą dotąd z przygnębieniem spuszczała ku ziemi. Czy mam wszystko zerwać od razu i powrócić do Londynu? Parowiec będzie tędy przechodził za parę godzin, i wiém że ojca mego zastanę teraz w domu.

Pani Warrener ze zdziwieniem na nią spójrzała, niepewna: czy te słowa wyrażały rodzący się istotnie zamiar, czy téż tylko zawód miłości własnéj dziewczęcia, które licząc na to, iż ma dwóch wielbicieli, dowiaduje się niespodzianie, że jeden z nich tylko pozostał.

— Nie Violetto; nie należy ci działać z nierozważnym pośpiechem w tak ważnéj sprawie, odpowiedziała spokojnie. Jeżelim ci wskazała w jaki sposób się to wszystko prawdopodobnie w końcu wyjaśni i wejdzie na dobrą drogę, to nie idzie za tém, abym tobie radziła cośkolwiek zaraz postanowić. Najlepiéj ci będzie z tém poczekać, sądzę nawet, że nie możesz zrobić inaczéj; chybabyś uważała, że pozostając tu dłużéj, utrudniasz panu Millerowi zbliżenie się z tobą, gdyż jak przypuszczam nie radby teraz powrócić w Highlandy.

— Nie wiém wcale jakie są zamiary pana Millera, odrzekła Violetta wyniośle; w każdym razie jednak, jeśli by tu się pojawił, jabym odjechała.

Pani Warrener powstrzymała się od uśmiechu, nie chcąc jéj urazić; ale ją bawiła ta uporczywość młodéj dziewczyny, w zachowywaniu postawy, któréj kłam zadawały jéj uczucia. Czyż nie było widoczném jéj wzruszenie, gdy list ten czytała podczas śniadania? Wtedy była sobą, bo nie miała czasu zapanować nad wrażeniami niespodzianie w niéj wywołanemi.

— Violetto, rzekła, dajmy na teraz pokój téj rozmowie. Zejdź oto ze mną na dół i zjedz cokolwiek.

— Dziękuje pani; nie mam jakoś do tego chęci w téj chwili.

— Doprawdy, zawołała śmiejąc się pani Warrener, robimy sobie wiele kłopotu około niczego. Ale nie pozwolę, abyście się oboje rozkapryszali jak zepsute dzieciaki, bo oto James się także gdzieś wybrał bez śniadania; jeśli tedy nie chcesz się niczém teraz posilić, to zabierzemy trochę zapasów z sobą i popłyniemy łódką go odszukać na drugim końcu zatoki Czy zgadzasz się na to?

Violetta nie chciała się sprzeciwić życzeniu pani Warrener, chociaż może wolałaby była nie przeszkadzać Drummondowi

w téj myśliwskiéj wycieczce, na którą wybrał się był tak samotnie. W jednéj chwili łódka była gotowa i nasze panie puściły się w podróż, któréj sprzyjała najpiękniejsza pogoda. Jakbądź lekkie opary czepiały się jeszcze miejscami brzegów, tu i owdzie już je powchłaniały słoneczne promienie i widać było pławiące się w ich jasności białe domy miasta po nad błękitném morzem, a po za niemi ciemną zieloność drzew, pokrywających gór podnóże. W powietrzu czuć było woń orzeźwiającą morza, a wszędzie wokoło panowała cisza roskoszna.

Ale gdy, po długiéj dosyć przeprawie, zbliżać się poczęła łódka ku przeciwnemu krańcowi zatoki, wszystko się szybko zmieniać poczęło. Rodzaj szarawéj jakiejś przejrzystéj pomroki napełniał powietrze, czyniąc je mętném i nie dozwalając dostrzedz wyraźnie słońca, chociaż jasność jego czuć się dawała, nie miała już siły, przebijając się przez te mgły, roziskrzyć wód powierzchnię wygładzoną i uciszoną, tak iż żadna zmarszczka jéj nie rysowała. Przedmioty dawały się dostrzegać w znacznéj odległości, ale zarysy ich niewyraźne były i zmącone.

W miarę jak się naprzód posuwali nasi wędrowcy, coraz częściéj szelest skrzydeł przelatujących po nad łódką ptaków przerywał milczenie; były pomiędzy niemi i kaczki dzikie, prawdopodobnie wyprawa Drummonda musiała się powieść, jeśli tylko umiał skorzystać z dobréj sposobności.

Obfitość ta napotykanéj zwierzyny, tłómaczyła się tém, że właśnie nasz myśliwiec, splądrowawszy już dalsze części zatoki, powracał od nich, pędząc przed sobą ptastwo spłoszone jego strzałami. Słychać je było naprzód w dali, potém zbliżały się coraz, aż wreszcie małe czółenko wynurzać się poczęło z pośród lekkiéj mgły, która powietrze zalegała i zaraz potém brzeg się ukazał w niewielkiéj odległości od łódki niosącéj panią Warrener i jéj towarzyszki.

Ale cóż to za dziwną postać ujrzały zbliżającą się ku nim, gdy na piaszczystém wybrzeżu stanęły. Po przez te mgliste słaniające się opary, niedające wyraźnie dostrzegać jéj kształtów, wydawała się ona chwilami zwiększona, chwilami zmieniała się w sposób najosobliwszy. Jak daleko wzrok mógł zasięgnąć, dostrzegał wszędzie samę tylko przestrzeń morza w dali pośród mgły przepadającą. W wodzie téj zdawał się brodzić człowiek, a od czasu do czasu, po drodze jego błysk chwilowy migał i jednocześnie dawał się słyszéć odgłos strzału, który powtarzały echa sąsiednich wzgórzy. Wkrótce fantastyczny ów łowiec zbliżył się o tyle, że

w nim można było poznać Drummonda, kroczącego po kolana w wodzie i niosącego kilka sztuk ubitéj zwierzyny.

— Ach Jamesie, zawołała z niepokojem jego siostra, czyż podobna abyś cały ten czas przebył w wodzie?

— Zapewniam ciebie, że nie uczyniłem tego bezpożytecznie, odpowiedział jéj, rzucając na dno łodzi upolowane przez siebie ptaki. Pięć kaczek udało się zabić; a byłoby ich nierównie więcéj, gdyby nie ta mgła przeklęta.

— Z pewnością nie masz nawet na nogach twoich kamaszy i butów do polowania?

— I owszem; zdjąłem je był wprawdzie z początku, ale te ławy piaszczyste nawiedzane są przez mnóstwo drobnych rybek, które sprawiają dziwnie drażniące wrażenie gdy się z pod nóg bosych wymykają. Musiałem tedy obuć się na nowo i tak daléj wędrować po wodzie. Ale powiedźcie mi, cóż was tu sprowadziło?

Mówił wesoło i swobodnie. Violetta nieśmiejąca oczu podnieść na niego czuła w sercu bolesny odźwięk każdego słowa jakie wymawiał; był to dawny jego głos tak przyjaźny—tak wyłącznie tylko przyjaźń wyrazający!...

Ostatnie zapytanie Drummonda skierowaném było do niéj; gdyż traf zrządził, że najbliżéj się jego znajdowała; nie wiedząc co odpowiedzieć, rzekła zmięszana.

— Wybrałyśmy się ze śniadaniem dla pana.

— A! bardzo wam dziękuję. Zaczekajcież tu na mnie i powyjmujcie wasze zapasy z kosza, a ja tymczasem wyprawię przodem moję łódkę, żeby mogła jeszcze skorzystać z przypływu.

Nie znać w nim było najmniejszego zakłopotania; zdawało się, że w zupełności odzyskał równowagę duchową i zwykłe sobie ożywienie umysłu.

— Wujaszku! odezwała się Amy, czy nie pozwolisz, abym i ja odpłynęła tą małą łódką? Wszakże będę całkiem bezpieczna, mając dobrego z sobą wioślarza.

— Moje dziecię, jak możesz nawet żądać czegoś podobnego? rzekła jéj na to matka z żywością.

Brakło w tym razie Amy poparcia i towarzystwa, na które z pewnością mogłaby liczyć w podobnéj sprawie, w każdym innym dniu jak dzisiejszy. Ale teraz Violetta miała czém inném wcale umysł zaprzątnięty, i skutkiem tego jéj towarzyszka wyrzec się musiała dalszego popierania żądania, w którém nikt ją nie podtrzymywał.

Ostatecznie, stanęło na tém, że obie łódki miały razem powracać; mgła rozpraszała się bowiem coraz bardziéj i nie było po-

wodu śpieszyć się z powrotem, prawdopodobnie całkiem teraz bezpiecznym. Zabrano się więc do śniadania i spożyto je w łodzi, do któréj wsiadł téż Drummond, osączywszy z wody, o ile się dało, swe odzienie i obuwie, aby sukień kobiét nie zamoczyć. Podczas jedzenia, rozmowa szła dosyć raźno, tak że nikt, słuchając jéj z boku, nie mógłby się był domyśléć co zaszło od dwóch dni pomiędzy osobami składającemi to gronko.

A jednak, czyż to skutkiem podniecenia wyobraźni, zdawało się Violecie upatrywać pewien przymus w téj jego wesołości? Czy nie usiłował on czasem przedstawić się jéj tak zupełnie swobodnym i zadowolonym? Bez wątpienia, rozmowa jego miała tę samę bystrość sądu, to samo ożywienie co zawsze, ale czy nie zdobywał się na nie z umysłu? Biorąc dziś za punkt wyjścia list odebrany z rana, w którym mu jeden z jego znajomych opisywał świeże swe odwiedziny w towarzystwie znakomitego literata do Britisch-Muzeum, rozprawiać począł z zapałem o zbiorach starożytnych marmurów, zebranych staraniem Lorda Elgin i, przechodząc od owych zabytków dalekich wieków, do badań nad czasami których one stanowią pozostałość tak świetną, zapuścił się w filozoficzne poglądy, dające mu coraz bardziéj zapomniéć o talerzu, który trzymał na kolanach, a także o przemokłych nogach, które chłód mu obejmował. Nie wiadomo dokądby go były doprowadziły te rozumowania i jak długoby się im oddawał, gdyby nie była w końcu przerwała Amy wątek jego myśli, podając mu bardzo w porę szklankę piwa, którą gardło swoje odwilżył. Po chwili, już o czém inném wcale począł mówić, albowiem powiódłszy wzrokiem po sąsiednich górach wpadł od razu na pomysł bardzo pewnego, jego zdaniem, sposobu oceniania ich przypuszczalnéj wysokości, uważnie studyując mgły czepiające się ich, na różnéj téjże stopniach. Ztamtąd znowu, zwróciwszy myśl ku krajobrazom mistrzów pędzla, wziął artystów za dalszy przedmiot swego monologu, przedstawiając ich jako najbardziéj zbliżonych do Stwórcy wszech rzeczy, gdyż w braku mocy uwiecznienia swych utworów, posiadają przynajmniéj moc, która pewną miarę trwałości daje ich istnieniu tak, iż mogą naprzykład na długo od zniszczenia zabezpieczyć przemijającą piękność uśmiechniętéj twarzy młodego dziewczęcia, wrażenie wspaniałego zachodu, lub pogodnéj nocy księżycowéj.

— Czy to nie ustęp czasami z twego przyszłego dzieła, wujaszku? spytała go w tém miejscu Amy.

— Nie, moje dziecię, odpowiedział spokojnie. Dzieło to będzie miało głównie na celu uczyć przyzwoitego obejścia niegrzeczne panienki, których jeszcze miejsce na pensyi.

— A czy prędko wyjdzie ta twoja książka? rzekła mu siostra.

— O, jeszcze niezaraz. Trzeba ci wiedzieć, że ułożyłem sobie co do tego wydania pewien plan, za pomocą którego może mię ono uczynić znakomicie bogatym.

Tu począł jéj tłómaczyć bardzo zawiłą kombinacyą, mającą koniecznie zapewnić ogromny odbyt dziełu, czyniąc mu przychylnemi ze względu na własną korzyść, najgłówniejsze organa prasy peryodycznéj. Mówił to bardzo poważnie i z głębokim przekonaniem i wystarczyłoby mu zapewne na długo tego przedmiotu, gdyby mu znowu w samym środku nie przerwano jego rozprawy.

— Panie! baczność? zawołał półgłosem Alek, z czółenka trzymającego się tuż obok większéj łodzi.

Spojrzawszy we wskazaną stronę, Drummond ujrzał dużego, ciemnego ptaka, z rodzaju nurów, pływającego nieco opodal pośrodku zatoki. Ponieważ zaś pani Warrener objawiła była nieraz życzenie módz za powrotem do Camberwell-Grove ustawić na szafie swéj jadalnéj salki jaki piękny okaz myśliwskich zdobyczy pozyskanych w Highlandach, Drummond zapragnął teraz uczynić zadosyć téj chęci, czego, co prawda, nieraz już próbował, ale zawsze bez pomyślnego skutku.

Dzisiaj jednak, zabrał się do rzeczy z pomocą pewnych strategicznych przygotowań, które mu lepszą dawały otuchę, a mianowicie za pomocą większéj łodzi zarządził rodzaj naganki od strony brzegu, sam zaś czółenkiem się wybrał na spotkanie upatrzonéj zwierzyny. Polowanie to nie poszło jednak tak łatwo jak się tego spodziewano, i po kilka razy udało się nurowi ocalić od wymierzonych przeciw niemu strzałów i wymknąć się w dalsze przestrzenie, gdzie znowu łódki musiały za nim podążać. W końcu przecięż zdołał Drummond upolować tę pożądaną zdobycz; a gdy Alek z wody ptaka wyciągnął, okazał się on należéć do dosyć rzadkiego gatunku nurów, i wszyscy ucieszyli się mocno tym nabytkiem. Wioślarze dowodzili nawet, że mięso tego ptaka bardzo jest smaczne; ale na uczynienie w tym względzie próby, nie dał się Drummond namówić w żaden sposób.

Słońce już zachodziło, gdy nasi wędrowcy dopływali do Portree, przedstawiającego się im teraz nader malowniczo, ze swemi białemi domami, po za któremi drzewa i skały pobliskie wykreślały się na tle nieba, pokrytego drobnemi złotawemi obłoczkami. Widać było wyraźnie wszystkie statki w przystani, a na tle nieba, coraz bardziéj bladnącego, jak gdyby mu chłód wieczoru odbierał jego barwy gorące, wznosiły się w górę kity błękitnawego dymu, wychodzące tu i owdzie z kominów.

Zaledwie się Violetta na yachcie znalazła, zeszła zaraz do swéj kajuty i tam wyjęła z kieszeni list, który zrana wywołał był w niéj tak silne wzruszenie. Z mniéjszém go jednak teraz odczytała powtórnie. W niczém on, co prawda, nie odwoływał się do tkliwszych uczuć jéj serca;—przeciwnie, znać było, że z umysłu uczyniono go jak najchłodniejszym, i to właśnie sprawiło tak przykre i smutne na niéj wrażenie;—pismo to zdawało się przynosić z sobą oskarżenie, którego odeprzéć nie czuła się w stanie. Czuła ile zawiniła względem tego człowieka, kochającego ją od dawna, dozwalając mu żywić przez tak długo próżne nadzieje; wyrzucała sobie gorzko, że uległa jego prośbom, gdy żądał od niéj, aby swe postanowienie do dalszego czasu odłożyła. Jakże mogła tylo być samolubną i lekkomyślną, aby oddawszy się wyłącznie uczuciu świeżo pozyskanego szczęścia, zapomniéć do tego stopnia o smutnym zawodzie na jaki ktoś inny został z jéj winy narażony? Wszystko to stawało jéj teraz jasno przed oczami, po odczytaniu tego listu, i czuła z ciężkim żalem, że nie jest już w stanie naprawić złego, jakie sprawiła.

Ale jeden tu ustęp był dla jéj dumy szczególnie drażliwym. W piśmie tém, skreśloném w chłodnéj formie odezwy mającéj za treść interes, Miller zawiadamiał ją, że się czuje w obowiązku dać wiedziéć sir Actonowi North o zmianach jakie teraz zaszły: „o tyle,“ dodawał, „o ile to mnie samego dotyczy.“ Znaczyło to, że uważa on za stosowne, zostawszy upoważniony przez ojca Violetty do starania się o jéj rękę, dać mu poznać dzisiaj, że się wszelkich zamiarów co do tego zrzeka; a z wyżéj przytoczonych słów listu, łatwo się było domyśléć, że Jerzy chce wiedziéć: czy Violetta życzy sobie, aby według nich postąpił, czy téż zostawi mu swobodę niezatajenia żadnych szczegółów téj sprawy przed jéj ojcem.

Otóż wątpliwość ta młodzieńca, tyle była nieznośną dla obrażonéj dumy Violetty, że chcąc jak najprędzéj kres jéj położyć, zażądała natychmiast pozwolenia, udania się na ląd, dla wysłania telegramu, jak o tém wzmiankowaliśmy wyżéj. Treść jego była następująca: „Mocno mię zasmuca zmartwienie jakiego stałam się panu powodem. Co się zaś tyczy mojego ojca, możesz pan powiedziéć mu co ci się tylko spodoba.“

Teraz zaś, gdy w ręku trzymała list ów, patrząc na niego oczami, które nie widziały wcale liter skreślonych na papiérze, zapytywała siebie: czy téż Jerzy naprawdę wszystko opowié jéj ojcu. Zrana jeszcze, nie miała żadnego powodu obawiania się tego; a nawet zamierzała sama napisać do Sir Actona więcéj daleko w tym przedmiocie, niźli był w stanie wyjawić mu Miller. Miała

już nawet w myśli początek swego listu.—„Drogi ojcze, najszczęśliwszą dziś jestem i najdumniejszą mojém szczęściem kobiétą. Wiém teraz czém jest miłość z najwyższą czcią połączona...“
Ale od tego poranku, dziwne rzeczy były zaszły. Co się takiego stało? z tego nie umiała sobie jeszcze zdać sprawy—ale to wiedziała, że się świat całkiem dla niéj przeistoczył. Duszę jéj napełniały ponure przeczucia, wraz z dotkliwém uczuciem bolu, od którego wszystko zdawało się w koło niéj mącić i posępną barwą powlekać.

Po pewnym cząsie, dźwignęła się nagłym i mężnym wysiłkiem woli ze swego przygnębienia. Chciała odważnie i szczerze pójść wprost do Drummonda i zażądać od niego prawdy, choćby ta najboleśniejszą dla niéj była. Jeśli ten najzacniejszy i najwierniejszy jéj przyjaciel doznaje przykrości z jéj powodu, jeśli obecność jéj, jest mu jakimkolwiek klopotem, jeśli dla niéj zmuszać się musi do odgrywania roli, która go męczy,—w takim razie z zadowoleniem zwróci mu ona swobodę. Jeśli to prawda, że on nic nie ma więcéj do dania jéj, nad tę życzliwość, którą okazywał szkolnéj towarzyszce swéj siostrzenicy, przyjmie ona i to z pokorną wdzięcznością i rozstanie się smutno, ale mężnie z marzeniem swojego życia.

Nie mogła jednak się zdobyć na ten krok tak śmiały. Krew uderzała jéj do twarzy, gdy sobie wyobrażała w jaki sposób on może przyjąć podobne zapytanie. Czyż może młoda dziewczyna do tego stopnia się poniżać, żeby aż błagać u kogo miłości; czyż może zwłaszcza ona, Violetta, znając pochopność tego człowieka do zaparcia się siebie, narazić go na poświęcenie własnéj przyszłości dla uszczęśliwienia pensyonarki, niezdolnéj być mu dobraną towarzyszką? Nie; zanadto ona jest dumna na to. Lepiéj więc jéj będzie poczekać, ażeby się przekonać mogła czy w istocie nierozważnie zapędzili się oni oboje w położenie fałszywe; a w takim razie, łatwo jéj przyjdzie znaleść środki do wycofania się z niego. Cóż w tém zaważyć może szczęście jakiéjś tam niedowarzonéj pensyonarki? Zapytywała sama siebie. Chociaż zawód zniweczy jéj marzenia, tak samo jutro, za rok i za lat kilkadziesiąt będzie słońce jaśniało pod nad temi górami i po nad tém piękném morzem.

ROZDZIAŁ VII.

Z powrotem.

Gdy po raz pierwszy, przy blaskach słonecznego poranku, wędrowcy nasi podpływając do Ornsay, oglądali przed kilku dniami cudowne szczyty gór piętrzących się w niedalekiéj odległości od brzegów, w zachwycie swoim postanowili wtedy nie opuścić tych czarownych wysp, bez zwiedzenia ich, o tyle przynajmniéj, o ile im czas na to pozwoli. Rozmawiano o tém nieraz z największém ożywieniem, układając już plan wycieczki, która miała zacząć się od Portree. Ale teraz, gdy się już tam znajdowali, zdawało się jak gdyby ich zapał nieco ostygł. Pani Warrener była zdania, że lepiéj powrócić pierwéj do Castle Bandbox, by się tam zaopatrzyć w nowe zapasy. Córka jéj czuła się trochę zatrwożona rozmową, jaką miała z kapitanem Jimmy; nie ręczył on bowiem czy dłuższe zatrzymanie się w tych stronach, nie narazi *Kormorana* na napotkanie wiatrów przeciwnych, coby nim miotały w sposób wcale nie miły dla młodéj osoby, nie bardzo z morzem obytéj. Wszystkie te względy rozważane były podczas śniadania; Violetta jedna, milcząca i roztargniona, udziału nie brała w owéj naradzie. W końcu jednak Drummond, sądząc że najwłaściwiéj będzie dać Violecie jako ich gościowi, tę sprawę do rozstrzygnienia, zapytał ją otwarcie jakie jest w tym razie jéj życzenie.

Młoda dziewczyna prawie oka nie zmrużyła była przez noc całą; czuła się dziwnie rozdrażniona i rozstrojona w chorobliwy niemal sposób. Myślała właśnie o tych czarownych, pełnych zachwytu chwilach jakie niedawno temu spędzała w pobliżu Ornsay, gdy znagła to zapytanie uderzyło jéj ucho; różnica owéj bliskiéj przeszłości z chwilą obecną przedstawiła się jéj wtedy tak rażąco, że sił nie znalazła do dania odpowiedzi i oczy jéj łzami wezbrały. Spróbowala wymknąć się niepostrzeżona, ale to odwołanie się do niéj zwróciło było na nią uwagę. Gdy z pozornym spokojem wyszła z pokoju, udała się za nią pani Warrener; Amy zaś pozostała, czując że dzieje się w około niéj coś, czego ona nie jest w stanie zrozumiéć.

Po chwili wuj jéj wstał także z miejsca; zauważyła, że wyglądał mocno wzruszony. Wszystka dobroć i szlachetność tego człowieka oburzała się przeciw udręczeniu, jakie wyraźnie cierpiała ta młoda dziewczyna; czyż mógł już teraz w wątpliwość podawać to, co mu siostra jego powiedziała? Violetta jest oczywiście nieszczęśliwą; nie powinna nią dłużéj pozostać z jego przyczyny.

Wyszedł na pokład, gdzie przechadzały się obie kobiety.

— Saro, rzekł z wyrazem spokoju, ale zarazem z wielką stanowczością, chciałbym na chwilę pomówić z Violettą.

Siostra jego odeszła, usłyszawszy to; a on dalej mówił w tenże sam sposób:

— Tak nie mogą rzeczy iść daléj, Violetto. Pomyliliśmy się oboje. Patrzmy odtąd na to, co zaszło w ciągu tych kilku dni ostatnich, jak gdyby nigdy nie miało miejsca: i usiłujmy o tém zapomniéć.

Słyszała to od niego. Więc wszystko było pomyłką! Ta przecudna przeszłość była snem tylko.

W téj chwili — przypominała to sobie ze zdziwieniem długo jeszcze potém — spojrzała mu w twarz ze szczerym i przyjaźnym uśmiechem.

— Tak jest, rzekła swobodnie, pomyliliśmy się. Jedyne szczęście, żeśmy tak prędko to postrzegli—zanim wynikło ztąd cokolwiek złego. Teraz, możemy być sobie znowu tém, czém byliśmy przedtém, i doprawdy cieszyć się mamy prawo, że się to wszystko na tak małém skończyło. A teraz, czy nie zejdziemy już na dół? Muszę się przed panią Warrener usprawiedliwić i przyrzec, że więcéj nie będę tak nieprzyjemną jak dotąd.

Zdawała się zupełnie zadowolona, uśmiechała się nawet; zauważył jednak, że drobna jéj rączka drżała tak mocno, gdy się nią trzymała poręczy schodów, iż zstępując po nich, byłaby pewnie upadła, gdyby nie ta podpora. Rozumiéć nie umiał tego wszystkiego; znając wszelako usposobienie wrażliwe téj młodéj dziewczyny, przypuszczał, że może stan w jakim ją widzi jest wynikiem doznanych przez nią w ostatnich czasach wzruszeń, zbyt silnych dla jéj nerwowego ustroju.

W jak najlepszym była téż humorze podczas śniadania. Zapewniała, że obojętném jéj jest w którą stronę skieruje się dalsza ich wędrówka, dopóki może pozostać w tym pływającym domku, gdzie tyle jest rzeczy zabawnych i gospodarskich trudności, którym zaradzać trzeba nieustannie własnym przemysłem. Koniec końcem, oświadczyła się jednak zatém, aby wrócić do Castle Bandbox, w celu zaopatrzenia się, jak należy, na nową wyprawę. W każdym bowiem razie, nie było co myśléć o dostaniu się teraz do Stornoway, gdyż wiatr coraz się słabszym być zdawał.

Pani Warrener czuła się uradowana, widząc Violettę znowu wesołą i ożywioną; wiedziała, że wyjaśnienia pomiędzy nią a Jamesem miały już miejsce, i spodziewała się powrotu dni lepszych

dla całego ich kółka. Zatém i ona poszła za zdaniem Violetty co do powrotu, nie bez skrytéj nadziei zastania w Castle Bandbox Jerzego, już tam może na nich czekającego.

Gdy więc, uradziwszy to, udali się wszyscy na pokład, zastali powietrze już tak uciszone, że zaledwie lekki powiew słabo poruszał żagle. Na wygładzonéj powierzchni morza, odbijały się wyraźnie białe obłoki nieruchome na błękitném tle nieba, wzgórza nadbrzeżne zielenią pokryte i sterczące po za niemi skaliste szczyty, coraz bledszéj barwy, im się wyżéj wznosiły.

Wypłynąwszy z przystani, nasi wędrowcy dopiero się mogli dokładnie przekonać o ile byłoby dla nich niepodobieństwem dotrzéć na teraz do Stornoway. Przed nimi morze wyrównane było, jak tafla źwierciadlana; lekki powiew dozwalał jeszcze statkowi posuwać się zwolna, ale wiatr to był północno-zachodni, zatém powrotowi tylko sprzyjający. Gdy jednak *Kormoran* przebył pewną przestrzeń, pomoc ta poczęła słabnąć stopniowo i wreszcie tak zupełnie ustała, że statek w miejscu stanął, niby mocą czaru zaklęty, wśród przestrzeni jak on nieruchomych, otoczony ciszą, któréj nic ani na ziemi, ani na niebie nie przerywało, gdyż obłoki nawet zdawały się wcale nie poruszać i kształtów swych nie zmieniały.

Przy zwykłych warunkach, czas taki dałby się był zużytkować na czytanie, na kobiece jakie robótki, na cygar palenie; — słowem na rozliczne zajęcia i rozrywki, którym się można oddawać będąc na statku; ale dziwném zrządzeniem nikt z naszego gronka nie zdawał się jakoś potrzebować szukania sposobu, jakimby mógł godziny sobie zapełnić. James Drummond przechadzał się tam i napowrót po pokładzie — podobny do hyeny zamkniętéj w klatce — że tu użyjemy porównania jego siostry, będącéj w jak najweselszém usposobieniu,— i z roztargnieniem widoczném odpowiadał ilekroć się kto odezwał do niego. Violetta zaś zupełne zachowywała milczenie i, siadłszy na uboczu, w dalekie morza obszary ciągle patrzała; Amy próbowała od czasu do czasu przerwać jéj zadumę, nakłaniając ją do wspólnego jakiego zajęcia, ale usiłowania te pozostawały zawsze bez skutku.

W chwili onéj nawał sprzecznych uczuć, tłoczących się do duszy téj nieszczęśliwéj dziewczyny, przygnębiał ją do najwyższego stopnia i dotkliwém udręczał cierpieniem. O iluż bo rzeczach miała do myślenia, ileż wspomnień nawiedzało ją jednocześnie! W tak rozmaite sposoby przedstawiało się jéj z kolei to wszystko co zaszło w ciągu tych dni ostatnich, że zalękniona, oszołomiona, nie mogąc w zmąconych swych wrażeniach się rozpatrzéć, nie by-

ła w stanie ani dokładnie zdać sobie sprawy z tego co uczyniła, ani też obmyśléć co nadal ma z sobą począć. Być może, iż ów stan osłupienia, a raczéj zgnębienia ostatecznego, ulgę jéj pewną przynosił, przytępiając poniekąd wrażenie boleści szarpiącéj jéj serce. Bywały chwile, w których z niejakiém zdziwieniem przypominała sobie z jaką łatwością przystała na zerwanie węzła łączącego ją z Drummondem, ale zaraz potém upatrywała samolubne uczucie w nęcącéj ją chęci korzystania z poświęcenia, na jakieby ten człowiek skazywał się dla niéj. Czyż nie lepiéj się stało dla nich obojga, że dłużéj w błędzie nie pozostali? Słusznie mu sama powiedziała, że nie wynikło ztąd przecię nic złego. Wkrótce, wszystko znowu będzie po dawnemu.

Jednocześnie wszelako dziwnie się czuła osamotnioną. Matki nie miała; a były pewne myśli, któremi nie rada była się dzielić nawet z tą zacną przyjaciółką, prawie macierzyńskie dla niéj serce mającą.

— Violetto, rzekła młoda jéj towarzyszka, podchodząc ku niéj i czule ją obejmując, toż oczy sobie wreszcie popsujesz tém światłem morza, w które wpatrujesz się ciągle. Dajże już raz temu pokój i chodź oto lepiéj ze mną; poprosimy kapitana Iimmy, żeby nam co zabawnego opowiedział o swoich podróżach.

— Dziękuję ci moja droga, rzekła wstając z miejsca Violetta; nie mogę teraz z tobą pozostać. Muszę zejść zaraz na dół, bo mam list do napisania.

— A jakim że go sposobem ztąd wyprawisz? spytała śmiejąc się Amy. Włożyć go chcesz w butelkę i oddać falom w opiekę.

— Chcę go mieć w gotowości, aby na pocztę mógł być oddany w piérwszém miejscu, gdzie lądu dotkniemy.

— Nie bądź nadto ciekawą, moje dziécię, odezwała się z uśmiechem do Amy jéj matka. Pisać zdaleka do kogoś bliskiego sercu, jest tém samém prawie co z nim rozmawiać; cieszymy się tém nieraz, nie myśląc nawet jakim sposobem dojdzie list nasz swego przeznaczenia.

Ale myliła się tą razą pani Warrener co do osoby, z którą Violetta pragnęła wejść w ów cichy duchowy stosunek. Nie zabiera się ona bynajmniéj do napisania długiego, miłosnego listu, pełnego skruchy za przeszłe okrucieństwo, i łaskawych obietnic co do przyszłości. Skorzystała z wolnego czasu jaki jéj zostawiała martwa cisza panująca w powietrzu, aby skreślić dla ojca następujące wyrazy:

Z Yachtu *Kormoran* 187....

„Drogi ojcze — przypuszczam, iż do téj pory musiał cię już zawiadomić pan Miller, że zażądał stanowczo mojéj ręki i że mu jéj odmówiłam. Nie mogłabym w żaden sposób pójść za niego. Wahałam się przez czas długi, widząc jak mocno pragnął tego związku, ale na nic się ta zwłoka nie zdała; i dziś bardzo mi jest przykro, żem mu się stała powodem smutnego zawodu. Widzisz mię tedy drogi ojczulku, wolną teraz od wszelkiego zobowiązania; a ponieważ nie mam żadnego innego związku na widoku, wracam ci do rąk, jak zły szeląg co się w obieg nie dał puścić. Chciałabym była, abyś raz już mógł się mnie pozbyć, ale na prawdę zmusić siebie nie mogłam do poślubienia pana Millera. Otóż więc o co cię teraz poproszę, drogi ojcze. Nie zdaje mi się, abym mogła dłużéj pozostać u pani Warrener, po jéj powrocie do Londynu. Doznałam od nich wszystkich więcéj przychylności, niż to wypowiedzieć potrafię — od wszystkich bez wyjątku; — za tę ich dobroć, któréj doświadczałam w każdéj chwili, całą wdzięcznością mego serca nie zdołam się wypłacić. Ale nie zdaje mi się, abym mogła stale z niemi przebywać; czyż nie mógłbyś tedy kochany ojczulku znaleść mi gdziekolwiek pomieszczenie, gdy wrócę z téj naszéj wycieczki? Przykroby mi było stać się uciążliwą mojéj macosze; czuję zaś, że choćbyśmy się nawet zgodziły z sobą przez czas jakiś, wkrótce by wszystko popsuło nieszczęśliwe moje usposobienie. Najbardziéjbym rada była, drogi ojcze, abyś mi obmyślił jakikolwiek sposób stania się pożyteczną; przykrzy mi się ta moja złocona nędza, w któréj próżniaczo czas spędzam, nikomu na nic nie będąc przydatną. Gdybyś na to pozwolił, chciałabym módz sama na chleb swój zarabiać i już przemyśliwałam nad różnemi do tego sposobami. Jestem podobno dosyć przystojna; mogłabym stać się jedną z owych żywych lalek, służących do przymierzania sukień po większych magazynach — i przechadzających się nieustannie w tych świetnych strojach, przed oczami kupujących. Albo mogłabym też siedzieć przy kasie, w któréj znaczniejszéj restauracyi; ale boję się, aby to stanowisko nie wytworzyło we mnie dosyć ujemnych pojęć o wielu ludziach. Nie mogłabym zostać nauczycielką, bo wiém, że targałabym za uszy aniołki powierzone mojéj opiece, ilekroćby się zuchwałemi względem mnie okazały — a przytém owa wędrówka nasza do Kanady stanowczo kres położyła mojéj grze fortepianowéj. Nie chciałabym téż zostać modniarką, albowiem szyjąc prawie zawsze sama swoje suknie, nie radabym zachęcać drugie kobiety do próżnia-

ctwa, nastręczając im sposobność do uwolnienia się od podobnych zajęć. Cóż mi więc pozostaje? Cieszę się, że los nie uczynił mię ojcem, będącym w posiadaniu złego szeląga nie do wydania, jakim jest przywiązana twoja córka,

Violetta North."

To napisawszy wróciła na pokład.

— Violetto, rzekł łagodnie Drummond, nie bez uważania, iż ze zmięszaniem spuszczała wzrok ku ziemi, podczas gdy do niéj przemawiał, jeśli życzysz, aby list twój został prędko oddany na pocztę, w takim razie moglibyśmy zatrzymać się koło Breadfordu, zamiast go minąć zdaleka, jak zamierzaliśmy to uczynić.

— O nie dziękuję panu bardzo, odpowiedziała. List ten nie jest wcale pilny, a nawet nie mam pewności czy zastanie mojego ojca w domu.

Czyś tylko do niego pisała? spytała jéj pani Warrener, z nieznacznym uśmiechem.

— Tak jest, odpowiedziała młoda dziewczyna, zwracając się ku niéj, nieco zdziwiona.

Chwilowe powiewy, dające się już uczuwać, statek zaniosły przed wieczorem w pobliże Breadfordu, kapitan Jimmy nie uznał za stosowne zatrzymać się na noc w zatoce; nie uważał jéj bowiem za bardzo bezpieczną, a przytém z pewnych zapowiedni wnosił od rana, iż dotychczasowa pogoda bliską jest swego kresu.

Przez całą noc, *Kormoran* zwolna się przesuwał po nie bardzo bezpiecznych przejściach, jakie mu się nadarzały, w pobliżu skalistych wybrzeży, które okrążał. Wiatr dotąd łagodny, nad ranem dopiéro nabiérać począł większéj siły. Gdy około ósméj, Drummond wyszedł na pokład, nabrał od razu niejakiego pojęcia o tém co się gotuje, zostawszy od razu pozbawionym kapelusza, który mu wicher zerwał z głowy i wrzucił do morza. Wrócił na dół z wiadomością, że deszcz pada duży i że fale burzyć się poczynają, jak gdyby się na burzę zabierało.

Przypuszczenia te aż nadto się okazały uzasadnione. W parę godzin potém wicher szalał już w całéj mocy po morzu; kobiéty, które zrazu wyszły były na pokład, pootulane w szale, aby się ciekawie przypatrywać wzburzonym bałwanom i nadbrzeżnym górom kryjącym swe szczyty w ciemnych chmur osłonie, zejść musiały wkrótce do kajuty, przemokłe od deszczu i nie mogąc na nogach się utrzymać, przy silnych wiatru podmuchach. Najtrudniéj było zwołać Violetę z pokładu — z zadowoleniem patrzała na ponure obrazy, które ją otaczały, jak gdyby widok rozszalałéj

przyrody pewną ulgę przynosił wewnętrznemu jéj wzburzeniu; jak gdyby na odgłos tych huczących bałwanów i tych złowrogich poświstów wichru uciszała się nieco owa burza jaka szalała w jéj duszy. Żadne uczucie żalu za przeszłością w niéj się nie budziło, gdy po przez mglistą zasłonę deszczu spoglądała na te posępne dziś góry, które widziała przed kilku dniami zalane słońcem, zdające się być wieczną pogodą opromienione. Przeszłość ta nazawsze przepadła — a wraz z nią i niebo błękitne; niech teraz nawałnica się sroży do woli, cóż ona więcéj zniszczyć, co zniweczyć potrafi, po tém zupełném rozbiciu?

Bywały chwile w których Violetta, zapatrzona w fale pianą pokryte, baczném okiem śledziła postęp burzy, pragnąc go prawie, gdyby sama jedna była na tym statku, któż wié, czy nie cieszyłaby się nadzieją, że nie potrafi się on oprzeć gwałtowności wichru i lada chwila w morskie głębie zapadnie.

Jak bądź nie doszło do tak smutnych ostateczności dla biednego *Kormorana*, miał on w dniu tym ciężką przeprawę, zanim się dostał do niewielkiéj zatoki Ardnamurchan, gdzie mu upatrzył kapitan Jimmy dosyć bezpieczne schronienie, na czas trwania owego wichru, czyniącego dalszą podróż niemożliwą. Zanim się tam dostano, wiele ruchu było i zamętu na statku, gdzie każdy musiał się zająć uchronieniem kruchszych sprzętów od zniszczenia. Violetta rada była temu przymusowemu zajęciu, które zostawiając jéj mało czasu do rozmowy, stanowiło zarazem dla jéj myśli pewną rozrywkę i odciągało ją chwilowo od dręczących rozpamiętywań. Gdy ku wieczorowi, nasi wędrowcy dopływali do Ardnamurchan, morze było tak wzburzone, że za każdém podnoszeniem się i opadaniem statku wraz z falami, słychać w nim było trzask tak silny, jak gdyby boki jego rozpęknąć się miały lada chwila. Pozór nieba nie zdawał się wcale podobać kapitanowi Jimmy. Od czasu do czasu powietrze dziwnie się zaciemniało, a zaraz potém następowały krótkie chwilowe rozjaśnienia, podczas których słońce zdawało się przyświecać po przez gęste opary, zbliżające je dla oka w sposób najdziwaczniejszy. Od strony zachodu, miedziane jakieś odblaski zamykały widnokrąg. Wszyscy na statku uczuli pewne zadowolenie, gdy wreszcie udało mu się dostać do Ardnamurchan.

Ale i tu newet, w téj małéj, zaklęśniętéj zatoce, nie przestał go jeszcze wicher udręczać i przez noc całą wśród ciemności nieustannie huczały fale, rozbijając się z łoskotem o krawędzie przystani, szarpiąc łańcuchy obu kotwic pozarzucanych dla lepszego bezpieczeństwa. Gdyby się one były zerwały, oddając statek na

pastwę burzy, pękłaby wraz z niemi nić dalszych losów dwojga ludzi, którzy podczas téj strasznéj nocy, dla nich całkiem bezsennéj, słuchali złowrogiego wycia wichru, zagłuszającego chwilami nawoływania majtków na pokładzie i rozkazy donośnym glosem wydawane przez kapitana.

Nad ranem stan powietrza raczéj się jeszcze pogorszył. Wicher wzmógł słę był do szaleństwa. Cała powierzchnia małéj przystani, zwykle tak zacisznéj, pokryta była rozkołysanemi zielonawemi bałwanami, rozpryskującemi się o kamienną jéj krawędź. W miasteczku wszystkie drzwi domów szczelnie pozamykano, dla bronienia się od burzy, dym wydostający się z kilku kominów, przepadał w jednéj chwili, porwany gwałtownemi podmuchami, a na sąsiednich wzgórzach drzewa uginały się pod siłą wichru, przepędzającego szybko po nad niemi deszczowych chmur tumany. Jak daleko oko mogło zasięgnąć, na morzu nic widać nie było, oprócz spienionych szczytów fal, ale w zatoce, cały zastęp drobnych łódek, zwykle po pod brzegami krążących, pracowicie zajęty był zabezpieczeniem się o ile możności od burzy. Że zaś każda z nich prawie, po dwóch tylko ludzi na sobie mieściła, nie łatwe oni mieli przed sobą zadanie, i co chwila, w téj walce z rozhukanemi falami, czółenka owe zdawały się bliskie zaguby.

Ma się rozumiéć, iż nie mogło być w tym dniu mowy o puszczeniu się w dalszą podróż; a nawet chociaż *Kormoran* znajdował się blisko od brzegu, wątpliwém było, czy należy próbować przeprawy. W końcu Drummond oświadczył, że chce dostać się do miasteczka i rozkazawszy aby parę ludzi siadło do łódki, poprosił Violettę o list, który ma do oddania na pocztę, ale nie chciała zadosyć uczynić jego żądaniu.

— Wybiorę się w każdym razie, rzekł jéj na to; więc nie wiém dla czegobyś mi nie dała załatwić za siebie tego interesu.

Stała przed nim zmięszana i wzburzona, sama nie wiedząc co ma uczynić; pragnęłaby była poprosić go, aby się tak nie narażał, choćby ze względu na nią; ale jakże mogła uczynić to teraz? Tymczasem majtkowie spuszczali łódkę, i Drummond już zapinał na sobie nieprzemakalne okrycie.

— A teraz dajże mi ten list Violeto, rzekł skończywszy.

Nagłym ruchem dobyła go z kieszeni i w drobne podarłszy kawałki cisnęła szczątki te po przez krawędź statku;— wiatr poroznosił je po morzu, niby białe pierze, które po chwili znikło z oczu.

— Czemużeś to zrobiła? zapytał. W każdym razie wybiorę się do miasteczka—a zresztą nie ma nic groźnego w téj przeprawie.

Wskoczył w łódkę i wziął ster w rękę; majtkowie raźno do wioseł się zabrali i w jednéj chwili czółno znalazło się na szczycie potężnego bałwana, zkąd zaraz potém zsunęło się w dół, znikając wśród obłoku piany. O mało nie zawadzili wtedy nasi wędrowcy o łańcuch jednéj z kotwic, ku któremu zostali pchnięci niespodzianie, ale uchroniwszy się od tego niebezpieczeństwa, nie natrafili więcéj na żadne inne, i wkrótce z yachtu widzieć było można wysoką postać Drummonda, samotnie kroczącą wzdłuż wyniosłego wybrzeża.

— Czy ty wiesz, po co się on na ląd wybrał? spytała żartobliwie Violetty pani Warrener.

— Nie domyślam się tego wcale, odpowiedziała młoda dziewczyna, i nie rozumiém jaki można miéć powód do narażania się na takie niebezpieczeństwo.

— Nie ma go tu wcale, tak mię zapewnia kapitan Jimmy; to jedno im tylko zagraża, że powracając, będą mieli co chwila zimną kąpiel od napotykających ich bałwanów.

— A dla czegóż się wybrał na ląd brat pani?

— Oto chciał się wystarać o świeże pieczywo dla ciebie. Przykro mu było, że miałaś same tylko sucharki do śniadania.

— Wolałabym gryźć kawałek liny smołą napuszczonéj, niźli czegoś podobnego być powodem, rzekła z namiętném rozżaleniem; ale tu nagle przerwała i zaraz odeszła. Czuła, że należy jéj wprawiać się do milczenia.

Wkrótce Drummond powrócił na statek, wprawdzie zlany wodą od stóp do głów, ale bardzo zadowolony ze swéj wyprawy. Udało mu się było dostać świeżych bułek i masła, oraz kilka gazet liczących zaledwie parę dni istnienia. Przywoził także z sobą mléko i jaja, i kupił sobie był kapelusz na miejsce tego, który mu wiatr porwał w dniu poprzednim. Prawdopodobnie nie odmówił sobie též przyjemności nabycia kilku drobnych podarunków dla swych towarzyszek; opowiadał im bowiem, że doznawał w sklepach nieprzepartéj chęci kupowania wszystkiego co widział, sprzykrzywszy już sobie nad wszelki wyraz to, że od pewnego czasu miał zawsze w kieszeni tę samę ilość pieniędzy.

Burzliwa słota nie przestała przez cały dzień panować. Chwilami, przerywały się miejscami chmury, szybko pędząc po niebie, i wtedy mglisty promień słońca padał na białe domy miasteczka i na tło zieleni, jakie mu tworzyły drzewa pokrywające sąsiednie wzgórza, uwydatniając tém silniéj ciemne chmury w głębi na niebie nagromadzone. Ale błyski te jasności coraz się stawały rzadszemi, aż wreszcie całkiem ustały i szara pomroka zaległa nie-

przerwanie zarówno lądowy krajobraz, jak i wzburzone morza przestrzenie.

Gdy po południu deszcz nie ustawał, gromadka nasza zmuszona była na dole pozostać i szukać sobie rozrywki w czytaniu, lub grze w karty. Od czasu do czasu, rozmawiano też potrochu, ale niewiele; a Violetta rada była ilekroć owe pogadanki ustawały, albowiem bystry jéj wzrok poczynał spostrzegać, że Drummond usiłuje okazywać się wesołym, ale że staje się takim chwilami tylko, i to znagła, jakby skutkiem przymusu, który był dla niéj widoczny. W końcu, ku wielkiemu jéj zadowoleniu, zabrał się na dobre do książki, zdającéj się żywo go zajmować i przez czas jakiś wcale się nie odzywał. Był to statystyczny opis Hebryd, bardzo szczegółowo opracowany i świeżo wydany staraniem admiralicyi. Po pewnym czasie odłożywszy go na bok, Drummond rzekł znagła do siostry:

— Saro, jak ci się zdaje, czy mogłabyś wynieść się z Londynu?

— Co przez to rozumiesz? czy zupełną zmianę pobytu?

— Tak jest.

— A gdzieżbyśmy zamieszkali w takim razie?

— Gdzieśkolwiek tutaj na tych wybrzeżach.

— Jakto? zawołała przerażona, tu? wśród tych wichrów, wśród dotkliwego chłodu jaki tu panuje?

— A mnie właśnie nęciły całkiem przeciwne cechy tutejszego klimatu, o których tylko co czytałem. Jest on najłagodniejszy z całéj Wielkiéj Brytanii—według tego co tu piszą. Śnieg rzadko kiedy dłużéj poleży w tych okolicach. Czyż nie uważałaś ile tu można napotkać rosnących na odkrytém powietrzu krzewów i roślin z liczby tych, które u nas w ciepłych pomieszkaniach muszą być hodowane? Wszakże utrzymują się po ogrodach nawet kamelie, w niektórych miejscowościach tych zachodnich wybrzeży.

— Cóżbyśmy tu robili przez całą zimę? spytała go siostra.

— Otóż o to właśnie chodzi; odpowiedział, jakby namyślając się nad tą uwagą. Czy miałabyś ochotę zdobyć się na podobną próbę? Możeby nam się ona w końcu sprzykrzyła, ale w każdym razie nie więcéj z pewnością, jak mi się dziś już przykrzy Londyn.

— Wybiorę się z tobą wszędzie gdzie zechcesz, rzekła.

— A cóż zrobisz wtedy z córką?

— Skończyć może nauki w domu, odpowiedziała pani Warrener.

Nastąpiła chwila milczenia. Z dziwném uczuciem smutku słuchała tego Violetta. Nie wspomnieli oboje ani razu o niéj; zdawało się, że mają to za pewne, iż rozłączą się z nią, skoro tylko powrócą do Londynu, ale dla czego tak było? zapytywała siebie z bolesném zdziwieniem. Nie mogli przecię wiedzieć co pisała w liście do ojca; zamiarów swoich nie dała im niczém odgadnąć. Dotychczas we wszystkich planach, jakie układali na przyszłość, z nią się naradzali i zdawali się zawsze dbać głównie o to, aby dogodzić jéj życzeniu. Obecnie, zostawioną się widziała całkiem na uboczu; znała ich zaś nadto dobrze, aby w tém upatrywać cośkolwiek innego, jak przekonanie, iż zbytecznémby dziś było pytać jéj o zdanie.

Amy, która wyszła była z pokoju przed tą rozmową, powróciła w téj chwili.

— Słuchaj-no, moje dziecię, rzekła do niéj matka, czy chciałabyś ty stale zamieszkać w Highlandach?

Młoda dziewczyna, w prostocie ducha zwróciła się najprzód ku Violecie.

— A cóż ty na to powiadasz? spytała.

Na szczęście, przy zapadającym zmroku, nie było dla drugich widoczném niezmierne zmięszanie jéj towarzyszki.

— Ja? zawołała z żywością. Przecięż ten zamiar w niczém mię nie dotyczy i tak téż rozumie to twoja matka.

— Jakto? więc chcesz rozstać się z nami? zawołała z przerażeniem Amy.

— Nie stanie się tak; jeśli tylko potrafimy temu przeszkodzić, rzekła na to z serdecznym wyrazem pani Warrener; i zbliżywszy się do Violetty, dodała, kładąc rękę na jéj ramieniu: — Starać się o to będziemy najusilniéj. Ale przychodzi czas, w którym młode ptaszęta chcą koniecznie z gniazda odlecieć; i jakbądź, my starsi, nie bardzo temu radzi bywamy, nic poradzić nie możemy na to, co się zawsze działo i dziać będzie. A teraz, moje dzieci, czy nie odważycie się wyjść ze mną trochę na pokład, podczas gdy nam tu będą do obiadu nakrywać?

Przemoc wichru zatrzymała ich długo jeszcze na miejscu i dopiero nazajutrz po południu mogli pomyśléć o dalszéj podróży. Gdy *Kormoran* wypływał z zatoki, odzywało się przeczucie w duszy Violetty, coś jéj mówiło, że wędrówka, jaką na nim odbywa, będzie dla niéj ostatnią.

ROZDZIAŁ VIII.

Wyzywające wpływy.

Inne też myśli jednocześnie szybko do jéj głowy płynęły; były one tego rodzaju, iż prędko mogły przywieść za sobą czyny stanowcze. Bystry wzrok młodéj dziewczyny umiał przejrzéć po przez pozory wesołości, na którą silił się w jéj obecności Drummond. Przyszła wreszcie do przekonania, że dręczy go jakaś troska dotkliwa, i utwierdza się w tém coraz mocniéj, choć wyraźnie nie umiała rozpoznać jéj powodu. Liczyła poprzednio na to, że ulgą mu będzie zupełne rozerwanie tych serdecznych więzów nadto szybko pomiędzy niemi zaplecionych i, ciesząc się tą nadzieją, gotowa była za jakąbądź cenę opłacić jéj urzeczywistnienie; obecnie zaś z głębokim smutkiem widziała, że ten jéj najdroższy przyjaciel dźwiga skrycie brzemię cierpienia srodze dręczącego jego serce, podczas gdy szlachetnym wysiłkiem zdobywa się na udaną swobodę umysłu. Pewna tego była. Czytała to w jego spojrzeniu, ilekroć się z niém spotkały niespodzianie jéj oczy. Ale powodu tego tajonego bolu nie była w stanie odgadnąć, a nawet w domysłach swoich coraz się bardziéj od niego oddalała. Mogłaż zresztą przybierać dziś inny kierunek jéj myśli i rozumowania, jeśli rozumowaniami godzi się nazwać szereg nagłych przeskoków, przerzucających duszę w najprzeróżniejsze rojenia i wzruszenia? Smutek jego tłomaczyła sobie tém, że nie czuł się w stanie, odpłacenia jéj wzajemnością uczucia, które mu ofiarowała. Oswobodzenie go od wszelkich zobowiązań było niczém, dopóki jéj obecność ciągle mu przypomina poprzedni czyn nierozważny. Obecność jéj być musi nieustannym wyrzutem dla człowieka tyle szlachetnego, a zarazem posiadającego tak żywą wyobraźnią; upatruje on koniecznie w sobie powód jéj nieszczęścia, i tém samém siebie unieszczęśliwia.

— Oto com mu przyniosła, powiadała sobie z goryczą; oto w jaki sposób wypłaciłam mu się za całą jego dobroć dla mnie.

Wraz z temi myślami, ogarniała ją coraz żywsza chęć powrotu do Castle-Bandbox. Żywiła nadzieję, że tam wydarzy się cośkolwiek, co kres położy temu opłakanemu stanowi rzeczy, i pragnęła gorąco zmiany, jakbądź czuła, że ta w niczém nie zmiejszy jéj żalu po rozwianiu się marzeń, z któremi wiązała całą swą przyszłość. Odetchnęła więc swobodniéj, gdy wreszcie dźwignięto z morza kotwice i statek z miejsca wyruszył, tą samą drogą, którą już raz przebywał.

Wiatr uciszył się był prawie zupełnie w krótkim czasie; ale morze bardzo jeszcze było rozkołysane, i dosyć burzliwie wyglą-

dały chmury, po przez które chwilami tylko przebłyskiwało światło słoneczne. Stopniowo jednak poczęły się one osuwać ku dalszym krańcom widnokręgu, zarazem powiewy wzdymające żagle coraz się stawały łagodniejsze, a kierunek ich tak pomyślnie sprzyjał podróży *Kormorana*, że nasi wędrowcy cieszyć się mogli nadzieją ujrzenia jéj kresu nie daléj, jak w ciągu następnéj nocy.

Po niedługim czasie, statek podpłynął naprzeciw jakiegoś budynku, którego tylko białe kominy widać było po nad gęstym szpalerem drzew, osłaniającym go od przodu. Dziwnie osamotniałą wyglądała ta siedziba, na owém opustoszałém wybrzeżu, gdzie żadnéj ludzkiéj istoty nie dostrzegało oko.

— To jest Finnorie, rzekł wskazując ją sternik. Nie ma u nas ludowéj pieśni bardziéj rozpowszechnionéj, jak ta, która się zaczyna od słów: „Żegnaj mi Finnorie,"—każdy ją umié i chętnie ją śpiewa.

Violetta nie wiedziała dotąd o istnieniu tego rozrzewniającego utworu, który im sternik zanucił; ale to wiedziała dobrze, że ona także żegna w téj chwili na zawsze Finnorie i coś więcéj jeszcze. Byli wtedy zebrani wszyscy na pokładzie; po chwili rzekła:

— Smutna to rzecz żegnać dobrze znane nam miejsce.

— Smutniejsza o wiele z własnemi złudzeniami się rozstawać, odezwał się Drummond, jakby w roztargnieniu myśl swą wypowiadając. Ale zaraz, opamiętawszy się, dodał z żywością: Chociaż znowu, raczéjby się cieszyć z tego wypadało; im się wcześniéj złudzeń swych pozbywamy, tém na lepsze nam to wychodzi. Samo przejście niekoniecznie bywa miłe, ale skutki jego nic nie pozostawiają do życzenia. A! więc to jest Finnorie? Bardzo mi się owa pieśń podobała. Pewien jestem, że za jakie sto lat, jeszcze ją ludzie śpiewać będą. Może wypadkowo ułożył ją ktośkolwiek, niewiele do niéj wagi przywiązując; a może téż przeczuwał swą sławę pośmiertną—któż to wié dzisiaj? Nie ma człowieka, któryby w pewnym stopniu nie pragnął zostawić pomiędzy ludźmi pamięci po sobie; ale po większéj części, życzenie to obejmuje tylko szczupłe kółko rodziny i przyjaciół; dobre to jest w pewnym względzie, nie ma co mówić, gdyż nieraz wpływ uszlachetniający na ludzkie czyny wywiera. Ale jakież jest najbliższe miasteczko od tego samotnego probostwa? Loch Alina, o ile sobie przypominam.

Stanęli byli w tém miejscu, naprzeciw kościoła, w pobliżu którego stało parę zabudowań. Do Loch Aline udał się był prawdopodobnie Jerzy Miller po rozstaniu się z niemi owéj pamiętnéj niedzieli. Ileż to dziwnych rzeczy wydarzyło się odtąd; tak

dziwnych, że niejednéj nie można sobie było do dzisiejszego dnia wytłómaczyć.

Mrok już zapadał; długo jeszcze wśród niego bielały, niby kwiaty, szmaty piany na szczytach fal zielonawych rozpryskujących się o brzegi. Morze dosyć jeszcze było wzburzone, chociaż wiatr znacznie się zmniejszył.

— Zdaje mi się, że w tém miejscu woda jest bardzo głęboka, rzekła Violetta do sternika, znalazłszy się z nim chwilowo sam na sam.

— Tak jest w istocie, odpowiedział.

— Gdyby tu kto w wodę wpadł przypadkiem, dodała, to możeby po nim było, zanimby go znowu na wierzch wyrzuciła.

— Nie radziłbym nikomu tego próbować, odparł sternik z uśmiechem.

Zamiaru tego nie miała bynajmniéj. Była to u niéj tylko myśl przelotna.

Téj saméj nocy wszelako nadarzyła im się lepsza sposobność do podobnéj próby, niżby sobie tego życzyć mogli. Gdy się w dalszą drogę puścili po krótkim wypoczynku, napotkali znagła w pobliżu Lightmore-House, burzliwe podmuchy, których siła o mało od razu nie przewróciła ich statku. Kapitan Jimmy rozkazał natychmiast pospuszczać żagle; przez kilka chwil panował na pokładzie niewypowiedziany zamęt, wśród którego zaledwie że nie wpadł do morza Alek, gdyż porwany wraz z nagromadzonemi stosami płótna przez wicher, który je uniósł na drugi koniec statku, przerzucony prawie został przez jego krawędź i zdawał się w powietrzu zawieszony, gdy go na szczęście pani Warrener dostrzegła w téj opłakanéj postawie. Na krzyk jéj nadbiegł Drummond i, przy pomocy jednego z majtków, zdołał napowrót wciągnąć na pokład biedaka, nawpół martwego od trwogi. Ale największy był kłopot z zabezpieczeniem tych ogromnych szmat płótna, których zwijać nie było spsobu w téj chwili, tak je wiatr wściekle szarpał i rozrzucał na wszystkie strony. Po pewnym czasie jednak, zdołano i z tém dać sobie rady, nie bez twardéj, co prawda, roboty, i statek mógł już bezpiecznie stawić czoło wiatrom, przedstawiając jak najszczuplejszą powierzchnię ich gwałtownym napadom. Przez cały czas trwania robót mających to na celu, Violetta nie odstępowała kapitana Jimmy, a nawet chwilami zajmowała jego miejsce u steru wtedy, gdy potrzebował przekonać się własnemi oczami, ażali dobrze zostały spełnione rozkazy, które wydawał. Niebezpieczeństwo zatrważało ją, ale nie odejmowało jéj bynajmniéj przytomności umysłu.

Gdy wreszcie wicher złagodniał o tyle, że nie należało się już obawiać niczego od niego, poczęto się rozpatrywać w skutkach owego niespodzianego szturmu. Na szczęście, okazały się one mało znaczące; przy porwaniu swojém, Alek utracił był kapelusz; Amy zaś, zajęta zabezpieczeniem gospodarskich sprzętów w głównéj kajucie, ciśniętą została na ziemię nagłém przechyleniem się statku i w jednéj chwili zarzucona najrozmaitszemi przedmiotami, jakoto: tartanami, gazetami, lichtarzami i szklankami; ale na tém się skończyła krzywda, jakiéj doznała. Sam zaś *Kormoran* pozostał od burzy nietknięty podczas tego niespodzianego jéj napadu.

Po pewnym czasie, wiatr się całkiem wyrównał i nasi wędrowcy swobodnie już mogli żeglować ku Castle-Bandbox, dokąd spodziewali się dostać w ciągu nocy. Księżyc wznosił się z po za ciemnych wzgórzy, pod któremi statek przepływał, cała gromadka nasza zebrana była na pokładzie; ileż tu treści nastręczały do ożywionéj rozmowy, zarówno wrażenia świeżo przebyte, jak nadzieje bliskiego powrotu! Ale pomimo to wszystko milczenie panowało w tém kółku, którego już nie ożywiał przewodniczący mu zwykle gawędziarz, dzisiaj dziwnie jakoś roztargniony i zadumany.

— Powinniśmy już niedługo stanąć na miejscu, rzekła pani Warrener do Violetty, gdy po pewnym czasie zeszły obie na dół dla składania i pakowania rzeczy.

— Tak mi się zdaje, odpowiedziała młoda dziewczyna.

— Sądzę, że przyjemną ci była ta wycieczka?

— O, bardzo.

Słowa te wyrzeczone zostały w sposób obojętny, w jaki bywa dawaną odpowiedź na mało znaczące zapytanie.

— Przyjemnie téż spędzisz kilka dni na lądzie, zanim rozpoczniemy nową wyprawę.

— Nie zdaje mi się, abym w niéj miała udział, droga pani, odrzekła na to Violetta.

— Co przez to rozumiész, moja kochanko? spytała jéj przyjaciółka, zaprzestając swéj roboty pod wpływem zdziwienia.

Byłaby lepiéj może zrobiła, gdyby nic nie odpowiedziała. Wszystko co ją otaczało tak dziwną z nią stanowiło sprzeczność, taka ją zewsząd otaczała niedola, że mówić o tém co czuła, niewiele obiecywało jéj ulgi. Bądź co bądź jednak, uległa niepohamowanemu porywowi rozpaczy, gdy ręce wyciągając ku pani Warrener, zawołała.

— Jak możesz pytać mię pani o to? Czyż nie widzisz co się tu dzieje? Czy nie widzisz, że brat twój jest nieszczęśliwy, jakbądź

usiłuje to zataić, z tą dobrocią, która go nigdy nieodstępuje? A ja wiém, że tego jestem powodem, wiém to na pewno—czyż nie należy tedy, abym... abym w takim razie jak najprędzéj zeszła z drogi tym, którym za ich przyjaźń, wypłacam się tylko cierpieniem?

— Violetto, rzekła pani Warrener, biorąc jéj rękę, nadto jesteś pochopna do słuchania pierwszych twoich popędów; przeczuwam, że możesz dopuścić się lada dzień jakiego szaleństwa. Czyż nie zechcesz tu posłuchać głosu rozsądku? W znacznéj części, to co mówisz jest prawdą. Od kilku dni, James w niezwykłém jest usposobieniu; bez wątpienia pochodzi to ztąd, iż się tobą niepokoi. Nic w tém zresztą nie ma dziwnego. Wiész ile zawsze był ci przychylnym; ile miał przyjaźni dla ciebie odkąd cię poznał; nie jest to człowiek, któryby umiał z łatwością się pozbywać uczuć tego rodzaju. Gdy raz kogo polubił, daremném byłoby próbować osłabić w nim to przywiązanie. Czyż więc dziwić się temu możesz, że jest dziś cokolwiek tobą zaniepokojony? Ty także temi dniami, nie bardzo wyglądałaś szczęśliwa, Violetto.

— Nie zdaje mi się, abym... nią była w istocie, odpowiedziała młoda dziewczyna, z wysiłkiem powstrzymując łzy cisnące się do jéj oczu.

— Znajdujesz może, iż James za nadto się tobą kłopocze, skoro tak łatwo ci przyjdzie zostawić za sobą całe to nieszczęsne przejście i w niepamięć je puścić?

— Nie chodzi tu o to co ja myślę, ale przedewszystkiém o to, abym nie była powodem przykrości dla moich przyjaciół, zawołała gwałtownie Violetta. Tego rodzaju dowodów przywiązania od nich nie żądam.

— Najlepszym ci będzie sposobem rozproszenia jego niepokoju, okazać mu się sama weselszą, rzekła jéj z uśmiechem pani Warrener; a sądze, iż wkrótce przyjdzie ci to z łatwością.

— Wkrótce? powtórzyła smutno młoda dziewczyna. Więc sądzisz pani, że wkrótce będzie w mojéj mocy oswobodzić go od téj troski?

— O, z pewnością.

— I myślisz pani także, dodała Violetta z dziwnym spokojem, że nie ma poświęcenia, na któreby się on nie zdobył dla uszczęśliwienia mnie?

— Nie ma; zapewnić cię o tém mogę, odpowiedziała bez zawahania się pani Warrener.

Młoda dziewczyna zamyśliła się przez chwilę, a twarz jéj trochę pobladła.

— A więc, skoro jestem tylko... wyszeptała z wysiłkiem, ale daléj mówić nie mogła; głębokie westchnienie wydostało się z jéj piersi i na wznak padła, bezwiednie chwytając się ręką brzegu otwartego kufra podróżnego. Pani Warrener z wykrzykiem trwogi pochwyciła ją w objęcia, zanim głową dotknęła ziemi i aczkolwiek z trudnością, zdołała ją podnieść i w krześle posadzić. Było to zemdlenie—rzecz najzwyczajniejsza—mowiła Violetta, gdy przyszła do siebie, wstydziła się tego mocno, że niepokoju była powodem i wydziwić się nie mogła temu, że w czas nie zdołała jakoś sobie zaradzić; ale jakbądź zdawała się chcieć żartem zbywać to zdarzenie, w oczach miała niezwykły jakiś wyraz, z którego pani Warrener niekoniecznie umiała zdać sobie sprawy.

Z tém wszystkiém, ona także z umysłu mówiła o tém co się stało, jak o rzeczy nader małéj wagi.

— Tak jesteś wrażliwa, Violetto, rzekła po chwili, a przytém tak się uporczywie trzymasz tego, co sobie raz weźmiesz do głowy, że doprawdy nie wiém, co się w końcu może stać z tobą. Dla tego téż pragnę widziéć cię jak najprędzéj bezpieczną pod opieką męża, który czuwać będzie troskliwie nad tobą...

— Wolałabym pójść teraz na pokład, przerwała jéj Violetta, ciągle bardzo blada jeszcze; tam chłodniéj będzie niż tutaj.

Udały się więc obie na górę i zastały *Kormorana* już zbliżającego się do przystani, w któréj miał po raz ostatni zarzucić kotwicę; a przy świetle księżyca zarysowywały się dobrze im znane ciemne wzgórza otaczające od tyłu Castle-Bandbox. Widać było także w pobliżu odznaczającą się nieco jaśniéj wśród półcieniu, małą zatokę piaszczystą, w któréj zwykle używały kąpieli Violetta i Amy.

— Słuchaj-no, rzekła ta ostatnia do swéj towarzyszki, czy nie dobrzeby nam było wybrać się tam teraz dla wykąpania się przy świetle księżyca? Tożby to dopiéro była uciecha!

— Radabym was złapać na czémś podobném! odpowiedziała jéj matka. Doprawdy, te dziewczęta potopią się kiedykolwiek, bylebym je z oczu spuściła.

Wkrótce odgłos zapadającéj kotwicy przerwał swym zgrzytem nocną ciszę; przez czas jakiś potém była jeszcze robota na statku ze zwijaniem żagli, a gdy już i z tém się załatwiono, łódka przywiozła naszych wędrowców do małéj przystani, gdzie mieli wylądować. Przy świetle księżyca poszli daléj pieszo, drożyną wspinającą się wśród łąk zacisznych na wzgórze, gdzie stał ich domek; a rzadko kiedy bywało pomiędzy niemi przerywane milczenie podczas téj nocnéj przeprawy.

Zdawało się Violecie, że nie wiedzieć ile lat upłynęło odkąd po raz ostatni wyszła z téj chatki, którą tam wyżéj przed sobą miała; naprawdę bowiem chwile stawały się dla niéj latami teraz, gdy czuła, że życie jéj gnane siłą nieubłaganą, szybkiemi kroki pędzi ku tragicznemu jakiemuś przewrotowi. Brzemię nagromadzających się w niéj wrażeń—miło duma, wdzięczność—wszystko to razem zmięszane pchało ją coraz bardziéj w stronę, gdzie dotąd oczu swoich zwrócić nie śmiała.

Pragnęła wszelako spojrzéć przed siebie i rozpatrzéć się w swém przyszłém położeniu, jakiebądź ono być miało; zatém, gdy jéj towarzysze, znalazłszy się na miejscu, zabrali się do rozpakowywania swych rzeczy i do innych zajęć tego rodzaju, ona, wymknąwszy się ukradkiem z domu tylnemi drzwiami, wyszła na drogę wiodącą ku sąsiednim wzgórzom. Orzeźwiający powiew od nich zalatujący mile chłodził jéj rozpalone czoło; wśród otaczającéj ją ciszy rozmyślać mogła o tém, co ją spotkało i co spotkać jeszcze miało; rada była, czując się daleko od wszystkich i sama jedna na tém pustkowiu. Szła daléj mało zważając na odłamy skał, które mijała, na wrzosy i młode krzewy, słabo odznaczające się przy bladémś wietle księżyca, ale słysząc potroszę daleki szmer strumienia płynącego w dolinie, który zdawał się uwydatniać bardziéj jeszcze milczenie wszędy panujące.

Nie miotał nią żaden ślepy i namiętny obłęd rozpaczy; nadto posiadała dumy, aby nie umiała w téj chwili nad sobą panować; ale zdawało się jéj, że ogromne jakieś brzemię smutku ciężyło po nad tą nocą tak cudnie rozpogodzoną; może téż od czasu do czasu, przypominała sobie, że nie ma matki, do któréjby mogła się udać w tém straszném przesileniu swojego życia. Z dziwnym spokojem rozpatrywała się teraz w sobie saméj. Wielką to było dla niéj niedolą, że całém sercem ukochała tego człowieka; wiedziała o tém, i ta świadomość unieszczęśliwiała jéj życie; jakaż rada była na nędzę podobną? Oddalając się ztąd, nie sprawi nic dobrego; pozostawi go z tą samą o nią troską, z tym milczącym żalem, który go teraz oblega i zachmurza jego myśli, zwykle tak swobodne i rozjaśnione. Czémże jest ona, że taką krzywdę przynosi człowiekowi, którego z całego świata najwyżéj ceni i najsilniéj kocha? Własną boleść, jakbądź nieuleczoną, znieśćby potrafiła; ale sił jéj brakło w obec tego cierpienia przez nią sprawionego, a tak szlachetnie tłumionego przez jéj zacnego przyjaciela. Rozważała to wszystko ze względnym spokojem, ale jednak serce jéj uderzało coraz silniéj; i namiętna a zarazem wyniosła dusza téj młodéj dzie-

wczyny coraz wybitniéj przemawiała na jéj ustach dumnych i na pobladłéj twarzy. Stała teraz w miejscu, nasłuchując; nikt nie mógł jéj tu przerwać rozmowy, jaką z sobą wiodła. I oto jakie zadała sobie pytanie, w taki sposób, że jeśli nie ucho, to gwałtownie bijące serce mogło je dosłyszéć:

„W dawnych czasach szczęścia twego, zapytywałaś siebie czy zdolną byłabyś oddać życie dla ukochanego przez ciebie człowieka; i z dumą odpowiadałaś, że potrafiłabyś to uczynić z pewnością. Cóż teraz odpowiész, jeśli ci będzie zadaném to samo pytanie? Czy się tchórzliwie przed niém cofniesz? Jeśli rzucając świat ten, możesz zapewnić mu na kiedyś powrót dawnego spokoju,—wtedy, gdy już całkiem o tobie zapomni—to czy czujesz się na siłach dowieść sobie saméj czynem podobnym co jest warta twoja miłość?“

Nie była już teraz tyle spokojną. W przecudnych tych ciemnych oczach był wyraz straszliwego udręczenia; oddech miała szybki a twarz jeszcze bledszą od księżyca, którego światło na nią padało.

Takie było pytanie, jakie sobie czyniła; a jakąż mu dawała odpowiedź?

Znaleść się w obec jakiegobądź wyzwania, czy to od ludzkiéj pochodzącego istoty, czy téż wywołanego zbiegiem okoliczności, i cofnąć się przed nim nie było możliwém dla Violetty. Leżało to po za obrębem jéj natury. Odpowiedź na owo zapytanie wypisana była w dumnych zarysach tych ust zaciśniętych i w błędnym wyrazie twarzy śmiertelnie bladéj.

Zresztą, czémże była owa ofiara dziś, od niéj przez losy zażądana? Księga jéj życia, jak daleko w nią zajrzéć mogła, po przez obecny zamęt swych myśli zapełniona być miała samemi przypomnieniami doznanych zawodów i żałosnemi rozpamiętywaniami. Nie znała tkliwéj opieki nad swemi młodocianemi latami; teraz zaś stanąwszy u progu życia kobiety, olśniona zostawszy na chwilę jego czarami, zapadała znowu w ciemności, by w nich pozostać nazawsze, z gorzkiém wspomnieniem błysku złudnego szczęścia, które w rzeczywistości nigdy nie istniało.

Wtém usłyszawszy za sobą kroki, żywo się odwróciła. Była to pani Warrener, zbliżająca się ku niéj śpiesznie.

— Violetto, cóż ci do głowy przyszło, żeby tak w nocy iść sama jedna w góry. Na szczęście, miałam dobre przeczucie i od razu cię odszukałam.

Dziwną jéj dała na to odpowiedź młoda dziewczyna. Wzięła jéj rękę w swoje, ucałowała ją serdecznie i w oczy jéj spojrzała ze smutną powagą.

— Jeślibyś sobie pani kiedyś przypomniała, rzekła, żem ci sprawiła jaką przykrość, chciéj wierzyć, że nie uczyniłam nigdy tego z umysłu i że bardzo tego żałowałam. Przyobiecaj mi to pani; a także jeśli komu z twoich bliskich jaką krzywdę wyrządziłam, poproś go, aby mi to przebaczył, a nawet zapomniał jeśli potrafi.

Poczciwa kobiecina łzami się zalała.

— Violetto! cóż za myśli ci przychodzą? zawołała, przejęta dziwną jakąś trwogą. Dla czegóż płaczesz? Co się z tobą dzieje, żeś tak pobladła?

— Nic mi nie jest, odpowiedziała młoda dziewczyna. Wracajmy już do domu.

Szły drożyną przy świetle księżyca, obie jednakowo milczące; albowiem nieokréślone obawy oblegały panią Warrener, i właśnie dla tego lękała się wyraźniejszych czynić zapytań swéj towarzyszce. Gdy weszły do domu, Violetta zaraz się wymknęła do swego pokoju, korzystając z późnéj już godziny. Czas jakiś tam stała przy oknie, wzrokiem wodząc po czerniejących wzgórzach, po drzewach pobliskich, po małych polankach zasianych owsem, których szarawą barwę srebrzyła jasność księżyca—i silnie ręką powstrzymując serca uderzenia.

„Nie pękaj jeszcze teraz, byłaby powiedziała, gdyby słowami mogły być wyrażone poplątane i rozpaczliwe jéj myśli, — nie pękaj, dopóki nie wrócę szczęścia tym, których kocham. Potém zaś, możesz robić ze mną co ci się spodoba.“

(D. c. n.)

WYDZIAŁ MATEMATYCZNO-PRZYRODNICZY

AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE,

w latach 1873–1876

przez

Maryana A. Baranieckiego.

(Dokończenie).

Skład wydziału. — Urządzenie wewnętrzne. — Przegląd prac, ogłoszonych w pierwszym i drugim tomie „Pamiętnika“.—Rozprawy, ogłoszone w całości w trzech wydanych tomach ‚Rozpraw i sprawozdań z posiedzeń“. — Komisya fizyograficzna. — K. antropologiczna.— K. balneologiczna.—Zakończenie.

Drugi tom „Pamiętnika“ składają następujących 9 rozpraw:

a) „*Poszukiwania nad powstawaniem korzonków u roślin ziarnowych*“ przez prof. E. *Janczewskiego* (str. 15 z 2 tabl. rycin). Praca ta jest uzupełnieniem ogłoszonéj w pierwszym tomie „Pamiętnika“ i w bezpośrednim z nią związku. Jak zauważył recenzent, na któregośmy się co do pierwszéj pracy pana J. powołali, rezultaty otrzymane przez autora stanowczo zbijają poglądy w téj kwestyi p. Reinke'go, Negele'go i Leitgeb'a: nietylko bowiem p. J. znalazł cztery wzory powstawania korzonków, odpowiadające mniéj lub więcéj czterem różnym sposobom ich wzrostu, ale wykazał daléj, że różnice, jakie się napotyka pomiędzy różnemi roślinami jednego i tego samego wzoru, mogą być dość znaczne. Poszukiwał autor ze wzoru pierwszego topian, z drugiego żabieniec, strzałkę i kukurydzę, z trzeciego tatarkę, rzodkiew i słonecznik, z czwartego cieciarkę, groch, fasolę i dynię, z roślin zaś nagoziarnowych sosny i jodły, i opisuje wszystkie szczegółowo, zaznaczając następnie wyniki ogólne i wyprowadzając wnioski teoretyczne.

b) „*Rzecz o pochodzeniu belemnitów z mięczaków głowonogich oskorupionych*“ przez prof. Aloizego *Altha* (str. 21 z 1 tablicą rycin).

W rozprawie téj autor podaje najprzód cechy całéj rodziny belemnitów i rodzajów do niéj należących, następnie zastanawia się nad własnościami spokrewnionych z nią mięczaków głowonogich, tak czteroskrzelnych jako téż dwuskrzelnych. Pierwsze już wymarły, z wyjątkiem jedynego gatunku *Nautilus*, drugie zaś, jako wyżéj uorganizowane, w znacznéj ilości jeszcze żyją. Na podstawie bliższego zbadania skamieniałych szczątków mięczaków głowonogich, tak czteroskrzelnych, jak i dwuskrzelnych, przyszedł p. A. do przekonania, że najdawniejsze z pierwszych, t. z. ortoceratyty, zwolna zmieniły się na belemnity, które w niezmiernéj ilości napełniają niektóre warstwy utworu jurasowego i kredowego, dziwnym swym kształtem oddawna zwracały na siebie uwagę, a przez lud u nas są nazywane strzałkami piorunowemi. Następnie p. A. zajmuje się bezpośredniém przekształceniem się ortoceratytów na głowonogi nagie i przeobrażeniem się belemnitów w głowonogi nagie wyższéj organizacyi.

c) „*Obliczanie wartości szeregów nieskończonych, a zwłaszcza o bardzo słabéj zbieżności*“ przez prof. Oskara *Fabiana* (str. 20). Założeniem téj pracy jest podanie sposobu, jak można sumę szeregu zbieżnego uczynić zależną od pewnéj liczby niewielu wyrazów początkowych, co odgrywa ważną rolę w zastosowaniach rozwinięć na szeregi w rozmaitych kwestyach z astronomii i fizyki matematycznéj. Ze względu tylko na to praktyczne założenie rozprawy staje się do pewnego stopnia usprawiedliwioném wprowadzenie przedstawień geometrycznych do teoretycznego roztrząsania (§ 5). Podany przez się sposób illustruje autor kilku prostemi przykładami.

d) „*Przyczynek do rachunku przemienności, ze szczególném uwzględnieniem znamion największości i najmniejszości całek oznaczonych*“ przez prof. W. *Żmurkę* (str. 23). Wartość pracy p. Żmurki została cale poważnie zakwestyonowaną; lecz, jak to zaraz zobaczymy, ze stanowczém wyrzeczeniem o bezwzględnéj i zupełnéj wadliwości metod p. Ż., lub téż z przyznaniem jéj zalet, przy pewnych (w każdym razie) uzupełnieniach i ograniczeniach, wstrzymać się należy do pojawienia się zapowiedzianéj przez p. Ż. nowéj jego pracy w tym kierunku, która dotąd nie jest jeszcze ogłoszona, ale już została przedstawioną akademii. Ograniczymy się więc na objektywném przedstawieniu spółczesnego stanu téj kwestyi, która dość jest głośną w kołach naukowych matematycznych. Rozprawa ta zakomunikowaną była wydziałowi matematyczno-przy-

rodniczemu na posiedzeniu 21 Czerwca r. 1875. W przedmowie autor zaznacza, że z całego szeregu prac rozmaitych uczonych o największości lub najmniejszości całek, żadna według jego zdania, nie może być wzięta za podstawę do wykładów publicznych. Dla tego „chcąc się w téj mierze początkującym przysłużyć“, rozpoczyna autor od uproszczenia t. z. podwójnéj transformacyi Jacobi'ego. A daléj mówi w przedmowie: „Gdy mi się już udało pierwszą z tych transformacyj sprowadzić do postępowania najprostszego, nasunęła mi się myśl zastąpienia owéj podwójnéj transformacyi Jacobi'ego jedną nową, która, polegając na zwykłém sumowaniu, poleca się niezwykłą prostotą i umiejętną ścisłością. Przystępując do rozszerzenia tak ułatwionéj transformacyi do zbadania całek zawilszych, przekonałem się, że tą drogą nie dojdzie się do celu; aż nareszcie udało mi się obmyśléć t. z. funkcyą oskulacyjną, która, jako spółczynnik dowolnych argumentów stosownie wprowadzona, rzec można bez żadnéj rachuby, spowodowała w wyrazie drugiéj przemienności ryczałtowo zniżenie liczby argumentów do pożądanéj najmniejszéj liczby, uwalniając je od wszelkich wzajemnych związków w postaciach równań różniczkowych. Na podstawie tego czynnika oskulacyjnego dało się ułożyć ścisłe określenie t. z. zakresu zmienności, w jakim się poruszać mają wartości funkcyi, która ma być zbadaną ze względu na znaki tych wartości.“ Następnie zaś autor dochodzi „do układu wiadomych funkcyj, których znaki zbadane w danym zakresie zmienności dostarczają nieomylnych znamion, czy obliczona główna własność przedłożonéj całki jest największością, lub najmniejszością, czy nie.“ Charakterystycznem jest, że p. Ż., podając swoje kriterya największości całek tak jednokrotnych, jak i wielokrotnych, uznał za zbyteczne wskazanie istotnéj wartości tych rezultatów swego badania: w całéj bowiem rozprawie nie przytoczył ani jednego przykładu dla zastosowania znalezionych przez się znamion. Po ogłoszeniu téj pracy, prof. Franciczek Mertens przesłał wydziałowi rozprawę „*O funkcyi oskulacyjnéj prof. Żmurki*“, która została odczytana na posiedzeniu 20 Grudnia r. 1875 i następnie ogłoszona w tymże, co praca p. Ż., tomie „Pamiętnika“. W téj pracy p. Mertens dowodzi (i każde swe spostrzeżenie popiera trafnie dobranemi przykładami) najprzód tego, że p. Żmurko przy wywodzie własności swego czynnika oskulacyjnego popadł w błąd, opierając się na niezupełnie prawdziwych twierdzeniach pomocniczych, a następnie tego, iż nawet przypuszczając, że choć dowód mający popierać teoryą p. Żmurki jest nie ścisły, lecz mimo to sama teorya ostać się może, także na znamiona największości lub najmniejszości, otrzymane metodą

p. Żmurki, bynajmniéj spuścić się nie można, gdyż dla pewnych całek, które nie posiadają minimum, teorya p. Żmurki wskazuje minimum. W odpowiedzi na tę rozprawę p. Mertensa nadesłał p. Żmurko wydziałowi matematyczno-przyrodniczemu akademii nową pracę p. t. „*O ważności i zastosowaniu funkcyi oskulacyjnéj w rachunku przemienności, oraz odpowiedź na uwagi D-ra Mertensa, dotyczące tego przedmiotu,*“ która przedstawiona na posiedzeniu 20 Kwietnia r. 1876, przez wydział przesłana została komitetowi redakcyjnemu, lecz dotąd w druku się nie pojawiła. Z ogłoszonéj w protokule posiedzenia wydziału treści téj rozprawy uwidocznia się słuszność zarzutów p. Mertensa. P. Żmurko bowiem mówić ma w téj pracy o „sąsiedztwach wątpliwych,“ kiedy w rozprawie „Przyczynek...“ (str. 68) wyraźnie mówi o wszystkich sąsiednich wartościach całki. Ustęp sprawozdania, w którym są przytoczone nazwiska Clebsch'a i Mayer'a, niczego nas nie uczy, tak, że co do ostatecznego orzeczenia o absolutnéj nieprzygodności znamion opartych na własnościach czynnika oskulacyjnego, a w każdym razie o pewném ograniczeniu zastosowania téj teoryi, należy zaczekać do pojawienia się zapowiedzianéj rozprawy. Przyznaje jednak p. Żmurko, że jego „dowodzenie przez szanownego krytyka jako mylne spostrzeżone i jako takie istotnie udowodnione zostało,“ a nawet wyraża niezadowolenie, że p. Mertens przy obliczeniach stosował uproszczenia, przez niego (Ż.) wskazane.

e) „*O czaszkach z kurhanów pokuckich*“ przez D-ra Izydora *Kopernickiego* (str. 33 i 4 tablic rysunków). Obszerną ocenę téj pracy pomieścił „Przeg. Kryt.“ (r. 1875 Nr. 15), gdzie recenzent zaznacza ściśle naukowe stanowisko i głęboką erudycyą autora, jako też rozbiera szczegółowo wywód wniosków, do których doszedł p. Kopernicki z badania czaszek, znalezionych pod Obertynem na Pokuciu, w kurhanach rozkopanych przez p. Kirkora. Czaszki te stanowiące trzy grupy: Żywaczowską, Chocimierską i Czortowiecką są przedhistorycznego pochodzenia, z epoki przejściowéj od bronzu do żelaza, z wyjątkiem Czortowieckich, które według przypuszczenia autora należą do Wołochów, poległych w bitwie pod Obertynem r. 1531.

f) *Teorya planimetru biegunowego* przez prof. Dominika *Zbrożka* (str. 11 z jedną tablicą). Autor, podawszy opis i teoryą tego rozpowszechnionego i wielce użytecznego narzędzia, udowadnia matematycznie zasady jego rektyfikacyj, oraz podaje swego pomysłu poprawkę jego urządzenia, która dozwala otwiérać jego ramiona aż do 360°. Wyłożywszy następnie metodę przy ocenianiu dokładności rezultatów, osiągniętych za pomocą planimetru biegu-

nowego, autor kończy rzecz swą krótką wzmianką historyczną o tém narzędziu.

g) „*O funkcyi oskulacyjnéj prof. Żmurki*“ przez prof. Franciszka *Mertensa* (str. 10). O treści téj pracy mówiliśmy już wyżéj ad d); zaznaczymy tu tylko, że opracowanie i trafność, a prostota metod użytych zalecają tę rozprawę w tym samym stopniu, co i inne znane prace tego uczonego, którym jednak pozwolimy postawić ten ważny zarzut, że prawie wszystkie one (z wyjątkiem dwóch drobniejszych, także i po polsku ogłoszonych) pojawiają się wyłącznie w języku niemieckim.

h) „*Historya rozwoju wydętki korzonkowłoséj*“ przez D-ra Józefa *Rostafińskiego* (str. 23 z 1 tablicą). Jeszcze dotąd nie pojawił się rozbiór téj pracy przez specyalistę; my zaś winniśmy zaznaczyć: że jest to sprawozdanie z rezultatów odkrycia zapłodnienia wydętki korzonkowłosej (Botrydium granulatum (L.) Grev.) i całego związku jaki istnieje pomiędzy różnemi stanami téj rośliny, które były pomieszczane dotychczas jako 4 osobne gatunki w dwóch różnych rodzajach. W tych poszukiwaniach przyjmował także udział Dr. Woronin z Petersburga.

i) „*O okresowych zmianach ciepłoty powietrza w Krakowie*“ przez prof. Franciszka *Karlińskiego* (str. 35 i 2 tablice dodatkowe). W skutek okresowych ruchów ziemi, t. j. wirowego i rocznego, podlega również i temperatura (ciepłota) powietrza na każdém miejscu jéj powierzchni dwóm okresowym zmianom, powtarzającym się dziennie i rocznie. Poznanie wielkości tych zmian w Krakowie jest przedmiotem pracy autora, opartéj na spostrzeżeniach, w obserwatoryum Krakowskiem dokonanych. Rezultaty mozolnych, lecz ścisłych swych obliczeń zestawia autor w 14 tablicach, wyłuszczając przytém szczegółowo motody, przez się użyte. W tablicach nadto dodatkowych podaje graficzny obraz dziennego oraz rocznego przebiegu temperatury w Krakowie. Praca ta stanowi ważny nabytek, jako dokładne pod względem temperatury przedstawienie klimatycznych stosunków Krakowa. Opracowanie jéj staranne, choć nader mozolne, wywołuje życzenie, abyśmy mieli wedle tego wzoru obrobione surowe materyały, jakie są gromadzone i w innych miejscowościach, lecz do podobnego opracowania których nikt dotąd się nie bierze.

W wydawnictwie „*Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału*“ etc. ogłoszono w całości następujące prace:

W *tomie pierwszym*:

a) Prof. E. W. *Skiby*: „*Teorya elektryczności promienistéj*,“ w któréj autor, przyjmując, że działanie wzajemne na siebie dwóch

elektryczności w odległość przenosi się z pomocą fal podłużnych, rozchodzących się w eterze, i że działanie elektryczne w odległość na każdą jednostkę elektryczności pod względem swéj mocy jest proporcyonalne do siły żywéj drgania pojedynczych cząstek eterycznych w falach dochodzących, wyprowadza na mocy téj hypotezy prawa działań elektrostatycznych i elektrodynamicznych, oraz okazuje, że wypadki z jego teoryi są zgodne z prawami Ampère'a. Autor swą teoryą pragnie oddzielić badania teoretyczne nad przenoszeniem się działań elektrycznych w odległość od badań nad istotą saméj elektryczności, podobnie jak się ciepło promieniste oddzielnie rozważa od ciepła pochłoniętego przez ciała: tém własnie objaśnia się nazwa podanéj teoryi.

b) Prof. E. *Janczewskiego*: „*Przyczynki do historyi rozwoju trzęsidłowatych* (*Nostocaceae*),“ mianowicie o rozwoju nitewki (Spermosira), o kiełkowaniu zarodników trzęsidła (*Nostoc*) i przeobrażeniu się w zwoje jego nitek ruchliwych.

c) Dra Tadeusza *Browicza*: „*Pasorzyty roślinne w durze jelitowym.*“

d) Dra Juliusza *Zawilskiego*: „*O trawieniu wodników węgla.*“

e) Prof. E. *Janczewskiego*: „*O rurkach sitkowych w korzeniu roślin okrytoziarnowych*;“ w pracy téj autor przedstawia rezultaty swych badań, prowadzonych niezależnie od społczesnych badań prof. de Bary'go, który do tychże samych, co p. J. doszedł wypadków. Do rozprawy téj dodana jedna tablica rycin.

f) Studenta Przemysława *Pieniążka* „*Kilka przypadków nowotworów mięsakowych* (*sarcoma*) *i przerzutów tychże.*“ Autor w téj rozprawie opisuje sześć przypadków mięsaków, zachowanych w muzeum anatomii patologicznéj w Krakowie.

g) Prof. A. *Biesiadeckiego*: „*Dwa przypadki bielicy*,“ jeden z guzami bielicowemi skóry, drugi z guzami w jelicie, oraz niektóre uwagi nad bielicą, przyczém jedna tablica rysunków.

h) Dra Alfreda *Obalińskiego* i Dra T. *Browicza*: „*Przypadek tętniaka groniastego*“ (z 2 tablicami), mianowicie tętniaka odnogi górnéj, od dłoni na całém przedramieniu.

i) Dra Bolesława *Lutostańskiego*: „*Zarys planu prac sekcyi antropologicznéj.*“

k) Dra Emila *Godlewskiego*: „*O metodzie oznaczania szybkości przyswajania* za pomocą obliczenia pęcherzyków gazowych, wydobywających się z rośliny pod wodą.“ W téj rozprawie autor założył sobie zbadać przyczynę pomyłek dostrzeżonych w téj metodzie, wprowadzonéj do nauki przez Sachs'a, poddać ją samą umiejętnéj krytyce, a wnioski teoretyczne stwierdzić własnemi doświad-

czeniami. W ten sposób otrzymał sprawdzenie swych teoretycznych wniosków, że ta nader wygodna metoda oznaczania siły przyswajania jest zupełnie niedokładna i że na jéj wypadkach nic ścisłego budować nie można.

l) Dra E. *Godlewskiego*: *„Niektóre doświadczenia nad oddychaniem porostów,“* mianowicie borrery rzęsowanéj (Borrera ciliaris).

W tomie drugim:

a) Studenta Franciszka *Eberharda*: *„Przyczynek do anatomii zaćmy stożkowéj“* (Cataracta pyramidalis). Autor zdaje sprawę ze swych badań mikroskopowych, przedsięwziętych w obec wątpliwości, czy zaćma stożkowa wytwarza się na torebce soczewkowatéj, czy téż pod nią. Przypadek, przezeń badany, wskazał nietylko, że zaćma stożkowa utworzyła się pod torebką, co rysunki na dołączonéj tablicy uwidoczniają, ale nadto dowiódł jéj powstania z bujania przybłonka, znajdującego się na tylnéj powierzchni torebki przodkowéj.

b) Dra. I. *Kopernickiego*: *„Sprawozdanie o starożytnych kościach i czaszkach ludzkich*, pochodzących z kurhanów na Pokuciu.“

c) Dra K. *Olszewskiego*. *„Baterya galwaniczna nowego pomysłu“* (z jedną tablicą rysunków). Baterya ta i jéj zalety były już opisane w „Ateneum“ (r. 1876 zeszyt Listopadowy, str. 197 i 198).

d) Prof. Bronisława *Radziszewskiego*: *„O działaniu siarki na sole barowe kwasów aromatycznych.“* W téj rozprawie p. R. zbija teorye Pfankuch'a o działaniu siarki na sole barowe kwasów organicznych i podaje własne objaśnienie tego działania.

e) Dra E. *Godlewskiego*: *„O powstawaniu i znikaniu skrobi w gałeczkach zieleni“* (z jedną tablicą). Autor zbija poglądy Liebig'a, Rochleder'a i Boehm'a na powstawanie skrobi, przytacza dowód bezpośredni na teoretyczne dotąd zapatrywanie się Sachs'a na tę kwestyą, oraz bada zależność szybkości tworzenia się skrobi od ilości kwasu węglanego.

f) Dra Juliusza *Zawilskiego*: *„O prężności gazów w ciele podczas chorób.“*

g) Prof. Emila *Czyrniańskiego*: *„Teorya mechaniczno-chemiczna, oparta na ruchach wirowych niedziałek.“* Wartość téj atomistycznéj teoryi autora, kilkakrotnie przezeń przerabianéj, oraz w rozmaitéj postaci ogłaszanéj tak po polsku, jak i po niemiecku, w oddzielnych autora wydaniach, najlepiéj illustruje protokół posiedzenia 20 Grudnia r. 1875, na którém p. C. ją przedstawiał. Sam najprzód autor zeznaje, że według téj teoryi opracowanego jego artykułu w pismach naukowych niemieckich wydrukować nie chciano. Następnie, po odczytaniu przez p. C. głównych punktów jego poglądów, pp. Karliński,

Skiba i Kuczyński stawiali silne zarzuty, tak z powodu niezgodności ich z pojęciami mechanicznemi o ruchu, jako też ich sprzeczności z niezaprzeczalnemi elementarnemi własnościami ciał.

W tomie trzecim:

a) Dra Józefa *Merunowicza*: „*O wpływie środków wzniecających silny ruch robaczkowy jelit na wydzielanie limfy*“ na podstawie doświadczeń dokonanych w pracowni prof. Ludwig'a w Lipsku, mianowicie o wpływie muskarynu, nikotynu, oraz weratrynu.

b) Prof. A. *Biesiadeckiego*: „*Badania mikroskopijne co do sposobu przyrastania przeszczepionych kawałków skóry do dna wrzodów*“ (z 3 tablicami).

c) Prof. O. *Fabiana*: „*Przyczynek do poznania kształtu linii prężności wody nasyconéj*,“ właściwie zaś linii, przedstawiającéj zależność temperatury wody marznącéj od ciśnienia, pod którém ona zostaje. Doświadczenia robione przez p. F. wskazują inne rezultaty, niż podane przez Zeuner'a. Na dołączonéj tablicy prócz rysunków, objaśniających doświadczenia, są zestawione graficzne przedstawienia tak linii Zeuner'a jak i autora.

d) Dr. T. *Browicza*: „*O zmianach pozimnicznych wątroby, śledziony i szpiku kostnego*.“

e) Dra K. *Olszewskiego*: „*Baterya galwaniczna o dwóch płynach*, któréj wypełnianie i wypróżnianie polega na ciśnieniu powietrza“ (z 1 tablicą rycin). W téj bateryi usunięta jest wada, jaką miała pierwsza baterya galwaniczna pomysłu autora, mianowicie usunięte jest zetknięcie się kwasu chromowego z korkami, jako też z rurkami kauczukowemi. Szczegółowy opis téj bateryi zbyt wiele zająłby tu miejsca, a prócz tego byłby, bez podania rysunku, zawsze niedokładny. Interesujących się zatém wynalazkiem p. Olszewskiego wypada nam odesłać do III tomu „Rozpraw i Sprawozdań.“

f) Dra. Fr. *Kamieńskiego*: „*Kilka spostrzeżeń nad rozwojem ramienicowatych* (*Characeae*)“ (z jedną tablicą rysunków). W téj rozprawie p. Kamieński rozszerzył dotychczasowe wiadomości i sprostował rozpowszechnione błędne mniemania, tak co do tworzenia się bulweczek i ich kiełkowania, jak i co do rozwoju przedrośla i powstawania zeń normalnéj rośliny.

g) Dra. J. *Rostafińskiego*: „*O przeobrażeniu i zmianie pokoleń w świecie roślinnym*.“ Autor zaznacza siedm wzorów przedstawiających zmianę pokoleń, które następnie ujmuje w jeden wzór ogólny z czterema parametrami; ze wszystkich zaś szczególnych rozbieranych przypadków, wyciąga autor taki ogólny wniosek: kiedy w przeobrażeniu osobnik pozostaje zawsze ten sam, to przeciwnie, w zmianie pokoleń, pokolenie zmienne jajonośne przechodząc w za-

rodnikonośne pierwsze, a to znów w następne, dają za każdą razą początek nowym osobnikom zazwyczaj licznym (co najmniéj dwom), z których każdy jest punktem wyjścia dla szeregu osobników rostowych.

h) Prof. E. *Janczewskiego*: „*Badania nad rozwojem pączka u skrzypów* (Equisetaceae)“ (z 2 tabl. rysunków). W rozprawie téj p. Janczewski przedstawia wypadki swych poszukiwań, które wykazały mylność panujących co do téj kwestyi w nauce poglądów.

i) Dra K. *Olszewskiego*: „*Przyczynek do wykrycia arsenu* w dochodzeniach sądowych, za pomocą prądu elektrycznego;“ jest to przedstawienie projektowanego przez autora ulepszenia metody Bloxama.

k) Dra F. *Kamieńskiego*: „*Porównawcze badania nad wzrostem pływaczów* (Utricularia)“ (z 2 tabl. rysunków). Praca ta ma być uzupełniona inną rozprawą, zapowiedzianą przez autora.

Z trzech stałych „*Komisyj akademickich*“ wydziału matematyczno-przyrodniczego akademii, t. j. fizyograficznéj, antropologicznéj i balneologicznéj, pierwsza jest najdawniejszą i najczynniejszą.

Komisya fizyograficzna utworzona była jeszcze 4 maja r. 1865 przez oddział przyrodniczo-lekarski byłego towarzystwa naukowego na wniosek prof. Majera. Postawiła sobie ona za zadanie zbadać północne i północno-wschodnie stoki Karpat pod względem orograficznym, geologicznym, botanicznym, zoologicznym i klimatologicznym, łącząc z tém i założenie ochrony zwierząt, bez powodu zawzięcie niszczonych. W tym celu komisya ogłosiła wskazówki, według których należało gromadzić pożądane spostrzeżenia i odpowiednie zbiory, zawezwała wszystkich chętnych do współudziału, otrzymała stały roczny zasiłek od sejmu (1500 złr.) i rozpoczęła swe czynności, z których sprawozdania za każdy rok działalności ogłaszała drukiem, wraz z materyałami do fizyografii krajowéj. W czasie trwania przeobrażenia tow. nauk. na akademią, komisya nie przerwała swych czynności, gdyż taka przerwa nie korzystnieby wpływała na cel tyloletnich już zajęć. Z chwilą otwarcia akademii było 21 stacyj meteorologicznych, wykonane były pomiary barometryczne wzniesienia nad powierzchnią morza różnych miejscowości Galicyi, posiadano zapiski z fauny, flory i stosunków geologicznych tego kraju, opisy dokładne rozmaitych lasów, torfowisk, gór i dolin, zebrane były rozbiory chemiczne wody w różnych miejscowościach, spostrzeżenia magnetyczne i t. d.; w druku zaś znajdował się siódmy tom sprawozdań komisyi za rok 1872. Pozostał prócz tego znaczny zbiór geologiczny krajowy, bogaty zbiór miejscowych owadów i pająków, cenny zielnik ś. p. Andrzejowskie-

go, zawierający około 2000 gatunków, kilka innych mniejszych zielników, przekroje drzew i t. d. Wydział matematyczno-przyrodniczy na pierwszém zaraz posiedzeniu uchwalił utrzymanie nadal téj komisyi i zorganizowanie jéj na nowo, zgodnie z ustawą akademii, która wkrótce powiększyła fundusz rozporządzalny komisyi. Po ukonstytuowaniu się, komisya uchwaliła nadal postępować według planu dotychczasowego, wybrała swym przewodniczącym prof. Kuczyńskiego, rozdzieliła się na sekcye: meteorologiczną, orograficzno-geologiczną, botaniczną, zoologiczną i chemiczną, przewodniczącymi w których zostali odpowiednio prof. Karliński, Alth, Czerwiakowski, Nowicki i Czyrniański, oraz przystąpiła niezwłocznie do uporządkowania zbiorów, które nowemi darami wciąż się powiększają. Powiększenia te zbiorów uskuteczniają się, albo na skutek zaofiarowania różnych mniéj lub więcéj bogatych kolekcyj, jako téż oddzielnych cennych egzemplarzy, przez różne osoby w Galicyi lub zewnątrz niéj zamieszkałe, albo téż jako owoce umyślnie przez komisyą organizowanych wycieczek naukowych, i stanowią materyały do projektowanego muzeum przyrodniczego Galicyi. Chcielibyśmy szczegółowo przedstawić wszystkie czynności téj komisyi: wykazałoby to, jak przy dobrych chęciach i wytrwałości, niewielkiemi środkami można zbierać owe cenne, choć drobne na pozór, spostrzeżenia i materyały, które są jednak podstawą niezbędną wszystkich badań, mających na celu poznanie istotnych stosunków przyrodniczych kraju, a prowadzących do umiejętnego w przyszłości ich wyzyskania. Za wieleby to zajęło miejsca i może... znużyłoby czytelnika. Dla tego, aby dać choć pojęcie o rodzaju działalności téj pożytecznéj instytucyi, ograniczymy się podaniem treści ostatniego tomu „Sprawozdań“ komisyi, które się pojawiają jako kontynuacya wydawnictwa poprzedniéj komisyi, tak, że trzy wydane przez akademią tomy „Sprawozdań komisyi fizyograficznéj“ są oznaczone jako tomy ósmy, dziewiąty i dziesiąty (ogólnego zbioru wydawnictwa). Owóż w owym dziesiątym tomie (który wyszedł z druku w Grudniu r. 1876), obejmującym sprawozdanie z czynności i materyały do fizyografii z roku 1875, pomieszczony jest najprzód przegląd czynności komisyi i jéj sekcyj. I tak w sekcyi meteorologicznéj robiono spostrzeżenia meteorologiczne na 24 stacyach, a mianowicie obserwowano temperaturę, ciśnienie powietrza, stan nieba, kierunek wiatru i ilość spadłéj wody. Stan wody na rzekach krajowych dostrzegano na 30 wodowskazach, notowano pojawy w świecie roślinnym w 6 miejscowościach, a w świecie zwierzęcym w 4, uskuteczniano obserwacye magnetyczne w Krakowie, oraz wygotowano sprawozdanie o gradobiciach w Galicyi. Korespondencyą,

redukcyą bezpośrednich obserwacyj, obliczeniem, zestawieniem całego tego materyału zajął się, jak to robi corocznie, prof. Karliński. Oprócz tego robiono spostrzeżenia ozonometryczne w 4 miejscowościach, spostrzeżenia anemometrem w 2, a także na termometrografie, barometrografie i psychrometrze w Krakowie, ostatnie w celu wykrycia dziennego przebiegu zmian wilgotności w Krakowie. Porównano barometry używane na oddzielnych stacyach z zasadniczemi barometrami Krakowskim i Wiedeńskim, którą to pracę uskutecznił prof. Kuczyński w umyślnéj w tym celu podjętéj podróży po kraju. W Przemyślu p. Trattnig własnym nakładem wystawił i urządził obserwatoryum meteorologiczne. Sekcya nadto zakupiła znaczną ilość narzędzi, w celu zaopatrzenia niemi stacyj. Sekcye, botaniczna, zoologiczna i geologiczna, urządzały rozmaite po kraju wycieczki, rezultaty których w tymże tomie ogłoszono, tudzież roztrząsały przedstawione jéj rozmaite prace, zawierające odpowiednie opisy pewnych miejscowości. W sekcyi zaś chemicznéj dokonano rozbioru źródła wody żelazistéj, jakie się okazało w Zwierzyńcu pod Krakowem. Zbiory komisyi wciąż się powiększały, rozmaitemi kolekcyami, a ich porządkowanie daléj prowadzono.—Na swe czynności i ogłoszenie sprawozdania komisya w roku 1875 wydała 3600 złr. W materyałach do fizyografii Galicyi, prócz spostrzeżeń o którycheśmy wyżéj mówili, ogłoszono w tym tomie: materyały do fauny szarańczyków galicyjskich przez M. Łomnickiego; zapiski zoologiczne przez tegoż; o naroślach na dębach przez owady sprawianych w zachodnich częściach Galicyi przez F. Wachtla; wiadomości entomologiczne z Galicyi zachodniéj przez tegoż; dodatek do fauny pajęczaków Galicyi przez W. Kulczyńskiego; pomiary barometryczne dokonane w Tatrach przez K. Kolbenheyer'a; rozbiór wody żelazistéj ze Zwierzyńca przez K. Olszewskiego; wykaz roślin zebranych w r. 1875 w obwodzie Kołomyjskim przez A. J. Śleńdzińskiego; rośliny z okolic Bieńcza przez A. Kotowicza; rys geologiczny północno-wschodniéj części Podola austryackiego przez S. Olszewskiego; pokłady siarki, oleju i wosku ziemnego w Dźwiniaczu przez S. Suszyckiego; dodatek do fauny warstw tytońskich w Rogoźniku i Maruszynie przez S. Zaręcznego.

Komisyą antropologiczna, powstała z inicyatywy prof. Biesiadeckiego, ukonstytuowała się 23 Marca r. 1874, wezwała na przewodniczącego prezesa akademii, prof. Majera, i przyjęła przedstawiony przezeń program swych zajęć, wyznaczywszy sobie za zadanie badanie człowieka pod względem najdawniejszych śladów jego znajdowania się w kraju, pod względem jego cech fizycznych, odznaczających właściwości szczepowe, plemienne i narodowe, nako-

niec pod względem właściwości jego duchowych, stosunków społecznych, zwyczajów i obyczajów. Odpowiednio do tego zadania, komisya podzieliła się na trzy sekcye: archeologiczno-antropologiczną, ściśle antropologiczną i etnologiczną, przewodniczącemi których zostali odpowiednio wybrani prof. Alth, prof. Teichmann i p. Oskar Kolberg. Sekcye następnie zajęły się wygotowaniem szczegółowych instrukcyj poszukiwań i rozpoczęły działalność. Pierwszą czynnością były badania nad czaszkami i kośćmi wykopanemi na Pokuciu przez p. Kirkora, które przeprowadził Dr. J. Kopernicki i ogłosił w drugim tomie „Rozpraw," oraz w tomie drugim „Pamiętnika." Następnie komisya zebrała przeszło 4000 obserwacyj z wymiarami, zrobionych przez lekarzy, wedle jéj instrukcyi, w czasie poboru wojskowego, i zajęto się zużytkowaniem tych spostrzeżeń w zamierzoném oddzielném wydawnictwie komisyi. P. Kosiński z Wadowic dostarczył zajmujących wykazów, odnoszących się do statystyki żywotności etnicznie wyróżnionych rodów. Badano czaszki z rozmaitych cmentarzysk i urządzano zbiór antropologiczny. W zakresie etnografii odbył p. Kolberg z zasiłkiem akademii podróż naukową przez W. ks. Poznańskie, Prusy zachodnie do Kaszub, a z powrotem przez ziemię Michałowską i Warmią. Uskuteczniono badania na przedhistorycznem cmentarzysku we wsi Kwaczale, gdzie obok grobów ciałopalnych znaleziono szczątki ciała bez spalenia złożonego w ziemi. Badano także przedmioty znalezione w Smoczéj jamie Wawelskiéj, jako téż zbierano bez przerwy spostrzeżenia rozmaite w różnych miejscowościach kraju według przyjętych instrukcyj. Systematyczność i staranne obmyślenie poszukiwań antropologicznych téj komisyi doznały zreszą ocenienia w zdaniu specyalisty, prof. Virchowa, który na zjeździe antropologicznym w Monachium zaznaczył, że poszukiwania galicyjskie treścią i rozciągłością znacznie wyprzedziły odpowiednie badania niemieckie.

Komisya balneologiczna, utworzona na wniosek Dra Dietla, odbyła pierwsze posiedzenie 27 Stycz. r. 1875 i wybrała na przewodniczącego tegoż uczonego, który przez wiele lat kierował czynnościami podobnéj komisyi w b. Tow. naukowém. Komisya, prócz chemiczno-fizyologicznego badania wód lekarskich krajowych, postanowiła jeszcze popieranie rozwoju i wznoszenia się zakładów zdrojowych; odpowiednio do tego rozpoczęła swe prace, które jak dotąd mają nieomal wyłącznie przygotowawczy charakter. Komisya ta prawdopodobnie ważne odda akademii i krajowi usługi w obec zapisu na rzecz akademii przez ś. p. Józefa Szalaya zakładów zdrojowych Szczawnickich.

Jakeśmy wyżéj mówili, w pracach Komisyj akademickich, oprócz członków akademii, przyjmują udział osoby, zewnątrz niéj będące, jako „członkowie przybrani“ tych komisyj. O działalności tych ostatnich pracowników chlubnie świadczy „Zdanie sprawy z ruchu naukowego akademii“ (3 Maja 1875) przez jéj sekretarza generalnego, gdzie czytamy: ilekroć idzie o pracę mozolną a wytrwałą, o gorące podjęcie i chętną służbę poszukiwaniom naukowym, o rozumną walkę z ogromem niezbadanego materyału, komisye akademickie są tym zastępem pełnym poświęcenia, który podniósł do zaszczytu należenie do komisyi akademickiéj, bo dbał zawsze o rzecz samę, o dobro téj instytucyi, nie o tytuł, jaki mu służy w tém gronie.

W ogóle, z różnych stron, nawet często wbrew wszelkiemu spodziewaniu, z niechętnych Niemiec, dochodzą głosy, oddające sprawiedliwość prawdziwie naukowemu stanowisku, na jakiém akademia od samego powstania stanęła i konsekwentnie utrzymać się stara. A gdy zważymy, że do takiéj pracy nie było odpowiednich tradycyj, że środki materyalne nie mogą nawet być porównane z temi, jakiemi rozporządzają podobne obce instytucye, to tém więcéj musimy cenić działalność akademii, która, obca wszelkim stronniczym lub koteryjnym względom, nie doznała dotąd ani jednego zarzutu stronności i nie odstępuje od sztandaru wyłącznie naukowego. Wydział matematyczno-przyrodniczy wyraźnie piętném ściśle umiejętném swoją działalność nacechował; z prac zewsząd napływających staranny robi wybór, tak, że dotychczas nic prawie takiego nie przeszło, coby ujmę przynieść miało téj wysoko już stojącéj instytucyi naukowéj.

KWESTYE I STOSUNKI AGRARNE.

NOWA KSIĄŻKA KSIĘCIA WASILCZYKOWA.

(Ciąg dalszy).

Ziemlewładienje i ziemledielje w Rossii i drugich jewropejskich gosudarstwach, kniazia A. Wasilczykowa. St.-Pietierburg. 1876 2 tomy, str. 1005.

V. Stosunki agrarne rosyjskie całkiem nietknięte w naszéj literaturze a bardzo mało znane zagranicą, od lat ostatnich dwudziestu zaczęły być badane w saméj Rossyi pod względem ich genezy. Fakta były tam niezmiernie pogmatwane, wypadki zestawiały się oryginalnie i dziwacznie, nie dawały się układać w zwyczajne formy i otwierać znanemi już kluczami, były często tak tajemnicze jak zagadki sfinksowe. Dla rozplątania tych zawiłości uciekano się jak zwykle do hypotez. Wszystkie dotychczasowe hypotezy, do których zaliczamy i teorye Ks. Wasilczykowa, mają punkt wyjścia wspólny i osnute są na takiém zapatrywaniu się na dzieje społeczeństwa rosyjskiego, dla którego nie znajdujemy innéj odpowiedniéj nazwy, krom słowa *nihilistyczne*, wziętego we właściwém i poważném, a nie w docinkowém i uszczypliwém tego wyrazu znaczeniu. Uważamy za stosowne, używając tego wyrazu, zrobić następne omówienie. Przez nihilizm rozumianém częstokroć bywa przeczenie, niecofające się przed niczém, i bezwzględne burzycielstwo, które mają niby uchodzić za cechy radykalizmu rosyjskiego. Nihilistycznym nazywa się téż zwrot umysłowy i kierunek przeważający od lat kilkudziesięciu w piśmiennictwie, arcy realny, antyestetyczny, mający ścisłe stosunki powinowactwa z pozytywizmém

europejskim i grzebiący się wciąż a jednostronnie w stosunkach ekonomicznych społeczeństwa. Nie o te wcale dwa rodzaje nihilizmu pomawiamy autora, chcieliśmy tylko powiedzieć, że jest on jednym z bardzo licznych badaczów historyi, którzy właściwość dotychczasowych dziejów swego narodu upatrują w tém, że naród dziś owiany atmosferą cywilizacyi europejskiéj nie wyrobił żadnéj właściwości, że jest aż do dziś dnia podobny do płynnego rozczynu, w którym nic się nie skonsolidowało w obyczajach, stosunkach, ustawach. W zastosowaniu do stosunków agrarnych teorya ta twierdzi: że przez długi ciąg wieków urządziła się jako tako rodzina i wyrobiło się pojęcie własności ruchoméj, ale nie wyklarowało się wcale prawo własności nieruchoméj; że to ostatnie pojęcie było i jest nadzwyczaj chwiejne i mgliste, a że jest mocne natomiast i przodkujące przed nim prawo posiadania; że posiadanie, nadzwyczaj szybko tężejące we własność na mocy prędkiego przedawnienia, jest główną osnową ustroju stosunków agrarnych, bo sama własność wygląda wedle ludowych pojęć nakształt wieloletniego posiadania ze słabo zarysowanemi cechami rozrządzalności i wieczystości. Ten brak wyrobienia nie był bynajmniéj skutkiem nieczynności prawodawstwa. Nakazów było mnóstwo i nie ma prawie znanych gdzieindziéj form i gatunków własności, któreby nie były ostatecznie wprowadzane i zasadzane. Z przepisów prawodawczych da się ułożyć cała historya systematycznego urządzania z góry stosunków agrarnych, historya wprawdzie tylko papierowa, bo form nie dopełniano, ukazy zręcznie omijano, i obracano w niwecz biernym nieprzełamanym oporem wszystko, co nie odpowiadało istotnym warunkom ekonomicznym życia. Pod fantasmagoryą planów i zachceń prawodawczych należy doszukiwać się prawdziwych dziejów własności ziemskiéj, które autor podaje, dzieląc je na trzy okresy: do końca XVI wieku, do śmierci Piotra W. i do wyzwolenia włościan w r. 1861, od któréj to daty rozpoczął się niedawno okres czwarty.

Okres I wolnego przesiedlania się włościan (do końca XVI i początków XVII wieku).

Zdobyta, czy niezdobyta, przez Waregów Rossya nie doświadczyła skutków właściwego podboju przez przybyszów, w znaczeniu usadowienia się zdobywców pomiędzy podbitymi i wyzucia ostatnich, a nabycia przez pierwszych znacznéj części gruntów w krajach zdobytych. Drużyny były szczupłe, nieliczne, wciąż ruchome. Władza książęca, nad temi krajami rozpostarta, mieściła w sobie niepodzielnie i zwierzchność polityczną i prawo własności; całe kraje wraz z ludami uważały się jako własność książęca

a potém carska, zupełnie jak w Angli po Wilhelmie zdobywcy, podwładnych jednak posiadaczy tubylców nie wyzuwano z tego co posiadali, lecz włożono na nich tylko obowiązek daniny i służby. Wedle dosadnego staroświeckiego wyrazu, książę sam się *karmił* i oddawał mnogie włości na takoweż *przekarmienie* się (kormlenie) towarzyszom broni, drużynnikom, ztąd pomięszanie jednoznaczących wyrazów włość i stan, księstwo i dzielnica, ojcowizna (wotczyna) i sioło. Przesiadali się książęta ze stolca na stolec, wędrowała z nimi koczująca prawie drużyna. Rzadko włość przeszła z ojca na syna, skoro przeszła stawała się *ojcowizną*, zkąd nie wynikało wcale, że będzie nie wychodzącą z rodu dziedziną. W późniejszym czasie, przy większém uregulowaniu się obowiązków służby książęcéj, wchodzi we zwyczaj nadawanie włości i siół panom i bojarom szerszém prawem niż przekarm, niby lennem, jako *pomiestija*. Wszystkie gatunki, warunkowane służbą i mające przypadkową tylko cechę spadkowości, wyrobiły się na podstawie zasadniczego pojęcia karmienia się z pewnych włości. Pod koniec XIV i w XV w., po epoce podziałów i po tatarszczyznie, nim ostatecznie stężała władza carska, kiełkować zaczynają możnowładcze pierwiastki z tkwiącemi w nich żywiołami przywileju i odrębności od skarbu, popęd ten przebija się w podziale ziem na *białe* i *czarne*. Najprzód na cerkwie i monastery, potém i na bojarów sypią się liczne przywileje, hramoty tarchanne, niesudime i żałowanne, uwalniające ziemie duchowieństwa i ojcowizny od podatków do skarbu, od sądów książęcych we wszystkich sprawach, albo tylko w pomniejszych, krom rozboju, kradzieży i morderstwa (oprócz duszegubstwa, rozboja i tat'by). Rozrastający się przywilej wpływał szkodliwie i krzywdząco na położenie i stosunki stanów służebnych i roboczych. Uprzywilejowany białomiestczyk, nabywszy ziemie wolne od podatków skarbowych, albo wyrobiwszy sobie wyzwolenie, przyciągał na te ziemie co najwięcéj osadnika. Rozwijające się państwo coraz zwiększało ciężary i podatki; odpowiednio zmniejszała się ilość ziem i ludzi czarnych, wycieńczał się skarb książęcy, a bogacieli bojarowie i klasztory. Ztąd, oprócz długotrwałych skarg i zatargów pomiędzy klasami opodatkowanemi a białomiestczykami, powstała z fiskalnych pobudek reakcya przeciwko przywilejowi, która zmroziła w zawiązku początki rodzącéj się własności prywatnéj. Odjęto jedną ręką to, co dawano drugą. Rządy Iwana III i straszny teroryzm panowania Iwana IV przerzedziły i zmiażdżyły możnowładztwo rosyjskie. Prawo dziedziczenia zostało stanowczo podcięte. W r. 1562 wzbroniono mediatyzowanym książętom, niegdyś udzielnym, sprzedawać i zamieniać ojcowizny, albo wyposażać

niemi córki i siostry, a w r. 1573 postanowiono, że wszelkie ojcowizny spadkowemi są tylko do trzeciego pokolenia, to jest do wnuków, poczém idą do skarbu jako kaduki (Sudeb. art. 92). Przy takiéj kuséj dziedziczności ginęła całkiem cecha główna własności—wieczystość. Wielkie ziemskie władanie klas rządowi służących było przeważnie *pomiestne*, i to prawo pomiestne stoi na pierwszém planie w Sudebnikach Carów, Iwanów III i IV. Jako dziś urzędnik otrzymuje gażę, tak w owe czasy każdemu zostającemu w służbie rządowéj dawano na osobę, wedle stopnia dostojeństwa, pewną, stosunkowo dość małą ilość czetwierti ziemi (średnia ilość wedle dzisiejszéj miary od 50 do 100 dziesięcin). Z każdéj setki czetwierti (50 dies.) stawiono, wedle ukazu Iwana IV Groźnego, jednego jeźdźca na wojnę. Skoro syn obdarzonego pomiestijem dorastał, miał prawo prosić, aby mu wydzielono część z gruntów ojcu nadanych, albo, aby mu dano nowe pomiestije od skarbu, w ten sam sposób jako i dziś jeszcze ożeniony syn chłopa, przechodzący na własne gospodarstwo, ma prawo na otrzymanie od miru obszaru ziemi, przypadającego na zupełną jednostkę gospodarczą, *ciahłem* zwaną. Taki był ustrój wielkiéj posiadłości ziemskiéj; spojrzyjmy na to, co się działo u spodu w gminie chłopskim, u tak zwanych „ludzi," czyli jeszcze inaczéj u „chrześcijan" (stąd nazwa chłopa—krestijanin).

Niewolników—*rabów*, czyli z brańców wojennych, czy z dłużników, było stosunkowo niewielu. Ta klasa bezziemnych *chłopów* pańskich nie wywarła znacznego wpływu na losy ludu rolniczego. Byli to protoplaści późniejszych tak zwanych poddanych, ludzi dworowych, których to dworowych w r. 1861, w chwili wyzwolenia włościan, liczono nie więcéj 712000. Resztę stanowili rolnicy osobiście wolni i bez przeszkody przenoszący się z miejsca na miejsce. Jeżeli początkowo istniały jakiekolwiek różnice pomiędzy osadnikami, którzy do nikogo nienależące pustkowia wykarczowali i zaludnili, a zakupami albo najmitami, którzy osiadali na cudzych ziemiach na pewnych warunkach i zobowiązaniach względem panów gruntu, te różnice drobniały i zatarły się w skutek zasadniczego pojęcia, że wszystkie w ogóle pustkowia były już nie bezpańskie, ale cudze, bo albo *książęce*, albo *ziemskie* lub *miejskie* jak w Nowogrodzie i Pskowie; więc nawet bez wiedzy i pozwolenia sadowiący się w nieznanych lasach i budujący wsi a dzielący się owemi gruntami smerdowie nie uważali się za nabywających na własność. Własności prywatnéj napróżnobyśmy szukali w tych osadach, wyrosłych na g...aném współposiadaniu. Tu autor potrąca o jednę z najżywotniejszych kwestyj historycznych, o powstanie gminy wielkorosyjskiéj i ...era się, według zdania naszego,

zwycięzko z teoryą znanego historyka i publicysty Borysa Czyczeryna, wedle któréj, gmina wielkorosyjska jest sztucznym późniéjszéj daty wytworem polityki rządowéj samowładców moskiewskich, którzy ją jakoby uformowali w celach głównie fiskalnych aby, włożywszy na gminę hurtowną odpowiedzialność jéj członków za regularne uiszczanie wszystkich podatków i ciężarów, na niéj oprzéć cały systemat podatkowy.

Książę Wasilczykow w gminie téj upatruje fakt pierwotny, znacznie poprzedzający powstanie i wzrost państwa i wynikający z ekonomicznych konieczności położenia ludu wiejskiego w Rossyi. Jeżeli wszelkie przejście od wspólnego posiadania przez gminę do systematu gruntów rozdzielonych między chaty lub osoby nie mogłoby się odbyć bez wyraźnego zaznaczania się w dziejach przewrotu tak rdzennego, to tém bardziéj musiałby się uwydatnić, bo by się nie mógł odbyć bez gwałtu zabór gruntów prywatnych i indywidualnych posiadłości kmiecych na rzecz gminy. Przeciwnie się działo. W niezmierzonych obszarach, które zaludniali bez wszelkiego wdawania się i udziału rządu i bez żadnego przymięszania się pierwiastków arystokratycznych, rybacy Nowgorodcy, przemysłowcy Syberyjscy, uciekający z Moskwy starowierce albo kozacy, *mir* i wspólne posiadanie gminne są to cechy rodzime i stanowią główną i niepożytą tradycyą aż do dziś dnia; wnosić więc należy, że ta główna podstawa życia ludowego raczéj zamącona była w ziemi moskiewskiéj przymięszaniem rozmaitych przypadkowych obcych jéj pierwiastków, lecz nie może w żadnym razie uchodzić za produkt centralizacyi moskiewskiéj. Z natury rzeczy wynika przytém, że zajmowanie ziem w bezludnych pustkowiach wschodu i północy nie mogło się odbywać inaczéj jak gromadą i w postaci spółki gminnéj (miru).

Ziem pustych były ogromy, ale przydatnych do uprawy, mało. Przedstawmy sobie śród nieprzebytych puszcz leśnych i trzęsawisk, nieco chudych pagórków piaszczystych i wązkiemi listewkami ciągnące się polanki; gdyby zawładał każdy, kto pierwéj zaczął się osiedlać, pierwszy z osadników zabrałby wszystko co najlepsze, drugi średnie grunta, a dla następnych przypadłyby prawie już same nieużytki; ztąd to wynikała konieczność ścisłego porównania wszystkich osadników co do przestrzeni i gatunku gruntu. Każdy osobny kawałek (dział, kość, klin) ziemi ornéj krajano na tyle pasów, ilu było osadników i rozdzielano pomiędzy sobą przez losowanie. Na stepowém południu inne warunki zmuszały do podobnegoż trzymania się kupą: brak wody, ściągający wszystkie osady ku strumieniom i rzekom, oraz konieczność obrony spo-

łem przeciwko Tatarom. Jak się sprzęgały takie spółki rybaków (koczetników), leśników, rolników (izorników), gdy się zeszły, lub gdy się tylko wybierały na nowiny, na zajmiszcza? czy urządzały się już w ten sposób, w jaki do dziś dnia się urządzają artele wielkorosyjskich robotników?, są to pytania bodaj dziś nierozwiązalne, z powodu, że kolonizacya odbywała się bez wiedzy i pomimo wszelkich władz rządowych, zatém bez zaznaczenia jéj w aktach. W ziemiach moskiewskich, gdzie wielcy właściciele białomiestczyzcy współubiegali się pomiędzy sobą w ściąganiu osadników, grunta bywały nadawane poszczególnie na chaty; ale istniał tam zwyczaj upowszechniony, że skoro w rodzinie syn dorastał i żenił się, dopominał się działu z części ojca, lub od ziemiodawcy, albo też wyśiedlał się, szukając szczęścia gdzieindziéj.— W ciągu niewielu pokoleń, w skutek oddziaływania tego zwyczaju, posiadanie ziemi z systematu oddzielnych osad kmiecych przetwarzalo się na wspólne posiadanie gminy.

W wieku XV, po zrzuceniu jarzma tatarskiego, gdy się zaczęły urządzać regularniéj stosunki państwowe, poczyna się stopniowo ograniczanie ciągłego koczowania, tak zwyczajnego przedtém i w stanie służących, z którego się wytworzyła szlachta, i u ludu. Rząd moskiewski osadza ludzi na miejscu, coraz towzmacnia węzły, łączące człowieka z ziemią, i znalazłszy już gminę ustaloną i zorganizowaną, na niéj jak na gotowym warsztacie, osnuwa cały swój systemat policyjny i podatkowy.— Wielka jednostka poborcza zwała się *sochą;* wyraz ten oznaczał obszar gruntu zaludnionego, z którego przypadała skarbowi pewna ilość podatku.— Sochy różniły się niezmiernie pod względem obszerności; różnice zawisły tak od gatunku ziemi, jako i od stanu do którego posiadacz włości opodatkowanéj należał. Im lepsza była ziemia, tém mniejsza co do ilości gruntu była socha (najlepszéj ziemi wypadało na sochę około 900 dzies., najgorszéj do 1200). Stosownie do stanu posiadacza, faworyzowano go, albo krzywdzono przy podziale ziem na sochy w ten sposób, że biedne wolne gminy chłopskie, czyli czarne włości składały na sochę 400 dziesięcin, klasztorne 600, bojarskie 800 — 1200, a dworcowe książęce do 1300 dziesięcin; więc proste chłopstwo, na gruntach bezpańskich rządowych osiadłe, nioslo ciężar podatku półtora raza większy, niż chłopi klasztorni, a dwa albo trzy razy większy niż chłopi bojarscy. Rozłożywszy na grunta pewną ilość soch, skarb już o dalszy rozkład podatków nie dbał i wkładał go jako obowiązek na samę gminę, sochę skladającą.—Dla rozkładu służyła druga pomniejsza jednostka podatkowa *wyt'* albo *obža*, prawie to samo co nieco późniejsze

ciahło: pewne kwantum podatku, które niósł zupełny gospodarz żonaty i obdarzony ziemią.

Socha miesciła w sobie do 70 wyti w dobrach bojarskich, albo dworcowych, te same względy przywileju i faworu, które sprawiały, że sochy wielkich pomieszczyków były większe, zatém stosunkowo lżéj opodatkowane, przebijały się i w nierównéj ilości wyti przypadających na sochę; w dobrach klasztornych w sosze mieściło się tylko 50 wyti, a w czarnych najbardziéj opodatkowanych włościach tylko 42, skutkiem czego tutaj czterdziestu dwóch powytczyków składało taki sam z sochy podatek, na który w wielkich dobrach uprzywilejowanych składało się 70 wyti, zatém pierwsi nieśli ciężar prawie wedwójnasób większy niżeli ten, któremu podlegali ostatni.— Przeciążone podatkiem wolne gminy, czarne włości, wyludniały się i niszczały, a natomiast dobra uprzywilejowane zyskiwały ogromnie i przyciągały coraz więcéj osadników. Skarb na tém tracił, pustowały wsi całe, próżnych ziem przybywało, lecz tracąc jako monarcha, car zyskiwał jako największy właściciel ziemski, bo dworcowe jego posiadłości w których socha była trzy razy większa niż w czarnych, były doskonale zaludnione i dobrze zagospodarowane.

Nadmieniliśmy powyżej, dla czego przywileje nie mogły się nigdy rozwielmożnić i stale zakorzenić na moskiewskim gruncie państwowym; polityka autokratyczna panujących nie dała im stężéć i skrystalizować się, a nabrać konsystencyi. Za stanowczych w tym względzie rządów Iwanów III i IV podcięte zostało bojarstwo, a wytwarza się biurokracya w kształcie *prykazów* moskiewskich, która próbuje wziąść bezpośrednio w swoję opiekę gminy, równając białe z czarnemi, wolne z poddanemi, wejść z niemi w stosunki pomimo pomieszczyków i namiestników carskich, zbudować systemat urzędniczo-demokratycznego cezaryzmu. Ślady tych prób przechowały się w dwóch kodeksach obu Iwanów z lat 1497 i 1550.— Prawodawstwo ogranicza niewolę osobistą, zabrania imania w niewolę za długi, równa stopniowo gminy białe z czarnemi, sprowadzając je do jednego mianownika, każe wysiedlającemu się z gruntu chłopu płacić pewne podatki, pewien wykup, i brać od gminy pozwolenie na wyjście (pożyłoje, powoz, snos), ogranicza wysiedlenie się terminem (na Ś. Jerzy), zwiększa i popiéra samorząd chłopski gminny w celach rządowych policyjnych, i skarbowych.

Wszyscy włościanie, bez różnicy ich kategoryi, mają swoję starszyznę obieralną, starostów gubnych i sielskich i całowalników (ławników), sprawują sądy, rozdają ziemię, rozkładają i ściągają

podatki. Za wszelki niedozór, opuszczenie się, niezagospodarowanie odpowiada przed rządem starszyzna. Włości czarne i białe zlewają się w jeden kolor szary i wszystkie są już carskie; ślad dawniejszego stanu przechował się tylko w różnicy soch i w niejednakiéj ilości powytczyków w sochach.— Włościanie mają jeszcze prawo wolnego przesiedlania się, ale ograniczone, bo zależne od przyzwolenia gminy, mają swój sąd i rząd gminny, swoje własne opodatkowywanie się, dawne prawo ziemskie losowania gruntów wedle siły żywéj roboczéj i uiszczania ciężarów stosunkowo do téj siły: „po żywotom i promysłom" t. j. wedle dobytków i zarobków. Mała ta odrobina samorządu tlejącego pod państwowym ogromem wystarczyła do przechowania jedynego może w całéj historyi Rossyi pod względem oryginalności i niespożytego pierwiastku, pojęcia o *mirze* i solidarności gminnéj, niegodzącego się z żadnym przywłaszczeniem ziemi spadkowém i dziedzicznem i osnuwającego wszystkie stosunki na żywéj sile roboczéj pracownika.—Co więcéj, to położenie chłopów oddziaływało i na zwierzchnie warstwy społeczeństwa, które w skutek wygórowania centralizacyi rządowéj, nie zjednoczyły się nigdy, nie skrystalizowały się w arystokracyą, lecz przybierały coraz wybitniejszą cechę klas służebnych, chołopów carskich, dzierżących ziemię z ręki rządu i ziemią za służbę obdarowywanych bez cech wieczystego posiadania i dziedziczności.— Chłopskie ciahło, i służba dworzańska były to niby dwa woły, idące w jednymże sprzężaju; w obu posiadanie ziemi bez prawa własności stanowiło podstawę i warunek powinności i ciężarów, ponoszonych przez posiadacza. Nad obudwoma wznosiła się niby olbrzymia kopuła, władza centralna, wszystkich w obec swéj wszechmocy równająca i coraz więcéj wymagająca, niespotykająca nigdzie odporu, lecz bierne tylko uchylanie się i uciekanie klas służących od służby, chłopów od podatków przez wykoczowywanie i opuszczenie ziem, na których siedzieli.

By złamać tę opozycyą, trzeba było ująć w kluby samo koczowanie, unieruchomić ludzi, przygwoździć służącego do służby, ciahłego do gruntu i tych i owych unieruchomić przez przytwierdzenie do ziemi. W tém właśnie tkwiła konieczność reformy cechującéj drugi okres, wprowadzenia tak zwanego *krepostnego* prawa czyli poddaństwa. Zanim przejdziemy do tego okresu, podamy słowami autora dosadną charakterystykę stosunków wewnętrznych Moskwy w XVI wieku (I, 340, 342).

„Nie było niczego ogólnego, zwyczajowego krom ciahła, obciążającego wszystkich i każdego, począwszy od kniazia, Ruryko-

wego potomka, aż do chłopa bobyla czyli zagrodnika, jeżeli tylko kniaź i bobyl posiadali ziemie. Wszystko zresztą było niepewne i dowolne, swawola albo samowola, gwałt albo łaska. Hramoty i ukazy nie są wyrazem porządków rzeczywiście istniejących, lecz tylko wskazówką tego, co chcą a nie mogą wprowadzić panujący, albo téż nadużyć, które chcieliby a nie mogli wykorzenić; zakazy niespełnione, dowodzące, że się w rzeczywistości działo całkiem inaczéj, aniżeli było w prawie napisano.—Ojcowizny niby spadkowe zabierano na rzecz cara, pomiestija były czasowo i warunkowo szafowane za służbę, a jednak rozdawano je wdowom i córkom na utrzymanie. Dobra klasztorne zapisywano świętym i ich relikwiom, a jednak sprzedawali je samowolnie władycy. Biełomiestczykom i bojarom nie wolno było nabywać włości czarnych, a jednak je co chwila nabywali.—Stan wolnych chłopów w czarnych włościach gorszym był aniżeli niewola, wolni ludzie gorzéj się mieli niż pańscy, pańscy niż klasztorni; najlepiéj było książęcym dworcowym.—W takim chaosie i anarchii można się dopatrzéć jakich się podoba systematów instytucyj i urządzeń; niezawodną jest tylko rzeczą, że organizowanie się odbywało inaczéj jak w Europie i w całkiem odwrotném porządku, bo nie od niewoli, do wolności, lecz od największéj wolności do najzupełniejszego przytwierdzania do ziemi w poddaństwie.“

VI. *Okres 2-gi przytwierdzenia włościan do ziemi od początków XVII wieku aż do śmierci Piotra Wielkiego.* Dziejowy bieg wypadków wyrobił olbrzymią siłę władzy wśród społeczeństwa nieustatkowanego i pełnego popędów do rozpraszania się i koczowania. Cały drugi okres jest epopeją walki rządu z temi instynktami koczowania. Walka toczy się w dwóch kierunkach i objawia się *najprzód* względem służących, to jest przyszłego dworzaństwa czyli teraźniejszéj szlachty, w niewoleniu ich viritim do służby rządowéj ziemskiéj, wojskowéj i w prykazach, *powtóre* względem włościan w odjęciu im wolności przesiedlania się.

Zacznijmy od klas służących. Ojcowizny czyli wotczyny były coraz rzadsze, coraz bardziéj się zacierały, a na czele stały pomiestija regularnie rozdawane w rozmiarze mniéj więcéj 125, a na ukrajnach do 700 i 900 dziesięcin na męzką służącą osobę (dworzanina albo syna bojarskiego). Rozdawano w ten sposób zaludnione włości z obowiązkiem stawania samemu i dostawiania pewnéj liczby chłopów zbrojnych.— Rozdawnictwo pomiestyów dzia-

ło się w ten sposób, że wysyłano do ziemi lub powiatu bojara, który przy pomocy miejscowych „okładczyków,“ wybranych przez szlachtę, oglądał powołanych na popis podrostków (nowików), jak oglądają dziś nowobrańców do wojska przy rekrutowaniu. Przy ojcu zostawiano zwyczajnie jednego albo najwięcéj dwóch synów, a resztę brano na służbę, obdarzając ziemią.— Ta ziemia skarbowa pomiestna nadawana była służącym nawet nie dożywotnio, lecz na czas, dopóki starczyło sił na służbę —Starowinie, albo okaleczouemn, odbierano pomiestija, albo na rzecz dorosłego potomka jego, albo na skarb, z pozostawieniem mu z łaski jakiéj takiéj cząsteczki na utrzymanie.— Stopniowo, pod koniec XVII w., przy carach z rodu Romanowych, ściśle służbowy i skarbowy charakter pomiestija ściéra się nieco, łagodzony względami ludzkości i pamięcią zasług; wdowa i córki otrzymują coś na utrzymanie i ustala się zwyczaj, że tylko takie wracają do skarbu pomiestija, posiadacze których nie pozostawili ani zstępnych, ani innych krewnych. Oba rodzaje posiadania — ojcowizna i pomiestije – zlewają się w jedno, utracając różnice, a nabywając cech wspólnych. Ojcowizna przybrała obce jéj dotąd cechy majętności służebnéj, pomiestije stało się niewychodzącém z rodu i dziedzicznèm. Piotr Wielki ostatecznie znosi (1714) wszelką różnicę między obu gatunkami posiadania, tonącemi odtąd w ogólnéj nazwie rodzajowéj dóbr nieruchomych zaludnionych. – Nie była to reforma, ale tylko przyznanie oddawna dokonanego wypadku.

Wyposażona włościami skarbowemi, tytułem pomiestij, szlachta służąca z natury swego położenia dążyła do coraz większego wygórowania praw swych i władzy nad chłopami, ale jednocześnie uchylała się jak najuporczywiéj od służby rządowéj przymusowéj i koniecznéj. Szlachta służąca nie staje sama na służbę pod najrozmaitszemi pozorami, nie dostawia zbrojnych chłopów, jeżeli się stawia to chyba po trzecim ukazie, a nawet odbiega swoich włości byle hosudarowi nie służyć i przechodzi do wielkich panów na sługi i rezydentów. W końcu XVII w. swawola szlachecka rośnie bez miary i liczne ukazy mają za przedmiot tę nadmiar liczną klasę dezerterów (nietczyki).— Ten niesforny pierwiastek, te rozhukane klasy ujmuje żelazną ręką w karby Piotr Wielki i tworzy z nich jeden stan szlachecki (dworzańskim późniéj w połowie XVIII w. przezwany).— Służby Piotr Wielki surowo wymagał jednakowo od każdego z posiadaczy ziemskich, karał ostro uchylających się i działając w tym kierunku wpadł na dziwny pomysł wprowadzenia do Rossyi jednym pociągiem pióra majoratów: taką ma treść znakomity *ukaz o jedinonasledii* 23 Marca

r. 1714. Prawodawca ma na celu zachowanie wielkich domów w świetności, ale więcéj jeszcze chodzi mu o to, że przy podziale spadków i drobnieniu się majątków, posiadający je, poprzestając na małém, służyć nie zechcą. Więc, wzór biorąc z Anglii, któréj się przypatrzył, Piotr W. doszedł do wniosku, że najlepszą organizacyą własności jest ta, która najstarszego syna darząc honorami i dostatkiem zmusza młodszych do służenia rządowi, poprostu dla wyżywienia. Majątków nie wolno zastawiać, ani sprzedawać, majątek spada po mieczu, a gdy męskich linij zabraknie — po kądzieli, młodsi (kadeci) dostają uposażenie tylko z ruchomości.— Gdyby ten ukaz został wykonany, dzieje Rossyi przybrałyby całkiem odmienną postać: powstałaby kilkotysiączna klasa mocno zespolonych właścicieli, właścicieli ziemskich nie zaś dworskich; z młodszych synów (kadetów) złożyłby się stan średni, arystokracya zapuściłaby korzenie, włościanin zostałby od ziemi odwiązany, ale z niéj wyzuty.— Łatwiéj było przestroić naród zcudzoziemska i obciąć brody, aniżeli wcisnąć obcy obyczaj: ukaz nie został wykonany i niepojęty przez nikogo poszedł w niepamięć, a spadki nie przestały podawnemu dzielić się na równe części między synami i braćmi.

Przejdźmy do drugiego działu polityki rządowéj: do przytwierdzenia włościan do ziemi. Proces zapoddańszczenia chłopów odbywał się powoli, tak nieznacznie i stopniowo, że trudno nawet oznaczyć ściśle datę nastąpienia ostatecznego rezultatu. Ukaz Fedora Iwanowicza, wydany pod wpływem Godunowa 24 Listopada r. 1592 daje tylko prawo bojarom imać i poszukiwać tych włościan, którzy w ciągu lat ostatnich z ich ziem się wynieśli; w 1601 zatamowana wolność przesiedlania się osadników we włościach dworcowych i czarnych. Są ślady za Romanowych z połowy XVII w., że zakaz przechodzenia nie był jeszcze powszechnym i ostatecznie ustalonym wypadkiem.— Podania o powszechném niezadowoleniu w narodzie, wywołaném niby przez ukazy i rozporządzenia Godunowa, są dość niepewne i wątpliwe. Zakaz przesiedlania się nie do smaku był bojarom i klasztorom, którzy przynęcali ku sobie osadnika, zaludniając swe włości ze szkodą wyludniających się czarnych; nie w smak szedł zakaz i luźnéj masie ludzi *hulaszczych*, pzywykłych z siekierą za pasem wędrować, szukając zarobków na setki wiorst od rodzinnego sioła.— Wygrali drobni posiadacze, wolne gminy skarbowe, czarne włości, któreby się ostatecznie porujnowały i wyludniły przez wolne przechodzenie rolników na ziemie prywatne, skutkiem czego wytworzyliby się ostatecznie jak w Anglii włościanie wolni, ale ziemi nieposiadający. Czar-

nym włościom zapewnioną została możność uiszczania się z podatków; panowie nabyli poddanych, lecz utracili na przyszłość możność dowolnego spędzania chłopów, znoszenia ich zagród i zabierania ich gruntów. Ciahło uwydatniło się jako jednostka podatkowa, którą stanowiło stadło ludzi roboczych wraz z *wytią*, czyli pewną cząstką ziemi, pewném uposażeniem chłopskiém. Rząd przywykł uważać ziemię zaludnioną, raz zapisaną do ksiąg jako taką, za opodatkowaną nazawsze, i ściągał z niéj podatki chociażby się wyludniła; za ludzi zbiegłych ściągano podatek do skarbu nie od tych, którzy ich przyjęli, lecz od tych, na czyje imiona zbiegowie uprzednio byli zapisani. Przytwierdzenie włościan do gruntów działo się głównie w duchu demokratycznym, wbrew woli i usiłowaniom arystokracyi, w interesie czarnych włości bezpańskich i biedniejszéj szlachty, która nieustannie w ciągu wieku XVII skarży się w swoich prośbach (czołobitniach, że podczas, kiedy byli na służbie, na wojnie, ludzie silniejsi, bojarowie i okolniczowie carscy zabierali im ludzi sposobem złodziejskim (worowskim) i osadzali w swoich dobrach i, po niejakim czasie, po upływie lat *uroczných* to jest 5-letniego terminu, dla dochodzenia zbiegów prawem przepisanego, zapisywali ich na dobre, jako swoich poddanych, następnie zaś nowi osiedleńce przynęcali do podobnegoż przesiedlenia swoich znajomych i krewniaków. *Soborne Ułożenie* r. 1649 znosi ten 5-letni termin i daje panom nieograniczone żadnym czasem prawo dochodzenia i odbierania swoich zbiegłych poddanych, obecnie już przytwierdzonych do gruntu czyli *krepostnych*.— Rozporządzenia Rządu wykonywane były tylko połowicznie, szlachta z włościanami społem odpierali zbrojną ręką urzędników i wysłańców, windykujących zbiegów; działy się częste mordy, gwałty, zabójstwa i bardzo liczne krzywoprzysięstwa i fałszerstwa, gnieździło się pieniactwo i obławiali się urzędnicy, tak zwani ludzie *prykazowi*.

Wielka i luźna masa siły roboczéj, dotąd wolnéj, spływała z ziemi ucisku z powiatów, stanowiących zsiadłe już jądro państwa a około Moskwy ugrupowanych, na wolniejsze przestworza, na Niż, na Don i dolną Wołgę, a daléj do Syberyi, za Onegę i aż do Białego Pomorza. Na tę surową północ wyciskały lud mnogi nietylko wprowadzane prawo krepostne, lecz i pobudki religijne; większą część osadników stanowili sekciarze (roskolnicy).— W takim stanie rzeczy zaszły reformy Piotra Wielkiego, wprowadzono *rewizyą*, czyli popis ludności 22 Stycznia r. 1719 i opodatkowano miasto sochy i ciahła samę *duszę* męską roboczą. Reformy te

w gruncie rzeczy nie były ani rdzenne, ani stanowcze i tknęły zaledwo powierzchnię stosunków ekonomicznych i agrarnych, nie wgłębiając się w życie ludowe. Piotr Wielki postanowił przemocą złamać bierny, wytrzymały opór, który reformy jego spotykały w narodzie. Postanowił on znieść ze szczętem stan ludzi hulaszczych (zachrebetników, kozaków, bobylów), którzy mimo wszystkie ukazy, uchylali się od poddaństwa i od rządowych powinności i podatków.— Rewizya była jednym ze środków wytępienia ich ze szczętem; nakazano wszystkich *zapisywać* do *skazek*, zdolnych do służby brać do wojska, niezdolnych osiedlać, nieposłusznych wysyłać do fortec na ciężkie roboty.— Systemat podatkowy zmienił się całkowicie: ilość dusz służyła odtąd za podstawę przy obrachowaniu podatków, rekruta podwód i wszelkich powinności; lud wszelako na dusze nie rachował i pełniąc służby i powinności, oraz płacąc podatki, wyliczone ogółem z całej gminy, włości lub majątku na dusze, rozkładał po dawnemu podatki i ciężary wedle obyczaju na wytie i ciahła, na rodziny osiedlone i robocze. Istniały więc obok siebie dwa nieraz bardzo sprzeczne porządki rzeczy i stosunków: papierowy, prawny, biurokracyjny i ludowy, rzeczywisty, przez prawo nieprzyznawany i po zaobrębem onego zostający;— pod martwą i uciążliwą formą trwały wciąż stare urządzenia i prastare obyczaje. Pod żelazną ręką Piotra Wielkiego uwydatniło się najbardziéj i doprowadzone zostało do najwyższego stopnia służbowe znaczenie wszelkiego posiadania ziemi, niewola służby państwowéj dla całéj szlachty bez wyjątku, konieczność robocizny i spłacenia podatków dla całego ludu prostego, porównanie obu tych klas w pracy ich bez wyjątku na państwo.

Przy następcach Piotra W. zmieniają się widoki, berła jego nie mogą tak dobrze jak on sprawować następcy, władza słabnie, szlachta się wyzwala, potężnieje i nabywa praw i przywilejów, rozwielmożnienie się szlachty odbywa się kosztem ludu, który podpada coraz cięższemu uciskowi, zapoddańszczeniu i niewoli. Rozwijanie się coraz jaskrawsze tych przeciwieństw na tle rosyjskiém, pod wpływem coraz silniejszym cywilizacyi europejskiej, stanowi treść główną następnego okresu.

VII. *Okres 3-i od śmierci Piotra W. aż do ustawy włościańskiej z roku* 1861. Profesor *Jerzewski*: „Kolonizacya w Rossyi“ 1866; prof. Romanowicz *Słowatyński:* „Szlachta w Rosyi“ 1870 i *Karno-*

wicz: „Większe fortuny Rossyi“ 1874, to są główne źródła, za pomocą których książe Wasilczyków kreśli dosadnie, jaskrawo i z żółcią niepochlebny obraz niezbyt odległéj przeszłości. Stylem autor przypomina nieraz Tacyta, a werwą dorównywa Juwenalisowi. Szlachetnych uczuć dużo zamkniętych w zwięzłém słowie, z ostatecznemi tylko wywodami trudno się pogodzić, bo pod wpływem oburzenia na szlachtę i wzrastającą przemoc jéj nad ludem chłopskim, autor prawie żałuje, że skutkiem zetknięcia się z Europą weszło do ustaw europejskie prawo własności i spadkobranie, że ziemia się pozbyła swojéj cechy lennéj, że szlachta zdobyla dla się wolność osobistą, słowem ks. Wasilczyków, żałuje prawie w końcu téj przedpiotrowéj Rossyi moskiewskich Samodzierżców, w któréj ani klasy służące, ani klasy robocze nie wychodziły po nad poziom zależności służebnéj, tamującéj wszelki stanowczy postęp tak dla jednych, jak i dla drugich. Stając prawie w obronie nierozwikłanéj jednostajności pierwotnego bytu, autor nie zdaje sobie sprawy z tego, że wyzwolenie się szlachty było koniecznym warunkiem wszelkiego postępu naprzód, że jedynie przez nie zdobyty został archimedesowy punkt oparcia dla sprawy wyzwolenia w następnych pokoleniach i ludu wiejskiego w r. 1861, że chociażby, opłacony pogorszeniem się czasowém stanu ludu prostego, rezultat ten nie mógł być nie pożądany, bo bez niego trwałoby przez całe wieki oryentalne państwo, z nim zaś i przezeń odbywa się prawowite zakładanie innego nowożytnego w duchu europejskim, bo osnutego na pojęciu, że nie ma w społeczeństwie niewolników. Zaznaczywszy punkt słaby we wszystkich dalszych rozumowaniach księcia Wasilczykowa, streszczamy w dalszym ciągu koleje rozwijania się z jednéj strony swobód szlacheckich, z drugiéj strony poddaństwa.

Głównym działaczem dziejowym, nawet przy słabych następcach Piotra W., nie przestaje być sam rząd, który, idąc wciąż daléj po wytkniętéj drodze przytwierdzania ludzi roboczych do ziemi, ogranicza coraz bardziéj włościan, tamując im wszelką wolność ruchu i wszelką możność podnoszenia się i przejścia do stanów nieco więcéj uprzywilejowanych.— Roku 1730 poddanym pańskim wzbroniono nabywania własności nieruchoméj, 1734 zawierać umowy o dzierżawienie propinacyi (odkup) i być liwerantami skarbu, 1734 roku zakładać fabryki. Cesarzowa Elżbieta r. 1742 pozwala osobom prywatnym nawet mieszczan i rzemieślników cechowych, jeśli zalegli w podatkach, czynić swemi poddanymi, pod warunkiem oplacenia takowych skarbowi.— Pod naciskiem podnoszącego się wpływu szlachty, czyli tak zwanego *dworzaństwa* r. 1746

już tylko samej szlachcie dano wyłączny przywiléj nabywania poddanych (krepostnych) z ziemią, lub bez ziemi, nakoniec w 1760 (13 Grudnia) uzupełniony został łańcuch niewoli; ostatniém jego ogniwem było nadanie szlachcie bezwarunkowego prawa oddawania poddanych, zdolnych do robót i mających nie więcéj 45 lat wieku, w rozporządzenie rządu dla przesiedlenia ich do Syberyi, lub dla zaliczenia do wojska.— Za każdego z wysiedlonych w ten sposób z woli właścicieli, dawano właścicielowi pokwitowanie jako za rekruta. Jeżeli wysiedlony był żonatym, albo ojcem rodziny, cała rodzina dostawała się skarbowi, który nietylko przewoził ich swoim kosztem do Syberyi, lecz płacił nadto właścicielowi za każdą głowę męską od 10 do 20 rubli w miarę wieku, za każdą głowę nawet żeńską połowę téj ceny, a podrostków płci męzkiéj, mających przeszło lat 15 brał jako zaliczkę zamiast przyszłych rekrutów. Wiadomo, ze te kwity rekrutowe miały w obiegu znaczną wartość pieniężną.

Przejdźmy do tworzącéj się klasy wielkich właścicieli. Tu, jednym pociągiem pióra, bez oględności i wahania się z jednéj i bez opozycyi z drugiéj strony, dokonało się przez manifest 26 Lutego r. 1764 doraźne wykreślenie duchowieństwa z liczby posesyonatów; wszystkie dobra duchowne zaludnione zabrane zostały na skarb. Dla ocenienia wielkości, wagi i doniosłości tego rozporządzenia, dość przytoczyć, że wedle Kotoszychina w przedpiotrowéj Moskwie XVII wieku liczono w dobrach władyków i w klasztornych 117000 dymów. Jak się mogło to stać tak od razu i nagle? Drzewo, które w ten sposób upadło, było w rdzeniu swym spróchniałe; brakowało mu wewnętrznych warunków trwałości. Na gruncie staro-moskiewskiego społeczeństwa nie mogła się rozwinąć żadna własność samoistna, ni duchowna, ni świecka; duchowna dzieliła koleje losu świeckiéj, a tą ostatnia aż do późnych czasów, bo aż do końca XVIII wieku, była służebną i lenną. Już od roku 1500 poczyna się długi szereg ukazów, wzbraniających duchowieństwu nabywania nowych dóbr, istnieje kilka téjże treści uchwał zgromadzeń narodowych, zwanych Soborami ziemskiemi (1550 i 1580), i mnóstwo od wszystkich stanów próźb, czyli czołobitni, wykazujących, że przez przechodzenie dóbr w ręce duchowieństwa dzieje się krzywda ludziom świeckim, szczególniéj wojskowym. Dodajmy, że były powszechnie w pamięci morały Pisma Świętego, ubóstwo podniesione do ideału, reguły zakonne, ascetyczne, surowe, nakazujące wyrzekać się wszelkich dóbr doczesnych. W oczach ludzi staréj daty, dostatki mnisze nie mogły nie uchodzić za odstępstwo od zasad religii; co się tyczy ludzi postępowych,

filozofia XVIII w. prowadziła ich innemi drogami do tegoż rezultatu: sekularyzacyi dóbr duchownych.

Obojętnie patrząca na tę sekularyzacyą szlachta rosyjska, szczególniéj ta, która służyła na dworze i w gwardyi, zajmowała najpierwsze urzędy i uczestniczyła we wszystkich zmianach politycznych, świadomie dąży do gorąco pożądanego celu: stworzenia trwałéj ziemskiéj własności na wzór europejskiéj. Środki ku temu były proste i łatwe, od Piotra W. zlane w jedno ojcowizny i pomiestia były już spadkowe, należało zetrzéć z nich charakter służebny, lenny, i prawo już dziedziczne wyzwolić od wszelkich powinności i obowiązków. Manifest Piotra III 18 Lutego r. 1762 nadał dworzaństwu, czyli szlachcie rosyjskiéj, zupełną swobodę i prawo służenia tak w Rossyi jako i u aliantów jéj europejskich, a zniósł całkowicie konfiskatę. Zmiana rządów i wstąpienie na tron Katarzyny II cofnęły manifest Piotra III o prawach szlachty kardynalnych. Przyznano je we dwadzieścia lat późniéj w „przywileju szlacheckim“ (dworianskaja gramota) Katarzyny z roku 1785, te jednak lat dwadzieścia zawieszenia były może najobfitszemi w następstwa dla całego stanu, bo w ciągu drugiéj połowy XVIII wieku powstało i rozwijało się szybko możnowładztwo nowéj kreacyi, które swym blaskiem zaćmiło całkiem dawniejsze rody bojarskie i książęce i stanowi główny zaciąg w szeregach teraźniejszéj arystokracyi. Wysuwali się naprzód ludzie tak zwani przypadkowi (liudi słuczaja), którzy, wspinając się po szczeblach dworskiego powodzenia, otrzymywali z łaski od skarbu olbrzymie dobra i dziesiątki tysięcy poddanych. Dawnych bojarów ostało się niewielu (Szeremetew, Buturlin, Szczerbatów, Golicyn, Puszkin), niewielu téż przybyło wielkich i słynnych przemysłowców (Strogonow, Demidow); dawni carowie, aż do Piotra W. włącznie, byli skąpi na dobra, 100—200 dziesięcin—taka była przeciętnie rozległość pomiestijów rozdawanych w wieku XVIII; jednemu tylko Menszczykowowi poszczęściło się nabyć do 100000 dusz w prowincyach nadbaltyckich i Małorossyi, drugiemu Szafirowowi skonfiskowano wyrokiem sądu (1723) 15000 poddanych. Hojniejszy szafunek poczyna się od Elżbiety. Tak zwanéj Leibkompanii, która przyczyniła się do wyniesienia Cesarzowéj na tron rozdano 14 tys. dusz (prostym szeregowcom dostało się po 29 dusz). Szuwałowowie podnoszą się materyalnie przez monopole cła z wódki i tytuniu, wielkie przedsiębierstwa leśne na północy i górnicze na Uralu. Hetman Cyryl Razumowski miał z nadania Cesarzowéj 50 tys. dusz w Małorossyi, miasta Jampol, Baturyn, 44 tys. wziął po żonie z domu Naryszkinównie, pod koniec

życia liczył 120 tys. dusz w swoich dobrach. W zadnieprzańskiéj, hetmańskiéj Małorossyi były mnogie dobra tak zwane *rangowe*, to jest do urzędów przywiązane, hetmańskie albo pułkownikowskie. Z nich użytkując, powstali arystokraci z kozaków (Koczubej, Iskra, Skoropadski, Mazepa, Lizohub, Kapnist). Pierwszy Menszykow urwał część tych dóbr rangowych, a za Cesarzowéj Katarzyny wszystkie rozdano na własność prywatną Oto króciutki inwentarz nieco znaczniejszych nadań w ciągu wspomnianych już lat niewielu: 1762—1783 Orłowowie bracia 45 tysięcy dusz, Zubow 13 tysięcy, Potemkin 37 tysięcy, Zawadowski 9800, Zorycz 14000; Wasilczyków („ale nie mój przodek", omawia autor) 7000; w ogóle w ciągu panowania Katarzyny II-éj ośmset tysięcy dusz rewizskich. Przy wstąpieniu na tron Pawła I rozdano 105 osobom 82330 dusz, wkrótce potém Bezborodko otrzymał 30000 dzisięcin ziemi w Woroneżskiéj gubernii i prawo wybrania dla zaludnienia tych obszarów 6 tys. dusz ze skarbowych majątków w Tambowskiéj gub. Hrabia Kutajsow, pokojowy Cesarski, dostał 25 tys. dziesięcin w Tambowskiém, 36 tys. dziesięcin w Kurlandyi i półmilionowe dochody z rybołówstwa na Wołdze. Z Gatczyńskich pułkowników, Arakczejewowi nadano Gruzino z 4 tys. dusz. Sumujmy: do czasów Katarzyny II rozdano 389195; za Katarzyny II około 800000; za Pawła 114896, w ogóle przeszło 1304000 dusz, w małozaludnionéj Rossyi, liczącéj w połowie XVIII wieku 19 milionów mieszkańców. Zestawiając tę ludność z ludnością Rossyi r. 1858—74 milionów, autor wnioskuje, że owe 1304000 z XVIII rozrosły się w 5078000 w chwili wyzwolenia włościan (1), to jest, że połowa bezmała włościan pańskich w chwili wyzwolenia pochodziła ze źródła rządowych nadań i szafunków, i że daleko więcéj niż połowa fortun magnackich w Rossyi powstała świeżo w skutek dworskich faworów i pochodzi od ludzi nowych, *przypadkowych* z XVIII wieku,—od tych świetnych, wspaniałych i pełnych ogłady, ale napoły zcudzoziemszczałych wielkich panów, którzy, z zadziwiającą szybkością wdarłszy się na szczyty powo-

(1) Rachunek wcale niedokładny. Ludność zwiększyła się w Rossyi od XVIII wieku nietylko przez rozradzanie się, ale i przez nabycie mnogich ziem szczególniéj na zachodnich państwa krawędziach. Przybyło z niemi dużo prastarego i możnego obywatelstwa.

dzenia, bardzo mało dbali o młodszą bracią — szlachtę prowincyonalną — i, żadnemi moralnemi węzłami niezwiązani z ludnością rolniczą, wyzyskiwali ją bez granic w widokach co największego zysku. „Niech na tych rządcach i magnatach, a nie na Godunowie, albo Piotrze W., ciąży zła pamięć ucisku cięższego niż Tatarski“ (I, 456). Po tych wyrazach, zupełnie słusznych, idzie konkluzya niespodziewana i niczém niepoparta: „my to tylko zaznaczmy, że prawo krepostne wyrosło nie z gruntu życia rossyjskiego, nie z ukazów carskich XVII wieku, nie z prawa wotczynnego, albo pomiestnego, którémi się oględnie i umiarkowanie posługiwali dawni bojarowie, lecz że to prawo przeszło z ościennych krajów, od plemion polskiego i niemieckiego, że wywiązało się z pojęć o prawie i władzy pańskiéj, zapożyczonych wraz z kulturą europejską i rozpowszechnionych po całéj Rossyi przez możną szlachtę, otaczającą miękiego serca monarchów.“ Po tak niezmiernie łatwém rozwiązaniu zawiłéj kwestyi historycznéj, idą rekryminacye przeciwko Niemcom i Polakom, którzy, wynajmując się u wielkich panów Rossyan za rządców dóbr i agronomów, służyli za narzędzia do wyzyskiwania i do uciskania ludu wiejskiego. Konieczność zmuszała naszych rodaków szukać szczęścia na wschodzie we wszystkich zawodach, a więc i w administracyjnym lub agronomicznym, na rządcach nie zbywało jeszcze nigdy żadnemu z plantatorów, zwykle winujemy nie narzędzie, lecz rękę, która cios zadaje; z kulturą zachodnią musiały się koniecznie wcisnąć jéj właściwości i wyroby, najbardziéj dogadzające cywilizującym się klasom: prawo własności i pojęcia arystokratyczne. Przejmowano je niekoniecznie z Niemiec, a tém bardziéj z Polski, lecz wprost z Francyi jako największego ogniska cywilizacyi w XVIII w. Jeżeli okres od śmierci Piotra W. do Elżbiety można nazwać niemieckim, to już od Elżbiety ster dzierżą i w rządach uczestniczą rodowici Rossyanie, znacznie wprawdzie sfrancuzieni, ludowi obcy, nic z nim wspólnego w myślach i uczuciach niemający i przedstawiający dziwną dla obcych do zrozumienia amalgamę najpostępowszych pojęć, do życia wcale nie stosowanych i nawyknień a zwyczajów pańskich, które najbardziéj się dawały podwładnym we znaki. Kultura niosła z sobą złe i dobre owoce, całkiem niezależne od Polaków i Niemców; usuńmy w myśli kulturę i jéj skutki—pozostanie Moskwa przedpiotrowa XVII wieku. Wątpię, ażeby autor mógł na seryo pożądać powrotu do téj rzeczywistości, do tych wstrętnych dla każdego wedle naszych pojęć stosunków. Nie podlega jednak

wątpliwości, że pierwsze następstwa przyswajanéj kultury pogorszyły stan klas roboczych, bo stało się jak przy huśtaniu się, jeden koniec deski szedł w górę, drugi o tyleż schylił się ku dołowi.

Piotr W. wprowadził „rewizyą" (spis ludności) i prześladował roskolników; chroniąc się od rewizyi i od prześladowań religijnych ciągnęli na Ural i za Ural i na stepowe południe kozacy, burłacy, biegunowie, włóczęgowie różnych nazw i pochodzenia. W ciągu 1719—1727 nie doliczano się już 200000 dusz wedle spisów ludności (skazek rewizkich). Rozkołnicy uchodzili do Szwecyi, do Polski! Nad Wołgą roją się bandy rozbójników, lud uciekający od panów spodziewa się jakichś swobód i manifestów od Cesarzów i, z wieści o manifeście o wolności szlacheckiéj Piotra W, układa legendę o takimże przygotowanym już ukazie, mającym nadać wolność chłopom. Senat nie mógł opędzić się czołobitniom włościan, podawanym na imię Cesarskie i powołującym się na te urojone ukazy, a że od r. 1765 wzbronionem było podawanie proźb wprost do rąk Cesarzowéj, więc ukazem Senatu z d. 22 sierpnia 1767, z powodu skargi podanéj przez pewną gromadę chłopską na wysokie „obroki" (czynsze) i uciemiężenie, kazano skarżących się publicznie ukarać i oddać potém właścicielom, dając tym ostatnim do wyboru albo pozostawić ukaranych nadal w swych dobrach, albo oddać ich rządowi z zaliczeniem za rekrutów, rząd zaś zeszle ich do robót w kopalniach rządowych Nerczyńkich.

Nastaje wiek XIX. Wolność osoby ludzkiéj przyznana już w zasadzie; myśl o wyzwoleniu włościan zaprząta Cesarzów, Aleksandra I i Mikołaja, i staje jako w przyszłości nieodzowna i konieczna; chodzi tylko o to, że wszystkie potęgi zainteresowane w tém, aby rzecz się nie stała, tłómaczą, że reforma włościańska nie na dobie. W prowincyach nadbaltyckich i Królestwie Polskiém włościanin otrzymał wolność osobistą, ale bez ziemi; pięćdziesiąt lat niewoli dla chłopów w Cesarstwie okupiły się im tém, że otrzymali przy wyzwoleniu grunt na własność. Przez to pół wieku rząd nie szafuje dóbr zaludnionych, wtrąca się w stosunki agrarne policyjnie przez gubernatorów i marszałków szlachty. Dobrobyt włościan pańskich w wielu miejscach znacznie się podnosi; w prawdzie jako czynny środek dobrego gospodarowania używane było przebrakowanie ludności chłopskiej, oddawanie niedbalszych i niedołężniejszych do wojska, albo wysyłanie ich do Syberyi. Statystyk Koeppen zebrał ciekawe wiadomości o stosunkach i do-

chodach właścicieli ziemskich, posiadających dobra zaludnione w roku 1834. Oto cyfr kilka wziętych z jego tablic:

1) Przeszło po 1000 dusz posiadało 1453 osób; należało do nich 3556959 dusz. W przecięciu przypadało na każdego 2461 dusz; średni dochód, rachując po 10 rubli z duszy 24610 rubli.

2) Od 500 do 1000 dusz posiadało 2273 osób; należeli do nich 1562831 poddanych, przeciętnie 687 dusz na osobę (średni dochód 6870). Te dwie klasy bardzo nieliczne (3726 rodzin obywatelskich), bardzo absentujące się i mało w położenie włościan wglądające, stanowiły najbardziéj wpływową warstwę możnowładztwa ziemskiego.

3) Od 100 do 500 dusz posiadało 16740 osób, liczących w swoich dobrach 3634194 dusz (przeciętnie 217 dusz na osobę). Ta klasa szlachty nie miala wstępu do dworu, chętnie wychowywała dzieci w szkołach i korpusach kadetów, garnęła się do służby cywilnéj i wojskowéj, stykała się z ludem i była coraz bardziéj przejętą poczuciem potrzeby i duchem reformy.

4) Nakoniec istniał jeszcze plebs obywatelski 42978 rodzin, do których należało 339586 dusz. Wielu z nich nie posiadali wcale majątków, lecz tylko dusze (poddanych) na własność. Liczebnie przemagali oni w masie właścicieli ziemskich, bo stanowili 84%, obok 13% średnich właścicieli (od 100 do 500) i 3% magnatów (przeszło 500 dusz) znaczna część tego gminu obywatelskiego mało się różniła od zamożniejszych chłopów, synowie ich jednak cisnęli się skwapliwie do szkół i zapełniali kancelarye; zasilali junkrami i oficerami wojsko. Od roku 1830 klasa ta pod względem wykształcenia zrobiła ogromne postępy i przyłożyła najczynniéj rękę do reformy, krzyżujęc plany i zamiary arystokracyi powstając najradykalniéj przeciwko przywilejom szlacheckim. Wiadomo, że reforma zarysowała się w swéj ostatecznéj formie nie odrazu i chwiała się długo pomiędzy pojęciami przyznania tylko wolności osobistéj, nadania jednych tylko sadyb, lub nadania i sadyb i gruntów na własność. Od daty reformy zbyt mało ubiegło czasu, aby dać już było można charakterystykę nowego rozpoczynającego się dopiéro czwartego okresu, możebnym jest tylko obraz stosunków agrarnych aktualnych. Główne rysy tego obrazu dadzą się wedle księcia Wasilczykowa, streścić w ten sposób.

VIII. W przeciągu czasu od r. 1834 (data wyliczeń Koeppena) do reformy z r. 1861 zaszły zmiany dość znaczne w składzie

wielkich właścicieli. Mimo kreacyi majoratów, wielkiéj własności (nad 500 dusz) ubyło przynajmniéj 600 t. włościan, jeszcze więcéj zdrobniała i przerzedziła się ostatnia klasa obywateli posiadających mniéj niż 100 dusz, przybyło zaś znacznie obywateli średnich (100—500 dusz), w czem autor upatruje dowody upadku jeszcze zapanowania poddaństwa sztucznéj wielkiéj własności, kruszenie się i drobnienie wielkich fortun. Wszystkich obywatelskich familij szlacheckich liczono w chwili reformy w Cesarstwie około 103000 a ziem do nich należących po wykluczeniu gruntów włościańskich 82½ miliony dziesięcin. Po reformie zmieniła się podstawa rachunku, zaczęto obliczać majętność obywatelską nie wedle ilości dusz lecz wedle ilości dziesięcin, do szlachty przybyło 210000 właścicieli tych obszarów ziemskich, które uchodziły wprzód za niezaludnione i tych, którzy po reformie, nie będąc szlachtą, skorzystali z prawa wolnego nabywania dóbr ziemskich na własność i ponabywali grunta od szlachty. Przy rozklasyfikowaniu własności nie chłopskiéj, wedle ilości dziesięcin przyjmuje się zwykle podział na trzy klasy:

1) *Drobną własność* (77%).

Mniéj 100 dzies. posiada 242397 osób mających razem 4546461 dz. (przeciętnie 19,16 dzies.)

2) *Średnią własność* (17%).

Od 100 do 1000 dzieś. posiada 56320 osób, mających razem 16995409 dz. (przeciętnie 298 dziesięcin).

3) *Wielką własność* (6%).

Więcéj 1000 dzies. posiada 14822 osób, razem 48174727 dz. (przeciętnie 3297 dziesięcin).

Autor strąca właścicieli drobnych, jako zbliżających się raczéj do stanu włościańskiego, i sumując dwie ostatnie klasy, podaje 70000 rodzin rozmaitego pochodzenia wielkich i średnich właścicieli ziemskich, a obszar ziem do nich nalezących, łącznie z dobrami tak zwanych *Udielów* (dobra familii panującéj) oznacza w ilości 90 milionów dziesięcin.

Przejdźmy do drugiego gatunku własności, do gruntów włościańskich. Liczą włościan w Cesarstwie (krom prowincyj nadbałtyckich) 22½ miliony ze 116 milionami dziesięcin (przeciętnie po 5,1 dziesięcin na duszę). Pierwiastek ten pochodzi ze zlania się w jednę klasę dawniejszych chłopów pańskich, oraz udzielnych i dawniejszych włościan skarbowych. Pańskich liczono 9795163 dusz z 35779014 dziesięcin (po 3,6 dziesięcin na duszę). Od daty reformy, ⅔ włościan wykupiło swe grunta w ilości 23 mil dzies., reforma mało

zmieniła obszar gruntów włościańskich, tak że dziś można liczyć w przecięciu 3,5 dziesięcin na duszę. Włościanie *udzielni* (w dobrach familii ces.) w liczbie 862 t. dusz otrzymali 4340000 dzies. (po $5^3/_4$ dzies. na duszę); Skarbowi (9245000 dusz) posiedli ziemi we dwójnasób prawie tyle co pańscy, bo 65 mil dzies. (7,2 dziesięcin na duszę). Do sumy ziem włościańskich, doliczmy 2 miliony dzies., które należą do kolonistów niemieckich, 40 milionów gruntów kozackich, znaczne posiadłości miast, sposobem chłopskim administrowane, i ziemie prywatne drobnych właścicieli wszelkiego pochodzenia, mających mniéj niźli po 100 dziesięcin, $4^1/_2$ miliony dz., a otrzymany razem 164 miliony dziesięcin.

Nakoniec trzeci gatunek własności, stanowiący wielką rezerwę dla państwa i narodu, są to grunta i lasy skarbowe, obejmujące 205 milionów dziesięcin, z nich przynajmniéj 125 milionów ziem użytecznych.

Z zestawienia sum 90 m. i 164 mil., autor dochodzi do wniosku o przeważném znaczeniu i przemaganiu w Rosyi własności chłopskiéj nad obywatelską tak pod względem obszaru, jako i pod względem wartości gruntów i dochodu. Z tysiąca drobnych faktów, z mnóstwa własnych spostrzeżeń i cyfr statystycznych, autor wnosi, że ten stosunek jeszcze się bardziéj uwydatni, i że własność włościańska jeszcze przeważniéj wystąpi, chociaż w tym względzie w rozmaitych częściach Rossyi panować będzie największa niejednostajność i rozmaitość. Autor uznaje za rzecz niezaprzeczoną, że wielkie posiadłości ziemskie wychodzą coraz bardziéj z rąk dawnych rodzin obywatelskich. Fortuny obywatelskie były w znacznéj części porujnowane i odłużone przed reformą. Znam powiaty, powiada autor, w których puszcze całe poszły na wino szampańskie, lub przegrane zostały w karty, zmarnotrawione za liche pieniądze przez zakontraktowanie ich na lat kilka, albo kilkanaście. Po reformie, właściciele zagrożeni przez wierzycieli likwidowali swoje interesa, przedawali ziemie zabezcen spekulantom, kapitalistom, szczególniéj kupcom, przedsiębiercom. Kryzys ten trwał niedługo, ceny na majątki się podniosły; tym przemysłowcom, którzy się usadowili w pańskich opustoszałych dworach, autor nie wróży przyszłości. Nawykli do prędkich obrotów, do wielkich zysków, do spieniężania wszelkich użytków, ci nowi nabywcy doprowadzą swe gospodarstwa, przez drapieztwo i nieumiejętność, do upadku i znikną jak meteory, wyssawszy z ziemi miliony, które z własności nieruchoméj przejdą w ruchomą i przeniosą się w znacznéj części za granicę.

Po przebyciu kryzysu, właściciele radzili już sobie inaczéj. Sprzedaż całych majątków stała się dość rzadką: na północy—dla braku nabywców, bo w ręku obywateli zostały same pustkowia i nieużytki, a ziemia tam bez uprawy połączonéj z nakładami nic nie wyda, na południu—dla braku sprzedających, bo skutkiem szybkiego podniesienia się ceny ziemi, właściciele drożą się i spekulują na jeszcze wyższe ceny. Lecz natomiast rozpowszechniło się niezmiernie sprzedawanie ziem małemi cząstkami włościanom. Na północy, dobijano się o grunta, niezmiernie nawet liche, dla tego, że były przyległe, dzierżawy w strefie czarnoziemnéj drożały szybko, podskakując do 6 i 7 rubli na dziesięcinie, podczas gdy wartość dziesięciny wahała się jeszcze między 40 i 50 rublami. Poczęło się branie ziemi w dzierżawę przez chłopów wspólnemi siłami, całym „mirem.“ Brano u obywatela po kilkaset na raz, albo i więcéj dziesięcin. Gospodarstwo włościańskie czyniło postępy, konkurentów o ziemie było dużo, co oddziałało i na handlową cenę dziesięciny ziemi. To podnoszenie się cen w różnych okolicach objawiało się rozmaitemi sposobami, naprzykład na północy podniosły się w cenie tylko wyjątkowe kawałki gruntu, szczególniéj sianożęcie. Co się tyczy warunków dzierżawienia, długie dzierżawy prawie niepraktykowane są na północy, rolnicy biorą ziemię na 2 albo 3 lata i niechętnie płacą plonem, a chętniéj pieniędzmi, tak że nie ma prawie przykładu połownictwa (metayage) tak pospolitego we Francyi, we Włoszech. Za Wołgą na wschodzie, szczególniéj w gubernii Samarskiéj, włościanie dzierżawią ryczałtem wszystkie ziemie absentujących się całkowicie obywateli, stowarzyszają się dla najęcia od razu kilku tysięcy dziesięcin. Pomiędzy absentujących się obywateli i spółki chłopów dzierżawców wcisnęli się spekulanci pośrednicy, po większéj części z kupców, którzy, zakontraktowawszy ogromne obszary, ciągną z poddzierżawców zyski, wynoszące do 75% albo i 100% nakładu. Ten rys charakterystyczny, przypominający middlemenów irlandzkich, ciągnie za sobą takież same jak i w Irlandyi następstwa, wycieńczenie i wyjałowienie gruntu. Słynny głód w guberni Samarskiéj przed kilku laty spowodowany był nietylko przez przypadkowy nieurodzaj, lecz i przez drapieżną i niewłaściwą uprawę, zastosowaną do ziemi po wyzwoleniu włościan. Do gubernii Saratowskiéj, Simbirskiéj i Niżegrodzkiéj jeszcze się nie wcisnęły Samarskie porządki. Tu włościanie ulegli pokusie i przyjęli ćwierć nadziału normalnego zadarmo (123 art. Ustawy 19 Lutego 1861 r.), a dziś płacą po 7 rs. od wziętéj w dzierżawę dziesięciny. W żyznéj krainie od Riazania i Tuły do Charkowa i Kurska polepszyło się położenie włościan, lecz może jeszcze więcéj

zyskali obywatele przez podniesienie się cen dzierżawy i własności gruntowéj we dwoje. W Jekaterynosławskiéj i Taurydzkiéj, 1861—1872, podnoszenie się było stopniowe i regularne o 10% corocznie. Dzierżawią chłopi pojedynczo lub całemi mirami na krótkie termina. W kraju tak zwanym południowo-zachodnim (gub. Kijowska, Wołyń, Podole) są daleko częstsze wielkie gospodarstwa dzierżawne o długoletnim terminie (prawdziwe fermerstwa), o ziemię współubiega się z chłopami drobniejsza szlachta, nawet posesyonaci, luźni przedsiębiercy i żydzi. Wielka dzierżawa odsadza nieraz od gruntu dobrego konkurenta. Przy dosyć częstych umowach o wydzierżawienie za snop, część plonu idąca na korzyść właściciela wzrasta stopniowo. Dwa kraje zachowały wybitną odrębność w układzie stosunków agrarnych, jednym jest Litwa, drugim prowincye nadbaltyckie.

Na Litwie (w gub. Wil. Kow. Grodz.) uposażenie gruntowe podzielone było na chaty przeciętnie w ilości 17½ dziesięcin na jednę. W późniejszym czasie kazano tak zwanym *batrakom*, czyli bezziemnym chałupnikom, wydzielić z dóbr pańskich po 3 dziesięciny na osobę. Tak szczupłe kawałki gruntu nie dają chłopu dostatecznych środków do wyżywienia się. Marszałkowie szlachty i obywatele wnoszą, że dla dobrobytu kraju należałoby ustanowić niepodzielność osad włościańskich, wznowiwszy dawny zwyczaj spadkobrania, wedle którego dwór i gospodarstwo otrzymywał po ojcu syn jeden, najmłodszy albo najstarszy. Z cyfr i raportów urzędowych, autor w ten sposób maluje obecny stan stosunków w gubernii Kowieńskiéj: z 318000 dusz męzkich włościańskich, posiadających ziemię jest 208000, bezziemnych 110000, zatém 34%. Średnia przestrzeń gruntów przypadających na jedną osadę równa się włóce (20 dzies.), lecz pojedynczy, osobno osiedleni włościanie, posiadają po 100 dziesięcin i więcéj, po wsiach natomiast dużo jest włościan, mających po pół włóki, albo zagrodników. Liczba szukających służby parobków tak jest znaczna, że płaca roczna nie przenosi 30 r., z których parobek musi opłacać 5—6 rubli podatków; ⅔ ludu rolniczego cieszy się dobrobytem, znacznie większym niż u włościan w guberniach rosyjskich, lecz ⅓ część składa się z batraków, kątników, bobylów i jest w stanie zbliżonym do nędzy. Obecnie ten stosunek chłopskiéj arystokracyi do plebsu ma się jak ⅔ do ⅓, lecz ludność wzrasta, stosunek się zmienia, a proletaryat wiejski może się stać siłą niebezpieczną dla klas lepiéj uposażonych i zasobniejszych.

Szlachtę niemiecką prowincyj nadbaltyckich autor szczędzi mniéj jeszcze niż polskich panów. Prawo z r. 1863 o wyprzedaży

włościanom dzierżawnych chłopskich uczątków miało tu tylko skutek, że podniosło o 35% cenę tych uczątków, w porównaniu z gruntami, które można z wolnéj ręki nabyć. Uczątki są wielkie, niepodzielne, po 36—42 dziesięcin, cena ich (1728 rub. w gub. Estl., do 4900 w Lifl., do 5040 w Kurl.) rośnie, bo podnosi się rok rocznie na 1—3% cena dzierżawy, podług któréj oblicza się przez kapitalizacyą wartość uczątku. Błota i piaski Inflanckie i Kurlandzkie opłacają się w ten sposób od 60—90 r. za dziesięcinę, drożéj niż najpiękniejsze grunta w krainach czarnoziemnych. 1/7 część włościan nabyła dotąd ziemie, na 10530 osad włościan właścicieli (około 100000 głów, bo na osadę przypada przeszło 9 głów) liczą w trzech guberniach nadbaltyckich 585000 dusz, osiedlonych na pańskich ziemiach, lub całkiem w żadnym stałym stosunku z ziemią nie zostających. Część chłopstwa, która nabyła grunta na własność, zlewa się stopniowo z grupą wielkich właścicieli, a poniżéj skupia się coraz gęstsza ruchoma i niespokojna masa proletoryatu sielskiego.

Przeciągnijmy na mapie linią od Permu do Kijowa. Idąc w tym kierunku, dostrzegamy wedle autora stopniowe zmienianie się stosunku obu pierwiastków własności; pierwiastek chłopski, prawie wyłącznie panujący na wschodnim krańcu, słabnie i zmniejsza się, równoważy się z wielkim właścicielstwem w guberniach małorosyjskich zadnieprzańskich, wreszcie maleje w obec wielkiéj uprawy, przemagającéj na zachodnim krańcu. Stopniowo w tymże kierunku, w samymże chłopskim pierwiastku zmniejsza się ilość włościan pochodzących od włościan dawniéj skarbowych, a zwiększa się ilość dawniejszych pańskich poddanych. Mimo swój wzrost powolny i stopniowy, dobrobyt włościan wiele pozostawia do życzenia. Są wskazówki niewątpliwe tworzenia się proletaryatu wiejskiego i zwiększania się jego zastępów już po dokonanéj reformie. Dawniejszy systemat podatkowy, w którym główną grają rolę niemający już praktycznego znaczenia podział ziem na zaludnione i niezaludnione oraz pogłówne, przeciąża włościan nad miarę sił i możności, pochłaniając nieraz cały czysty dochód z gospodarstwa. To założenie, potrącone tylko przez księcia Wasilczykowa, znalazło mocne poparcie w ciekawéj pracy prof. Jansena (Opyt statisticzeskago izsledowanija o krestianskich nadiełach i płatieżach, Petersburg 1877). Jeżeli, mimo wszystkie przeszkody, nieuniknionym biegiem wypadków, ziemie w Rossyi, w całym jéj ogromie wziętéj, przechodzą od obywateli w ręce włościan, i na przeważnie wielkich przestrzeniach z własności indywidualnéj na „mirską,“ (t. j. wspólną dla całéj gromady) pod całkiem odrębne porządki spadkobrania i podziałów,

ztąd wypada wedle autora, że nie trzeba ruchowi temu stawiać tam, nie trzeba go wstrzymywać, ale owszem należy go tylko regulować, dokładając wszelkich starań, by zmiana odbyła się spokojnie, legalnie, bez gwałtu, bez krzywdy tak dla osób prywatnych, jako i dla sielskich spółek włościańskich. Tu opuszczamy już grunt historyi i statystyki a wkraczamy w zakres polityki agrarnéj. Téj polityce poświęcona jest druga część dzieła księcia Wasilczykowa, mieszcząca w sobie zamiary i plany dalszego rozwijania kwestyi włościańskiéj, wstrzymanéj wedle autora, lecz wcale jesze nie rozwiązanéj należycie.

(dokończenie nastąpi).

Włodzimierz Spasowicz.

KRYTYKA.

Kodeks dyplomatyczny Małopolski 1178—1386, wydał i przypisami objaśnił Dr. Franciszek Piekosiński. Kraków, 1876, 4-to, str. LIV i 552, nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie.

Małopolska pod względem wydawnictwa odnoszących się do niéj zabytków dyplomatycznych najwięcéj zwracała na siebie uwagę naszych uczonych i najwięcéj téż posiada ogłoszonych tych materyałów. Oprócz nieznacznéj liczby małopolskich dyplomatów epoki Piastowskiéj, znanych z dzieł Długosza, Paprockiego, Szczygielskiego, Lelewela, Maciejowskiego, Wiszniewskiego, Łabęckiego, Grabowskiego i Przeździeckiego, Gładyszewicza, Helcla, Morawskiego, Gackiego, jako téż ogłoszonych w I-m tomie Kodeksu dyplomatycznego polskiego, w dodatkach do Gazety Lwowskiéj, w Theiner'a Pomnikach i w Aktach grodzkich i ziemskich z archiwum po-Bernadyńskiego we Lwowie, mamy w literaturze kilka zbiorów dyplomatów wyłącznie do téj części dawnéj Polski odnoszących się, a mianowicie: Nakielskiego dzieło „Miechovia,“ zawierające prawie cały zasób przywilejów i bul Miechowskiego klasztoru Bożogrobców; III-ci tom Kodeksu dyplomatycznego polskiego, obejmujący tak ziemskie przywileje Małopolski, jako téż wiele przywilejów jéj klasztorów i miast; dyplomataryusz Mogilskiego klasztoru, ogłoszony przez dra E. Janotę; kodeks dyplomatyczny Wielicki, wyłącznie poświęcony Wieliczce; kodeks dyplomatyczny katedry krakowskiéj Św. Wacława, wydany dwa lata temu przez dra Franciszka Piekosińskiego; wreszcie świeżo w powtórnéj poprawnéj edycyi przez pp. Kętrzyńskiego i Smolkę przygotowanéj—dyplomataryusz Tyniecki.

Do tego poważnego szeregu przybył w obecnym roku jeszcze jeden nowy zbiór, treścią pokrewny III-mu tomowi dyplomataryusza, wydanemu przez Bartoszewicza, ztąd też jako dalszy ciąg tegoż dyplomataryusza może być uważany — tytuł jego wypisaliśmy powyżéj. Z pomiędzy 400 blisko ogłoszonych w nim dokumentów, większa część odnosi się do klasztorów małopolskich, w szczególności zaś Franciszkanek w Krakowie i Cystersów w Jędrzejowie i Szczyrzycach, pozostałe są przywilejami miast lub posiadłości ziemskich. Wszystkie te dyplomaty, ze względu na źródła, podzielić można na trzy kategorye: pierwszą najważniejszą stanowią dyplomaty ogłoszone z oryginałów; dostarczyły ich wydawcy klasztorne archiwa Franciszkanek, Dominikanów, Paulinów, Augustyanów, kanoników Laterańskich i księży emerytów w Krakowie, Cystersow w Szczyrzycach, archiwa miejskie w Nowym Sączu i Krakowie, niemniéj zbiory publiczne: Jagiellońskiéj Biblioteki i Gabinetu Archeologicznego w Krakowie, archiwum państwowego we Wrocławiu i prywatne: hr. Działyńskiego w Kórniku, hr. Branickiego w Suchéj, hr. Potockiéj w Willanowie, hr. Krasińskiego w Warszawie. Druga kategorya—dyplomatów ogłoszonych z późniejszych kopij—najliczniéj w kodeksie jest reprezentowaną; wzięte są one z kopiaryusza XVI wieku archiwum Franciszkanek w Krakowie, tek Naruszewicza, krakowskich ksiąg oblat, trzech kopiaryuszy XVII w. archiwum Cystersów w Szczyrzycach, kilkanaście nakoniec z papierów pozostałych po Helclu. Do trzeciéj wreszcie kategoryi, odnieść wypada dyplomaty z innych wydawnictw już znane, przedrukowane jednakże w niniejszym kodeksie z powodu rzadkości dzieł, w których były pierwotnie ogłoszone, lub téż z powodu błędnego i niedokładnego wydania, jak to się dzieje z dwudziestu kilku dyplomatami, znajdującemi się w III tomie Kodeksu dyplomatycznego polskiego.

W przedmowie, poprzedzającéj zbiór dokumentów, daje wydawca niezbędne wyjaśnienia: wylicza archiwa, z których czerpał, opisuje kopiaryusze, z których robił odpisy, jako téż rozpatruje dotychczasowe na tém polu prace swoich poprzedników w celu określenia stosunku, w jakim niniejszy kodeks względem poprzednich zostaje; po przedmowie podany jest chronologiczny opis dokumentów w dziele zawartych, na końcu zaś znajdują się cztery wykazy: 1) osób, 2) miejscowości, 3) książąt i królów polskich, tudzież dostojników duchownych i świeckich dawnych księstw, Krakowskiego i Sandomierskiego i 4) przedmiotów, które w poprzednich trzech wykazach miejsca nie znalazły, a także słownik wy-

rażeń polskich i prawnych; wreszcie po tych wykazach dwie karty dodatków i sprostowań.

Zdawszy czytelnikom sprawozdanie z zawartości kodeksu, wypada mi z kolei powiedzieć o tém, w jaki sposób i jak wydawca wywiązał się ze swego zadania. Zdawać się może niewtajemniczonym, że wydanie jakichkolwiek dokumentów, w szczególności zaś dyplomatów, jest rzeczą łatwą; lecz tak nie jest mianowicie w tym razie, jeżeli się ma na celu rzeczywistą korzyść dla nauki. Oprócz niezbędnej biegłości w paleografii, wymaga jeszcze ta praca od zajmującego się nią dokładnej znajomości historyi politycznej, instytucyj i urządzeń wewnętrznych, prawa, nauk pomocniczych historyi, oraz umiejętności w ogóle traktowania przedmiotu, której nabyć można własnemi praktycznemi studyami. Przyjemnie jest, przejrzawszy to dzieło, przyznać, że wydawca jego wszystkie potrzebne ku temu zalety i warunki w wysokim stopniu posiada i że z temi zaletami połączył jeszcze wielką staranność i pilność, ażeby jak najlepiej wywiązać się ze swego zadania i wydać dzieło, odpowiadające wymaganiom tegoczesnej nauki i krytyki. Dyplomaty w obecnym kodeksie przedrukowane są z nadzwyczajną dokładnością, rzecby można nawet odfotografowane; zachowane są bowiem, nie mówiąc już nic o pisowni, duże początkowe litery, tam gdzie się one znajdują w oryginałach, a gdzie dzisiajbyśmy ich nie użyli, zachowana nawet takaż sama, jak w oryginałach, interpunkcya. Pod każdym z dokumentów znajdują się w odnośnikach wiadomości—gdzie są oryginały lub zkąd wzięta kopia, opisane są dyplomaty, pieczęcie, objaśnione położenie miejscowości napotykanych w dokumencie, jako też cały szereg uwag i objaśnień, w których wydawca zwraca uwagę czytelnika na wszelkie nasuwające się wątpliwości, objaśnia je, krytykuje autentyczność dokumentów, świadków i t. p., posługując się wszystkiemi środkami, jakie umiejętność historyczna i dyplomatyka podaje. Uwagi te dowodzą wielkiej erudycyi autora i znajomości tak źródeł, jako i odnoszących się do przedmiotu opracowań historycznych, zarówno cudzoziemskich literatur, jak i naszej. Tyle co do dokumentów wydanych z oryginałów—korzystać z nich można z wszelką ufnością, gdyż wielka staranność wydawcy w wiernem odtwarzaniu oryginału dostateczną jest w tym względzie rękojmią. Co się tyczy dokumentów wydanych w kodeksie z kopij, to i tutaj wydawca nie szczędził równej pracy i, na podstawie umiejętnej krytyki i znajomości dyplomatyki, poprawiał, niekiedy omyłki popełnione przez kopistów; jednakże poprawki takie, w szczególności zaś dotyczące nazwisk osób i miejscowości, nie zawsze są możliwe,

i jeżeli są w takich dokumentach jakieś niedokładności lub błędy, nie jest to winą wydawcy, lecz kopisty, który przepisywał dokument. Z tego powodu, z podobnych dokumentów korzystać należy z pewną ostrożnością. Kopistom XVII lub XVIII wieku zupełnie dowierzać nie możemy dla tego najprzód, że nie byli oni, jak o tém nieraz się już przekonaliśmy, bardzo biegłymi w odczytywaniu i że nie chodziło im w tych rzeczach o taką dokładność, jak nam; powtóre, o ile częściéj mogli popełniać przy przepisywaniu omyłki tacy kopiści, jeżeli w naszych czasach w obec większych daleko naukowych wymagań wielcy nawet uczeni, jak Helcel, robili czasami „z oryginału dziwnie dobrze dochowanego" niedokładne kopie. Żeby to ostatnie twierdzenie nie wydało się komu gołosłowném, nadmieniam, że nie ja do niego doszedłem, lecz wydawca kodeksu Wielkopolskiego; skoro kodeks będzie wydany, co zapewne niedługo nastąpi, każdy o prawdziwości tego twierdzenia będzie się mógł dowodnie przekonać.

Lecz wracam do kodeksu Małopolskiego. Niewdzięczną byłoby pracą wykazywać wszystkie drobne usterki, jakie tu i owdzie się zdarzają; tak np. nie wskazano, gdzie się znajdują oryginały dokumentów Nr. 154, 230, 314 i t. d.; str. 58—61 nie zamienione są średniowieczne daty na nowe w bulach Celestyna III, str. 24, 420 nieobjaśniono położenia rzek i miejscowości. Klasztor Cystersów Sulejowskich raz (str. 11, nr. 3) leży na prawym brzegu Pilicy w woj. Sandomierskiém, pow. Opoczyńskim, drugi raz (str. 15, nota 3) w woj. Kaliskiém, obw. i pow. Piotrkowskim; na str. 288, n. 1 mówi wydawca, że „oryginał opatrzony pieczęcią zawieszoną na sznurku z szafirowego jedwabiu znajdował się w Metryce koronéj", z czego wypadałoby, że metryki koronne były jakimś archiwem, tymczasem zaś są to księgi, w których znajdują się tylko pierwowzory wszystkich dokumentów, wystawionych przez królów, i na podstawie których to ksiąg kanclerze wydawali oryginały; w wykazie miejscowości pod wyrazem „Osiek" nie ma odnośnika do str. 94 i 95, pod wyrazem zaś „Sącz nowy"—fałszywy odnośnik do str. 160. Niedokładności takich jednakże jest bardzo mało; wskazałem ich tylko parę exempli gratia; każdy choć cokolwiek obznajmiony z tego rodzaju pracą wié, że mimo wszelkiéj uwagi uniknąć ich nie można; są one zresztą nieznaczne i łatwo je sprostować; pomijam je więc milczeniem i podaję jeszcze parę uwag innego rodzaju.

W dwóch miejscach przedmowy poprzedzającéj kodeks, a mianowicie na str. XVIII i XXII—XXIII, twierdzi dr. Piekosiński, że pomiędzy innemi i klasztor Bożogrobców w Miechowie wy-

czerpał cały swój materyał dyplomatyczny. Prawda, że w Nakielskiego dziele „Miechovia,“ znajduje się bardzo dużo dyplomatów i bul tego klasztoru i zgromadzenia dotyczących się, lecz to jeszcze nie upoważnia (innéj bowiem, sądzę, podstawy wydawca nie miał do tego twierdzenia) do zdania, że Nakielski ogłosił „*cały* zasób przywilejów, tudzież bul“, jakie to zgromadzenie posiadało. Że tak nie jest, dowodzą tego następujące fakty: 1) Bartoszewicz w III tomie kodeksu dyplomatycznego polskiego wydał kilka dokumentów, których nie podał Nakielski, mimo że się odnoszą do Miechowskiego klasztoru; 2) ja znam jeszcze siedm takich dokumentów, których u Nakielskiego nie ma; pięć z nich znajduje się w archiwum ks. Czartoryskich, dwa zaś dotąd między kilku innemi są w Miechowie w rękach miejscowego proboszcza ks. kan. J. N. Kryszkiera; w jednym z nich Stefan de Pinu, generalny audytor kuryi rzymskiéj, w Awinionie przedostatniego Maja r. 1341 potwierdza bulę Urbana IV, dozwalającą Bożogrobcom Miechowskim budować kaplice i miejsca modlitwy we wszystkich należących do nich dobrach; w drugim zaś Sobór Bazylejski IV Idus Decembris (10 Grudnia) r. 1434 potwierdza temuż klasztorowi wszystkie posiadane przez niego dotąd dobra, przywileje, odpusty i t. d.

Nie wiém również na jakiéj podstawie dosyć stanowczo orzeka p Piekosiński (na stron. XVIII), że Nakielski „w *poprawnym* tekscie“ ogłaszał dokumenty. Jestem w tym względzie odmiennego cokolwiek zdania, a to z następujących powodów: 1) tamże, to jest w Miechowie, znajduje się dotąd wielki konfirmacyjny dokument patryarchy Jerozolimskiego Wilhelma, wydany klasztorowi Miechowskiemu w Awinionie 12 Marca r. 1374; porównywając ten oryginał z tekstem podanym przez Nakielskiego (na str. 305—309), zauważyłem, że Nakielski pozwolił sobie wypuścić z niego nietylko trudniejsze do odczytania wyrazy, ale nawet i zdania całe; 2) w dyplomacie Bolesława, wydrukowanym w „Miechovia“, na str. 159, opuścił Nakielski nie więcéj jak tylko datę „VIII Idus Junii“. Czyż i to jest dowód poprawności?

W Gabinecie Archeologicznym w Krakowie złożonym był czasowo niewielki, z dziewięćdziesięciu kilku sztuk składający się zbiorek dyplomatów, pochodzący ze zbiorów Tomasza Zielińskiego w Kielcach, a należący obecnie do archiwum ks. Czartoryskich; z pomiędzy tych dyplomatów, większa część jest już ogłoszona w Kodeksie dyplomatycznym polskim (co jest zanotowane na odwrotnéj stronie dyplomatu), z pozostałych zaś, wyłącznie prawie miechowskiego klasztoru przywilejów, także wiele wydrukowanych jest w dziele Nakielskiego. Te zapewne okoliczności były przy-

czyną, że dr. Piekosiński, zbierając materyały do niniejszego kodeksu, zbyt powierzchownie zbiór ten przeglądał, i uwagi jego uszło kilka nieznanych jeszcze, a tam znajdujących się dyplomatów; mianowicie zaś z małopolskich do roku 1386 następujące:

1) 1235 VIII Idus Junii (6 Czerwca) w Skale Bolesław ks. Sandomierski z matką Grzymisławą potwierdza sprzedaż wsi Girscovic przez właścicieli Bogusława, Wojciecha i Jana klasztorowi Bożogrobców w Miechowie (jest w Nakielskim na str. 159, ale, jak powiedziałem wyżéj, z opuszczeniem daty bliższéj).

2) 1250 XVII kal. Augusti czyli nazajutrz po święcie rozesłania Apostołów (16 Lipca) F(ulko) arcybiskup Gnieźnieński, P(randota) Krakowski, T(omasz) Wrocławski i N(anker) Lubuski biskupi potwierdzają klasztorowi Miechowskiemu bulę Innocentego III.

3) 1256 w dzień Narodzenia N. M. P. (8 Września) w Zawichoście Bolesław ks. Krakowski i Sandomierski pozwala miechowskim zakonnikom łowić bobry w rzekach Radomiria i Visla około wsi Suircenice.

4) 1262 IV nonas Octobris (4 Października) w Monsflasconis Urban IV poleca arcybiskupowi Gnieźnieńskiemu (Janowi II) rzucić exkommunikę na Bolesława ks. Krakowskiego, jeżeliby nie chciał wrócić klasztorowi Bożogrobców w Miechowie zabranych dóbr.

5) 1281 primo nonis Maii (6 Maja) w Rzymie Marcin IV udziela przełożonemu Miechowskiego klasztoru prawo nakładania bez apelacyi cenzur duchownych na podwładnych mu braci i konwersów.

6) 1289 III Idus Octobris (13 Października) w Lubiążu Drego Jędrzejowski, Tomasz Lubiązki, Egidiusz Wąchocki, Stefan Koprzywnicki, opaci, i inni tychże zakonów starsi potwierdzają donacye klasztoru Sulejowskiego.

7) 1362 w poniedziałek po niedzieli Invocavit (7 Marca) w Krakowie król Kazimierz potwierdza na prośbę Janusza, Przecława i Lamberta akt kupna przez nich wsi Pstroszicze.

8) 1365 24 Stycznia w Budzie Ludwik król Węgierski obiecuje uroczyście w czasie swego panowania nie nakładać podatków i ciężarów.

Tak więc za nadto ignorując ten zbiorek, pozbawił się wydawca sposobności powiększenia swojego dzieła i ogłoszenia powyższych dyplomatów, pod względem ważności nieustępujących wcale innym w kodeksie zawartym.

Kończąc niniejsze sprawozdanie, zrobię kodeksowi jeszcze jeden zarzut, mianowicie, że podane w nim przez wydawcę objaśnienia położenia miejscowości dzisiejszego Królestwa Polskiego, nie odpowiadają swojemu celowi, bo na ich podstawie trudno jest dzisiaj jakąkolwiek miejscowość odszukać, gdyż podział królestwa na województwa, obwody i powiaty już nie istnieje. Objaśnienia daje wydawca na podstawie „Tabelli miast, wsi i osad Królestwa Polskiego" wydanéj w r. 1827, w skutek tego według wydawcy Płock *jest* miasto wojewódzkie (str. 172, n. 2), Opatów znowu nazwany miastem obwodowém woj. Sandomierskiego (stron. 416, not. 3) jest zaś powiatowém miastem gubernii Radomskiéj; Olkusz, powiatowe miasto gub. Kieleckiéj, jest nazwany miasteczkiem obwodowém województwa Krakowskiego (159, 3), Koniusza umieszczona w woj. i powiecie Krakowskim (343, 2), a leży w pow. Miechowskim gub. kieleckiéj; Czarnca obecnie znajduje się w pow. Włoszczowskim gub. Kieleckiéj, a nie w obw. i pow. Kieleckim (340, 3); Brzesko nowe umieszczono w woj. i pow. Krakowskim, obw. Miechowskim (109, 2), gdy ono znajduje się w pow. Miechowskim gub. Kieleckiéj. Podobnych przykładów możnaby przytoczyć wiele. Objaśnienia takie, jak powiedziałem, *ze względu na rok wydania kodeksu*, przyczyniają się tylko do zamięszania i mogą tylko w błąd wprowadzić, albowiem: 1) województw i obwodów nie ma, pozostały dotychczas tylko powiaty; większa ich część dotąd tak samo się nazywa, lecz granice ich obecne są zupełnie inne jak dawniéj — ta ostatnia okoliczność najwięcéj gmatwa sprawę; 2) nieświadomy np. cudzoziemski uczony może sądzić (o co nie trudno), że taki podział Królestwa istnieje dotąd, tym bardziéj, że wydawca względem tych objaśnień żadnego zastrzeżenia nie zrobił. Jeżeli życzeniem wydawcy było dać dokładne objaśnienia, należało, według mego zdania, pwiedzieć w jakiéj ziemi leżała miejscowość w tym roku, *w którym dyplomat wydany* i w jakiéj guberni i powiecie leży obecnie t. j. w roku, *w którym kodeks się wydaje.* Objąśnienia takie podać nie byłoby trudno, posiłkując się dokładną mapą.

Lepiéjby było, gdyby zamiast wypisów z owéj „Tabelli" wydawca na podstawie mapy powiedział, że dana miejscowość znajduje się pod tém a tém miasteczkiem, albo na południe, wschód, północ od tego a tego miasta; każdy bowiem, kto bierze kodeks do ręki w celu naukowego korzystania z niego, z geografią Polski obznajmiony jest dotyla, że podobne objaśnienie, jako wskazówka, byłoby dla niego wystarczającém. Najlepiéj wreszcie byłoby, gdyby wydawca dołączył do kodeksu mapę całéj Małopolski, lub

każdego ze składających ją województw oddzielnie i oznaczył na niéj te miejscowości, o których w kodeksie mowa; byłaby to nowość wielce pożądana i użyteczna, a która przysporzyłaby wydawcy jednę zasługę więcéj. Żałować również wypada, że wydawca, znalazłszy w niedostępnych prawie zupełnie niektórych klasztornych archiwach krakowskich piękne a nieznane dotychczas okazy pieczęci, nie postarał się o wydanie ich podobizn; opisane są, co prawda, pieczęcie w przypiskach do dokumentów, lecz każdy wié o tém dobrze, że najdokładniejszy opis rysunku nie zastąpi. Ozdobą kodeksu jest jedna tablica facsimilów, lecz i ta niezupełnie nas zadowolniła: przedstawia bowiem tylko *kawałki kilku wierszy* oryginalnego pisma; dwie z tych podobizn wzięte są z autentycznych, a dwie z podrobionych dyplomatów; pod względem nakoniec formatu, papiéru i druku, kodeks nic do życzenia nie pozostawia.

Teodor Wierzbowski.

Dziejopisarstwo polskie wieków średnich, dzieło prof. H. Zeissberga, uwieńczone nagrodą przez Towarzystwo imienia ks. J. A. Jabłonowskiego w Lipsku, przekład z niemieckiego, 2 tomy, Warszawa 1877.

Trzéj spółcześni historycy niemieccy—Roeppeł, Caro i Zeissberg odznaczają się gruntowną znajomością dziejów polskich, których zbadaniu poświęcili kilka dzieł cennych. Trzy te imiona nie powiny być u nas obce nikomu, kogo historya ojczysta obchodzi: należą one niejako po części do naszéj historycznéj literatury. Zanim doczekamy się przekładu prac pierwszych dwóch historyków, tymczasem poznajemy szacowne dzieło Zeissberga, niegdyś profesora we Lwowie, a obecnie w Wiedniu—dzieło uwieńczone nagrodą konkursową, w celu pozyskania któréj zostało napisane na temat zadany.

Już z pierwszych kart przedmowy można poznać, że autor w zupełności owładnął swoim przedmiotem: widocznie zna i czytał wszystkie kroniki, materyały źródłowe i prace naszych badaczów z zakresu wybranego przez autora przedmiotu. Erudycya Zeissberga, uwydatniona nietylko w cytatach, ale także w ich zestawieniu, krytyczném porównaniu i zużytkowaniu w tekście samego dzieła, istotnie jest zadziwiającą, prawdziwie niemiecką. Jest to niewątpliwie pewném dla nas upokorzeniem, że pierwsze niemal zupełne dzieło o dziejopisarzach naszych średniowiecznych napisał

cudzoziemiec: uwydatnia to sam autor niejednokrotnie i we wstępie przypomina często, że nawet w wydawaniu źródeł historycznych polskich i kronik, jak teraz tak i dawniéj, więcéj zasłużyli się cudzoziemcy, a mianowicie Niemcy, niż Polacy. Wszelako pod tym względem autor wpada nieco w przesadę i niezupełnie ma słuszność: przecię w tym samym wstępie, widocznie przeznaczonym głównie dla mało obeznanych z literaturą naszą naukową Niemców, przebiega w krótkości zasługi głównych badaczów historyografii polskiéj i wydawców źródeł, od Tretera i Herburta (w wieku XVII) do Bielowskiego, Przeździeckiego, Działyńskiego, Mosbacha i innych spółczesnych, a poczet to wcale pokaźny i nie tak nieznaczny, jak go autor ogólnikowo przedstawić usiłuje. Pracowników polskich na niwie historyografii autor sądzi bardzo surowo, jak Bielowskiego czasem niesprawiedliwie, jak Lelewela i Przeździeckiego; zasługi zaś Niemców często przecenia, jak np. Mitzlera, który przecięż wydał tylko w powtórnéj edycyi Kadłubka i Długosza. O spółczesnych, Komarnickim i Świeżawskim, autor wspomina z zupełném lekceważeniem. Najnieprzyjemniéj wszelako razi nas ustęp zamieszczony na str. 15, w którym autor potępia ryczałtowo ducha i usposobienie naszego społeczeństwa i naszych uczonych. Powiada tam, że „od śmierci Lelewela (którego poglądy nazwał tylko co na str. 12 *zupełnie bezzasadnemi* !) historyografia polska, zamiast postąpić, wstecz się cofnęła.“ Sprzeczność ztąd pochodzi, że przytoczone dopiéro co zdanie wziął Zeissberg z artykułu Ksaw. Liskego w Sybla Historische Zeitschr (1). Dalsze uwagi o przyczynach tego zacofania pochodzą już od samego Zeissberga: mowa tam o tém, że „*szlachetniejsze nawet natury*“ (między Polakami) nie mają trafnego pojęcia o stosunku teraźniejszości do przyszłości, ani zmysłu historycznego, gdyż „młodość ich minęła *na rwaniu się* (śród porywania się) do niedojrzałych pomysłów;“ że panuje u nas „moda odwracania się od mozolnéj pracy nad gruntownem zbadaniem pierwiastkowych dziejów;“ że nawet „szczupłe grono uczonych nie umiało wyswobodzić się zupełnie z pod wpływu otaczających okoliczności“ i t. p. W tych i podobnych uwagach (gdyż nie przytaczamy ich wszystkich) jest niewątpliwie cząstka prawdy, ale tu ona wypowiedziana zbyt ryczałtowo i bez względu na zasługi lekceważonych przez autora pracowników.

---

(1) T. XVIII (1867 Jahrgang) str. 359.

Przegląd pomników dziejowych polskich rozpoczyna autor od wzmianki o najdawniejszych wiadomościach dotyczących się Polski w kronice Widukinda i od zajmujących szczegółów o najdawniejszym, jako nazywa, zabytku historycznym, napisanym po łacinie w wieku X p. t. „Męczeństwo św. Wojciecha" (Passio s. Adalberti), a niedawno przez Bielowskiego odkrytym. Cały rozdział następnie poświęca kronice Galla. Zestawia tu wszystkie mniemania o narodowości i nazwisku kronikarza i dochodzi do przekonania, że niewątpliwie był cudzoziemcem, ale nie masz pewności, czy nazywał się istotnie Marcinem i Gallem, a także czy to ostatnie miano oznacza francuza. Zdawałoby się nam tylko, że o kronice Galla autor mówi zbyt krótko, w porównaniu np. z tém, co mówi o Kadłubku: wielu z czytelników, zmuszonych poprzestać na tém, o czém dowiedzą się z niniejszego dzieła, niezbyt dokladne powezmą wyobrażenie o układzie i treści tego najdawniejszego zabytku historyografii w Polsce. Obficie rozrzucone w kronice szczątki podań ludowych, które autor podaje nawet, jako jedno ze źródeł swoich wiadomości, równie jak w szatę łacińską przybrane całkowite pieśni historyczne ludowe i wzmianki o wielu innych, są niezmiernie wdzięcznym i ciekawym przedmiotem, oczekującym jeszcze dotąd napróżno na wszechstronnego badacza.

Rozdział o Kadłubku należy do najbardziéj zajmujących. W kwestyi samego tego przezwiska mistrza Wincentego, autor zestawiwszy rozmaite mniemania i wywody uczonych w tym przedmiocie, skłania się do przypuszczenia, że Kadłubek było to imię ojca historyka, nie zaś żartobliwym przydomkiem samego Wincentego, ani spolszczeniem niemieckiego Gottlob, jak mniemał Bielowski, którego naciągane wywody słusznie odrzuca. W związku z tém Zeissberg podaje w wątpliwość i wiadomość Długosza, jakoby mistrz Wincenty był synem Bogusława (po niem. Gottlob) ze szlacheckiego domu herbu Róża, a kwestyą pochodzenia Kadłubka pozostawia nierozstrzygniętą. W drugiéj ważnéj kwestyi, tyczącéj się autorstwa Mateusza herbu Cholewa, któremu Jan Dąbrówka komentator Kadłubka z XV w. i część uczonych z Lelewelem na czele przyznawała pierwsze trzy księgi kroniki Kadłubkowéj, Zeissberg występuje stanowczo przeciwko temu przypuszczeniu i, zdaniem naszém, przekonywająco dowodzi, że autorem wszystkich części kroniki był sam Wincenty. Nakoniec w trzeciéj równie spornéj kwestyi czasu, kiedy kronika została napisaną, Zeissberg stanowczo nie wyrokuje, lecz uważa za bardzo prawdopodobne, że mistrz Wincenty oddał się téj pracy już po zrzezygno-

waniu z biskupstwa, w klasztorze jędrzejowskim, a więc w okresie między rokiem 1218 i 1223.

Wszelako wyczerpującéj krytyki bajecznych podań Kadłubka o Alexandrze W., Cezarze, Leszkach, Popielu i t. d. u Zeissberga nie znajdujemy: w krótkości tylko wykazuje autor, że źródłem tych splątanych, bez względu na chronologią, wiadomości był Justyn, a po części podania pomorskie, duńskie i pannońskie. Co do myszy Popiela, osnowa tego podania niewątpliwie sięga prastarych mitów aryjskich, jak to po części wykazali Liebrecht i Grohman, ale autor nie przytacza nic z dzieł tych uczonych, mało u nas znanych. W tym samym rozdziale mówi autor i o Dzierzwie, z powodu którego uczeni nasi toczyli spory: Zeissberg uważa go za późniejszego od Kadłubka, z którego kroniki korzystał, wbrew Bielowskiemu, który sądzi wprost przeciwnie, że Dzierzwa był źródłem dla Kadłubka.

W następnym rozdziale mówi autor o zasługach Dominikanów i Franciszkanów dla dziejopisarstwa krajowego. Obszerniéj wspomina tu o żywotach św. Stanisława, sw. Jacka i św. Kingi. Z okazyi pierwszego w krótkości zaznacza, jak wyrabiała się legenda o męczeństwie św. Stanisława, począwszy od bliskiego mu, prawie spółczesnego Gallusa, który pokrótce tylko wspomina o „ukaraniu biskupa za zdradę“ aż do Kadłubka i autora żywota (Wincentego z Kielc), który sławił życie i cuda męczennika już po jego kanonizacyi, zaszłéj w roku 1253. Podobnie jak uczony Abel w znaném dziele o św. Janie Nepomucenie, tak i Zeissberg tłómaczy wskrzeszenie pamięci zapomnianego już nieco biskupa usiłowaniom duchowieństwa, które chciało dać Polsce narodowego patrona, na jakim dotąd Polakom zbywało: toż niedawno jeszcze, przed kanonizacyą św. Stanisława, Kazimierz Sprawiedliwy sprowadził niejako dla Polski z Rzymu patrona w św Floryanie. Mówi jeszcze autor, że za Bolesława Wstydliwego, w czasach tylu „świętych książąt“ z domu Piastów, przywiązanie tego domu do religii i kościoła przeważyło nad czcią dla pamięci Bolesława Śmiałego, i można było przeprowadzić kanonizacyą, która była potępieniem tego króla, jako zabójcy świętego. Wszelako nowych poglądów krytycznych na stosunek św. Stanisława do Bolesława, autor nie daje: nie wypowiada nawet swego zdania—czego przedewszystkiém bylibyśmy ciekawi—o nowszych hypotezach, zresztą należycie nieuzasadnionych, jakoby św. Stanisław łączył się z Czechami przeciwko Bolesławowi, albo też (hypoteza E. Świeżawskiego, ostatnio jeszcze w Bibl. Warsz. 1877 Styczeń str. 133 wypowiedziana), jakoby Bolesław Śmiały był „poplecznikiem pogaństwa.“ Zresztą Zeiss-

berg (I. 117) odmawia naukowéj wartości głównéj pracy wymienionego autora „Zarysy badań krytycznych“ równie jak i wydanéj r. 1870 w Dreźnie pracy Z. K. p. t. „Stanisław święty i Bolesław Śmiały;“ dziełu zaś M. Dzieduszyckiego, który zebrał rozmaite poglądy na św. Stanisława, zarzuca pogląd zbyt zachowawczy (I 120).

Mówiąc w dalszym ciągu o kronice Baszkona, autor polemizuje z tymi, którzy chcieliby całą tę pracę przypisać Boguchwałowi: stając w obronie autorstwa Baszkona, przynajmniéj co do znacznéj części kroniki, zresztą autor nie roztrzyga stanowczo pytania, które mianowicie księgi możnaby z pewnością przypisać Baszkonowi, a które uważać należy za utwór Boguchwała.

Rozdział o dziejopisach szląskich bardzo jest ciekawy, gdyż o tych wiedzą u nas zaledwie historycy specyaliści. Mamy tu więc zajmujące szczegóły o annalach Cystersów Henrykowskich, o kronice Rositza i t. d., a niektóre przez autora przytaczane wiadomości dają nam wyobrażenie o postępach germanizacyi i walce narodowości polskiéj z niemiecką na Szląsku w wiekach średnich. Wiadomo, że zniemczeni książęta Piastowie i sprowadzani przez nich osadnicy i mnisi niemieccy byli głównymi poplecznikami i skutecznymi krzewicielami germanizacyi. Mnisi, sprowadzani do Szląska, malują ten kraj jako zupełnie dziki i barbarzyński, oczekujący dobrodziejstw cywilizacyi niemieckiéj; wspominając o podobnych opisach, autor dodaje, że niektórzy historycy niemieccy uważają te obrazy za przesadne, ale sam do nich się nie zalicza (I 152). Przytacza jednak parę ciekawych wiadomości, świadczących, że czasem i osoby z rodziny książęcéj, a głównie duchowieństwo świeckie, przy pomocy papieżów, starali się powstrzymać zniemczenie i bronili interesów ludności krajowéj. Tak Kunegunda, małżonka króla czeskiego Ottokara II, wyrzucała swojéj krewnéj, Agnieszce córce Henryka Brodatego, że ona, jakkolwiek polska i czeska krew płynie w jéj żyłach, miasto nieść pomoc uciśnionym współrodakom, występuje surowo przeciwko polskim i czeskim minorytom (bernardynom), popierając niemieckich. Ta sama Kunegunda skarżyła się w liście do jednego kardynała, że polscy zakonnicy pozbawieni są nawet możności wybierania przełożonych ze swego grona. Przytacza także autor postanowienia synodów duchownych w Łęczycy i Gnieźnie, ażeby posady nauczycieli szkół i plebanów zajmowali ludzie władający językiem polskim; jeszcze nawet w XIV w. istniało postanowienie, przez papieża sankcyonowane, że biskupem wrocławskim mógł być tylko polak. Reszta tomu I-go, poświęcona Janowi z Czarnkowa, akademii krakowskiéj i źródłom dziejowym poprzedzającym Długosza, nie zawiera nic

szczególnie uwagi godnego: wiele tu wiadomości o szkołach i stanie oświaty w Polsce, ciekawych, ale, jak dla nas, elementarnych; dla Niemców jednak i tu wiele zapewne nowego.

Większa część tomu II jest poświęcona Długoszowi. Żywot jego skréślony tu obszernie i szczegółowo; z równą starannością autor przytacza wszystkie źródła, z których korzystał Długosz. Niemniéj skrzętnie wytyka autor Długoszowi wszystkie ważniejsze błędy chronologiczne i faktyczne (str. 167 i nast.); zarzuca mu nadto w ogóle uzupełnianie faktów, przenoszenie własnych poglądów do epok odległych, przekręcanie prawdy z pobudek klerykalnych i krasomówczych, niechęć do cudzoziemców, a zwłaszcza do Czechów, których stosunki wojenne z Polską przedstawia w skutek tego niedokładnie i stronnie. Cieszy się jednak Zeissberg, że Długosz nie okazuje niechęci Niemcom, a nawet parę razy ocenia przewagę niemieckiego wykształcenia. Niepodobna wszelako uznać za słuszny zarzutu klerykalizmu i religijnego zapatrywania się na wypadki: pisarz XV wieku i przytém sam duchowny nie mógł inaczéj patrzéć na rzeczy; byłoby owszem rzeczą dziwną i prawie niemożliwą spodziewać się od Długosza innego poglądu, a nawet podobne wymaganie samo byłoby „przenoszeniem poglądów dzisiejszych do epoki odległéj"—błędem, który autor Długoszowi zarzuca. Zresztą taki pogląd u Długosza rzadko mąci fakta dziejowe: tak np. wiara jego w karę boską za zabójstwo św. Stanisława, któréj to kary wynikiem miały być późniejsze wypadki, nie pozwala nam, choćbyśmy téj wiary nie podzielali, wątpić o prawdziwości owych wypadków, jeżeli te w innych źródłach historycznych znajdują potwierdzenie. Zarzuty swoje przeciwko Długoszowi wziął Zeissberg przeważnie z dzieła Dra Caro.

Ostatni rozdział dzieła, poświęcony Grzegorzowi z Sanoka, Kallimachowi i dziejopisarstwu poprzedzającemu bezpośrednio epokę odrodzenia, jest już tylko dodatkowym, stanowiącym zamknięcie. Doszedłszy w swojém przedstawieniu od pierwszych zabytków kronikarskich do pierwszego w Polsce historyka we właściwém tego wyrazu znaczeniu—Długosza, stojącego na granicy wieków średnich i przedświtu złotego wieku, autor pracowicie jeszcze wykazał zarody nowego ruchu umysłowego, początki rozwoju oświaty i nauk w Polsce przy końcu wieku XV. Rzecz o pamiętnikach Janczara, zwanego Polakiem, jest zamknięciem dzieła. Autor uważa tego janczara (Michała Konstantynowicza) za Serba, ale skłania się do przypuszczenia, że jego dzieło było oryginalnie napisane popolsku, a więc stanowi pierwszy zabytek historyczny w języku polskim.

Wspomnimy tu jeszcze, że w licznych przypisach do dzieła wskazaną jest prawie wyczerpująco cała literatura traktowanego przedmiotu. Zestawienie to zostało po raz piewszy dokonane w jedném dziele, równie jak wyczerpujący opis wszystkich rękopismów, do każdego rozdziału dodany.

Pragnęlibyśmy bardzo, ażeby dzieło wartości tak wysokiéj było wolne od ducha stronniczego i uprzedzeń narodowych, a jednak, niestety, nie możemy tego powiedzieć o pracy Zeissberga. Nietylko bowiem, jak to przytoczyliśmy już powyżéj, dla badaczów niemieckich daleko jest łaskawszym niż dla polskich; nietylko, jak przytoczymy niżéj, zachwala w wielu miejscach przewagę kultury niemieckiéj i wypowiada dążności germanizacyjne, dość nawet rażące w książce podobnéj treści, ale niekiedy zdawałoby się, że sympatya lub przyjaźń tego lub owego historyka polskiego jest dla autora miarą wartości poglądów historycznych. Tak np. w tomie I na str. 12 czytamy: „można zresztą za zasługę poczytać Lelewelowi, *zresztą niezbyt przychylnie dla Niemców usposobionemu* i t. d. Ztąd można wnosić, że autor tylko wyjątkowo odważa się w obec swych czytelników niemieckich przypisywać jakąś zasługę historykowi, nieprzyjaźnie dla Niemców usposobionemu, co jakby uważa za niezbyt logiczne, bo inaczéj owego całkiem niepotrzebnego tu dodatku rozumieć nie można. Wzbudza to nadto w czytelniku polskim podejrzenie, że może właśnie z powodu téj antypatyi Lelewela do Niemców autor w kilku miejscach nazywa go *przecenianym*, a poglądy jego *zupełnie bezzasadnemi* (str. 12 i 13) i to gołosłownie, nie objaśniając, w czém mianowicie Lelewel błądził.

We wstępie do rozdziału VII tomu I-go (Źródła dziejowe Szląska), autor rachuje Czechy do Niemiec (str. 144) i z krasomówczym zapałem unosi się nad dziełem germanizacyi Szląska, dokonaném wrzekomo „cichą, powolną, niemniéj wszakże skuteczną drogą pracy niemieckiéj i przewagą oświaty zachodu,“ w czém widzi wielkie szczęście dla téj krainy. „Dla swego własnego szczęścia,“ powiada, „oraz na korzyść ludzkości piękna ta kraina, wyrwana zawczasu z bezładu i zamętu, panującego w Polsce, skierowaną została na nowe tory życia niemieckiego, wśród którego z postępem czasu zaszczytne zajęła miejsce“ (I. 146). O owéj *cichéj* pracy wiele byłoby do powiedzenia; zresztą wzmiankowane przez nas powyżéj szczegóły, przez samego autora przytoczone, świadczą, że owa cicha praca była częstokroć gwałtem i przemocą, podobnie jak i teraz. Zresztą, jeżeli w Polsce panował „bezład i zamęt“ w epoce początku germanizacyi Szląska (w XIII wieku), to nie-

mniejszy zamęt panował wówczas i w Niemczech. Nieco dalej (I. 189) Zeissberg przytacza wyjątek z Grunhagena, który powiada: „nienawiść Niemców ku słowiańszczyźnie ciągnie się, niby nić czerwona, przez cały tok średniowiecznych dziejów Szląska“ a zapewne, że ta nienawiść nie musiała nadawać cech „powolnéj i cichéj pracy cywilizacyjnéj“ pierwszym zabiegom kulturtregerów szląskich. Niechęć autora, już nietylko do Polaków, ale do Słowian w ogólności, nietylko rodzi podobne powyższym poglądy, ale nawet prowadzi do zdumiewającego fałszowania wypadków dziejowych: oto np. w têm samém miejscu (I. 189), zgodnie z wypowiedzianém powyżéj przekonaniem o istnieniu Czech odrębnych od Niemiec, Zeissberg powiada: „pod koniec wieku XIV podniosło się po raz pierwszy *widmo czechizmu*,“ zapewne jako scysya śród ogólnéj ojczyzny niemieckiéj! Mógłby więc kto pomyśléć, że czeskie państwo i narodowość przed XIV wiekiem nie istniały wcale: za nic więc należy uważać królestwo Wacławów, Bolesławów i Ottokarów! Nieco poniżéj autor uwielbia przekonanie „o wyższości żywiołu niemieckiego nad polskim,“ które dostrzega w pismach Szlązaka Stenusa i dodaje, że „ze współczuciem należy czytać“ ustęp, który przytacza, a który głosi, że Polacy są szorstcy, grubi, leniwi etc., a Niemcy, rozumié się, gładcy, cywilizowani, grzeczni (I. 206). Jeżeli nie możemy wymagać, ażeby tłómacze całkiem opuścili te i tym podobne ultra-niemieckie wybryki autora, to przynajmniéj wolno nam żałować, że w przekładzie nie opatrzono ich żadnemi przypiskami, ani uwagami: ztąd bowiem nie jeden czytelnik wnieść może, iż podobne zdania i poglądy, przez tak uczonego męża głoszone, są niewątpliwemi pewnikami i wynikami krytycznych badań dziejowych. Podobna przyprawa, niestety, stała się w ostatnich czasach niezbędną, nawet w dziełach najpoważniejszych niemieckich. Towarzystwo imienia Jabłonowskiego, któremu autor swą pracę przedstawił, jak wiadomo, tylko z imienia jest nie niemieckiém. Usterki i pomyłki, te ostatnie poczęści może drukarskie, zwłaszcza w datach, nie są zbyt liczne, o ile mogliśmy dostrzedz. Tak w tomie I na str. 37 zamiast r. 1100 powinno być 1110 (data napisania dwóch pierwszych ksiąg kroniki Galla). Na str. 68 po wyrazach „ożenionego z córką“ należy dodać „Leszka Białego.“ W tomie II na stronicy 126 w streszczeniu historyi Długosza opuszczoną jest treść księgi XII. Tu i owdzie napotykamy niektóre niedokładności tłómaczenia tak np. I. 111. zam. biskup *lubelski*, powinno być *lubuski* (von Leubus); I. 247—249 zam. *Mateusz* z Kościan, powinno być *Maciéj* (Mathias) z Kościan; w II t. str. 227 czytamy dwukrotnie *Myzya*, dla ozna-

czenia kraju przyległego do Tracyi i Macedonii, ma być *Mezya*, gdyż Myzya znajdowała się w Azyi Mniejszéj.

Zauważyliśmy nadto, że autor pisze wszędzie Bolesław I, Bolesław II i t. d., opuszczając tak popularne przydomki jak Chrobry, Śmiały, Krzywousty i t. d. Tłómaczom wypadało je dodać, gdyż one w pamięci potomności wzięły nawet przewagę nad chrzestnemi imionami królów i daleko łatwiéj i prędzéj dopomagają do zrozumienia, o którym królu mowa niż liczby porządkowe, które nawet niekiedy są chwiejne (jak np. przy imionach Władysław i Kazimierz liczby porządkowe są inne w epoce książąt, a inne w czasach królów). Podobnież, ilekroć autor wspomina o słynnym w naszych dziejach Piotrze Właście (np. I. 147 nast.) nie dodaje nigdzie przydomku *Dunin*, pod którym powszechnie jest znany.

Pod względem języka i stylu, przekładowi nieco jest do zarzucenia. Trafiają się tu wyrażenia i zwroty niepoprawne, w przeważnéj części rusycyzmy i składnia niekiedy chropawa np. „włosy *dębem* stanęły“ (I. 73); „współcześnik“ (I. 76); „doznał *cudu*, *cudotwórczości*“ (I. 115) „*szerść*“ (II. 1); „któryby odpowiednią barwą z *kapeluszem się stosował*“ (II. 14); „*jawi się* doręczona kapa pożytecznie“ (tamże); „Długosz musiał nawiedzić go (Stefana) *w swym* grodzie“ (II. 30); „do czego dał powód zgon *następujący*“ (II. 32); „rękopis darował Długosz bibliotece wszechnicy krakowskiéj, który obecnie jest w posiadaniu *tegoż miejsca* kapituły katedralnéj“ (II. 89); „*bezprzerwnych*“ (II. 124); „*po zgon* Bolesława IV“ (II 126); i niektóre inne.

Tu i owdzie napotykamy zdania i okresy zbudowane wadliwie i w skutek tego ciemne jak np. „Wincenty zaś, jeżeli w ogóle w Haliczu, to właśnie w tém miejscu jak najmniéj miał środków i t. d.“ (I. 75). Wszelako te i podobne powyższym błędy nie są zbyt liczne i przekład wypada w ogóle uważać za dość staranny. Wydanie troskliwe i ozdobne.

S.

KRONIKA NAUKOWA.

Purpura wzrokowa.

Przypominają sobie zapewne czytelnicy, o niedawno ogłoszoném przez dzienniki odkryciu, że w oku zabitego człowieka pozostaje obraz zabójcy. Wiadomość ta nie zupełnie jest zmyślona: o ile ona oparta jest na faktach, zobaczą czytelnicy z niniejszego sprawozdania.

Franciszek Böll z Rzymu wykazał, że przy badaniu końcowych organów nerwu wzrokowego, utworzonych z pałeczek i czopków, w postaci palisady obok siebie ułożonych, a stanowiących najbardziéj ku tyłowi wysuniętą warstwę, leżącą na ciemnym barwniku naczyniówki, nigdy nie miano tego utworu w zupełnie świeżym stanie. Chcąc go otrzymać w świeżości, należy jak najszybciéj wydobyć gałkę oczną z głowy żaby, trzymanéj w ciemności i dopiéro co zabitéj, przeciąć tę gałkę nożyczkami na połowę, i cienkiemi szczypczykami odłączyć siatkówkę od ciemnego pokładu barwnika i błony naczyniowéj; zobaczymy wtedy, że siatkówka posiada *kolor purpurowy*, bardzo silny. Po dziesięciu sekundach, a w najpomyślniejszych razach po dwudziestu, barwa ta blednie powoli i zwykle zupełnie już znika po upływie tego czasu. Jest to pierwsze stadyum. Następnie, przez 30 lub 60 a niekiedy i więcéj sekund, siatkówka okazuje blask atłasowy. Jestto stadyum drugie. Wreszcie w trzeciém stadyum, traci ten blask i staje się zupełnie przezroczystą, i stan ten trwa kwadrans lub dłużéj. Nakoniec siatkówka staje się powoli mętną i nieprzezroczystą.

Badania mikroskopowe okazały, że zarówno purpurowa barwa pierwszego stadym, jak i blask atłasowy drugiego, mają sie-

dlisko wyłącznie tylko w warstwie pałeczek i to tylko w silnie łamiących światło członkach zewnętrznych, złożonych z nadzwyczaj cienkich blaszek, ułożonych jedna na drugiéj. Pod koniec drugiego stadyum pałeczki pęcznieją i tracą powoli swój blask atłasowy, podobnie jak w końcu pierwszego utraciły barwę purpurową; ich wskaźnik załamania zbliża się do wskaźnika pozostałych warstw siatkówki i błona ta staje się zupełnie przezroczystą. Wreszcie zmętnienie w czwartém stadyum wynika z powodu ścięcia się ciał białkowatych składających te utwory.

Tę szczególną własność żywéj siatkówki zauważono u wszystkich zwierząt, posiadających rozwiniętą warstwę pałeczek. Zdaje się więc, że to purpurowe zabarwienie podczas życia i znikanie téj barwy po śmierci jest powszechną własnością wszystkich zwierząt, obdarzonych rozwiniętemi oczami.

Na zasadzie swych badań Boll podał kilka wniosków, które obiecał poźniéj bliżéj rozebrać i uzasadnić. Z wniosków tych najbardziéj interesującemi są dwa: 1-o, że zabarwienie purpurowe istnieje tylko za życia i ginie wkrótce po śmierci i 2-o że *podczas życia światło wpadajace w oko ciągle niszczy tę barwę.* Od światła dziennego rozproszonego, barwa purpurowa siatkówki blednie, a od dłuższego wpływu bezpośrednich promieni słonecznych (olśnienie) siatkówka zupełnie się odbarwia. *W ciemności jednak znowu powraca silne zabarwienie purpurowe.* „Ta objektywna zmiana członków zewnętrznych,“ powiada Boll, „pod wpływem światła, stanowi niezaprzeczenie jednę z części aktu widzenia“.

W. Kühne rozszerzył zakres wiadomych faktów odnoszących się do odkrytéj przez *Bolla* barwy purpurowéj siatkówki i ogłosił przed wydaniem zapowiedzianych przez ostatniego dopełnień.

Przedewszystkiém Kühne odkrył, że barwnik purpurowy siatkówki, który proponuje nazywać „purpurą wzrokową“ (Sehpurpur) jest niezależny od fizyologicznéj świeżości siatkówki i, że nawet po śmierci, spełza tylko pod wpływem światła. W ciemności, lub przy blasku żółtego światła sodowego purpura nie niknie i zachowuje się dość długo; tak np. obserwowana w oczach żaby i królika, utrzymała się przez 24—48 godzin, pomimo że już zgnilizna zaczęła się zakradać.

Co się tyczy zachowania purpury względem odczynników chemicznych, to alkohol, kwas octowy lodowaty, ług sodowy skoncentrowany i 10 procentowy, niszczą ją szybko i taki sam skutek sprawia temperatura 100°. Z drugiéj strony purpura nie ulega zmianie pod wpływem chlorku sodu, mocnego amoniaku, roztworu węglanu sody, ałunu, octanu ołowiu, kwasu octowego 2%, kwasu

garbnikowego 2%, dwudziestoczterogodzinnéj maceracyi w glicerynie, eteru i wysuszenia na płytce szklanéj. W każdym z tych przypadków, po wyniesieniu siatkówki na światło dzienne można jeszcze widzieć czerwoną barwę, blednącą szybciéj lub powolniéj. Siatkówki wystawione na działanie amoniaku, lub wysuszone na szkle, długo zachowują swą barwę.

Rozmaite promienie światła różnie na purpurę działają. Światło ktore przeszło przez krew wcale jéj nie odbarwia, pod szkłem czerwoném purpura zaczyna blednąć dopiero po 6 godzinach, pod zieloném po 4—5, a pod niebieskiém już po 2 godzinach; widać więc, że łamliwsze promienie światła silniéj na nią działają. W świetle litynowém barwnik wcale się nie zacienia, lecz w magnezyowém szybko odbarwia.

Wszystkie dotąd wymienione doświadczenia były czynione na oczach zwierząt trzymanych poprzednio w ciemności. Jednakże, jak się Kühne przekonał, siatkówka żab, wystawionych na działanie światła i szybko odpreparowanych w komorze oświeconéj światłem sodowém, jest równie czerwoną jak i poprzednie. Podobnie rzecz się miała po olśnieniu żywego oka światłem magnezyowém. Trzymanie więc zwierząt w ciemności jest zupełnie zbyteczném: trzeba się tylko starać, aby w czasie preparowania nie było żadnego światła, oprócz żółtego.

Purpura bowiem w oku żywém zaraz się regeneruje, a tylko wtedy stale zblaknąć może, gdy światło działa na tkanki martwe. Żeby purpura stale zblakła w oku żywém, potrzeba długiego wpływu bezpośrednich promieni słonecznych (silnego olśnienia).

Boll już zaznaczył, że fotochemiczne zjawiska, obserwowane na siatkówce wyjętéj z oka, służyć mogą za obraz tego co się dzieje w oku żywém, podczas sprawy widzenia. Oczywiście od działania światła purpura blednie i następnie odnawia się pod wpływem jakichś procesów fizyologicznych. Kühne dowodzi, że tak się rzecz ma w istocie, i że *restytucya purpury odbywa się w skutek stykania się siatkówki z jéj naturalnym podkładem, z naczyniówką.* Gdy odjął część siatkówki od warstwy pigmentu i zbielił ją światłem, a następnie ostróżnie na dawne miejsce położył, *spostrzegł że po kilku minutach zabarwienie purpurowe znowu się pojawiło.* Powtarzając kilka razy to samo doświadczenie i otrzymując jeden i ten sam rezultat, eksperymentator upewnił się, że zjawisko regeneracyi pod wpływem zetknięcia z barwnikiem nie jest przypadkowém. Koniecznym warunkiem téj regeneracyi jest *życie tkanki*, gdy podkład siatkówki zamarł zupełnie odbarwiona purpura już się nie odnawia.

W świetle tych faktów oczywistą jest rzeczą, że sprawa widzenia tylko wtedy normalnie będzie się odbywała, gdy po każdym zbieleniu purpury wzrokowéj, nastąpi jéj regeneracya, w skutek działania podkładu siatkówki. Gdy ta regeneracya nie nastąpi, zbielenie będzie trwałém, czyli, obraz utrwali się na siatkówce. Takich utrwalonych obrazów (optogrammmów) spodziewać się należy wtedy, gdy w skutek długotrwałego olśnienia podkład nie może już dostatecznie pałeczek zaczerwienić, albo wtedy gdy podkład nie funkcyonuje już więcéj, gdy zamarł.

Wnioski te zostały jak najpomyślniéj stwierdzone przez doświadczenia.

Kühne umieścił żywego królika; trzymanego poprzednio krótki czas w ciemności, naprzeciwko okna, z okiem zwróconém stale ku jednemu punktowi. Okno było oświecone przez niebo, gęsto chmurami pokryte. Po trzech minutach odciął królikowi głowę, wyjął z niéj natychmiast wystawione na światło oko i włożył je w roztwór ałunu. W dwie minuty późniéj wyjął drugie oko, zasłonięte za życia i tak samo je wystawił naprzeciwko okna jak pierwsze. Po dwudziestu czterech godzinach wydobył oba oczy z roztworu i zobaczył na *siatkówce oka za życia wystawionego* na działanie światła, *zaledwie widzialną bladą plamkę, w oku zaś wystawionem w stanie zamierania znalazł dokładny obraz okna*, składający się z cieniu białych czworoboków i jednéj półkulistéj tarczy, odpowiednio do liczby i kształtu szyb, poprzerzynanych wyraźnemi krzyżami czerwonemi, od drewnianéj osady okna, która rzucała cień na oko. Okazuje to dowodnie, że w żywém oku olśnienie nie może pokonać wyrównywającéj wpływ jego regeneracyi purpury wzrokowéj, a zatém nie może wywołać trwałego optogrammu w zamierającém zaś oku, w którém podkład siatkówki funkcyonować przestaje, obraz utrwalić się może.

Inne doświadczenie Kühne'go nie jest tyle pouczające, ale za to bardzo proste i łatwe do powtórzenia. Odciąwszy głowę królikowi trzymanemu w ciemności, wystawił jedno oko na działanie światła wpadającego z góry do pracowni; po dziesięciu minutach odwrócił głowę i wystawił drugie oko na toż samo działanie. Następnie włożył oba oczy w 5% roztwór ałunu, a po 24 godzinach znalazł w nich na zewnętrznych stronach siatkówki, najdokładniejsze obrazy ram okna.

Bez wątpienia odkrycie to będzie miało nader ważne teoretyczne następstwa a nawet, być może, iż w pewnych, nader sprzyjających okolicznościach, dawać nam będzie najdzielniejszy środek wykrywania zabójców.

Ze względu na stronę teoretyczną kwestyi widzenia, zauważyć należy, iż fotografia na siatkówce nie jest zapewne jedyném zjawiskiem, od którego widzenie jest zależném. Jeśli widzimy przy żółtém sodowém świetle, przy którém purpura nie blednie, więc muszą w oku zachodzić pewne komplikacye, których wyjaśnienie od odkrywców purpury wzrokowéj oczekujemy.

Przyczyny władzy znieczulającéj tlenku azotu.

Wiadomo, że w tlenku azotu tlen jest bardzo słabo związany, szczególniéj w temperaturze wyższéj, i że dla tego związek ten odstępuje swój tlen wielu ciałom, tak jakby jego tlen był w stanie zupełnie swobodnym. Z tego powodu zapałki i wiele ciał zatlonych palą się w nim z wielką żywością, a oddychanie zwierząt jest z początku pobudzone. Lecz to pobudzenie nie trwa zbyt długo. Ponieważ tlenek azotu zawiera w równéj objętości daleko więcéj tlenu niż powietrze, więc przy oddychaniu tym związkiem tworzy się daleko większa ilość kwasu węglanego, niż przy oddychaniu w powietrzu. W skutek tego krew przesyca się wkrótce dwoma gazami duszącemi: kwasem węglanym, wytworzonym z palenia, i azotem powstałym z rozkładu. Gazy te wstrzymują przypływ nowych ilości gazu z zewnątrz i dla tego téż oddychanie staje się wkrótce niedokładném i niedostateczném i ustępuje miejsca wpływowi duszącemu. To téż ciemna i sina barwa warg okazuje stan asfiktyczny, a krew zwierząt wyższych otrutych tlenkiem azotu jest czarną, charakteryzującą śmierć przez uduszenie. Jedném więc słowem, tlenek azotu po początkowém pobudzeniu nie pozwala późniéj krwi odnawiać się, zkąd następuje najprzód wpływ uspakajający, następnie znieczulający a wreszcie trujący. Jest to tłómaczenie p. Edwarda Robin, podane w Revue medicale.

Powstawanie saletry w roli, jako wynik działalności organizmów.

Saletra, czyli azotan potasu, jest, jak wiadomo, produktem naturalnym, którego przyrost przedstawia niejaką zewnętrzną analogią z wzrostem roślin. W miejscowościach gdzie istnieją wykwity saletry, zbierają je od czasu do czasu, a na miejsce zebranych, występują nowe. Jaka jest przyczyna tego ciągłego wzrostu?

Co do jednéj z części składowych tego związku, potażu, żadnéj wątpliwości nie było, iż pochodzi on ze zwietrzałych skał. Lecz gdzież jest źródło drugiéj, kwasu azotnego?

Z początku sądzono, że pochodzi on z powietrza, gdzie się tworzy w skutek działania elektryczności atmosferycznéj na tlen

i azot. Przekonano się jednak wkrótce, że to przypuszczenie jest nieuzasadnioném, i że w samej roli źródła jego szukać należy. Przyjęto więc powszechnie, że jest on rezultatem powolnego utleniania się materyj humusowych, t. j. azotowych pochodzenia organicznego. Ale w jaki sposób następuje to palenie się? Czy tworzenie się saletry, a mianowicie jéj kwasu azotnego jest skutkiem bezpośredniego i czysto chemicznego procesu łączenia się tlenu z związkami azotowemi, czy téż odbywa się przy pośrednictwie organizmów działających jako fermenty, lub wreszcie czy oba rodzaje spraw nie mają miejsca?

Takie pytania zadali sobie pp. Schloesing i Müntz, wprowadzeni na tor téj myśli przez odkrycie Pasteura, dowodzące, że pewne organizmy, jak mycoderma vini i aceti, posiadają własność przenoszenia tlenu powietrza na rozmaite substancye organiczne, i tym sposobem są dzielnemi czynnikami rozkładu materyi organizowanéj, która żyć przestała. Być więc może, że one, lub im podobne istoty, spowodowują rozkład materyj humusowych, umożliwiając powstawanie saletry. Przypuszczenie to tém prawdopodobniejszém się okazało, że Pasteur wykazał, iż substancye organiczne, skłonne do rozkładu przynajmniéj tyle, ile te, które w ziemi tworzą saletrę, stawiają wielki opór działaniu tlenu, gdy są zupełnie zabezpieczone od wpływu zarodków organicznych. Na téj zasadzie, nie zaprzeczając wcale tlenowi własności bezpośredniego palenia substancyj azotowych i zamieniania ich na saletrę, można przyjąć, że przynajmniéj przy stosunkowo szybkiém paleniu i powstawaniu saletry działają czynniki organizowane.

Należało to stwierdzić doświadczeniem. Przedewszystkiém pp. Schloesing i Müntz postanowili sprawdzić, czy obecność substancyi humusowéj w ziemi jest koniecznym warunkiem oczyszczania się przesiąkającéj przez nią cieczy kanałowéj, to jest spalenia się zupełnego substancyj organicznych w cieczy téj zawartych.

W tym celu napełnili długą szklaną rurę piaskiem kwarcowym silnie wypalonym, do którego dodali nieco proszku wapna. Przez jeden koniec téj rury wlewali codzień tyle cieczy kanałowéj, że przesączenie się przez całą rurę trwało dni 8. Po dwudziestu dniach nie było jeszcze ani śladu saletry, a ilość amoniaku w przefiltrowanéj cieczy była równą pierwotnéj. Następnie zaczęła się pojawiać saletra, któréj ilość coraz bardziéj się powiększała; wtedy już w cieczy wypływającéj z aparatu nie było ani śladu amoniaku.

Gdyby w tém doświadczeniu palenie się substancyj organicznych i amoniaku zależało tylko od bezpośredniego działania tlenu, to dla czegożby palenie to potrzebowało dwudziestodniowych przygotowań? Łatwo zrozumiemy tę zwłokę, gdy przyjmiemy działanie fermentów organicznych, których przypadkowe rozsianie się, oraz rozwój, zawsze pewnego czasu wymagają.

Nie poprzestając na tym wniosku dedukcyjnym, eksperymentatorzy postanowili wykazać doświadczalnie istnienie fermentów organizowanych. W tym celu użyli chloroformu, który, jak Müntz wykazał, wstrzymuje działalność fermentów organizowanych, nie psując wcale rozpuszczalnych (nieorganizowanych). Wpędzili więc, za pomocą silnego prądu powietrza, pary chloroformu w piasek użyty do doświadczenia i spostrzegli, że ilość saletry w wodzie odpływającéj codzień się zmniejsza, tak, że po dniach dziesięciu już ani śladów jéj nie było; cała zaś ilość ammoniaku znowu się ukazała.

Po dwutygodniowém działaniu chloroformu, usunięto naczynie wydające jego pary. Przez ciąg następnych piętnastu dni, ciecz z rury odpływająca wydawała jeszcze charakterystyczną woń chloroformu. W kilka dni potém, woń znikła, ale pomimo to, przez cały miesiąc nie można było znaleść ani śladu saletry, choć temperatura zupełnie sprzyjała rozwojowi organizmów (15°). Zapewne wszystkie fermenty saletrorodne zamarły, a nowe zarodki jeszcze nie wpadły. Dopiéro po miesiącu, eksperymentatorowie zasieli na piasku zarodki: zmięszali z wodą 10 gramów ziemi znanéj z własności tworzenia saletry i wleli tę mięszaninę do rury. Po ośmiu dniach, saletra znowu się pojawiła, a ilość jéj codzień bardziéj wzrastała.

Współdziałanie więc fermentów przy powstawaniu saletry zdaje się nie ulegać wątpliwości. Wypada więc tylko teraz oddzielić je i poddać badaniu pod mikroskopem. PP. Schloesing i Müntz żywią nadzieję, że uda im się to osiągnąć, i w tym celu prowadzą poszukiwania według metody Pasteura.

Z doświadczeń powyższych wynika bardzo ważny wniosek, na który powinny zwrócić uwagę zarządy miast, mających na porządku dziennym kwestyą metody oczyszczania cieczy kanałowéj. Wynika z nich, że grunt piaszczysty, zupełnie nieurodzajny, lecz zawierający pewną ilość wapna, może doskonale służyć do oczyszczania odcieków miejskich. W ziemi urodzajnéj czynniki saletro-

rodne są w zupełnym rozwoju i dla tego téż oczyszczanie cieczy kanałowéj rozpoczyna się zaraz po jéj rozlaniu; na gruncie zaś zupełnie jałowym, musi pewien czas upłynąć, zanim odpowiednie zarodki się rozwiną. Bądź co bądź, jednak piaski, jak to już zresztą dawniéj doświadczenia na wydmach okazały, kwalifikują się najzupełniéj do oczyszczania odpływów miejskich.

Bronisław Rejchman.

Kronika miesięczna.

W ostatniéj kronice obiecaliśmy streścić drugi i trzeci list Dra Markiewicza o tyfusie, co téż robimy obecnie.

Wiadomo już, że w miastach, w których istnieje assenizacya, śmiertelność z powodu tyfusu zmniejsza się zazwyczaj. Dr. Markiewicz słusznie więc sądzi, że cyfry wskazujące stosunek zmarłych na tyfus do ogółu mieszkańców i stosunek zmarłych na tyfus do ogółu zmarłych, w pewnéj mierze wskazują stopień zaniedbania porządku w danéj okolicy.

Do tego jednak, aby śmiertelność mogła się stać barometrem cnoty czystości, potrzebne są dokładne badania w dwu kierunkach: 1) należy poznać ruch ludności ze względu na śmierć i urodzenie; 2) zbadać także własności miejsca, które owa ludność zamieszkuje.

Co do pierwszego, trzeba znać: wiek, płeć, zajęcie i zamożność każdego zmarłego, wiedzieć jakiéj natury była choroba, jaka przyczyna śmierci i z jakiéj pomocy korzystał zmarły w czasie choroby. Tu dołączyć należy cyfry dzieci, żywo lub nieżywo przychodzących na świat. Co do drugiego, trzeba znać nietylko śmiertelność okręgów, ale nawet ulic, domów i piętr, tudzież stosunek pomiędzy śmiertelnością i skupieniem ludności. Wszystko to jeszcze uzupełnić potrzeba za pomocą statystyki meteorologicznéj (temperatura, ciśnienie powietrza, ilość spadłéj wody, kierunek wiatru), tudzież badaniem stanu i zmian zachodzących w wodzie zaskórnéj, temperaturze gruntu i składzie powietrza gruntowego. Pod powierzchnią bowiem ulic i dziedzińców funkcyonują owe la-

boratorya chorób, które powstają z nieczystości i zabierają przedwcześnie mnóstwo ofiar.

Takie to rozmaite prace, wysoko naukowego charakteru, podejmować muszą zarządy miast trapionych przez zbyt wielką śmiertelność i mających, w celu zmniejszenia jéj, zaprowadzić u siebie kanalizacyą. Bez dochodzeń podobnych rezultat zestawienia cyfr może być bardzo wątpliwy.

W zjawisku śmiertelności, odróżnić należy dwa jéj rodzaje: normalną, któréj przyczynę stanowi to, że każdy, kto się urodził umrzéć musi, i nienormalną, zależną po większéj części albo od chorób zakaźnych, albo od wielkiéj śmiertelności niemowląt. Lekarska statystyka angielska przyjmuje, jako najwyższą cyfrę śmiertelności normalnéj, 23 osób z tysiąca, wszystko zaś, co tę cyfrę przerasta, uważa za nienormalne. Dla Warszawy, według Dra Markiewicza, ustanowićby należało normalną cyfrę 25 (?) z tysiąca, a ponieważ śmiertelność u nas wynosi 42—45 na tysiąc, około więc 17—20 osób na tysiąc umiera nienormalnie!

Na cyfrę tę składają się, jak już wiadomo, choroby zakaźne i śmiertelność niemowląt. Dla oznaczenia udziału pierwszych, statystyka nasza dat nie podaje, lecz mamy cyfry odnoszące się do niemowląt. Śmiertelność między niemi jest bardzo wielka. Podczas gdy średnio w Europie na 10000 nowo narodzonych dzieci umiera *1883*, u nas na taką samę liczbę urodzonych umiera *3638*, a więc dwa razy więcéj. Średnio w Europie na 10000 osób zmarłych przypada *2557* niemowląt, u nas *3500*. Jako ważną przyczynę niezwykłéj śmiertelności między dziećmi, wskazuje p. M. *fałszowane mléko;* sądzimy jednak, że niedostatek, brak dozoru i babska medycyna, tak pomyślnie kwitnąca w Warszawie, niemniejsze oddają usługi w tym kierunku.

W dalszym ciągu szanowny autor zastanawia się nad statystyką lekarską Warszawy dawniejszą i nową. O pierwszéj nie wspominamy nawet, drugiéj (w liście: *Wykazy tygodniowe ruchu ludności*) robi p. M. zarzuty. Przedewszystkiém w wykazach tych nie ma liczb stosunkowych odnośnie do całego roku do 1000 ludności ze względu na urodzenia. Nie mówi się w nich ani o zamożności, ani o mieszkaniu zmarłego (piętro, obszerność lokalu); nie odróżnia się też osób, które, przybywszy choremi do miasta, tu dopiéro umarły. Schemat, według którego klasyfikuje się przyczyny śmierci, nie jest także zadawalający (według p. M.).

Najważniejszym jednak zarzutem jest ten, że, według Dra Markiewicza, same cyfry zmarłych są niedokładne, zbyt niskie.

Na podstawie sprawozdania z pierwszych kilku tygodni wnosićby można, że roczna śmiertelność miasta nie dosięga 16 osób na 1000, a z paru następnych, że nie dosięga 27 na 1000; tymczasem wiadomo, że u nas śmiertelność roczna przechodzi cyfrę 42 osób na 1000. Miejmy jednak nadzieję, że niedostatki podobne, jako nieodłączne d wszelkich prac w początkach, z czasem usunięte zostaną, przyczém wielkie usługi oddać może sumienna krytyka specyalistów.

Chwali wprawdzie p. M. municypalność naszę za rozporządzenie, mocą którego każdy zmarły musi być przed pogrzebem obejrzany przez lekarza, słusznie jednak dziwi się temu, że zarząd miejski nie chce sam płacić *biegłym*, lecz kwestyą wynagrodzenia ich składa na publiczność. W miastach, jak Peszt i Bruksella, gdzie oględziny pośmiertne istnieją, mniéj więcéj na każde 20000 ludności przypada jeden lekarz biegły, na koszcie municypalnym. My także, mówiąc o kłopotach, jakie oględziny zrobią naszéj publiczności, a szczególniéj uboższym jéj klasom, głównie kwestyą wynagrodzenia lekarzy mieliśmy na uwadze.

W końcu radzi p. M. Warszawie, aby zrewidowała swoje studnie i te, które mają złą wodę, zamknęła. Zaleca téż jak najszybszą reformę miejsc ustępowych i wypowiada życzenie, aby u nas, podobnie jak się to dzieje w Ameryce i ma się dziać w całém cesarstwie Niemieckiém, zaprowadzone zostało obowiązkowe meldowanie każdego wypadku chorób zakaźnych (tyfus, szkarlatyna, cholera, odra, ospa, diphteritis). Gdzie meldunek podobny istnieje, tam lekarz leczący chorego, a nawet właściciel domu i każdy zresztą mieszkaniec obowiązany jest, pod groźbą wysokiéj kary pieniężnéj, piśmiennie uwiadomić zarząd miejski o zaszłym wypadku. Wówczas sprawdza chorobę na miejscu inspektor lekarski właściwego okręgu i wskazuje środki usunięcia (zwykle miejscowych) przyczyn złego, tudzież zapobieżenia rozrostowi choroby.

W tém miejscu p. Markiewicz gorszy się opinią, którąśmy wypowiedzieli w roku zeszłym w sprawie protekcyi policyjnéj. Rzecz chodziła o pogłoskę, wedle któréj miano czuwać nad tém, aby złe i szczupłe mieszkania nie były przez lokatorów zajmowane. My obawialiśmy się téj nowéj opieki i odwoływanie się do niéj uważaliśmy za niedorzeczność, p. M. zaś sądzi, że opieka ta jest potrzebną i powołuje się na przykłady miast amerykańskich i angielskich.

Znamy te przykłady, wiemy, że złe powietrze jest dla zdrowia szkodliwe i pragniemy bardzo, aby najuboższy człowiek posiadał suche, widne, ciepłe, w miarę potrzeby obszerne i dobrze wentylowane mieszkanie. Nie mniéj jednak nie przestajemy obawiać się interwencyi z zewnątrz. Według naszego, może błędnego zdania, interwencya owa nie wpłynie na poprawę ani jednego lokalu, lecz wywoła niepotrzebny ruch i koszta. Niezbyt dawno przecięż w imię idei, chciano zamknąć pewną liczbę mieszkań w domu bankiera Blocha i dopiéro wyrok sądu zapobiegł katastrofie, przy czém okazało się, że inkryminowane lokale nie były wcale złemi. Z drugiéj zaś strony od kilku to lat dokonywają się rewizye mieszkań dla stróży, od kilku lat rozprawia się o ulepszeniu miejsc ustępowych, a jakież są tego rezultaty?...

Złemu w téj formie nie może zapobiedz interwencya pochodząca z zewnątrz społeczeństwa, nam bowiem przedewszystkiém większéj liczby mieszkań i mniejszéj biedy potrzeba. Gdy wypełnią się te dwa warunki, wówczas dopiéro na ciemnych, niechlujnych i opornych, energia władz policyjnych skutecznie oddziałać może.

Od uwag nad chorobliwością fizyczną, przechodzimy do moralności; materyału dostarczy nam kryminalna statystyka Warszawy za r. 1875, opracowana przez p. Buczyńskiego.

W tym dziale zjawisk społecznych dwa pomyślne fakta zasługują na zaznaczenie. Pierwszy— że stan moralności Warszawy jest stosunkowo lepszy niż w całym kraju, drugi— że objawia się w nim ciągły postęp na korzyść.

Stosunek ilości przestępstw i liczby osób skazanych w Warszawie do ilości przestępstw i liczby skazanych w całym kraju, przedstawia się w rozmaitych epokach, jak niżéj:

Na Warszawę przypada:

	Ze sto przestępstw —	Ze sto skazanych w całym kraju
Od roku 1865—1869 . . .	8,45 . .	6,73
„ 1870—1874 . . .	7,75 . .	5,78
w roku 1875 . . .	6,05 . .	5,52

W każdym więc późniejszym okresie czasu przestępność Warszawy w stosunku do całego kraju zmniejszała się, co uderza tém bardziéj, że wzrost ludności w mieście naszém jest szybszy. Kiedy bowiem od r. 1865 do 1874 ludność w całym kraju podniosła

się o 18,2%, w Warszawie powiększenie dosięgło 21,7% populacyi dawniejszéj.

Liczba przestępstw spełnionych w mieście przeciw kodeksowi karnemu w r. 1875 wynosi 1240; w stosunku do cyfry przeciętnéj z poprzednich lat 10-ciu zmniejszyła się o 34,1% w stosunku do r. 1874 o 41,03%; staliśmy się zatém mniéj wymyślnymi w popełnianiu czynów kary godnych. Liczba skazanych wynosi 615 i nie o wiele różni się od przeciętnéj z 10-ciu lat ostatnich, wynoszącéj 608 indywiduów.

Owe 1240 przestępstw, uważane ze względu na rozmaite pory roku, dzielą się:

Na miesiące letnie (Czerwiec, Lipiec, Sierpień) przypada	23,4%
Na jesienne (Wrzesień, Październik i Listopad) .	24,6%
Na wiosenne (Marzec, Kwiecień, Maj)	25,4%
Na zimowe (Grudzień, Styczeń, Luty)	26,5%

W porównaniu z liczbami przeciętnemi lat dziesięciu ilość wszystkich wybitniejszych przestępstw zmniejszyła się: najwięcéj kradzieże, najmniéj samowola i gwałt.

Co zaś do liczby osób, to cyfra skazanych za samowolę i gwałt wzrosła, wszystkie zaś inne kategorye zmniejszyły się. Z porównania procentów różnego rodzaju skazanych w roku 1875 z przeciętnemi lat poprzednich, korzystne zmiany zaszły w występności: kobiet, nieletnich, wyrobników, służących, recydywistów i osób bez żadnéj oświaty. Natomiast indywidua bezżenne i niezamężne stoją w jednéj mierze, żydzi pogorszyli się trochę, więcéj od nich rzemieślnicy i profesye wyzwolone, a najwięcéj handlujący.

W ogóle jednak moralność między żydami warszawskimi jest wcale dobra, chociaż bowiem tworzą oni blisko 30% ludności miejskiéj, mimo to przestępcy ich wyznania stanowią tylko 25,2% liczby ogólnéj.

Kobiety dostarczają 20% ogółu skazanych, lecz między nieletnimi jest ich tylko 14%. Uporządkowani ze względu na wiek przestępcy, tworzą grupy: najliczniejsze od 21—30 i od 31—40 roku życia; mniéj liczne: od 41—50 i od 17—20; najmniéj liczne: od 51—60 i wyżéj. W ogóle wiek młodzieńczy i męski są najniebezpieczniejsze, starość—najlepsza. Ze względu na zajęcie i sposób życia najgorzéj przedstawiają się wyrobnicy, po nich handlarze i rzemieśl-

nicy, po tych profesye wyzwolone; klasa służących dostarczyła najmniejszéj liczby skazanych. Ze względu wreszcie na stopień ukształcenia, było: 4 przestępców z oswiatą wyższą, 26 ze średnią, 185 umiejących pisać i czytać, 400 bez żadnéj oświaty.

Te i tym podobne cyfry, któremi mamy zwyczaj zapełniać nasze kroniki nie są bynajmniéj tak „suchemi,“ jak się czytelnikom wydawać może. Przeciwnie, mają one wielką filozoficzną i praktyczną wartość, ponieważ zapoznają nas, albo z właściwościami najbżliszego otoczenia, albo z naturą olbrzymiego a niekoniecznie dobrze znanego organizmu, który nazywa się—społeczeństwem.

Że społeczeństwo jest organizmem, że istnieją w niém pewne oddzielne części, z których każda ku pożytkowi ogólnemu pełni właściwe sobie funkcye, zrozumiéć łatwo. Wyobraźmy sobie naprzykład, coby się stało z pozostałemi klasami narodu, gdyby usunięto z niego taki organ, jakim jest klasa rolnicza, rzemieślnicza, albo handlowa? Powstałby straszny zamęt stosunków: mnóstwo indywiduów utraciłoby życie, cały zaś naród zwątlałby niesłychanie, jeżeli nawet nie zginął, podobnie jak istota żyjąca, któréj kawał ciała odjęto.

Organizm ten, wśród którego każdemu należącemu doń elementowi, inaczéj obywatelowi, jest najlepiéj a po za obrębem którego tylko wyjątkowe jednostki i to niezawsze szczęśliwie żyć mogą, przedstawia pewne zjawiska, jeżeli nie znajdujące się do siebie w stosunku przyczyny i skutku, to przynajmniéj prawidłowe. Już w takim drobnym zakresie, jak przestępstwa popełniane w Warszawie, dostrzegamy prawidłowość. Liczba osób skazanych w r. 1875 wynosiła przeszło 600, zupełnie prawie tak samo, jak w dziesięciu latach poprzednich, na podstawie czego z wszelką pewnością *przepowiedzieć* jesteśmy w stanie, że w wykazie roku 1876 nie będzie ich ani 50, ani 100, ani 1200, ale około sześciuset. Podobną prawidłowość widzimy w podziale przestępstw ze względu na pory roku. W zimie spełnia się ich (i w tych samych warunkach spełniać się będzie) najwięcéj,—w innych porach roku mniéj. Z równą słusznością znowu przepowiadać możemy, że, w czasach zwykłych, skazani z wyższém ukształceniem liczyć się będą tylko na jednostki, a bez żadnego ukształcenia—na setki.

Jeszcze ciekawszą prawidłowość spotykamy w zjawiskach ogólniejszych, obejmujących już całe miliony jednostek. Faktem naprzykład oddawna stwierdzonym jest ten, że na 100 dziewcząt ro-

dzi się przecięciowo 105 do 106 chłopców. Podobną prawidłowość spotykamy w zjawisku śmiertelności, które np. Warszawę pozbawia rocznie około 40 obywateli z 1000, inne zaś miasta europejskie znacznie mniéj.

Owe „suche“ cyfry statystyczne uczą nas innéj jeszcze rzeczy, tego mianowicie, że zjawiska społeczne mają swoje przyczyny. Jedną z przyczyn nienormalnéj śmiertelności miast jest niechlujstwo,—jedną z przyczyn występków—nędza. W Bawaryi, na podstawie 26 letnich obcerwacyj przekonano się, że: „prawie każdy szostak, o który podnosiła się cena zboża, wywoływał na 100000 mieszkańców jednę kradzież więcéj.“ I naodwrót, żniżenie się ceny zboża o jeden szostak uchraniał tę samę ilość mieszkańców od jednego przestępstwa.

Dwa te czynniki, prawidłowość i przyczynowość zjawisk społecznych, są najsilniejszemi argumentami na korzyść solidarności między ludźmi. Jeżeli jedną z przyczyn nienormalnéj śmiertelności Warszawy są brudy, to zmniejszyć ją m-że nie ten, lub ów pojedynczy mieszkaniec, ale dbałość, praca i ofiarność wszystkich, począwszy od najmajętniejszego, a skończywszy na najbiedniejszym. W podobnych wypadkach wszyscy są zagrożeni, każdy pojedynczo jest do oporu za słaby, a wszyscy razem dopiéro silni. Jeżeli zaś nie zechcą tego zrozumieć i połączyć się w celu wspólnym, bodziec do czynu stanowić dla nich będzie owa nieugięta, nieubłagana prawidłowość, która codzień zdaje się powtarzać: leniwi! zginie was parę tysięcy na rok bez potrzeby, jeżeli nie zmienicie dotychczasowych sanitarnych warunków!...

Podobna nieomal prawidłowość istnieje w zabójstwach, samobójstwach, rodzajach zadawanéj sobie lub innym śmierci, w liczbie listów na których zapomniano położyć adresu i t. d. Fakta te martwią osoby, którym się zdaje, że prawidłowość zjawisk społecznych jest zaprzeczeniem wolności woli i odpowiedzialności ludzkiéj.

Dziwna rzecz! od niepamiętnych czasów widziano, że olbrzymia większość ludzi sypia w nocy a pracuje w dzień, że mieszkańcy strefy umiarkowanéj naszéj półkuli w Styczniu noszą futra, a w Lipcu kąpią się na otwartém powietrzu i mimo to nikogo podobna prawidłowość zjawisk życiowych nie niepokoiła i nie gorszyła. Dopiéro po obrachowaniu rocznéj ilości samobójstw i listów niezaadresowanych, krzyknięto, że na świecie nie ma wolności!

Fałszywy to punkt widzenia. Na świecie każde zjawisko jakie jest, jest nieskończenie wolne, a jego indywidualność jak

najbardziéj szanowana. Z tego stanowiska wszechświat uważać by można za idealną republikę, w któréj większość nie pozbawia głosu mniejszości, ani siła—słabości, ale w któréj na ostateczny rezultat składają się wszystkie indywidua: żyjące i martwe, silne i słabe, zgodne sprzeczne. Na działaniu każdego z tych osobników odbija się wpływ innych, a na działaniu innych—wpływ jego. Kula wyrzucona z armaty chce lecieć w kierunku lini prostéj w nieskończoność; wnet jednak zabiera głos ziemia, która ją znowu chce do swego środka ciężkości pociągnąć, i powietrze, które jéj wszędzie drogę zastępuje. W rezultacie, kula przebiega pewną linią krzywą w któréj kierunku najzupełniéj uwzględniono i ciśnienie gazów prochowych i ciężkość ziemi i opór powietrza. Kula w końcu zatrzymuje się, lecz prędkość ożywiająca ją niegdyś nie zginęła bynajmniéj: zmieniła tylko formę i jako ciepło rozpływa się w nieskończoności, wchodząc w coraz to nowe związki, zabierając głos w coraz to nowych sprawach.

Gdzież tu jest zaprzeczenie jednostkowéj wolności, gdzie gwałt wyrządzony choćby takiéj słabiźnie jak kula armatnia, przez taką potęgę jak ziemia?

Sprobujmy wyjaśnić teraz prawidłowości zachodzące w społeczeństwie ludzkiém. Wyobraźmy sobie pewien obszar ziemi, posiadający właściwy sobie klimat, glebę, właściwe płody mineralne i roślinne. Grunt ten może wykarmić milion ludzi posiadających dany stopień oświaty. W tych warunkach wnet spotykamy się z prawem, że jakiekolwiek będą robione próby zwiększenia ludności: czy to na drodze zwykłéj, czy przez sprowadzanie kolonistów, zawsze w rezultacie przewyżka wymrze i tylko milion zostanie.

Jeżeli teraz w miejscowości ówéj, albo urodzajność ziemi zmniejszy się, albo brudy zatrują powietrze, albo jakaś klasa społeczna część sił wytwórczych obróci na prace, niemające związku z produkcyą artykułów pokarmowych, wówczas zajdzie zmiana. Gleba, powietrze, albo warunki społeczne nie zdolne już będą wyżywić miliona ludnosci, któréj pewna część uledz musi zagładzie. Lecz jeżeli naodwrót wykryte będą nowe źródła bogactw w gruncie, albo podniesiona oświata pozwoli ludziom spotęgować wydajność ziemi, gdy usunięte zostaną przedmioty dla zdrowia szkodliwe, gdy społeczeństwo dane wejdzie w handlowe stosunki z innėm, wówczas ilość środków odżywczych wzrośnie i ludność milionową cyfrę przekroczy.

Jeżeli zapytamy: dla czego źle się dzieje w pewném społe-

czeństwie? i dla czego prawidłowo?.. odpowiedź będzie nie trudna, przynajmniéj w zarysach ogólnych. Terytoryum, właściwości rasowe, organizacya społeczna, wypadki zaszłe w ciągu wieków poprzednich, stan zamożności, stan oświaty, zwyczaje towarzyskie i mnóstwo tym podobnych czynników, zsyłają na społeczeństwo rok rocznie pewną liczbę dobrego i złego. Rok rocznie jakaś okolica wydaje około ośmiu ziarn zboża, a inna tylko sześć. Co roku mieszkańcy, na opał, do kuchni i fabryk zużywać muszą prawie tęż samę ilość drzewa. Co roku w takiéj a takiéj ilości szkół, pewna liczba dzieci kształci się, a pozostali ich towarzysze wzrastają wśród ciemnoty. Co roku pewna liczba obywateli z powodu nędzy, złego wychowania, braku poczucia odpowiedzialności, a wreszcie — zwyczajów towarzyskich popełnia czyny niezgodne z prawem. Dla czego cyfry przestępców z dwu lat kolejnych są prawie równe? Dla tego, że w obu tych latach, prawie taka sama ilość złego spadła na społeczeństwo, w którém w ciągu obu tych lat, była taż sama prawie ilość obywateli ciemnych, ubogich, nieumiejących zapanować nad sobą i pozbawionych pomocy. Najmniejsza zmiana w którymkolwiek czynniku życia społecznego odbija się na wszystkich pozostałych. Zróbmy np. z więzień salony i restauracye, osłabmy w jakikolwiek sposób powagę prawa, a wnet wzrosną występki, zmniejszy się dobrobyt, powiększy się ilość żebraków, kobiet upadłych, dzieci nieprawo urodzonych. Gdy chybią urodzaje i opróżnią się stodoły, w więzieniach będzie ciasno, liczba samobójstw podskoczy w górę. W razie obfitych zbiorów, zwiększy się liczba małżeństw, tudzież awantur i kłótni ulicznych. Syty — do miłości i bójek pochopniejszy jest niż głodny.

We wszystkich niepomyślnych wypadkach społecznych, duchowe siły człowieka stają do walki z utrapieniami naturalnemi, odznaczającemi się prawidłowością. Jeżeli zatém dziś na naszéj planecie przebieg złego jest bardzo prawidłowy, nie dowodzi to bynajmniéj braku, lecz tylko słabości człowieczéj woli. Duch ludzi wpływa niewątpliwie na rozwój wypadków dziejowych, lecz dzięki niewyrobieniu się i zbytniéj małości w porównaniu z otaczającą go naturą, w olbrzymio większéj liczbie wydarzeń — ulega podszeptom instynktów zwierzęcych. Rozum i sprawiedliwość odzywają się rzadko i naprawdę w rozleglejszych stosunkach społecznych nie wiele jeszcze znaczą.

Dwa są sposoby zneutralizowania nieustannie i w pewnym porządku spadających na społeczeństwa pocisków losu. Jeden in-

dywidualny, który polega na tém, że Paweł myśli tylko o sobie, siebie zabezpiecza, dla siebie gromadzi środki i jedna względy możnych,— nie dbając o Gawła, Piotra i setki im podobnych. Ta metoda, wcale nie zmniejsza natężenia złego i nie daje egoistycznéj jednostce pewności, że to, co ją ominęło dziś, nie spotka jéj jutro. Drugi przeciwnie sposób polega na zniszczeniu, a przynajmniéj osłabieniu przyczyny klęsk siłami zbiorowemi; w tym zaś wypadku wzmaga się bezpieczeństwo ogólne i robi krok naprzód. Przytém jednak trzeba występować solidarnie i czuć się żywym elementem żyjącéj całości. Nieznajomość tego prawa i brak nałogu robienia wszystkiego zgodną gromadą wyrządza więcéj szkody, aniżeli złość i przewrotność ludzka.

Są jednak osoby, a nawet pisma, które z niepojętym brakiem zastanowienia uwiadamiają społeczeństwo, że przy takich a takich warunkach stracą dla niego sympatyą. Bezprzykładny ten manifest ukazał się w dniu 8 Kwietnia r. b., w Przeglądzie Tygodniowym, p. t. *Kosmopolityzm*. Nie naszą rzeczą rozbierać pobudki tego rodzaju artykułów; jesteśmy tylko zdania, że nie można całemu społeczeństwu stawiać zarzutów: „nietolerancyi,“ „wsteczności,“—„martwoty,“—„nienawiści dla tych którzy kochają je choćby nawet w inny sposób,“—„okrucieństwa“—„duchowego samobójstwa“ i „cywilizacyjnego psucia się.“ Nie znamy też wypadków, w którychby ten lub ów obywatel miał prawo grozić swojemu społeczeństwu obojętnością i nie myślimy płakać, jeżeli ludzie w taki sposób pojmujący obowiązki wykonają swoję pogróżkę.

* * *

Że kobiety nasze umiały od bardzo dawna pracować samodzielnie, po za obrębem własnego rodzinnego kółka, o tém wiadomo. Wiele z pośród nich, jak dziś tak i niegdyś, zajmowały się nauczycielstwem, szyciem, handlem, służbą i pielęgnowaniem chorych. Od dziesięciu lat jednak w zakresie działalności kobiecéj, zaszły dwie wybitne zmiany. Najprzód, rozszerzył się on i wyosobnił w taki sposób, że przybyło kilka specyalnych zajęć kobietom (np. szewctwo, introligatorstwo) i że powstały naukowe zakłady prywatne, w których obecnie uczą się rękodzieł i buchalteryi. Powtóre, opinia publiczna przechyliła się stanowczo na korzyść pracy kobiecéj. Nieco dawniéj—szyciem zajmowały się tylko

dziewczęta nieukształcone; która zaś z panien umiała grać na fortepianie i mówić pofrancusku, ta w potrzebie zostawała nauczycielką, ponieważ handlem i ręczną pracą bardzo pomiatano.

Hasło do zmiany poglądów dała młoda prasa. W owéj epoce wyszedł z druku nakładem Przeglądu Tygodniowego pierwszy tom dzieła Wirginii Penny, p. t. *praca kobiet* (wydawnictwo to po dziś dzień jest nieukończone). Pojawiły się gorące artykuły w sprawie emancypacyi i odezwy zachęcające kobiéty do zajmowania wszelkich stanowisk życiowych. Nie możesz poprzestać na tytule żony i matki,—wołano,—musisz jeszcze zostać rzemieślnikiem i handlarzem!.,. i aptekarzem! dodał ktoś inny. Czy tylko aptekarzem?... Może przecięż zostać doktorem, uczonym, adwokatem i urzędnikiem państwa.

Rozpoczęła się licytacya *in plus*, a każdy z licytantów ofiarowywał nadobnéj płci coraz to znakomitsze stanowiska. Przypominano sobie nawzajem kobiéty—literatki, kobiéty—*matematyków*, kobiéty—dyplomatki, ogłoszono téż nazwisko piękności, która jakoby podała Lincolnowi bardzo świetny plan zwyciężenia armii separatystów. Nareszcie — wystrzelono najmocniejszy ładunek i zakomunikowano paniom naszym, że, naturalnie w Ameryce, jest już, czy dopiéro ma być okręt, którego kapitanem, oficerami, sternikami i majtkami—są tylko kobiéty. Tu był punkt zwrotu. Ponieważ droga do wszystkich zaszczytów została dla płci pięknéj otwartą, ponieważ rozdano im wszystkie możliwe posady, pustą zatém skarbnicę łask należało już zamknąć, co się téż stało z bez porównania mniejszym hałasem. Szczęściem w téj saméj epoce, gdy prasa przestała śpiewać, społeczeństwo zaczęło robić.

Wprawdzie z uniwersytetu naszego nie wyszedł żaden doktór, ani adwokat płci żeńskiéj; nie zanosi się nawet na otworzenie akademii dla „uczonych akuszerek“, w każdym jednak razie sprawa pracy kobiecéj posunęła się trochę naprzód. Wiele pań, dla których dawniéj jedyną karyjerę stanowiło zamąż pójście, wzięły się do nauki rzemiosła. Powstały sklepy otwierane przez damy ze sfery pod względem ukształcenia stojącéj bodaj czy nie najwyżéj. W różnych stronach kraju, np. we Włocławku, Kaliszu i Warszawie, otworzono zakłady nauki rękodzieł, przeznaczone wyłącznie dla kobiet, że już pominiemy „spółkę pracy połączonych kobiet“, jako instytucyą przeważnie handlową, i „Szkołę gotowania“, która, o ile się zdaje, nie „zgotowała“ ojczyźnie ani jednéj dobréj kucharki.

Warszawski zakład rękodzielniczy przedstawia się najpokaźniéj. W ciągu trzech lat istnienia (1874—1876) przesunęło się przezeń 474 uczenic, z których w każdym razie większa połowa ukończyła jakiś kurs specyalny. Wychowanki jego założyły dotychczas 18 pracowni w Warszawie i nierównie więcéj na prowincyi. Wykłada się tam buchalterya, krój sukien, introligatorstwo, kwiaciarstwo, rękawicznictwo, krój bielizny. Nauka każdego z rzemiosł trwa kilka miesięcy, niepodobna więc przypuszczać, aby, w ciągu tak krótkiego czasu, najzdolniejsza nawet uczenica wypiła cały ocean—choćby sztuki szycia rękawiczek. Dla uzupełnienia jednak braków i nabycia wprawy, ukształcić się można do reszty w jakimś prawdziwym zakładzie rzemieślniczym. Radzilibyśmy téż wszystkim pięknym rękodzielnicom, mającym zamiar otwierać własne pracownie, aby, prócz rzemiosła, uczyły się także buchalteryi, jeżeli nauka ta jest dobrze wykładana.

Widzimy więc, że początki zrobiono już, pożądaném jest jednak, aby się dzielniéj rozwijały na przyszłość. Jakie zaś będą owoce dotychczasowéj działalności kobiecéj na polu rękodzielniczém, okaże to jesienna wystawa robót kobiecych, urządzona przez Warszawskie Muzeum przemysłowe. Panie nasze tak ją wzięły do serca, że już dowiadują się: czy na wystawę można przysyłać i literackie prace kobiet? Muzeum podobno odpowiedziało przychylnie, dodając z rycerskością, godną lepszych czasów, że płody umysłowe dam nie będą wprawdzie oceniane i naturalnie wynagradzane, lecz że jako ozdoba ulokowane zostaną *w miejscu najlepszém*. Ponieważ, o ile nam znowu wiadomo, ten dział pracy kobiecéj jest dziś może najusilniéj uprawiany ze wszystkich, domyslamy się więc jednego z dwojga: albo że nasze muzeum posiadać będzie w jesieni jakiś olbrzymi gmach własny, albo—że dzisiejsze swoje salony, przedpokoje i schody zapełni skarbami duchowemi, a tkaniny, séry, ogrodowizny, trzewiki i im podobne artykuły materyalnego narodowego bogactwa pomieści—na dość zresztą ciasném podwórzu.

Skromny dzisiejszy postęp dźwigają pojedyncze i rozstrzelone siły, nie wątpimy jednak, że rezultaty byłyby nierównie okazalsze, gdyby można było nawet w warunkach obecnych działać pracą zjednoczoną. Myślano już o tém, a nawet pisano ustawę towarzystwa wzajemnéj pomocy dla szwaczek warszawskich, celem usnięcia biedy panującéj wśród téj klassy. Pomysł to uczciwy, ale chybiony. Jeżeli w jakiéj gałęzi pracy, robotnicy są stale bie-

dni, to znaczy, że jest ich zbyt wielu; jeżeli zaś wyjednane zostaną jakieś przywileje dla szwaczek, wówczas naturalnie liczba ich jeszcze bardziéj powiększy się, a nędza wzrośnie. Dla tego jesteśmy zdania, że jeżeli ma już być założone „towarzystwo wzajemnéj pomocy“ dla kobiet pracujących, to już nie dla takich lub owakich specyalistek, ale dla wszystkich. W takim tylko razie zebrać się mogą duże kapitały, utworzy się jakaś wielka instytucya nauki rzemiosł, a chcące pracować osoby, mając przed sobą różne drogi i pomoc na każdéj, rozdzielą się proporcyonalniéj do miejscowych potrzeb.

Pobożne życzenia! ponieważ mimo najszczerszych chęci ogółu, wątpimy bardzo, aby jakieś szersze a użyteczne stowarzyszenie mogło dziś dojść do skutku. Myśléć jednak o tém potrzeba, aby, gdy lepsze czasy nadejdą, każdy wiedział przynajmniéj w ogólnych zarysach o tém czego ma chcieć.

Dla wskazania potęgi stowarzyszeń nawet niewieścich, opowiemy dzieje wiedeńskiego towarzystwa zarobkowego, założonego w roku 1866. Wykłady różnych rzemiosł i nauk rozpoczynały się tam kolejno, w miarę potrzeby, a oto rezultaty, jakie do r. 1874 otrzymano.

Szkołę szycia, otworzoną w r. 1867, ukończyło	2844	uczennic
„ robienia kopert	537	„
Dwie klasy szkoły handlowéj, otworzonéj w r. 1868, wraz z wykładami buchalteryi .	495	„
Szkołę rysunkową	364	„
„ elementarną	219	„
Kurs języka francuskiego od r. 1869 . . .	826	„
Telegrafii	292	„
Kursa przygotowawcze do szkół fachowych, otworzone r. 1870	154	„
Naukę języka angielskiego	364	„
Czteroletnie kursa naukowe od r. 1871 . . .	194	„
Trzyletnie kursa robotnicze	115	„
Wyrób sukien od 1873	73	„
Naukę rysowania wzorów	100	„

W r. 1874 stowarzyszenie posiadało bibliotekę, złożoną z 500 tomów, co może nie jest wiele, choć zapewne ściśle odpowiadało

potrzebom. Prócz tego jednak kupiło sobie pięciopiętrowy gmach, zajmujący 195 sążni kwadratowych gruntu. Wprawdzie z publicznych składek wpłynęło pilnym robotnicom 60 tys. złot. reńskich, kasa oszczędności podarowała im 50 tys. złr., a ministeryum handlu i oświaty 10 tys. złr.,—musi jednak towarzystwo to być wysokiej wartości, skoro tak zainteresowało ogół!

Aleksander Głowacki.

BIBLIOGRAFIA. (*)

Preisschriften gekrönt und herausgegeben von der Fürstlich *Jablonowski'schen Gesellschaft zu Leipzig*. Lipsk 1876 XIX. *Leskien: die Declination im Slawisch-Litauischen und Germanischen* str. XXIX, 158. XX. *Hassencamp: über den Zusammenhang des celtoslawischen und germanischen Sprachstammes* str. 64.

Nie wszystkim zapewne czytelnikom wiadomo, że w Lipsku istnieje *Towarzystwo naukowe imienia Jabłonowskich* (societas Jablonoviana), założone w przeszłym wieku (około r. 1774) przez J. A. Jabłonowskiego, wojewodę Nowogrodzkiego. Towarzystwo to składające się z kilku uczonych zamieszkałych w Lipsku, uposażone przez swego fundatora, ogłasza corocznie konkurs na temata przeważnie odnoszące się do dziejów dawnéj Polski. Prace uwieńczone i nagrodzone przez Towarzystwo drukuje się jego kosztem. Tego rodzaju pracami są właśnie powyższe dwie rozprawy, napisane na konkurs z r. 1874 na temat: „szczegółowe zbadanie stosunku, w jakim znajdują się w obrębie rodziny indo-europejskiéj języki grupy litewsko-słowiańskiéj do języków germańskich.“ Obie prace zostały uwieńczone nagrodą i wydrukowane staraniem Towarzystwa, chociaż pod względem zakresu, metody i przedewszyskiém pod względem ostatecznych rezultatów wręcz sobie są przeciwne.

Hassencamp stara się wyczerpać przedmiot wszechstronnie, stosownie do tematu postawionego przez Towarzystwo. Odparłszy najprzód twierdzenie, jakoby języki litewsko-słowiańskie znajdowały się w *bliższém* pokrewieństwie z językami aryjskiemi (t. j. ze Sanskrytem i Zendem), usiłuje udowodnić bliższe po-

---

(*) Pod tym tytułem „Ateneum“ odtąd ogłaszać będzie krótkie wiadomości, czerpane z czasopism zagranicznych, o najnowszych dziełach naukowych.

krewieństwo języków grupy litewsko-słowiańskiéj z germańskiemi, w głosowni, słoworodzie, fleksyi, składni i zasobie słów wspólnych *tylko* tym językom (autor zebrał 75 pierwiastków wspólnych *tylko* tym dwom grupom). Jednakie wywody autora widocznie nie są oparte na samodzielnych studyach traktowanych przezeń języków, lecz tylko skrzętném zestawieniem wszystkich dowodów, przytaczanych od czasów Jakóba Grimma i Augusta Schleichera na poparcie teoryi bliższego pokrewieństwa grup litewsko-słowiańskiéj i germańskiéj (Schleicher mianowicie był, jak wiadomo, gorącym zwolennikiem téj teoryi). Dla tego też praca o któréj mowa nie daje właściwie nic nowego i niczém nie zbogaca językoznawstwa. Ale i rezultat ostateczny zdaje się być całkiem chybiony: autor stara się udowodnić, że pomiędzy wzmiankowanemi grupami języków istnieje bliższe pokrewieństwo czyli, co z takiego założenia nieodzownie wynika, że należy przyjąć język pierwotny litewsko-słowiańsko-germański („Grundsprache" Schleicher), z którego następnie wyłoniły się: prajęzyki litewsko- słowiański i germański. Jednakże dowody zebrane przez autora na poparcie tego twierdzenia w większéj części nie wytrzymują krytyki, te zaś, które rzeczywiście świadczą o pewném podobieństwie rzeczonych języków, objaśniają się raczéj bliskiém geograficzném zetknięciem obu szczepów, aniżeli pierwotném *bliższém* tychże pokrewieństwem. Dla tego też z pracy Hassencampa można raczéj wyprowadzić wniosek wręcz przeciwny temu, jaki sobie autor zamierzył, to jest, ten wniosek, że języki litewski, łotewski i słowiańskie, pomiędzy sobą połączone ścisłym węzłem pokrewieństwa, *nie* znajdują się w *bliższém* pokrewieństwie z językami germańskiemi, lecz w *dalszém*, w takiém naprzykład, w jakiém się znajdują z językami aryjskiemi, celtyckiemi lub helleno-italijskiemi.

Do takiego też rezultatu dochodzi Leskien w powyżéj przytoczonéj pracy. Autor założył sobie zbadać stosunek języków litewsko-słowiańskich do germańskich w zakresie daleko szczuplejszym, gdyż tylko w zakresie *deklinacyi* tak imion rzeczownych i przymiotnych, jak i zaimków, lecz zadanie swoje spełnił bez porównania świetniéj od poprzedniego. W obszernym wstępie autor po części polemizując z Janem Schmidtem, znanym uczniem Schleichera i autorem dzieła „Zur Geschichte des indogermanischen Vocalismus" (por. „Ateneum" 1877. T. I, str. 691), zastanawia się nad powstaniem nowych języków i narzeczy z pierwotnego *jednego* języka.

Leskien jest tego zdania, że tam, gdzie na granicy dwóch języków lub narzeczy widzimy stopniowe i nieznaczne przejście od jednego do drugiego, prawdopodobnie przejście takowe, pomimo że szczep, mówiący danym językiem stanowił jedność i całość, nastąpiło z czasem i powoli w skutek wewnętrznego popędu języka do tworzenia różnic albo nowych typów („Differenzierungsprincip" Jana Schmidta); tam zaś, gdzie przejście to jest bystre i natychmiastowe, to przyczyną tegoż musiały być pewne zewnętrzne wypadki, jako to: wędrówki ludów lub przypadkowe zetknięcie się dwóch odmiennych szczepów.

Samę pracę o deklinacyi w językach litewsko-słowiańskich i germańskich odznacza przedewszystkiém gruntowna metoda, oparta na historyczném badaniu każdéj formy gramatycznéj wchodzącéj w skład traktowanego przez autora przedmiotu. To téż pracy Leskiena, mianowicie: historyczna gramatyka języków litewsko-słowiańskich zawdzięcza bardzo wiele. W kwestyi bliższego pokrewieństwa obydwóch grup języków, autor zachowuje się *przecząco* t. j. dowodzi, że pokrewieństwo to wcale nie jest tak bliskiém, jak dotąd sądzono. W zakresie deklinacyi *tylko jedno* zjawisko można według Leskiena uważać za wspólne obydwom grupom, a mianowicie przejście pierwotnego *bh* w *m* w zakończeniach przypadków, np. w celowniku liczby mnogiéj: słow. synŭ - mŭ, lit. sunu - mus, sunù - ms, got. sunu-m, sanskr. sūnu - bhjas i t. d. Wszystkie inne podobieństwa w deklinacyi języków w mowie będących L. uważa albo za wręcz nieuzasadnione, albo téż objaśnia za pomocą analogii, któréj w ogóle w rozwoju języków wielką przypisuje wagę, większą aniżeli ktorykolwiek inny językoznawca. Według zdania Leskiena, podobne albo téżsame zjawiska w dwóch grupach języków nie koniecznie są wynikiem wspólnego rozwoju, a więc pośrednio nie koniecznie świadczą o bliższém pokrewieństwie tychże, lecz mogły rozwinąć się w każdéj grupie oddzielnie i samodzielnie, według ogólnych praw i dążności, wspólnych wszystkim językom indo-europejskim.

S l o w o o p ŭ l k u I g o r e v ě. Tekst s perakladom etc. widaw *O. Ogonowskij*. Lwów 1876. str. XLIV, 136.

Jest to wydanie „Słowa o pułku Igora,“ opatrzone obszernym wstępem, tłómaczeniem i przypisami w języku małoruskim. Wydawca sumiennie i umiejętnie skorzystał z bogatéj literatury traktującéj o tym starożytnym i trudnym dla interpretacyi zabytku literatury małoruskiéj. To téż w ogóle sąd jego o rzeczach jest trafny i trzeźwy, chociaż i jemu nie udało się należycie objaśnić wielu niezrozumiałych miejsc poematu.

Fr. Diez: Romanische Wortschöpfung. Anhang zur Grammatik der romanischen Sprachen. Bonn 1875. str. VIII, 98.

Niedawno zmarły, słynny autor Gramatyki porównawczéj i słownika języków romańskich podaje w powyższéj pracy, jako dodatek do owéj gramatyki, spis rzeczowników łacińskich, wykazując, które z nich przechowały się w językach romańskich, które zaginęły i przez jakie wyrazy zastąpione zostały.

Max Müller: *Essays.* IV. Band. Aufsätze hauptsächlich sprachwissenschaftlichen Jnhalts enthaltend. Aus dem Englischen übersetzt von Dr. R. *Fritsche.* Lipsk 1876. str. VI, 502.

Zbioru rozpraw i mów znanego indologo i językoznawcy M. Müllera wyszedł w roku zeszłym tom IV w niemieckiém tłómaczeniu. Są tu pomieszczone prelekcye i rozprawy tyczące się językoznawstwa, jako to: O znaczeniu gramatyki porównawczéj w zakresie studyów uniwersyteckich, o chronologii języków t. j. o izolującym, agglutynującym i fleksyjnym peryodzie języków, o rezultatach językoznawstwa, studyum o znakomitym indologu Colobrooke i t. d. W końcu pomieszczone są dwie mowy o wy-

chowaniu ludowém i o wychowaniu kobiet w Anglii.— Przedstawienie rzeczy, jak we wszystkich dziełach Müllera tak i w tém jest przystępne i popularne w lepszém znaczeniu tego słowa; tłómaczenie niemieckie także jest bardzo poprawne.

Rohde: *der griechische Roman* und seine Vorläufer. Lipsk 1876. str. XII, 552.

W naszych czasach rozwielmożnienia się romansu i powieści powinna wzbudzić powszechny interes książka Rohde'go o romańsie w starożytnéj Grecyi, dzieło świadczące o wielkiéj uczoności gruntowności autora, przytém napisane jasno i zajmująco, o ile naturalnie pozwalał na to przedmiot trudny i dotąd prawie przez nikogo nietknięty. Romans grecki, ostatnia latorośl produkcyjnéj działalności Hellenów, miał za przedmiot fabułę erotyczną i najdziwaczniejsze, naiwnie opowiedziane przygody kochanków na lądzie i morzu, był pisany prozą i owiany sentymentalnością uczuć zupełnie nie w duchu starożytnym, tak iż w literaturze greckiéj zajmuje stanowisko zupełnie odrębne i zagadkowe. Pierwsze zawiązki romansu upatruje autor w erotyce poetów aleksandryjskich i w połączeniu żywiołów erotycznych z fantastycznemi geograficzno-etnograficznemi opisami, które biorąc swój początek w starożytnéj epopei (Odysseja, wyprawa Argonautów i t. d.) w ostatnich wiekach przed i w pierwszych wiekach po Chrystusie wyrodziły się w baśnie i legendy. Z takich to żywiołów *sofistyka* grecka czasów cesarzy rzymskich stworzyła romans taki, jaki ze starożytności doszedł do naszych czasów. Wszyscy romansopisarze greccy byli bez wyjątku *retorzy-sofiści*; w szkołach wymowy utrzymywanych przez nich miewano dysputy na temata erotyczne, ćwiczono się w opowiadaniach awantur i w pisywaniu listów miłośnych, wszystko to zabarwiano frazeologją zaczerpniętą u dawniejszych poetów, wplatano opisy, mowy, monologi i listy—i tym sposobem, nie drogą żywéj twórczości, lecz martwéj *scholastyki*, powstał romans, w którym koloryt jednostajny, język bezbarwny, opowiadanie pozbawione wszelkich realnych poglądów na świat i ludzi. Pierwszym znanym dotąd romansopisarzem greckim był *Jamblichos*, żyjący w 2 wieku po Chr., autor „historyj babilońskich", utworu, w którym pełno obrazów jaskrawych i nieprzyzwoitych, oraz przygód dziwacznych, w którym nadto magia i czarodziejstwo wielką odgrywają rolę. Rohde jednakże za najstarszego ze znanych nam romanso-pisarzy uważa *Antoniusza Diogenesa*, którego odnosi do 1 wieku po Chr. Wszyscy inni należą do epoki od 2 do 6 wieku po Chr. Najznakomitszym przedstawicielem był *Heliodoros*, biskup tessalijski, żyjący około 400 r. po Chr., który w młodości napisał romans w 10 księgach pod tytułem „historye etiopskie", najlepszy utwór tego rodzaju pod względem akcyi, charakterystyki osób działających i pod względem wartości moralnéj. W czasach bizantyjskich romans erotyczny także był pielęgnowany, o czém Rohde w końcu swego dzieła podaje krótką wzmiankę.

Krichenbauer: die Irrfahrt des Odysseus als eine Umschiffung Afrikas erklärt. Berlin 1877. str. IV, 136.

Do jakiego stopnia może zabłąkać się umysł ludzki, dowodzi najlepiéj powyższa książka. Genialny autor stara się dowiéść, że cała odysseja nie jest niczém więcęj, jak tylko opisem żeglugi Odysseusza naokoło Afryki! Zresztą nie po raz to pierwszy tenże autor uszczęśliwia świat naukowy podobnemi curiosami, w rozprawie bowiem ogłoszonéj w r. 1874, pod tytułem „Beiträge zur Homerischen Uranologie" starał się dowieść, że Iljada jest tylko zbiorem dat astronomiczno-geograficznych i jakby depozytorjum, w którém Hellenowie czasów bohatérskich składali swoje pojęcia o niebie i w związku z temiż zostające wiadomości chronologiczne.

Grosberger: *Erziehung und Unterricht im klassischen Alterthum.* II Theil: der musische Unterricht oder die Elementarschule bei den Griechen und Römern. Würzburg 1876, str. VIII, 422.

Pierwsza część dzieła (wyd. 1864—66 r.) traktowała o wychowaniu fizycznėm (ćwiczeniach gimnastycznych) u Greków i Rzymian, obecnie zaś wydana część druga traktuje o wychowaniu elementarném chłopców i dziewcząt (nauka czytania i pisania, arytmetyka i rysunki, muzyka i taniec); trzecia zapowiedziana przez autora część oprócz ilustracyi do wszystkich części dzieła obejmować będzie wykształcenie wyższe u narodów starożytnych. Tym sposobem dzieło powyższe zapowiada się jako praca poważna i wyczerpująca gruntownie przedmiot, szkoda tylko, że rzecz napisana bez talentu jest raczéj zbiorem materyałów, a niżeli kunsztownėm opracowaniem przedmiotu. Zresztą i w korzystaniu z danych materyałów autor częstokroć jest niekrytycznym.

Ziller: *Vorlesungen über allgemeine Paedagogik.* Lipsk 1876, str. VIII, 334.

Autor prelekcyi o pedagogice, mianych w uniwersytecie Lipskim, znanym jest zaszczytnie w nowszéj literaturze pedagogicznéj, a dzieło powyższe należy do najlepszych, jakie o tym przedmiocie ogłoszono w ostatnich czasach w Niemczech,

Paedagogische Klassiker. Herausgegeben unter der Redaction von Lindner. Wiedeń 1877.

1. Johann Amos *Comenius grosse Unterrihtslehre*, mit einer Einleitung: J. Comenius, sein Leben und Wirken. Einleitung, Uebersehung und Commentar von Lindner str. LXXXIX, 311.

2) *Helvetius*: vom Menschen, seinen Geisteskräften und seiner Erziehung. Mit einer Einleitung Claude Adrien Helvetius 1715—1771. Ein Zeit—und Lebensbild. Einleitung, Uebersetzung und Commentar von Lindner, str. LII, 287.

Znany w literaturze pedagogicznéj Dr. Lindner, dyrektor seminaryum nauczycielskiego w Austryi, powziął szczęśliwą myśl wydawania najcelniejszych dzieł pedagogicznych czyli, jak ich nazywa, „klasyków pedagogicznych." Do każdego dzieła w tekscie niemieckim dodany jest komentarz ułatwiający zrozumienie rzeczy, oraz obszerny wstęp o życiu, dziełach i zasługach autora. Na początek wybrał wydawca „Didactica magna," wiekopomne dzieło Koweńskiego, obejmujące całkowitą pedagogikę w śmiałych i genialnych zarysach, wzbudzające w nas tém żywszy interes, że było pisane przez autora na ziemi polskiéj (w Lesznie około r. 1630,

W drugim tomie zbioru Lindnera pomieszczono dzieło Helweciusza „De l'homme, de ses facultés et de son education.“

Die Directoren-Conferenzen des preussischen Staates. Sämmtliche auf ihren gepflogene Verhandlungen, geordnet, excerpirt und eingeleitet durch eine Darstellung der geschichtlichen Entwickelung dieser Conferenzen, herausgegeben von Prof. *Erler.* Berlin 1876. str. XVI, 272.

Od lat pięćdziesięciu istnieje w Prussach ten zwyczaj, że mniéj więcéj co trzy lata dyrektorowie gimnazyów i szkół realnych każdéj prowincyi oddzielnie zbierają się dla wspólnych narad nad różnemi kwestyami tyczącemi się średnich zakładów naukowych, kwestyami poprzednio przedyskutowanemi w zgromadzeniach nauczycielskich każdéj szkoły reprezentowanéj na konferencyi przez swego dyrektora. Protokóły tych konferencyj od pewnego czasu drukują się, początkowo zaś zostawały tylko w rękopismach. Tym sposobem zebrało się dużo cennego materyału do praktycznéj pedagogiki średnich zakładów naukowych, a niemałą zasługę położył sobie prof. Erler przez to, że masę tego materyału uporządkował, streścił i we wstępie podał historyczny zarys i znaczenie konferencyj dyrektorskich w Prussach.

Wiese: deutsche Briefe über englische Erziehung. I. 3 wyd. Berlin 1877. str. VI, 221. II. Berlin 1877. str. X, 370.

Dr. Ludwik Wiese, przez czas długi referent do spraw gimnazyalnych w ministeryum oświaty w Prussach, odbył w r. 1850 podróż do Anglii w celu zapoznania się ze szkolnictwem angielskiém. Owocem téj podróży były ogłoszone wówczas „Listy Niemca o wychowaniu angielskiém,“ które świetnością stylu i nader trafnemi poglądami powszechną zyskały sobie pochwałę, tak iż obecnie (niezmienione) doczekały się trzeciego wydania. W roku zeszłym sędziwy autor odbył w tymże celu co przed laty 27 nową podróż do Anglii i wrażenia z tejże podróży złożył w drugiéj seryi „Listów“ niedawno wydanéj. Tak pierwsza, jak i druga serya jest niezmiernie bogatą w szczegóły; w pierwszéj jednakże autor głównie mówi o wewnętrzném urządzeniu zwłaszcza średnich zakładów naukowych, w drugiéj zaś przeważnie zajmuje się zewnętrzną organizacyą szkolnictwa angielskiego, zwłaszcza téż stosunkiem rządu do szkół ludowych.

Otte: Archaeologisches Wörterbuch zur Erklärung der in den Schriften über christliche Kunstalterthümer vorkommenden Kunstausdrücke. Deutsch, lateinisch, französisch und englisch. 2 wyd. Lipsk 1877. str. VIII, 488 i 287 drzeworytów.

Powyższe dzieło, które obecnie wyszło w drugiém powiększoném wydaniu, jest to słownik objaśniający wszystkie wyrazy techniczne odnoszące się do sztuki chrześciańskiéj. Wartość i dogodność dzieła zwiększa i ta okoliczność, że jest napisane w czterech językach: niemieckim, łacińskim, francuskim i angielskim.

Miansarof: Bibliographia caucasica et transcaucasica. Essai d'une bibliographie systématique relative au Caucase, à la Transcaucasie et aux populations de ces contrées. Tome I, sections 1 et 2. Petersburg 1874—76.

Autor powyższego dzieła, napisanego po rosyjsku i po francusku, założył sobie zebrać i systematycznie uporządkować całą literaturę odnoszącą się do Kaukazu i krajów Zakaukazkich. Obecnie wydany tom pierwszy obejmuje 4840 numerów dzieł i rozpraw według następnych grup. Sekcya pierwsza: geodezya, kartografia, geografia i statystyka, geologia, mineralogia, paleontologia, zoologia i botanika, balneologia, meteorologia i klimatologia, medycyna. Sekcya druga: etnografia, podróże, starożytności i napisy, numizmatyka, historya.

Redaktor i Wydawca, *H. Benni.*

Omyłki dostrzeżone w Zeszycie 4-ym.

Stronica	*wiersz*		*zamiast*	*powinno być:*
7	18 i 13	od dołu	estotes	estates
8	11	od góry	Returr	Return
12	4	"	còtes	côtes
13	1	od dołu	szykowném	zyskowném
15	9	"	mezzajnolo	mezzaiuolo
21	15	"	Dorfröchter	Dorfrichter
24	3	od góry	zniżenie	zelżenie
"	7	"	obawę	obrazę
"	6	od dołu	czwartą	trzecią
26	7	od góry	wyprawić	wypuścić
"	18	"	najczystszą	najczęstszą
27	5	"	opoce	epoce
28	12	"	zdemontować	zdemonetować
"	23	"	zdawał	zdarzał
"	6	od dołu	późniejszych	pieniężnych
29	17	"	wiele	wcale
"	15	"	zewnętrzną	zamienną
"	8	"	wywiązać	wywierać
30	14	"	że na	cena
"	13	"	1868	1866
31	3	od góry	złota i srebra	złoto srebro
"	15	"	unii	części
"	20	"	tam srebra	srebra
"	21	"	zebranie	zelżenie
32	5	"	pięciofrankowych	pięciofranków ek
"	7	"	100	120
"	12	od dołu	Konferencyi, skutkiem	Konferencyi. Skutkiem
34	15	od góry	możne	mocne
"	16	od dołu	pochodziło	pochodziły
"	8	"	Zakazy	Zakusy
36	11	od góry	2530	25,30
"	12	"	te	to
"	19	od dołu	przedsiębrania	przedsiębierców
37	18	"	racyą	racye
40	4	od góry	milionów	franków
"	1	od dołu w przypisku	3000000	3600000
41	3	od dołu	wnosiłaby	znosiłaby
185	13	od góry	szlacheki	szlachecki